DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom X.



LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie X.

I. Zywoty Świętych, legendy i rozmaite historye święte:

stronica:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności.

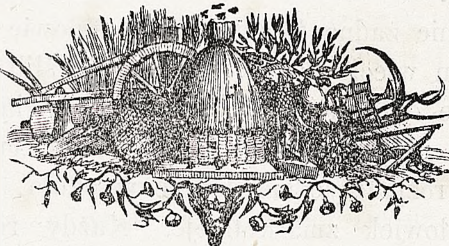
VII. Przypowieści i zdania moralne:



Tom X. Nr. 1.

1. Stycznia 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na Nowy Rok.

Na święta odwidził mnie kum serdeczny Bartłomiej Socha. Otóż była i gawędka szeroka a miła, bo już z Bartłomiejem nagadać się trudno, a potem i to warto spamiętać, że niema milszej zabawy jak mądra i przyjacielska rozgadka. Prawiliśmy tam o różnych rzeczach, a co ciekawsze, to wam spisuję, bo zda mi się, że to niejednemu przypomnieć sobie nie zawadzi.

Otóż rzeknę ja do Bartłomieja:

— Powiedzcie mi miły kumie, jak tam ludzie wesoło świątkują, bo ja chory i nikogo prawie nie widuję.

— Wesołości nie wiele widziałem miły bracie — powie Bartłomiej — a czemu tak, to nie trudno się domyśleć. Toć już od wielu lat jest u nas jeno smutek i tęsknica, człek rzadko kiedy z prawdziwej wesołości i ze szczęścia się śmieje. Skoro kto rozumniejszy i więcej baczy na wszystko, temu pewnie bardzo wesoło nie będzie na sercu; jeno głuptaki a lekkoduchy smutku nie znają, i tym się niema co dziwić.

— Prawda to — powiem — i jak ze wszystkiego miarkuję, to macie racyę miły kumie; ale powiedzcie mi przecie, czem się to tak dzieje?

— Toć to nie żadna tajemnica — odpowie Bartłomiej — i wy także o tem wiecie, a kiejbyście namyślili się dobrze, to byście sami sobie odpowiedzieli. Prawdę mówiąc, już od dawniejszego czasu nie wiele się zmieniło na świecie, i to właśnie żle. A toć jeno rozpatrzyć się dobrze w około, i wnet najweselszy nawet człowiek zmarkotnieje. Każdy rozsądny człek radby, aby jak najlepiej szło wszystko, aby ludziska coraz poczciwsi, rozumniejsi i szczęśliwsi byli. A czyż tak jest może? Gdzietam, zawsze po dawnemu. Rozpatrzcie się między ludźmi, a wiele tam grzechu i obrazy boskiej znajdziecie, wiele ciemnoty i głupstwa, a już najwięcej biedy i nędzy. Czyż to pociecha?

— Prawda to, prawda — powiem — ależ miły kumie przyznajcie, że i czegoś lepszego między ludźmi dopatrzyć można. Toć co roku tyle szkółek się zakłada, tyle dzieci uczy się. Toć co roku tyle gromad przychodzi do opamiętania, i jakoś się urządza lepiej, i większa między niemi uczciwość a pracowitość jak dawniej. Toć to wszystko idzie na lepsze i na pociechę.

— Baj! baju! miły bracie — zawoła Bartłomiej — a cóż to wszystko znaczy w porównaniu do całego kraju? Prawda że nowe szkoły zakładają, ale to na kilkanaście wsi jedną; prawda że i gromady przychodzą do rozumu, ale to na kilkadziesiąt jedna; prawda że i dzieci dają na naukę, ale jeżeli we wsi kilkadziesiąt dziatek, to posyłają ledwie kilkanaścioro. A zresztą już wszystko idzie po dawnemu. Między ludźmi jednakie swary i kłótnie, zawsze jeszcze są gromady, co to bij zabij na pana, co nie usłuchają nawet xiędza, zawsze jeszcze procesa różne i myśli złe i podejrzywania. Toć lada urwipołeć i obieżyświat niech się zjawi we wsi, a już mu ludzie wierzą więcej jak xiędzu i panu i zbałamucić się dadzą pewnikiem. A z tego wszystkiego co następuje? Oto bieda i nędza. Zamiast żyć poczciwie w zgodzie i miłości, nie prawować się i nie grzeszyć złemi myślami o cudzem, to ludzie marnują dobytek, nie starają się o poczciwy zarobek, a jeno do hultajstwa

się biorą. Więc najpierw idzie karczma i gorzałka, a za nią już wszystko złe.

— Jużto karczmy i pijaństwa bronić nie myślę — powiem Bartłomiejowi — i sam radbym je wyniszczyć do szczętu. Miły Boże! a toż ja prawie w każdym numerku Dzwonka piszę o tem, jakie to nieszczęścia i grzechy z pijaństwa, toć radbym każdego od nich uchronić. Także rozumiem z pewnością, że to najgorsze złe, i że z tego wszystko inne bierze początek. Niech zginie pijaństwo, a wnet wszystko pójdzie na lepsze, i ani się ludzie spostrzegą, jak się to odmieni.

— Prawda — powie Bartłomiej — prawda to, ale cóż z tego, czy może usłuchają ludzie tej prawdy i czy nie marnuje się darmo wasze pisanie? A toć ledwie dwudziesty usłucha, a reszta po dawnemu upija się najokropniej i sama lizie w biedę. Popatrzcieno na pierwszą lepszą wioskę naszą. Chałupy biedne, odarte i walące się, we środku jak w chlewie, brudno i brzydko, dzieci i ludziska starsi omurzane i obszarpane jak dziadowiny. Ani to pogadać z nimi, ani dopytać się mądrego słowa. Wszędzie ciemnota i nędza okrótna. A czemu tak, gdzie przyczyna tego nieszczęścia? Jużci w karczmie jeno i w gorzałce. Bo na gorzałkę przemarnuje się cały dobytek i cała praca, a gorzałka za to czyni ludzi podobnymi do bezrozumnych zwierząt, odbiera im rozum, pomiarkowanie, chęć do pracy, do porządku i do wszystkiego dobrego. O mój bracie! okropne to rzeczy. Toż nieraz we wsi ledwie kilku znajdziesz, co umieją czytać, albo i żadnego; ledwie kilku znajdziesz gospodarzy zacnych i poczciwych, a pijaków bez liczby, bo w każdej chałupie bodaj jeden. A niech przyjdzie święto, dzień Boży, który należy poświęcić na chwałę boską, to do wieczora cała wieś pianiuteńka, i owo napatrzysz się tam obrazy boskiej i grzechów jak w Sodomie czy Gomorze.

— Przestańcie miły kumie — zawołałem — bo na prawdę straszne rzeczy rozpowiadacie, i łzy idą do oczu na takie gadanie i serce się kraje. Na nieszczęście prawda to, że i takie smutne sprawy bywają między naszym ludowiną, ale już ja miarkuję z pewnością, że tak nie wszędzie, i że to tylko gdzie niegdzie. Prawda że jest między nami jeszcze wiele złego, ale

*

i dobre już się jawi często, i pięknych przykładów możnaby naliczyć nie mało. Przejedźcie się po naszym kraju polskim, a znajdziecie nie mało pięknych wiosek, z czystemi i całemi chatami, ze znacznym dobytkiem, z pracowitymi i poczciwymi ludźmi. Już się wszędzie szerzy nauka, rozum i zacność, a coraz więcej gubi się pijaństwo i głupota. Idzie to pomału, to prawda, ale i Kraków nie od razu zbudowano, i taka sprawa nie od razu wszędzie się przyjmie. Trzeba pracy i trudów, trzeba namowy, nauki i dobrych przykładów. Pracujmy wszyscy, nauczajmy i dawajmy dobry przykład, a wnet pójdzie praca raźniej i dobra sprawa rozpowszechni się prędko.

Słuchał poczciwy Bartłomiej, westchnął ciężko i dwie łzy potoczyły mu się z oczu, a potem ozwie się w ten sens:

— Może wy i racyę macie, i daj Boże aby tak było. Jam już stary, zaznałem wiele złego na świecie, przebolałem wiele, więc i nadziei tyle nie mam co drugi. Zawszem ja kochał nasz lud polski, i zawsze chciałem dla niego jak najlepiej, więc serce mię ciągle bolało i boli, kiedy widzę, że on tak pomału bierze się do dobrego, że jeszcze tyle złego jest w nim, tyle pijaństwa najbardziej, którego ścierpieć nie mogę, bo wiem, że to jest najpierwsza przyczyna wszystkiego nieszczęścia.

— Ależ miły kumie — przerwę Bartłomiejowi — i tego już nie tyle jak myślicie. Oto łońskiego lata byłem w królestwie Polskiem, koło Warszawy i indziej, i wszędy widziałem całkiem inszą i lepszą sprawę. Ze wszystkich sił pracowali tam panowie nad tem, aby lud odwieść od pijaństwa, zamykali karczmy, wyganiali arendarzów, i już tylko własne szynki mieli we wsiach, gdzie upijać się było surowo zakazano. Taki tam już zwyczaj, że w święto i niedzielę w żadnym szynku nie można sprzedawać wódki ani araku, jeno piwo dobre. Także żaden pan nie może mieć arendarza, bo ten naumyślnie dla zarobku ludzi rozpaja, ale musi przez własnego sługę szynk trzymać, który baczyć ma na to, aby nie było żadnych pijaństw. Naostatek w każdej karczmie jest tam pismo takie jak Dzwonek, i bodaj jeden człek piśmienny, który odczytuje drukowane ludziom. Nie mówię już o szkółkach, bo takich dobrych rzadko gdzie na świecie znajdziecie. Toż patrząc na to wszystko,

myślałem sobie ciągle, kiedy to będzie tak u nas w Galicyi, gdzie ludzie tacy sami Polacy i wszystko prawie tak samo. Bo co się u nas dobrego ledwie w jednej wsi na dwadzieścia zdarzy, to tam ledwie na dwadzieścia wsi jedna taka się znajdzie, gdzie będzie jeszcze kilku pijaków i karczma, i gdzie nie ma nauki jak się patrzy. O toć to ogromna różnica.

— Pewnie że jest różnica — rzeknie Bartłomiej, i to nie mała. Także nie wiem, czy się tu u nas da tak rychło i dobrze zrobić jak tam, bo widać u nas mniej chęci do tego.

Na to odpowiem kumowi:

— Jużto chęć do dobrego rzadko znaleźć od razu między ludźmi, ale też nie można powiedzieć, aby jej całkiem nie było. Trzeba namowy, trzeba pokazania, że tak pewnikiem będzie lepiej i mądrzej, a ludzie się rozmyślą i usłuchają. Mam ja nadzieję, że i my w tyle nie zostaniemy, że i nasi ludzie coraz więcej będą się imali dobrej sprawy. Toż w tem jest szczęście i dostatek, którego sobie każdy życzy, a jak jeno zmiarkuje, że tak jest na prawdę, to i czemuż nie miałby się nawrócić. I ja kocham nasz lud, i ja chcę dla niego szczęścia i dobra, więc życzę mu zawsze tego upamiętania i rozmyślenia się do dobrego. I na każden nowy rok powtarzam, że życzę wszystkim, aby im było coraz lepiej, i teraz znowu tak im napiszę.

Pokiwał Bartłomiej głową, pomedytował nieco i tak zakończył:

— I ja im i sobie to samo życzę, i pragnę dla ludu naszego trzeźwości i nauki, i szczęścia, jakie ztąd idzie. A także pragnę dla niego miłości i zgody, jaka jest w inszych ziemiach polskich, najbardziej w Królestwie. Dlatego właśnie, że tam jest miłość i zgoda między ludem i panami, że jedni drugim ufają i wierzą, dlatego idzie tam dobrze, na pociechę Bogu i na pożytek ludziom. Daj Panie Boże, aby i u nas tak jak najprędzej było, aby już z tym Nowym rokiem zaczęła się wszędzie dobra uczciwość między ludźmi, aby wszyscy pamiętali, że są synami jednej Ojczyzny i braćmi między sobą, że są wszyscy Polakami równymi sobie, a to tak panowie jak kmiecie, i mieszczanie i wszyscy.

Takie pisanie przesyłamy wam mili bracia na Nowy rok. i daj Boże, aby się ono jak najprędzej spełniło.

Przygoda Maćkowa noworoczna.

Głucho wichry szumią w lesie, bo bez liścia drzewa,
A na polach zimny śnieg, a lody na wodzie;
A wesoły Maciek idzie i raźno se spiewa,
Choć po śnieżnej zawierusze po kolana brodzie:

A co mi ta ciepła chata i co piec babiny,
Alboż to ja nie parobek i nie zuch nad zuchy,
Mam strzelbinę, a ta milsza dla mnie od dziewczyny,
I toporek, ale jaki! oj pewnie nie kruchy.

Chodzę sobie i poluję, a na wielkie zwierze
Co ma burą skórę z wierzchu, łeb cały kosmaty,
I co lubi okrótecznie wyrabiać grabieże,
I ludziska nam mordować i podpalać chaty.

A niechże cię tam wciornascy, burku obrzydliwy!
Bodajem cię dziś natrafił! — wołał Bartek żwawo,
A w tem zaszumi po lesie łoskot przeraźliwy,
I dwunastu burków idzie na Maćka z obławą.

Maciek stanął, spojrzał dumnie i za strzelbę chwyta,
I jak zmierzy, jak nie palnie, aż się zakurzyło;
Jeden burek nogi zadarł, jak gdyby kopyta,
A z dwunastu wrogów ciężkich jednego ubyło.

To nie dosyć, bo się Maciek rozgrzał okrótecznie,
I nabijał ciągle strzelbę i walił serdecznie,
I niebawem czterech jeszcze trupem polegało,
A ostatnich siedmiu burych co żywo zmykało.

Ano — huknął Maciek wesół — to mi to rok nowy,
Kiedymci ja z takiej biedy wyszedł cały, zdrowy,
I kiedym aż pięciu zwalił — Boże mój jedyny!
A to niechaj mi już żaden rok nie będzie inny.

Przygoda pijacka Macieja Pipy.

Przeszłego miesiąca wybrałem się na jakiś czas za różnemi sprawami z domu. Właśnie dwa tygodnie kończyły się już od mego wyjazdu, gdym w sobotę wieczorem przyjechał do wsi Wilkowy. Owóż poszedłem zaraz do tamtejszego wójta Sebastyana Pazura, który jest krewniakiem mojej żony, i prosiłem go, aby mię przyjął na nocleg. Nie odmówił mi tego i owszem ucieszył się serdecznie z mojego przybycia, a kiedyśmy zjedli wieczerzę, rozpoczęliśmy gawędkę nie na żarty, bośmy się podobno dopiero gdzieś po północku spać pokładli.

Na drugi dzień w niedzielę poszliśmy do klasztoru, co sobie przy wsi prawie na samym wierzchołku góry jakby w wianeczku między topolami stoi, a mur wysoki otacza go także w około.

Gdyśmy weszli do środka, to aż mi się miło na sercu zrobiło na widok, jak tam czysto i piękniutko! Ołtarze przystrojone we wstążki i kwiaty, przy każdym stoją cztery świece woskowe, i chorągwie są tam ozdobne, coby śmiało mogły stać w bądź którym miejskim kościele.

Po nabożeństwie, kiedy ludzie wychodzili z kościoła, rzeknie do nich Sebastyan:

— A możeta przyjdziecie do mnie po nieszporach na pogadankę!

Jakoż wieczorem poschodzili się gospodarze, izba była pełniutka, żebyś i palca nie tknął.

Więc Sebastyan rozpoczął tak prawić:

— Nie potrzebuję ja wam długo rozpowiadać o tem, jak to niezmiernie człowiekowi potrzebną jest nauka. Szczęśliwe są dzieci nasze, że ją nabywać mogą, bo się też o to starają łaskawi panowie dziedzice, xięża dobrodzieje i inni zacni ludziska — a gdzież to dawniej bywało? Człek nie wiedział co się za chatą dzieje, a teraz może wyczytać o różnych sprawach na całym świecie, o tysiącznych nowinach, którychby na wołowej nie spisał skórze. Wierzcie mi kochani gospodarze, żebym był trochę młodszym, tobym się na piękne wziął do pracy, ale już głowa moja za stara i pamięć za słaba.

Mam ci ja za to syna, co mi czyta, a ja słucham go ochotnie, chociaż człek dużo świata schodził i niemało się napatrzył różnych rzeczy, przecież dużo tam jeszcze nauki i nowin, o których się człeku ani śniło. Więc powiadam wam, że każdy kto ma sposobność, powinien chwytać się nauki i przynajmniej dzieci swoje dawać uczyć, aby sobie w życiu lepiej mogły dać radę, ustrzedz się od bałamutów różnych, co korzystają z ludzkiej niewiadomości. Na przykład rozpowiem wam historyę Macieja Pipy, co to ano był wójtem w naszej wiosce przedemną, jeżeli zechcecie posłuchać.

— Posłuchamy, gadajcie miły Sebastyanie — zawołali gospodarze.

Wtedy Sebastyan opowiadał im w ten sens:

— Każdy z was znał przecie dobrze Macieja, jaki to był człek porządny i poczciwy, a rzadko który wie, co się z nim dawniej działo. Owóż dostał on po swoim rodzicu spory kawał roli, chatę z gospodarstwem i jeszcze pieniędzy co nieco, a że to był chłopak swarny i zuchowaty, prędko się też zakochał a jeszcze prędzej ożenił z dziewczyną bogatych rodziców.

Bóg pobłogosławił to małżeństwo i dał Maciejom jedno dziecko, które rodzice pilnowali jak oka w głowie i kochali więcej nad życie. Niedługo atoli biedactwo ono zachorowało, porobiły mu się wrzody po ciele, to też Maciejowie bojąc się o niego, poszli co tchu do pana doktora po poradę. Pan doktor obejrzal dziecko, zapisał leki i kazał im zaraz iść do domu. Na nieszczęście spotykają w drodze starą Wymazalinę, co to uchodziła za lekarkę we wsi, i pyta ich:

— A zkądże to idziecie moi kochani?

A Maciej odpowie:

— A z miasta od pana doktora, bo nam dziecko niebezpiecznie chore.

A Wymazalina zaraz poderwie:

— I wy wierzycie w jakichś tam doktorów? co oni się rozumieją?... Nadają wam jakichś popłuczyn, co tak drogo kosztują i wy dacie dziecku i musi biedactwo zejść niepotrzebnie z tego świata przez tych...

— Ale co wy też terkoczecie, moja kobieto — przerwie Maciejowa — i na cóż by oni byli po miastach?

Na to powie Wymazalina:

— Jużcić nie na co innego, jeno żeby za coraz inne leki brali grube pieniądze, a ludzi wtrącali do grobu.

I jak zaczęła stara baba wywodzić, jędyczyć się i kusić, tak Maciej rzucił flaszką z lekarstwami o ziemię, i rad słuchając głupiej mowy, zaraz pyta:

— A cóż się to robi na pryszcze?

— Trzeba tylko dziecko ukąpać w zimnej wodzie — powie Wymazalina — obwinąć szmatami, a potem w nieckach wsadzić, jak się chleb wypiecze do pieca, więc jak się tam dobrze wypoci, krew się rozbiegnie, i dziecko będzie zdrowe jak rybka we wodzie.

I uwierzyli Maciejowie w radę Wymazaliny i jak tylko przyszli do domu, napalili w piecu, ukąpali dziecko a potem wsadzili je do pieca.

Dziecko nie mogąc znieść gorąca wielkiego, poczęło okrótnie wrzeszczeć, ale to nic nie pomogło, bo Maciejowa powiada jeszcze do swojego:

— I widać, że rada skutkuje, bo się krew musi rozchodzić.

— A prawda — odpowie Maciej, i zasunął mocniej drzwiczki od pieca dla lepszego ciepła.

— Toż to dopiero był ten Maciej głupi, jak stołowe nogi, żeby zaś słuchać takiej przeklętnicy! — zawołali gospodarze.

Na to rzeknie Sebastyan:

— Przekonajcie się więc, co to człowiek bez nauki nie wydziwia! Dziecko krzyczało coraz bardziej, a Maciejowie pocieszali się ciągle, że to wyjdzie na dobre, bo przecież Wymazalina to nie doktor z miasta. Aż kiedy dziecko przestało jęczeć, otwiera Maciej drzwiczki, wyciąga niecki, myśląc że już zupełnie wyzdrowiało, naraz patrzy, a tu dziecko ani dycha, tylko czerwone i spieczone jak burak. Dopiero teraz w płacz okrótny oboje, zaczęli sobie rwać włosy z głowy i tłuc nią o ścianę z wielkiej żałości, ale to już było po próżnicy.

Na taki krzyk i lament pozbiegali się ludzie ze wsi i zaraz gadają:

— I nie trzeba to było słuchać doktora, kiedy to przecie człowiek z rozumem, bo się na to długo uczył w szkołach?

A Maciej odrzeknie:

— Aj któż się to mógł spodziewać, że z tej Wymazaliny taka niezdara, i jeszcze wywodziła na wszystkie leki i wychwalała swoją radę.

— Macie więc naukę po niewczasie — zagada Wawrzyniec Kociuba — że zawsze należy słuchać albo doświadczonych albo wyuczonych ludzi.

— Oj Boże mój, Boże! moje kochane dziecko! — lamentowała znowu Maciejowa i tak zaczęła z mężem zawodzić, że aż wszyscy ludzie powychodzili z chaty.

Nie długo przychodzą tam niby na pocieszenie dwaj gospodarze, Kuba Opuchlak i Kasper Ciurnosik, co to byli wyćwiczeni łyktusy, i zaraz podając flaszkę z gorzałką Maciejowi powiadają:

— Ej co się będziecie gryźć i trapić, napijcie się oto wódeczki, to zapomnicie o całej turbacyi, boć ona przecie na to ogromnie przydatna.

Usłuchał Maciej pokuśników, wziął flaszkę do ręki i powiada:

— Nigdym jej jeszcze nie kosztował, zaś teraz muszę ze zmartwienia zalać robaka, co mię gryzie okropnie.

A łyktusy dogadują:

— Tak, tak mój kumotrze. To się już nie wróci, uciszcie się przecie, bo inaczej możecie dostać jakiego bolenia.

I uciszył się niedługo Maciej, bo mu wódka zaszumiała w głowie i sen oczy zakleił. Dwaj kusiciele wynieśli się co prędzej z uciechą, że znowu będą mogli tumanić nowego kompana, bo widzieli, że ma dobytek i pieniądze.

To też na trzeci dzień po pogrzebie przystąpili do Macieja i mówią do niego:

— Już co prawda, to was spotkało srogie nieszczęście. Musi was też bardzo boleć serce za taką miłą dzieciną, co wyglądało jakby aniołek z niebieskiemi oczkami?

Na takie gadanie Maciej rozpłakał się jak bóbr, więc Kuba z Kasprem wzięli go pod pachy i zamiast do domu zaprowadzili go do karczmy. Kazali żydowi podać sobie wódki i napili się po kieliszku. Maciej za ich dobre serce zapłacił kolej drugą, trzecią i piątą, i w krótkim czasie tak się popili, że ledwie na nogach stali.

Od tego czasu kumoterstwo powiększyło się między Maciejem, owóż zaczęli go obaj nawiedzać coraz częściej, przypominali mu owo strapienie, i tym sposobem wyciągali go do arendarza.

Maciej na dobitek swego nierozumu słuchał nieszczerych przyjaciół i z desperacyi niby dla zalania zgryzoty chodził z nimi pić gorzałkę, i tak potem nawyknął do niej, że temu nie było końca i miary, albowiem wyrobił się na pijaka z profesyi. Żona ze strapienia wychudła jak szczypa, gospodarka zeszła jak to mówią na psy, dobytek niknął z dnia na dzień coraz więcej, bo Maciej przestał doglądać w chacie i oborze i po całych godzinach siedział przy kwaterce.

Nie dużo upłynęło czasu, a Maciejowi mało brakowało, żeby całe postradał mienie. Ludzie poczęli go napominać jako człowieka młodego, ale wiadomo przecie, że gdy pijak przestanie chodzić do kościoła, zobojętnieje na wszystko, tak też i Maciej głuchy był na ludzkie rozgadki. Codzień robił hałasy w domu, wszczynał bitki ze żoną, a zaś razu jednego, gdy przyszedł w nocy pijany, jął na nią przeklinać i krzyczeć, że mu zimne podała jedzenie, bo jużcić nikt do tego czasu ognia nie będzie trzymał w kominie.

Ze złości wyciągnął gwoźdź ze ściany i tak pokłuł żonę okrutnie, iż prawie konająca leżała na łóżku. Ludzie dowiedziawszy się o tej sprawie, przyszli do chaty i powiadają do Macieja:

— Ależ bójcie się Boga, co wy jeno robicie z waszą biedną kobieciną! Upamiętajcie się już raz, boć ją zamęczycie przed czasem.

Teraz zagada znowu stary Osika:

— Pójdźcie mój ojcze ze mną do miasta do samego xię-

dza kanonika, tam złóżcie przysięgę, jako już więcej wódki pić nie będziecie.

I usłuchał Maciej starego Osikę, zrobił wszystko jak się patrzy i może ze dwa dni statkował i siedział w domu.

Wnet też przychodzi Kuba z Kasprem i zaczyna rozmowę:

— A cóż to się znaczy, że was nigdzie zdybać nie można? Jak widzę, robi się z was jakiś pustelnik... a nasz poczęstunek nie byłby na razie?

I wyjął z zanadrza prędziutko flaszkę kropli długiego życia, bo tak wódkę nazywał, i podaje Maciejowi.

— Ej moi kumotrowie — przemówi Maciej — ja już nie mogę używać żadnych trunków, bo się ich na śmierć wyrzekłem w całem mojem życiu.

— Gadajcie sobie zdrowi! — zawoła Kuba — alboż to jeden wyrzekał się to araku albo wódki, a i tak dobrze sobie smoli i nic mu nie brakuje. Toć przecież Matys Płachta jak zrobił przyrzeczenie, że wódki pić nie będzie, święcie też dotrzymuje słowa, bo ją teraz je z kaszą albo ziemniakami. I cóż mam wiele gadać — łyknijmy ano po jednemu i kwita.

I jak jęli basować i dogadywać, Maciejowi zrobiła się ślinka i palnął nareszcie jeden kieliszek, powtórzył wnet z żalu że tak swoję Kachnę poturbował, a potem jak kawał drzewa rzucił się na łoże, długo marudził i ledwie zasnął.

I znowu rozpił się Maciej od tego dnia z namowy owych oszustów na nowo, i dziwa dokazywał ze żoną. Kachna widząc że bieda na prawdę poczyna zaglądać do chaty, rozmyśliła sobie porzucić pijaka i odejść do rodziców.

Jakoż tak się stało. Maciej rozsierdził się okrótnie, potem upił się jak bela i gdzieś tam w rowie nocował, bo z karczmy do chaty nie mógł trafić. Była jakaś wilgoć niezdrowa, więc przeziębił się Maciej i zachorzał okrótnie. Dowlókł się rano do chaty, upadł na łoże i powstać już z niego nie mógł.

Kilka dni leżałci tak niby Łazarz drugi, i wody nawet nie było mu podać komu. Dopiero trafunkiem ktoś zaszedł do chaty, zobaczył całą nędzę Macieja i dał znać jego Kachnie. Choć on jej niemało dokuczył, i choć już nie chciała więcej wracać do męża, przecież jak się o chorobie jego dowiedziała,

poczciwa kobiecina zaraz przybiegła i chętnem sercem jak dobra żona jęła go pielęgnować.

Choroba była długa i ciężka, kosztowała także drogo, więc resztki dobytku poszły na lekarstwa, a Maciejom została pusta chałupa i pusty grunt. Ale Kachna nie wymawiała tego mężowi, biegała za zarobkiem i ratowała go własną pracą. Powoli przychodził Maciej do zdrowia, rozpatrywał się we wszystkiem i dopiero zmiarkował, jaki to on okrótny grzech popełnił i jak srodze pobłądził.

Pewnego wieczora, kiedy już całkiem był zdrowy, siadł na ławie koło Kachny, i tak się do niej odezwał:

— Moja miła Kachno, powiedzże mi, jak ty możesz być taka dobra i poczciwa dla takiego hultaja i pijaka jak ja, com ciebie razem ze sobą przyprowadził do nieszczęścia, com zmarnował prawie cały nasz dobytek, com nareszcie tobie tyle dokuczył w życiu?

Kachna jakoś z weselem spojrzała na niego i powie:

— Ani słowa, żeś ty takim był, ale to już minęło i nie wróci, i mam ja nadzieję, że mi dobre serce moje wynagrodzisz uczciwością i poprawą. Bo i jakże byś ty mógł znowu na dawne hultajstwo się puścić, kiedy teraz widzisz dokumentnie, że to jeno na szkodę i na złe wychodzi. Więc i niemało wycierpiałeś się za te grzechy, i pewnikiem już ci one obmierzły tak, że się ich więcej nie imiesz.

— Pewnie że nie — zawołał Maciej — bo aż mi włosy na głowie stają, kiedy sobie pomyślę, co ja za zbrodnie popełniłem. Więc najpierw przez głupotę moją zabiłem dziecko nasze ukochane, a potem rozpiłem się jak łotr ostatni, i przysięgę złamałem i najlepszą kobietę do nieszczęścia przywiodłem. Och! toć ledwie całe życie wystarczy, aby Pana Boga za takie grzechy przebłagać i wszystko złe naprawić.

Mówił to Maciej ze łzami i szczerze mówił, bo od razu jął się poprawy. Pracował co sił starczyło, zrobił się pobożny jak mało, i niebawem był jednym z najporządniejszych gospodarzy we wsi. Przy pracy wrócił dobytek i zamożność, a tych już tylko na dobre używał Maciej, sam wyfundował szkołę we wsi, dał kawał gruntu własnego dla nauczyciela, a naostatek

ustanowił fundusz na szpital wiejski i na zapłatę doktora, aby już żadne dziecko tak marnie ze świata nie schodziło jak jego. Na te dobre uczynki rozdał prawie cały swój majątek, którego pracą powiększył znacznie, bo już się więcej dzieci dochować nie mógł. I mawiał zawsze, że chętnie to przyjmuje od Pana Boga jako karę za grzechy dawniejsze, a choć mu żal, że nie ma kogo zostawić po sobie, to i pociechę ma, bo mu już chyba odpuści Pan Bóg śmierć pierwszego dziecięcia.

Przeżył tak Maciej długie lata, był cosik dwadzieścia lat wójtem we wsi, i znała go cała wieś jako najzacniejszego staruszka, który zawsze miał jakąś dobrą naukę do powiedzenia i zawsze dla biednego a potrzebującego miał miłosierdzie i datek dobroczynny.

— Otóż ten Maciej — kończył wójt rozgadkę — pierwszy założył szkółkę w naszej wsi, i zawsze powtarzał, niech ludzie dają uczyć dzieci, bo to będzie dla nich największe bogactwo. Gdybym ja był w młodości uczył się, tak mówił nieraz, tobym w życiu mojem nie zaznał tyle nieszczęścia. Bo pierwszą przyczyną dawnej niedoli mojej była głupota, i ona zawsze najpierw wiedzie ludzi do złego.

I jużci tak jest a nie inaczej. Maciejowi udało się jeszcze dobrze, że szczęśliwym przytrafunkiem poprawił się i dawne grzechy odpokutował. Ale wielużto ludzi umierają w grzechu i w złem, bez poprawy i bez pokuty! Cóż ich od tego może uchronić? Jużci święta wiara, nauka i rozum. Toż moi mili nie żałujmy ich dzieciom naszym i baczmy zawsze na przykład Macieja, a zaraz znajdzie się chęć posyłania dziatek do szkoły, chronienia się pijaństwa i grzechu.

Józef z Bochni.

Łakomy dwa razy traci.

Dobrze to mówi pismo święte: nie szukaj cudzej krzywdy bo krzywdą nie dorobisz się nigdy niczego, a jeno stracisz swoje. Stało się tak pewnemu skąpcowi i łakomcowi, o czem posłuchajcie historyi.

W mieście pewnym żył biedny malarz, człek bardzo zacny i poczciwy, ale chudzina okrótny. Owóż naostatek ze zgryzot różnych zachorzał nieboraczysko i zmarł nawet, a pozostała po nim biedna żona z dwojgiem dzieci w prawdziwej nędzy. Co ta jeszcze było grosza, wydało się na chorobę męża, a teraz nie stało nawet na kawałek chleba. Pomagali tam ludzie datkami, więc jakoś żyło się, ale stancyi zapłacić już zgoła nie miała czem biedaczka. Gospodarz był skąpy i łakomy, zaczekać nawet nie chciał, a iż mu winna była za jeden miesiąc, to kazał ją zlicytować i sprzedać jej wszystkie graty, choć ta biedaczka z płaczem i na kolanach prosiła go o zmiłowanie.

Mieszkał niedaleko drugi malarz, bardzo sławny, któremu się nieźle powodziło i który też różnemi sposobami ratował oną wdowę biedną. Kiedy się teraz dowiedział o nieludzkości jej gospodarza, tak rzeknie do wdowy:

— Nie turbujcie się i nie płaczcie, a jakoś ja poradzę, że jeszcze majątek zrobicie na tej licytacyi. Jeno dajcie najpierw na sprzedaż ów obraz stary, co tam w kącie wisi.

Był zaś u tej wdowy taki stary obraz, ot grat do niczego prawie. Czasem to taki obraz wartuje okrótne pieniądze, ale ten nie był taki.

Kiedy nadszedł dzień licytacyi, zeszli się różni kupcy, żydzi, gospodarz sam i ów malarz poczciwy. Woźny od sądu i urzędnik puszczą na licytacyę najpierw ów obraz. Jak to zobaczy malarz, skoczy wnet do obrazu, zacznie mu się przypatrywać, i od razu daje za niego dwadzieścia złotych. Usłyszał to łakomy gospodarz i myśli sobie:

— Oho! to pewnie jakiś znaczny obraz, kiedy go chce kupić taki sławny malarz, ale nie dostanie on go, bo ja sam kupię i będę miał piękny zarobek.

Owóż zawoła wnet:

— Dwadzieścia i pięć złotych!

A malarz sobie woła:

— Trzydzieści!

A gospodarz sobie znowu:

— Czterdzieści złotych!

I tak jak zaczną obaj przepłacać, to już naostatek dawał gospodarz aż trzysta złotych. Wtedy umilkł malarz, a gospodarz uradowany zapłacił pieniądze, wziął sobie kilka złotych, co mu się należały za stancyę u wdowy, i już nie kazał więcej licytować. Ucieszony powie naostatek do owego malarza:

— A co mój panie, prawda że piękny obraz i dobry interes, i dla tego nie puściłem się go, bo zaraz zmiarkowałem, że kiedy taki sławny malarz chce go kupić, to on pewnie wiele wart. A co? może nieprawda? Ha, ha! panie malarzu, powiedzcież mi na prawdę, wiele on jeszcze wart, bo ja wiem, żem go tanio kupił!

— Wiele on wart? — powie malarz — ot na prawdę to on wart pięć złotych.

— A to co? — zawołał przestraszony gospodarz — co wy mówicie, to chyba żarty, boście sami dawali prawie trzysta złotych.

— Dawałem dlatego — powie malarz — bo wiedziałem, że wy więcej dacie, i wyciągnąłem was tak naumyślnie za karę, iż nie mieliście miłosierdzia nad biedną wdową i nad sierotami. Otóż macie teraz naukę, że skąpy i łakomy dwa razy traci, i nietylko że nieuczciwym sposobem nie dorobi się niczego, ale jeszcze i swoje postrada.

Gospodarz aż się za włosy chwycił, tak mu to smakowało, ale cóż było robić. Spuścił więc nos jak to mówią, na kwintę, i poszedł precz ze wstydem, bo się wszyscy okrótnie śmiać z niego zaczęli. Zaś biedna wdowa za one trzysta złotych kupiła sobie kramik, zaczęła uczciwy handel i dobrze jej się odtąd powodziło, więc błogosławiła zawsze i modliła się za poczciwego malarza, który ją taką ucieszną sztuką wydobył z biedy i nędzy.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęśliwy wypadek. W grudniu pojawiły się w obwodzie Żółkiewskim stada wilków, które napastują wsie i wielki strach między ludźmi tam czynią. Pewnego dnia nawet wpadł wilk wściekły do wsi w Horodłowicach, i pokąsał kilkoro ludzi, a tejże samej nocy wpadło stado wilków do Ulchówka, gdzie także czworo ludzi pokąsały wilcy. Chorych pokąsanych przywieziono zaraz do szpitala we Lwowie.

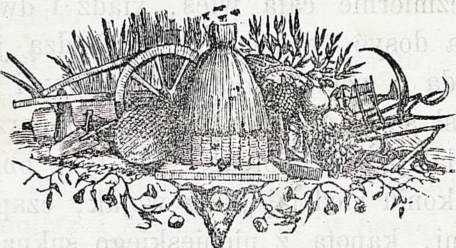
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom X. Nr. 2.

11. Stycznia 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kmieć Michałko

rotmistrz wojska polskiego.

We wsi Sosnowce stoi od dawna szkoła, aż miło popatrzyć się na to. Budynek jakby plebania jaka z oknami wielkiemi, a w około ogród i sadowina, jakby gaj jaki. Dzieci tam jak mrowia, a to wszystko wesołe i umyte i ogarnione, jakby to było święto jakie wielkie. To sobie śpiewają, to czytają, to piszą, to rachują liczby, i wiedzą ci z pamięci opowiadać różności, aż miło posłuchać — a broń Boże zrobić komu na wsi szkodę jaką, albo zaśpiewać na polu przy chodobie jakie paskudstwo, albo przezywać drugiego, albo nieposzanować starszego. Jest tam w tej szkole profesor, co to chodził sam do tej szkoły kilka roczków i wyuczyłci się dokumentnie tak wszystkiego, że teraz potrafi sam nauczyć drugich. Był on pierwej pastuchem, jak inne dzieci, ale że lubił się uczyć i do szkoły raznaraz chodzić przez południe, to sobie tak wymiarkował każdy

druk i każde pismo, że mu tam teraz furda każda xiążka, choćby wyszła z Krakowa, ze Lwowa albo i z Warszawy. Lubi go też niezmiernie cała wieś, xiądz i dwór i dałci mu Pan Jezus chleba dosyć, a jego dzieci chodzą już w mieście do szkoły, i wyjdą z pomocą Bożą na xięży i panów jakich. Otóż raz przyniósł sobie do szkoły jeden szkolarz Tomuś ładny obrazek, co mu dał pan na kolędę. Na tym obrazku był śliczny koń, a na koniu siedział jakiś wojak, czapka na głowie z piórami pawiemi, kapota z niebieskiego sukna, a guziki to tak świecące, jakby były z ognia porobione. Na spodzie był podpis taki:

Michałko chłop, co został rotmistrzem wojska polskiego i wielkim panem, przezwanym pan Michałko Michalski.

Wszystkie dzieci opatrywały ten śliczny obrazek i mlaskały sobie przez oskominę, że się im któremu niedostał. A Tomuś szkolarz dostał go od pana za to, że ładnie kolendował i coś mu pięknego z pamięci opowiedział. Gdy przyszedł do szkoły pan profesor, pokazał mu Tomuś ten obrazek i spytał:

— Proszę pana profesora, co to za jeden ten pan, co stoi wymalowany na tym obrazku?

Pan profesor opatrzył, podumał trochę i tak na to odpowiedział:

— Ten pan wymalowany, to był tak prostym chłopem polskim, jak wasi ojcowie i wy moje dziatki. Miał onci ojca chudzinę wielkiego, za młodu pasał bydło jak wy teraz, a jeno przez ciekawość swoją wyuczył się od wiejskiego organisty na xiążkach, i potem chodził z xiążką na pole, w domu nie mitrężył nigdy, ale po robocie otwierał xiążkę i czytał po całych godzinach, a organista dodawał mu ochoty i pożyczał mu przeróżne xiążki. I wyuczył ci się tak wszystkiego, że wiedział po imieniu nazwać wszystkich królów polskich, wiedział, co się działo po wsiach i miastach polskich i na całym świecie i niedałci się nikomu w pole wyprowadzić ani zbałamucić, a każdemu uciął prawdę, aż mu w pięty poszło nieraz.

A Tomuś nadsłuchując tego przemówił:

— Toby taki prosty chłopak i pastuch został aż takim panem, kiedy on nie miał nic a nic co się nazywa — i zacóżby on był takim panem?

Pan profesor, głaskając Tomusia za to, że taki ciekawy do dobrego, powiedział na głos:

— Widzicie dziatki moje! Jak żył na świecie ten Michałko, to już temu dobrze 200 lat. Był wtedy królem polskim Jan Kazimierz i siedział sobie w naszej pięknej Warszawie. A w całej Polsce było po tamte czasy nienajlepiej, bo to były straszne wojny: Tatarzy poza Lwowem razem z Kozakami wydziwiali co niemiara to na xięży, to na kościoły, to na dziedziców i nawet żydom dokuczali — to znowu Szwed trapił całą Polskę od Krakowa aż po Lwów i po Warszawę i palił wsie i miasta, a był on w zmowie z Moskalami i Tatarami i chciał wyścigać króla polskiego z Warszawy, a potem zabrać wsie i miasta i podzielić się całą Polską, jakby bochenkiem chleba albo ogrodem jakim. I niby mu się to udawało z początku, boć król polski ustąpił się napastnikowi aż za Kraków, a Szwedzi, Moskale i Tatarzy gospodarowali jak psy i koty, kiedy wlizą do pełnej komory.

A dzieci ciekawe zapytały się pana profesora:

— No! i cóżby byli porobili z Polakami wtedy ci Szwedzi i Moskale?

— A cóżby innego — rzecze pan profesor — byliby pozabierali nasze polskie kościoły i porobili z nich luterskie albo moskiewskie, a z katolików byliby porobili coby im się spodobało, a potem kazaliby gadać po moskiewsku i po szwedzku, żeby wtedy był nikt nikogo nie zrozumiał, żebyś mu i oko wyłupił i byłaby taka mowa polska, jak tych wróbli, co siadają na wierzbie i wrzeszczą i szwargoczą, że ich pono i sam Bóg z wysokiego nieba nie rozumie. Ale się inaczej stało za wolą pana Boga, bo pan Bóg nie chce zagubić Polaków, którzy bronią i bronili świętej wiary i ciągną na to, aby było najprzód dobrze Polakom, a potem i wszystkim ludziom.

Pan profesor otarł sobie gębę białą chusteczką, spluł na ziemię, schował chustkę do kieszeni i tak gadał na głos:

— Otóż widzicie moje dziatki! wtedy potracili głowy niektórzy panowie i przeszli do Szweda, a xięża nie mogli znowu się bić ze Szwedami, jeno zdali się na Boga i modlili się z ludem po kościołach i kazali czekać pomocy z nieba wysokiego. I przyszła ta pomoc na prośbę naszej Najświętszej Panny Częstochowskiej. Xiądz Augustyn Kordecki uratował z krzyżem w ręku i za pomocą chłopów i mieszczan i panów pobożnych klasztor Częstochowski od rabunku Szwedów — a jak to się stało, nuż wtedy, kto jeno żył, na Szweda, Moskala i Tatara i bij i pal i nie żałuj niewiary, aby nie załaził jak złodziej do cudzej komory, i porobiła się w Polsce czerniawa wielka, a pan Bóg dopomógł tak świętej sprawie. Ale najwięcej dokazywał ze Szwedami ten oto Michałko, co go macie na koniu namalowanego. Onci tam het! za Warszawą, gdzieto stoją miasta Toruń i polski Gdańsk, i dokądto nasi polscy Galicyani idą na flis, on sobie pozbierał takich chłopaków wsiowych i krętych i zwinnych i zuchów, jakto są drużbowie i swacia na polskiem weselu, pozasadzał ich do jednego na koniki, podawał im rzezaki i fuzye do ręki i dalejże z nimi w lasy i wąwozy i bił siarczysto Szweda, aż się sowy śmiały po lasach, a chłopi się cieszyli aż strach gadać o tem. I kroił tak kurtę Szwedom długi czas, a niektórzy panowie gadali sobie:

— Ej! co tam zrobi dobrego taki prosty chłop, co nie umie ani nabić, ani prosto strzelić, ani na koniu siedzieć, a boi się, jak zając, lada drobnego kota i ucieka przed głupią wroną, gdy mu ta nad głową zakraka głośno.

Ale Michałko mądry nie zważał nic a nic na takie niedobre gadanie i kpinki pańskie jeno robił swoje i prosił Boga, aby mu dopomógł wygnać Szwedów z Polski i uwolnić wsie i miasta od tych napastników, co napadli na Polskę, jak jastrzębie na gołębie ciche. I dopomógł mu Bóg! bo kiedy xiądz Kordecki uratował Częstochowę, to Michałko dopadł niespodzianie w nocy Szwedów, obił ich po grzbiecie doskonale i odebrał im miasto Słuchów i osiadł sobie tam jakby król jaki i nazwoływał chłopów kilkaset do siebie, wyuczył ich musztry i z nimi wygnał Szwedów z miasta Sztargardu i Lipinek, i

miał odtąd swoje chłopskie wojsko takie, żeby się nie pomieściło we wsi ani w mieście jakiem.

Pan profesor kazał teraz Tomusiowi to wszystko powtórzyć, a gdy mu Tomuś to na włos jeden bez myłki opowiedział, więc przykazał dziatkom uważnie słuchać i tak dalej opowiadał:

— Jak jeno Michałko odebrał aż trzy miasta Szwedom i miał swoje chłopskie wojsko, wtedy pomiarkowali się panowie i pogadali jeden z drugim w ten sens:

— A widzicie panowie bracia i panowie gromada! że ten Michałko to zuch nielada! ta onci ciągnie na dobre i broni nasze kościoły święte i nasze dwory od tych bezecnych łupieżników i nie daje im rabować nasze spichlerze i komory, ani nie daje do złego nawodzić nasze biedne dzieci i ratuje naszego króla, wsie i miasta — a widać, że ma rozum i jest sztuder dobry i potrafi z majki zajść i wytrzepać plecy tym wilkom, co łupią kościoły, aż się niedobrze robi człowiekowi każdemu. Otóż pójdźmy do niego i niech on nas poprowadzi, a dopiero razem natrzemy uszów tym łakomcom, co mają wilcze gardło, a co zobaczy to by żarło. — I poszli panowie z dworakami, ogrodnikami, kuchtami i złączyli się razem, a wtedy dopiero była bieda dla Szwedów, Moskalów i Tatarów, aż się Anieli radowali na wysokiem niebie. A Michałko witał ich z swoimi wojakami i płakał z uciechy. Przyszło na pomoc Polakom i cesarskie wojsko, a Michałko przyłączył się z swojem wojskiem do nich i poszli razem wygnać Szwedów z miasta Turunia. Ale niewiary Szwedy podeszli Michałka tak, że mu nie było można ani wprzód ani nazad i byliby mu wycięli wojsko jego do nogi, ale Michałko powiedział tak Szwedom:

— Naco zabijać darmo tyle ludzi dobrych! ot macie mię samego, róbcie sobie teraz ze mną, co wam się żywnie podoba, a to moje wojsko niech sobie idzie z Bogiem do domu.

Ale chłopi powiedzieli Szwedom:

— My nie damy jak życie naszego Michałka, chyba nas tu do jednego wybijecie.

A Michałko rozpłakał się na to i powiedział:

— Mościewy ludzie! Bóg wam zapłać za takie przywiązanie, ale miarkujcie sami, że mniejsza szkoda jednego, niż was wszystkich, zginę ja jeden, to wy wszyscy zostaniecie, a przecież wy możecie jeszcze więcej dobrego zrobić dla naszego króla polskiego, niż ja sam jeden.

I jak zaczął ich prosić na miłość Boga i na święte rany pana Jezusa i na wszystkich świętych, aby sobie wrócili do domu spokojnie, a jego Szwedom zostawili, dopiero wtedy zaczęli się chłopi rozchodzić z płaczem i lamentem wielkim, a Michałka zostawili w Toruniu mieście, którego potem Szwedzi okuli strasznie i powieźli na śmierć do miasta Malborga i tam przy wielkiej warcie zamknęli.

Na to gadanie aż potruchlały dzieci w szkole, a Tomuś ciekawy poderwał:

— No! cóż robili Szwedy z tym Michałkiem?

A dzieci krzyknęły:

— Może go i zabili?

— Ale gdzie tam, moje dzieci — mówił pan profesor — dobrego człowieka strzegą anieli święci, a gdzie nieszczęście największe dla kogo, tam pomoc boża najbliższa, — dobry nigdy marnie nie ginie. Otóż tak się porobiło i z Michałkiem. Ci chłopi, co to go zostawili u Szwedów, nie poszli do domu spokojnie, jeno polecieli do pana Czarneckiego, co to miał swoje polskie wojsko i bił dobrze Szwedów na innej stronie i powiedzieli mu z płaczem:

— Panie hetmanie nasz polski! ratuj naszego brata Michałka, bo go złapali Szwedy i pewnie go zastrzelą, a on dobry polski chłop i bił Szwedów po tybinkach i tyle ich zabił, żeby ich nie pochował na wielkim cmętarzu.

A pan hetman Czarnecki, co to miał pod sobą całe polskie wojsko i sprowadził króla polskiego nazad do Warszawy i uwolnił kraj polski od nieprzyjaciela, tak się odezwał:

— Nie bójcie się nic a nic, moi dobrzy ludzie! ani jeden włosek nie spadnie z głowy temu Michałkowi; mam ja w areszcie jenerałów szwedzkich, i ja zaraz napiszę, aby mi Michałka puścili, bo jeźli oni mu co złego zrobią, to ja ani jednego jenerała Szwedów nie puszczę żywego.

I tak się też stało zaraz. Szwedzi przeczytali list z wielkim strachem, pobledli i puścili na wolny wiater Michałka, który też przyleciał co tchu do Warszawy i tam sobie paradował pyszny i z miną wielką, na bakier czapka, ręce po pod boki jakby jaki król.

A działo się to w Warszawie roku pańskiego 1659.

A dzieci klasnęły w dłonie z radości i pytały:

— A dostał on też co za to od króla polskiego?

— A juźci, że tak a nie inaczej — mówił pan profesor — bo to wtedy zjechało się tylu panów, biskupów, xięży, i chłopów do Warszawy, jak gwiazd na niebie, a było tam radości co nie miara, że się Bóg ulitował nad polskim krajem i uwolnił go od złych ludzi.

I jak jeno Michałka zobaczyli paradującego, nuż go całować, witać, pozdrawiać, wychwalać pod niebiosa, i dalej go za ręce z obu stron i ciągnij go przemocą do samego króla, a on nieboraczysko spraszał się i gadał zapłakany:

— Dajcie mi pokój panowie! ja zrobiłem to, co mi pan Bóg przykazuje — toż i chłop ma rozum swój od Boga i powinien za bratem swoim obstawać i podać mu rękę w biedzie i w tarapatach jego — ja też jako katolik broniłem święte ołtarze i cudzą pracę od napaści złych ludzi, i tak każdy robić powinien — ale zapłaćcie tym chłopom, co byli razem ze mną na wojnie.

Ale nic nie pomogło jego dobre gadanie, jeno go porwali na plecy i ponieśli do króla samego. Wtedy król wstał z swego stołka i mówił:

— Otoż mój Michałku dobry! choć ty z prostego i biednego stanu pochodzisz, to ty dziś znaczysz tyle, co i pan hetman Czarnecki i xiądz Kordecki i pan Lubomirski — ty od dziś masz odemnie wielkie sołtystwo, masz dukatów pełny worek, abyś sobie miał za co budynki paradne postawić, a odtąd będziesz panem i bratem naszym i przezwiemy cię Michałko Michalski, dajemy ci klejnot szlachecki Radwan i robimy cię do śmierci rotmistrzem to jest takim kapitanem przy naszem królewskiem wojsku i chcemy, abyś był szczęśliwy z twoją rodziną na wieczne czasy. Amen.

A dzieci uradowane krzyknęły w szkole:

— Aha! to to dla tego siedzi on sobie na takim paradnym koniku i ma taką sutą kapotę i guziki, aż się w oczach mieni.

A pan profesor dodał:

Róbcie i wy tak, moje dzieci, jak was pan Jezus wychowa, a będziecie szczęśliwe.

X. Wojciech z Medyki.

HYMN

do najświętszej Panny Maryi, królowej polskiej,

nadesłany z Królestwa Polskiego.

Matko Maryo! o królowo nasza,
Polska, Ruś, Litwa z łzami Cię uprasza:
Ratuj nas ratuj, jako swej własności,
Nie daj nam zginąć od moskiewskiej złości;
Bo nieprzyjaciel w okrócieństwie srogi,
Zbroczył morderstwem świątyń Twoich progi,
Krzyż święty zrąbał, za wiarę katuje —
Niech się Twe serce nad nami zmiłuje.

Okropne dzieje czasy nam przyniosły,
Nad krajem łuny, pożogi się wzniosły,
Xięży i starców, niewiasty i dziatki,
Morduje Moskal, ścina jako kwiatki;
Z ojczystej ziemi w niewolę wygania,
I ludziom modłów do Boga zabrania,
Pragnie świat cały srogością zniweczyć,
Kościół zrujnować a szyzmę zaszczepić.

Maryo! o zgrom tych, co zwykli się chlubić,
Co radzi kraj nasz do czysta wygubić,
Osłoń nas tarczą, oddalaj postrzały,
Tyś nasza twierdza, ochrona, mur trwały.
Nie z zasług naszych, lecz z Twojej przyczyny,
Błogosław mężnych, kraj ochroń z ruiny,
I narodowi daj błogosławieństwo,
Poległym Niebo — walczącym zwycięztwo!

Jan Jankiewicz.

Złośnica poprawiona.

W pięknym Zagórskim kościele już się summa skończyła, poczciwy lud posilony słowem Bożem, w pokorze chylił skronie uznając wraz z kapłanem swoją niegodność przed obliczem Pana niebios i ziemi; lecz zaledwie umilkł głos dzwonka, oznajmujący chwilę uroczystą kommunii, kiedy mimowolnie oczy wszystkich zwróciły się ku głównym drzwiom świątyni, przez które właśnie strojna drużyna weselna weszła tłumnie, posuwając się ku wielkiemu ołtarzowi. Jakoż po skończonem nabożeństwie organista wszedł na chór powtórnie i nosowym swoim głosem zanucił: *Veni Creator*, a czcigodny xiądz proboszcz zwykłem błogosławieństwem połączył na zawsze młodą parę. W pół godziny potem zaturkotały wózki, zabrzmiały ożywione głosy weselników, zarzępoliły skrzypeczki i cała drużyna znikła w tumanie kurzawy na drodze ku Klimontowu.

— Moiściewy, — pytała stara Pirogowa swojej sąsiadki Sobkowej — zkąd też to temu Bielakowi przyszło do głowy żenić się z Jagną wdową po Kłokocie.

— Alboż ja wiem, — odparła kiwając głową zagadniona, musiał chyba rozum stracić chłopisko, żenić się z wdową, kiedy jest tyle urodziwych dziewek we wsi, a jeszcze z taką jędzą, co nieboszczyka męża we dwa lata zagryzła.

— Złakomił się chyba na piękną gospodarkę — dodała pierwsza, boć to jak powiadają ludzie: U wdowy chleb gotowy.

— Gadajcie ta zdrowi kumo, jużbym ja tam jednak niechciała kosztować tego chleba u Kłokociny, żebym była chłopem — przerwała ze śmiechem Pirogowa.

— Nie dziw moiściemy, bo macie już stare zęby, Bielak zaś mają młodsze, to sobie jakoś poradzą. Kiedy tak sobie gwarzą gadatliwe kumoszki, nasi weselnicy jadą sobie het gościńcem, pokrzykując i pośpiewując na przemiany. Już mieli skręcać na bok ku wiosce, mijając dużą przydrożną karczmę, kiedy wtem nagle pan młody siedzący na pierwszej bryczce zatrzymał konie i dał znak do wysiadywania reszcie jadących.

— Ej! chyba się nie zatrzymujmy już w tej karczmie Marcinie, bo i tak już dosyć późno, zawołała chwytając za lejce Jagna.

— Właśnie też dla tego że późno, poweselemy się trochę tutaj ze swatami i sąsiadami, a potem zaraz wsiądziemy oboje na wózek i dalej wio do Łazic, gdzie nas w chałupie czeka moja poczciwa matusia z chlebem i solą.

— A to co znowu! czy sobie zemnie pokpiwacie — krzyknęła dawna Kłokocina, zaczerwieniwszy się razem z uszami, toć wiecie że wszystko w chałupie mojej przygotowane na wesele, mięsiwo, kołacze, kiełbasy, piwo i wódka, a siostra Jędrzejka pewno nas już niecierpliwie wyczekuje.

— Kołacze i wódka i te tam inne łakocie, i tu nas nie miną Jago, a w chałupie twojej dobrze że sobie Jędrzejka z parę dni posiedzi, nim przyjdzie Wojtek Jemioła z Gołonoga, któremu już obiecałem puścić dzierżawą twoją gospodarkę — rzekł najspokojniej Bielak, gwałtem prawie zesadzając z bryczki rozzłoszczoną żonę. Tymczasem inne wózki zatrzymały się przed gospodą i wszyscy weselnicy weszli za Bielakiem i z Jagną do izby.

Nie próżno też przyrzekał nasz pan młody, że nie zabraknie im tu na rozmaitych weselnych łakociach, bo jakoś niespodzianie znalazło się wszystkiego dostatkiem, a Bałbrzycha, siostra jego, tak skrzętnie szła w pomoc karczmarzom, że wkrótce na twarzach wszystkich ucztujących widno było radość.

No! a teraz rznij muzyka! — krzyknął rozochocony Marcin, porywając wpół nadąsaną Jagnę.

— Weźcie sobie kogo innego! — oburknęła się nowozaślubiona, — bo mnie wcale taniec nie w głowie.

— Hola! moja imość, a kto tu panem! wrzasnął jej nad uchem nowy małżonek, spojrzawszy jej w oczy tak groźnie, że nie mając już odwagi pomyśleć o dalszym uporze, wstała z ławy i poszła z nim na środek izby. Niedługo jednak trwały tańce bo wieś Łazice, w której mieszkał Bielak, była dość odległą, pożegnawszy się więc jak najserdeczniej ze swymi gośćmi, państwo młodzi wsiedli na wózek i odjechali do domu, po-

mimo dąsania Jagny, która aż płakała ze złości, że jej mąż taki wstyd zrobił przed ludźmi, i do tego zaraz po ślubie wiezie ją do swego domu, gdzie musiała słuchać i pracować jakby nie u siebie

Poczciwa, stara matka Marcina, chlebem i solą przyjąwszy w progu nowożeńców, wprowadziła synowę do chałupy i rozpytując o to i owo, pragnęła przywrócić jej znaną sobie dawniej wesołość, ale Jagna była ciagle zachmurzona, a kiedy Marcin wyszedł z izby za jakąś gospodarską sprawą, poczuwszy że w końcu będzie się mogła pomścić na kimś za doznany opór swojej woli, jęła złośliwemi słowy dogadywać staruszce i jak szara gęś gospodarzyć po izbie, rzucając i tłuc wszystko co się jej dostało pod rękę.

— Słuchajno! – krzyknęła na wchodzącą dziewkę, wskazując jej wielki garnek stojący na piecu, wyrzućno gdzie te śmiecie. bo się skorupa przyda na co innego.

— Ależ Jaguś moje dziecko, co też ty wygadujesz, toć to nie żadne śmiecie jeno czyste konopne nasienie, com je sama wieczorami wybierała do siewu.

— Czego stoisz gamoniu? — wrzasnęła nie uważając na słowa starej złośnica, uderzając w kark dziewkę, słyszałaś że ci kazałam wyrzucić to plugastwo.

Dziewucha skoczyła jak oparzona i sama prawie niewiedząc co czyni, rzuciła garnkiem o ziemię. Piękne ziarno konopne rozsypało się po ziemi, staruszka chciała je pozbierać, lecz Jagna z złośliwą radością chwyciła miotłę i zagarnęła je wraz z innemi śmieciami pod komin; ale w tejże chwili Marcin, który pode drzwiami wysłuchał całą sprawę, wpadł do izby i chwyciwszy za kark gapiowatą dziewkę począł ją porządnie okładać kijem, wołając za każdą razą: A hultajko! a niegodziwa! co mi tu będziesz wydziwiała breweryę w chałupie, pamiętaj sobie że dla dobrych jestem dobry, ale kto mi się poważy pomiatać matką moją, albo w czemkolwiek hardo się stawi, temu gotów jestem wszystkie kości połamać, a jak raz co powiem to i dotrzymać potrafię.

Struchlała Jagna i jakoś naraz zrobiło się cicho w izbie, nie jakby rozsypano konopie, ale jak to powiada przysłowie:

jakby makiem zasiał; wkrótce też i noc nadeszła, pogasły światła w chatach, gwiazdki zaiskrzyły na niebie, i tak się skończył nareszcie dla Jagny ten dzień pamiętny, który się spodziewała zupełnie inaczej przepędzić.

Jakoś we dwa lata potem, przed samą Wielkanocą, stara Pirogowa oprzątnąwszy krówkę szła z pełnym skopkiem do chałupy, kiedy głośne: Niech będzie pochwalony! zabrzmiało jej tuż koło uszu i wesoła rumiana twarz Sobkowej ukazała się we drzwiach. Na wieki wieków! a zkądże to kumosiu, zawołała Pirogowa, wyciągając przyjaźnie rękę ku przybyłej. — O! zdaleka, zdaleka, moiściewy złoci, bo aż z Łazic, odrzekła spiesznie Sobkowa.

— A pocóż aż tyli świat drogi kobieto, zagadnęła ciekawie stara.

— Otóż widzicie moja czubata kura zaczyna mi kwokać, a że tu we wsi nigdzie jaj nie mogłam uprosić, Jędrzejka mi naraiła do Łazic do Bielaków, bo tam tego mają co niemiara.

— Moiściewy! — zawołała Pirogowa, a jak też tam sobie Marcin radzi z tą Jagną złośnicą?

— Ho! ho! ho! zaśmiała się Sobkowa—anibyście jej teraz nie poznali, taką dobra i słodka jak miód lipcowy.

— To być nie może! przerwała stara, toć cała wieś nasza jędzonką ją nazywała, a nieboszczyk Kłokot drżał przed nią jak baranek przed wilkiem.

Otóż widzicie że tak jest, a stara Bielaczka nie mogła mi się dość nachwalić, jak ją synowa kocha i szanuje — dodała przekonywającym głosem Sobkowa.

— A to cud Boski — zawołała stara kiwając głową z największem podziwieniem.

— Nie cud to żaden moja kumo, — dowodziła mądra Sobkowa, znacie przysłowie, co to powiada: trafiła kosa na kamień, a jako kosa kiedy na kamień trafi musi się wyszczerbić, tak też i nasza Jagna, poznawszy że ma do czynienia z takim co jej się nie zlęknie, zmiękła nagle i musi skakać jak jej Marcin zagra.

— Oj! święte wasze słowa kumosiu, przyświadczyła Pirogowa i pożegnała Sobkową, której pilno było z dobrą nowiną

do drugich, co też wkrótce najjawniej przekonali się z pożycia Bielaków, że mądry a uczciwy małżonek to w każdym stanie potrafi zwrócić na dobrą drogę, choćby i najgorszą kobietę.

Piękne przykłady.

Pisanie Wawrzka i Kuby do pisarza Dzwonka, o nabożeństwach w Dubiecku.

Ośmieleni Waszem uprzejmem wezwaniem, aby donosić do Dzwonka o każdym pięknym przykładzie i zdarzeniu, dajemy wam do wiadomości rzecz taką. Dnia 24 grudnia pochowaliśmy sąsiada naszego, Wojciecha Ilka, prawego syna polskiej ziemi, za której wolność walczył w roku 1831. Pogrzeb odbył się bardzo rzewnie i pięknie; na trumnie przybito wianek z cyprysu, a licznie zgromadzeni ludzie pobożni świadczyli o chęci oddania czci zasłudze, którą zmarły zjednał sobie miłując tak gorąco Ojczyznę.

Zaś jeszcze dnia 7 października odbyło się u nas także nabożeństwo żałobne za braci naszych, którzy polegli w walce z Moskwą. Odprawiło się ono za staraniem mieszczan tutejszych. Na środku kościoła stał katafalk pięknie bardzo w kwiaty ubrany i bardzo jasno oświecony, na którym odbijały dziwnie pięknie kosa z krakuską. Po obu stronach katafalku stały dziewczęta wiejskie i miejskie, także panny szlacheckie, w grubą żałobę ubrane, z wieńcami w ręku. Wszyscy modliliśmy się szczerze i gorąco. W ciągu mszy świętej zbierano składkę na rannych braci naszych, i uzbierano 41 reńskich nowych, które odesłaliśmy do szpitalu w Cieszanowie.

Po zakończonem nabożeństwie odśpiewaliśmy klęczący pieśń do Matki Boskiej przenajświętszej, błagając ze łzami przeczystą Panienkę o wyjednanie dla nas miłosierdzia Bożego.

Z Dubiecka 27 grudnia 1863 roku.

Wawrzek i Kuba Lis.

Zacni kmiecie
Tomasz Łudzik i Ludwik Furgalski.

Stało się niedawno w Królestwie Polskiem takie zdarzenie. Okrótnicy Moskale, którzy tam straszne rzeczy dokazują, nakazali byli, aby wszyscy panowie zapłacili kontrybucyę, to jest podatek ogromny a który się już żadnem prawem nie należał Moskalowi. Gdzieindziej toby takiej niesprawiedliwości nie uczyniono, ale Moskaliska gotowi do wszystkiego, i rabunków takich się nie wstydzą. Otóż skoro jeno wydali ów rozkaz, zaraz posłali wojsko z exekucyą, i każden musiał wnet zapłacić. Jużci zdarzyło się nieraz, iż niejeden nie miał pieniędzy, drugi jeszcze o niczem nie wiedział i nie miał czasu postarać się o pieniądze. Wtedy Moskale przedawali mu dobytek i niszczyli tak ludzi.

Przyszła taka exekucya do wsi pana Józefa Majzla. Pana dziedzica nie było w domu, a Moskale nie pytając na nic, powiedzieli, że kiedy niema pana w domu i niema komu zapłacić kontrybucyi, to oni zaraz sprzedadzą cały dobytek, aby odebrać pieniądze. Patrzcież mili ludzie, co to za okrótniki! Byliby zaś tak z pewnością uczynili, gdyby nie dwaj zacni gospodarze, Tomasz Łudzik radny dawniejszy i Ludwik Furgalski sołtys ze wsi Kucice. Ci obaj pożałowali dobrego pana, poszli do starszego Moskala i powiedzieli mu, że oni własnym dobytkiem ręczą za pana dziedzica, iż zapłaci kontrybucyę, a niech mu nie sprzedają nic i szkody nie robią. Że zaś są obaj ludzie poważni, to ich nawet Moskal usłuchał i przyjął zaręczenie, a już nie marnował cudzej pracy.

Jużci gospodarze Tomasz i Ludwik bardzo pięknie sobie postąpili. Przeto należy się im od wszystkich pochwała, cześć i dobra pamięć za to, iż dla bliźniego nie wahali się uczynić tak znaczną ofiarę. Więc tu o nich dlatego piszemy, aby sobie każden dobrze spamiętał ten piękny przykład, i jak się zdarzy okazya, aby każden wedle tego przykładu postąpił sobie.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne. Dnia 14 grudnia odbyło się w Komornie żałobne nabożeństwo za dusze braci naszych, którzy polegli w wojnie z Moskwą. Nabożeństwo to sprawili mieszczanie tameczni, a także wieśniak pewien ze wsi Chłopy. Było ono bardzo piękne. Na środku kościoła ułożono kopiec z mchu, a na nim stała trumna. W około mnóstwo świec było, a na trumnie leżała konfederatka, karabela i krzyż, a to iż równie za żołnierzy było ono nabożeństwo jak i za xięży, których Moskale w wojnie pomordowali. Ludzi pobożnych było mnóstwo, i wszyscy gorąco modlili się do pana Boga, aby braci naszych przyjął do chwały swojej.

Dowcipne dziecko, Mieli jedni gospodarze dzieciaka ogniście dowcipnego, bo to chłopczyna był jeszcze bardzo mały, a już nieraz tak mądrze cosik powiedział, że i starego zakasował. Toż na całą okolicę słynął ów chłopczyk z dziwnej mądrości, co się też nieraz trafia między naszym ludem polskim. Za poradą pana dziedzica dali go rodzice uczyć na xiążce, ale iż jeszcze był bardzo młody, więc doma siedział najwięcej, a do szkoły miał go pan oddać do miasta, jak urośnie. Otóż zdarzyło się razu jednego, iż przyszedł do owych gospodarzów w odwidziny znajomy aże z trzeciej czy z czwartej wsi. Miałci on także dzieci, ale głupiuteńkie i niezdary, bo ich też źle wychowywał. Otóż zobaczywszy on chłopca owego i nasłuchawszy się, jak on mądrze prawi, zdziwował się okrutnie i zazdrość go wzięła, iż jego dzieci nie są takie mądre. Więc przez złość powie nakoniec do rodziców chłopaka:

— Jużci moi mili bardzo mądry i dowcipny wasz chłopak, ale nie cieszcie się nim tak bardzo, bo zazwyczaj bywa tak, iż dzieci bardzo rozumne i dowcipne głupieją na starość.

Chłopaczek mały słyszał to, i rzeknie duchem do owego gospodarza:

— Oj gospodarzu prawdę mówicie, i widać żeście byli bardzo mądrem dzieckiem.

Odważny ogrodniczek Wojciech Zawadzki i komornik Gil. We wsi Weryni w obwodzie Rzeszowskim wybuchł dnia 15 grudnia ogień. Zajęła się chałupa kmiecia Dziuby, i okrótnie go biedaka zniszczył pożar, bo i dom mu zgorzał i stajnie z dobytkiem całym, gdzie było 5 sztuk bydła i para koni. Otóż przy tym ogniu odznaczył się bardzo ogrodniczek Wojciech Zawadzki i komornik Gil, którzy ratowali Dziubę z całych sił, a najbardziej Zawadzki rzucał się z wielką odwagą i z narażeniem się do gorącej chaty, zkąd wynosił rzeczy, i tym sposobem prawie cale mienie Dziuby uratował.

Jestto bardzo piękny przykład, o którym warto aby wszyscy wiedzieli, więc dlatego o nim dajemy w Dzwonku wiadomość. Pan Bóg widocznie strzegł

Wojciecha od przygody, a to dlatego, że z miłosierdzia i z dobrego serca ratował bliźniego. Niech więc każdy o nim pamięta, i niech go sobie przy sposobności bierze za przykład.

Do Nowin ze świata napisano taki list: Uprasza się o podanie do wiadomości, jako górnicy z kopalni w Tenczyńskiem, ze wsi Mirowa wszyscy a z Rudna i Grojca niektórzy, złożyli się na nabożeństwo za poległych braci w sprawie oswobodzenia ojczyzny, i takowe odbyło się dnia 12 grudnia w parafii Poręba, gdzie ludność wiejska jako i sąsiedni panowie znajdowali się na tym pięknym obchodzie.

Podczas nabożeństwa zebrali ze składek około 30 reńskich na wsparcie rannych braci.

Wilk wściekły. Był znowu straszny wypadek z wilkiem, a to jeszcze 14 grudnia zeszłego roku. Do wsi Pieczygór wpadł onego dnia wilk, i to pewnikiem wściekły, i rzucił się na troje ludzi, którzy szli drogą. Ci krzyczeć zaczęli, a na ten krzyk wybiegli inni ludzie z kijami, ale wilk rzucił się na nich i pokaleczył jeszcze dziesięciu ludzi, a także jednego konia. Zaś potem poleciał do wsi Ulmówka, i tam znowu dziesięcioro ludzi pokaleczył. Tamże w Ulmówku włościanin pewien, nazwany Wasilaszko, pochwycił wilka za uszy i siadł na niego, a drugi wieśniak zaczął wilka smarować pałką po łbie, że aż wilczysko upadł. Zaś niebawem zerwał się i jeszcze kawał drogi uszedł, aż go nareszcie dobito. Zaś owych dwadzieścioro i dwoje ludzi, których wilk pokąsał, musiano aż do Lwowa przywieść do szpitalu, bo bardzo są chorzy. Także w całej okolicy jest przestrach okrótny, bo nietylko ten jeden wilk tam się zjawił, ale iż okolica ona jast na granicy, to i więcej tam ich przychodzi. Moskale bowiem robią obławy na wilki, i przepędzają ich do naszej Galicyi, więc się tu namnożyło bez miary wilczysków, wściekłych i złych jak rabusie Moskale.

Przypowieści.

1. Bóg nie opuści, kto się nań spuści.
2. Dobry chleb, gdy niema kołacza.
3. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.
4. Dziurawego worka nie napełnisz.
5. Mała iskierka największy pożar roznieci.
6. Kiedy głupi milczy, to za mądrego ujść może.
7. Kruk krukowi oka nie wykole, a cygan przeciw cyganowi nie będzie świadczyć.

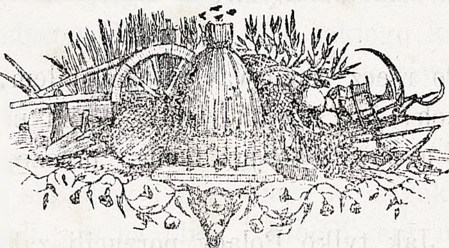
Redaktor: B. Kalicki. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom X. Nr. 3.

21. Stycznia 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Rozmowa o pogrzebach.

Było to w niedzielę po nieszporach, gdy gospodarz Ignacy przyszedł do dobrodzieja, niosąc coś w chustce. Pochwalił Pana Boga, skłonił się nizko i rzekł: „Jakem wczoraj wykopywał kamienie na mojem polu, między wielu skorupami wykopałem i ten garnek, co go tu mam w chustce. Rozumiałem, że w nim będą pieniądze, a tu popiół i kostki. Niech dobrodziej z łaski swojej zobaczy jak to wygląda.

Skoro Ignacy chustkę rozwiązał, zawołał proboszcz: Ha, ha! to widzicie są popioły ze spalonego człowieka.

— Może to z czarownicy, zawołał Ignacy, boć je pono dawniej palili?

Proboszcz: Tak, dawnemi czasy, nietylko u nas, ale i w innych krajach byli ludzie tak zaślepieni, że palili i to urzędownie, kobiety, o których mylnie rozumiano, że były czarownicami; ale te popioły w tem tu naczyniu nie są z mniemanej czarownicy. Nasi starzy Polacy, nim zostali chrześcijanami, to nie chowali w ziemię ciał swoich zmarłych, tylko je

na stosach palili, a zebrawszy potem popioły i szczątki kości w takie je naczynia sypali, i dopiero składali w ziemię. Ten zwyczaj palenia ciał zmarłych, u wielu narodów pogańskich panował.

Ignacy: To rzecz osobliwa, ja myślałem, że zawsze tak chowali umarłych, jak my chowamy, a oni palili i to jeszcze i nasi ojcowie, a dawno to już temu, proszę dobrodzieja jak poprzestali?

Proboszcz: Jak tylko Polacy porzucili zabobony pogańskie i zostali chrześcijanami, poprzestali palić ciała zmarłych, tylko je chowali tak jak my chowamy, bo tak przepisuje wiara nasza święta, abyśmy ciała w Bogu zmarłych z uczciwością grzebali i strzegli je od wszelkiego gwałtownego uszkodzenia lub zniszczenia. Prawda że te ciała zmarłych nie mają żadnego czucia, że rychlej czy później w proch się obrócą, że im nic nie szkodzi, ani uszkodzenie ani zniszczenie, przecie dla ich uszanowania powinniśmy strzedz je od wszelkiej zniewagi, gdyż święty Paweł apostoł powiada: że ciała wiernych są kościołem, mieszkaniem Ducha Świętego. Nadto, wszystkie dusze zmarłe z woli Wszechmocnego Boga przywdziewają na sąd ostateczny ciała swoje, które odtąd będą nieskazitelne, nieśmiertelne; powinny więc być i u nas w uszanowaniu.

Ignacy: Prawda, prawda; człowiek nie zwierzę; choć się dusza z ciałem rozstanie, to się znowu połączy i żyć będzie na wieki, byle tylko szczęśliwie!

Proboszcz: Oto się też mamy całe życie starać moi, abyśmy zbawionymi byli i pogrzeby powinny nas zachęcać do tego: *„Co tobie dziś to mnie jutro,“* niech sobie każdy przy pogrzebie powie, a powie z uwagą, a odstąpi od nałogów grzechowych.

Ignacy: Mój Boże! a któżby przy pogrzebie nie pomyślał o śmierci!

Proboszcz: Pomyśli każdy; ale mało jest takich coby o swojej śmierci pomyśleli, coby ztąd dla siebie odnieśli pożytek. Uderzyć się w piersi i powiedzieć sami: małoć jest takich co uczęszczają na pogrzeby nie z miłości jadła i picia. Ledwo trumnę do połowy ziemią przysypią, dokądże całe zgromadzenie

dąży? do domu zmarłego, albo do karczmy, — po co? czy na posiłek? — nie, na zbytki, a te nie są potrzebą ale zgubą. Czemu i to przy ubogiego pogrzebie nie ma czasem, ktoby ciało do grobu odprowadził, nie ma takiego ktoby do ziemi spuścił, ktoby przysypał! bo on nic nie zostawił, bo po jego pogrzebie nie będzie stypy; nie prawda mój bracie?

Ignacy: Oj prawda dobrodzieju! prawda! Otóż na pogrzebie Walka popili się obcy i krewniacy w szynkowni, darli się za łby, wywłóczyli się na ulicę i kłócili się o to co po nim zostało.

Proboszcz: Tak, powiadano mi o tem! bolało mnie to zgorszenie i boli dotychczas! bo nie po chrześcijańsku, ale po pogańsku postąpili sobie. Dawne książki opisują nam, że pierwsi chrześcijanie licznie się schodzili na pogrzeby, ale nie dla jadła i picia, lecz dla modlitwy, bo byli wskróś przejęci tą prawdą Pisma Świętego: że świętą i pożyteczną jest rzeczą modlić się za umarłych.

Nie pytali się oni, kto umarł, czy bogaty, czy ubogi, dosyć że chrześcijanin i nietylko się modlili za nich, ale i zajmowali usługą pogrzebową, której nawet i opuszczonym poganom nie odmawiali, rozumie się bez obrządków religijnych. Chowali ich, ale nie tam, gdzie się chrześcijanie chowali, nie na cmentarzu, bo cmentarz ten był tylko przeznaczony dla prawowiernych katolików.

Ignacy: A kiedy który nie żył i nie umarł po chrześcijańsku, czy go też na cmentarzu chowali?

Proboszcz: Nie, tylko na innem, nie święconem miejscu bez żadnych obrządków kościelnych; ale musiał być znany jako publiczny grzesznik, zmarły bez pokuty.

Ignacy: Proszę dobrodzieja, a czemu i teraz takich co się sami utopią, zabijają, powieszą i najbezbożniejsze życie prowadzą, a chowają ich na cmentarzu?

Proboszcz: Kościół tego nie pochwala, a w każdym podobnym razie, zakazuje kapłanom obrządków religijnych nad takiem ciałem zmarłem odprawiać, co bez najmniejszego znaku pokuty zszedł z tego świata. I słusznie! toćby to i dziwnie wyglądało chować kogo po chrześcijańsku, kiedy każdy wie,

że nie był chrześcijaninem, tylko tak się niby zwał, a czasem jeszcze i szydził z świętej wiary i obrządków kościoła.

Ignacy: A cóżże teraz mam zrobić z tym garnkiem?

Proboszcz: Możecie go u mnie zostawić; ja wam zań zapłacę, bo to rzecz starożytna i godna zachowania.

Ignacy: A broń mnie Boże żebym za to miał brać pieniądze. Niechże tu zostanie, dyć ja i tak mam do podziękowania za naukę i przestrogi. *(Kmiotek.)*

MAZUR.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna żyzna i nie mała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzie takie cudne stroje,
I spiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie.

Po za Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnie podkasały,
A Odraki lud zmiemczały;
A więc nasza, nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazura!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyspiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wioząc z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warsęgi
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur wej w pokoju!
Lecz się przyda i do boju,
Znane w Polsce kosyniery,
I do boju Mazur szczery,

Gdy do kosy się przyłoży
Tnie Moskala jak gniew Boży.

Dana, dana, dana, dana,
Za ojczyznę miła rana!
Prędzej zginą rzeki, góry,
Niźli Polska i Mazury;
Bies cię porwie Mikołaju.
A swoboda będzie w kraju.

I zanucą w Polsce ludzie
O Mazurach i o cudzie;
Bo Bóg żeby świat dziś tworzył,
Już z Mazurów by go złożył,
A pośrodku nich niecnotę
Mikołaja, na zgryzotę.

(Z Pieśni Janusza.)

ŚWIĘTOJAŃSKIE JAGODY.

Będzie temu kilka lat, jakoś na początku czerwca, a ślicznie było na Bożym świecie, w niedzielę po południu obrywaliśmy jagody w sadzie z rańszych czereszeń. O tej porze najpiękniej, gdzie spojrzeć po ziemi bujno, zielono, kwiecisto; łany zboża kłaniają się jak lasy, od róż i zioł aż pachnie w powietrzu, słowik kończy jeszcze swoje majowe pieśni, a zazula przedziera się po sadach i gajach. Aż miło na sercu i pilno westchnąć do Pana Boga dziękując za te wszystkie dary. Otóż owej niedzieli niebo było takie czyste, w duszy jakoś tak świąteczno po rannem nabożeństwie, a jagody na naszych wysokich czereszniach takie rumiane i dorodne, a dziatwa wiejska co je obrywała w koszyki taka wesoła biało obleczona, że i mnie koło nich wesoło było i miło. Kilku chłopaków i dwie dziewczynki drapiąc się jak wiewiórki po drzewach, na wyścigi rwali, które prędzej swój koszyk napełni, bo wiedzieli że gdy zliżą, dostanie im się spore dwie garście jagód; a że to niedziela była, za parkanem od sadu kilkoro drobniejszych dziatek zaglądało przez szpary, prosząc o jagody. Pan Bóg zarodził szczodrze słodkiego owocu, i nie żałuje go tysiącu małym wróbelkom, nie żałowało się więc i dziecięto, i w koszulki nastawione dosyć jagodek spadło. Między niemi zbliżyła

się młoda kobieta z dziewczynką małą dwóletnią na rękach, która spiąwszy się z rąk matki na wierzch parkanu, prosiła rączką o jagody.

— Chodź tu Taniu, chodź tu — zawołałam ją i wzięłam dziecię przez parkan na swoją stronę, a ona dostawszy jagód znowu się do matki nazad pięła.

Dzieci na drzewach zaczęły ją wołać, a Tania zapomniawszy się śmiała się i zadarłszy główkę do góry szukała kto ją woła. Tymczasem matka obszedłszy w koło, przyszła za nią do sadu i na wielką jej uciechę usiadła za nią na trawie. Zaczęłyśmy z sobą rozmawiać, bo młoda kobieta była to bardzo uczciwa i przyjemna mołodyca, córka bogobojnych rodziców. Ojciec jej był starszym bratem przy cerkwi, w gromadzie powszechnie szanowany, i dobry gospodarz; ona prowadziła mu całe gospodarstwo, bo matka mocno była na siłach podupadła, a mąż jej za którego niedawno poszła, także pracowity, uczciwy i trzeźwy był człeczysko.

Kilka koszyków wybornych czereszni stało na trawie, a maleńka Tania co zjadła jedną jagódkę, to drugą niosła matce do ust, traktując ją koniecznie swoim dostatkiem. Ale matka usuwała zawsze jej rączkę i odwracała się od jagód.

— Czemu nie jecie czereszni? — pytałam się jej, myśląc że przez nieśmiałość nie chce skosztować naszych owoców. Podziękowała mi grzecznie nic nie mówiąc. Kilka razy daremnie ją prosiłam, nareszcie coś tak jak łza zabłysła jej w oku i rzekła:

— Mnie jeszcze grzech jeść jagody.

Dopiero parę lat minęło wtedy jak mieszkałam na wsi między poczciwymi Rusinami, nie znałam więc jeszcze wszystkich obyczajów tamtejszych. Zadziwiły mnie te słowa młodej kobiety i zapytałam się:

— Dla czego?

— Jeszcze tydzień do Świętego Jana — odrzekła i zamilkła.

Ciekawa byłam co się to znaczy, alem ją nie pytała, bo widziałam, że duża łza jak groch toczyła się jej po twarzy. Nie długo potem odeszła z dzieckiem, a ja rada wiedzieć o przyczynie jej smutku, byłabym się jednak nie dowiedziała nigdy

gdyby nie stara Holaczycha. Stara Holaczycha przędzie u mnie w zimie, w lecie plewie grzędy, nabożna staruszka, wie dużo rzeczy, piękne pieśni o sierotce, o św. Mikołaju, o św. Antonim, o polskiej koronie, o Turkach i Tatarach, warto ją posłuchać, i nie tęskno z nią posiedzieć. Przyszła ona już wieczorem do mnie przynosząc dzbanuszek poziomek, które uzbierała w lesie, i przysiadłszy sobie na ganku, przy xiężycu, opowiadała że tego roku osobliwie się wszystkie jagody zrodziły, że w lesie poziomek i czernic moc, i że za tydzień na św. Jana musi sobie uzbierać czernic na pierogi.

— Czy może i wy aż do św. Jana nie jadacie jagód? — spytałam się staruszki przypomniawszy sobie słowa Majdańcowej młodycy.

— A nigdy — odrzekła — już 30 lat nie jadam, i do śmierci nie będę.

— Powiedzcież mi, dla czego to tak moja babuniu? — zapytałam znowu.

— Bo to widzicie hołubko, posłuchajcie-no. Jak matce umrze jedno dziecię albo więcej, to tej matce nie godzi się nigdy jeść jagód przed św. Janem, i już tak powinna się powstrzymać i umartwić aż do śmierci. Bywało tak z dziadów i pradziadów, a która matka dobra, chętnie to robi dla swoich dziecinek. Bo widzicie hołubko, te maleńkie duszyczki gromadzą się tam i cieszą koło świętego Jana, a ten Wielki święty, gdy przyjdzie dzień jego święta, woła je wszystkie, hołubi i rozdaje im słodkie jagódki — jagódki przecudne i przekrasne co tam tylko w niebie bydź mogą. Otóż białe duszki się cieszą, a której dzieciny matka je i używa sobie na jagodach przed św. Janem, to ona dziecinka smutna nie bierze jagód od ś. Jana, bo mówi że jej jagody matka już zjadła, i zaraz jest krzywda tej dziecinie z takiej łakomej matki. A których matki nie kosztują jagód przed św. Janem, to one biorą od św. Jana rajskie jagódki i weselą się radośnie.

Ktożby tam był takiego serca żeby swojej dziecinie robił taki smutek, chyba jaka niecna i brzydka niewiasta, która na nic nie dba. Za takie łakomstwo grzech jest, a dobre matki poszczą na jagodach i jednają sobie i swoim dziatkom u Pana

Boga łaskę. I ja hołubko miałam jedną córeczkę, 7 lat jej było jak umarła. Bywało jak żyła i zdrowa biegała koło mnie a szczebiotała, jak się też to nieraz cieszyła jagodą, a gdybym była co miała a jej niedała, a ona płakała i prosiła, miarkujcie czyby mnie serce nie bolało? Albo gdyby inne dziatki się cieszyły, a ona krzywdę miała — czyby mnie macierzyńskie serce nie pękało? A toż tembardziej teraz, kiedy człowiek grzeszny może niewinnej duszy przysporzyć roskoszy i rajskiej uciechy, jakże nie przysporzyć? Mój Boże, moja Kasiunia umarła i poszła między aniołki, a ja stara na tym świecie nie mam nikogo żeby mi łyżkę wodę podał... sierotam się została... nieraz ciężki przednowek dogryza, nie ma chleba kawałka i człowiek głodny — ale choć rumiana jagoda na drzewie aż się prosi, aby nią zachłodzić się, to ja wolę zbierać łobodę i posną gotować jak skosztować owocu przed ś. Janem. Niech tam Pan Bóg i św. Jan mojej Kasi to nagrodzą....

Zapłakała stara Holaczycha, otarła oczy, westchnęła i dalej mówiła:

— Są tu już teraz ludzie na świecie co nie chcą temu wierzyć, i znajdzie się może nawet i która matka, co powiada że to nieprawda i zajada co się wlezie; ale niech tam wszystko Pana Boga chwali, choćby to i nie tak było jak my rozumiemy, zawsze lepiej umartwić się bo to nigdy nie szkoda, i Panu Bogu chwała.

— Coście się tak hołubko zadumali? — rzekła znowu po chwili patrząc na mnie. Ot pewnie myślicie o swoich aniołkach coście ich potracili. Ha coż robić, spodobały się Panu Bogu, i tam ich trzeba było. Macie w niebie pośredników co się za was modlą. Mówią: szczęśliwa taka matka. I wy się niefrasujcie, kiedyś pójdziecie do nich, a co to będzie uciechy, gdy będzie komu was przyjmować w niebie. One do mamy wszystkie przylecą, i dopiero tam wtedy dowiecie się, czy to prawda o świętojańskich jagodach. Radzę wam hołubko nie jadajcie i wy jagód przed św. Janem, zobaczycie że wam to na dobre wyjdzie, a wasze dziecinki dziękować wam kiedyś będą.

— Moja babuniu — odpowiedziałam staruszce po chwili zadumania, a miałam także serdeczną łzę w oku — posłuchaj-

cie co ja wam znowu powiem. Podobało mi się bardzo coście mi opowiadali o świętojańskich jagodach, i dobrze robicie że sobie zakładacie takie umartwienie przez miłość macierzyńską dla waszych zmarłych dziatek. Ten niewinny post nie może bydź nieprzyjemny Panu Bogu. Ale widzicie, gdy Pan Bóg zabiera z tego świata niewinne dziatki które grzechu nie mają, to one tam w niebie używają takiej nieprzerwanej roskoszy, że niepodobieństwo jest aby mogły tam jakowegoś smutku doznać, albo jaką krzywdę cierpieć. Tak nas nawet naucza Pismo Święte. Więc to nie może bydź aby one smuciły się tem, że im święty Jan odmawia jagód przez łakomstwo ich matek. Najpierwiej dla tego, że dusza czysta i święta nie potrzebuje i nie używa pokarmu ziemskiego, a potem Bóg sprawiedliwy nie dozwala cierpieć niewinnym dzieciom za żadne jakiekolwiek grzechy rodziców. Prawda babuniu, że Pan Bóg nakazuje modlić się za dusze zmarłych, i bardzo mile przyjmuje nasze ofiary, nasze modlitwy, nasze posty za nich, i Pismo Święte uczy nas, że możemy nawet przez szczere i serdeczne uczynki nasze wyzwolić nie jedną duszę z mąk czyścowych i przyspieszyć jej zbawienie wieczne; powinniśmy więc modlić się i ofiarować co możemy za dusze zmarłych, a zwłaszcza swoich; która więc matka utraciła takie dziatki, które już grzeszyć mogły, bardzo dobrze aby za nie ofiarowała ów post na jagody i nigdy nie zapomniała o nich, bo grzechy dzieci spadają i na rodziców które je wychowały; kto zaś takich dziatek nie utracił, niech za dusze wszystkich zmarłych ofiaruje Panu Bogu swoją szczerą chęć i umartwienia, a matki dobre i pobożne niech jeszcze do tego proszą Boga codziennie, aby ich żyjącym dzieciom błogosławił i chronił od grzechu. Że zaś święty Jan jeszcze małem dzieckiem będąc już żył świątobliwie i w wielkich umartwieniach, więc pożyteczna i zbawienna rzecz będzie przez jego przyczynę upraszać dziatkom zmarłym królestwo niebieskie, a dziatkom żywym łaskę cnoty. I ja moja kochana babuniu chętnie z wami zachowam ten starodawny zwyczaj waszych pobożnych prababek, i jagód jeść nie będę choćby cały rok, ofiarując to Panu Bogu przez przyczynę świętego Jana, za tego mojego jedynego syna który mi został, aby rósł w łasce Bożej

i cnocie; i za dusze wszystkich zmarłych, które potrzebują naszej modlitwy; bo tamte moje dzieciny pomarły maleńkie, więc czyste, anielskie ich dusze naszych ofiar nie potrzebują; będą się zaś radować z naszych dobrych uczynków, i za nas jeszcze modlić się będą.

— Może to i tak jest jak wy mówicie — odrzekła Holaczycha — Bogu niech będzie chwała a duszom zmarłym wieczne odpoczywanie!

— Amen — odpowiedziałam.

Xiężyc wypłynął na środek nieba, a drobne gwiazdeczki błyszczały i drzały jak łezki zawieszone. Dzbanuszek poziomek poszedł nazajutrz dla małych biednych dziatek a za sprzedane świętojańskie czeresznie była msza święta w cerkwi za dusze zmarłych. *B. E.*

Jak Moskale kradną?

Wiecie zapewne mili ludzie, że nie ma w świecie złodziei takich sprytnych jak Moskale. Już to u nich tam taki szkaradny zwyczaj, iż złodziejstwo żaden sobie nawet za grzech nie uważa; jużci smutna to rzecz, ale cóż na to poradzić. Także jest u Moskali wielka sprytność złodziejska i zmyślność wielka, więc nieraz aniby się człowiekowi uczciwemu nie śniło, jakich oni sposobów używają, aby coś ukraść. Zaś abyście nie myśleli, że ja sobie tak zmyślam jeno i obgaduję owych rabusiów, to wam opowiem kilka wypadków takiego złodziejstwa moskiewskiego, a przekonacie się o prawdzie.

W jednej wsi w Królestwie polskiem był pewien poczciwy gospodarz, Michał Śróba. Miał ci on gospodarstwo piękne, dobytek niezły, a między bydłem jednego wołu strasznie leniwego, co to się zdarza czasami. Otóż pewnego razu pomyślał sobie Michał tak:

— Poprowadzę tego wołu na jarmark i sprzedam, bo mi tylko męczy i mitręży wszystkie inne.

Jarmark był w niedalekiem miasteczku, więc wziął woła na powróz i ciągnie go do miasta. A iż wolisko był strasznie

leniwy, kazał Michał chłopcu swemu Jasiowi popędzać. Zaś mimo popędzania ociągał się tak wolisko, iż go Michał musiał włóczyć z całej siły, i nareszcie przełożył sobie powróz przez ramię i tak burego wlókł a ciągle na chłopca wołał aby poganiał.

Zobaczyli to dwaj Moskale, okruteczni złodzieje. Jużci wół spodobał im się bardzo od razu, i wnet radzić zaczęli, jakby go dostać. I patrzcie, jak sobie w tem poradzili.

Jeden Moskal poszedł naprzód krzakami, bo to było w lecie, narwał wiśni i rozsypał je w takiem miejscu, gdzie droga w lesie kręciła się nagle w bok, potem ścieżką przez rów w pole. Więc za owym zakrętem ukryli się obaj Moskale i czekali. Skoro Jasiek do owych wiszni doszedł, zaczął je zbierać, a ojca z wołem puścił naprzód. Wolisko też jakoś się udrożyło i szło lepiej, więc Michał szedł sobie i ciągnął a o chłopca nie pytał. Kiedy tak minął ukrytych Moskali, wyszli oni za nim po cichu. Jeden uchwycił wołowi powróz przedełbem, i szedł a opierał się jak istny wół; zaś drugi spuścił woła z powrozu i wciągnął go za rogi w las. Zaś ów pierwszy założył sobie na kark powróz, i kiedy Jasiek wyzbierawszy wiśni już dobiegał, zaczął się opuszczać i opierać, aż go powróz dusił.

Kiedy chłopak zobaczył taki dziw, bo Moskala na powrozie zamiast woła, począł na całe gardło wołać:

— Tatusiu! A tośta woła zagubili a Moskala dusicie, że mu już wej ślepie na wierzch wylazły!

Stary Michał obejrzał się, a zobaczywszy wszystko, aż się przeżegnał z zadziwienia:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! O najsłodsze imię Jezus! A słowo stało się ciałem! Wszelki duch chwali Pana Boga! Jaśku! A to co się stało! Jezus Marya!

— Abo ja wiem co się stało — rzeknie Jasiek — Tośta woła gdzieś podzieli a Moskala na powrozie włóczycie, ażeśta mu gardziel powrozem oberznęli.

— No! Aleśty widział, jak się to stało — powie Michał.

— A jak ja miał widzieć, kiedym tam na ścieżce przystanął troche wedle wiszeń, co leżały piękniutkie na ziemi, a

kiedym was dogonił to już wołu nie było a Moskal ślepie wywalał — powie Jasiek.

— Dam ja ci tu wiśnie — huknął Michał — i najpierw Jaśkowi dał smarowanie po grzbiecie, a potem jął zaturbowany hałasić.

— Na Boga! a dyć tu czary jakieś! W imię Ojca i Syna i Ducha! Matko Chrystusowa a to co zaś!

Tymczasem Moskalisko podniósł się i począł sobie wołać składając ręce:

— *Pomiłuj batku, pomiłuj!* Za grzechy Bóg skarał mnie i zamienił w woła, aż dziś wybiła moja godzina, i ja znów jestem człowiek, ale twój.

A Michał zacznie krzyczeć:

— A kaci mnie tam z ciebie i po tobie! A nieszczęśliwa godzina moja taka! A żebyś już był czekał, ażbym cię był sprzedał. A nie mogłeś hultaju u innego kończyć pokutę a nie u mnie. A ruszajże sobie i przynajmniej powróz oddaj, bo kiedyś w płaszczu żołnierskim, toby człek mógł mieć jeszcze jakieś turbacye o ciebie.

Wziął więc Michał powróz pod pachę i poszedł samowtór z Jaśkiem na jarmark, bo mu tam wypadło jeszcze kupić tego i owego. Przez drogę nie mało się jeszcze nadziwił i nalamentował, a Jasiek już szedł cicho i ani słowa nie pisnął, aby nie narazić się na nowe smarowanie za swoje łakomstwo. Zaś Moskal puszczony odszukał swego kamrata z wołem, poszli inną drogą i przed miastem sprzedali jakiemuś handlarzowi woła burego.

Michał z Jaśkiem porobili sprawunki, a naostatek poszli na targowisko bydła, żeby się też przekonać, jak tam płacą. Chodzą ci tak i rozglądają się, aż naraz ujrzał Michał znowu swego burego woła. Więc okrutnie zdziwiony woła na syna:

— Jasiek! patrzno! wszak to nasz bury tam oto w tej gromadzie.!

— A toćto on — krzyknie Jasiek.

— Jucha Moskalisko — powie zdziwiony Michał — znowu się kary dorobił. Potem poszedł do burego woła nachylił się i powie mu do ucha:

— A widzisz rakarzu, na co ci to znowu przyszło? Toś ani na jeden dzień człowiekiem nie został, moskiewska naturo! Pewnieś kogo okradł po drodze, i myślisz teraz jeszcze, że cię kupię. Nie głupim ja! Dość raz z ciebie straty! Niech inny z tobą się żga, jeżeli ujdziesz rzeźnika, coby było najpotrzebniejsze na ciebie.

Ale iż się nic złego nie ukryje, tak i ta historya wydała się niebawem jakimś przypadkiem. Poznał Michał dopiero, jak się okrutecznie dał oszukać, i choć ta Moskalowi setnie grzbiet palicą wysmarował, jednakowoż szkoda przepadła na wieki. Pamiętajcież moi mili nigdy nie wierzyć baśniom, aby się człek mógł zamienić w jakieś zwierze, bo i wam może się trafić taki smutny przypadek.

Przestrogi dobrego przyjaciela.

O mieszkaniach wiejskich.

Wiecie już o tem moi mili, iż aby człowiek był zdrowym, powinien starać się o czyste powietrze, ale czasem już dom jest tak postawiony, że trudno w nim czyste powietrze utrzymać

Jeżeli dom stoi w nizinie nad rzeką, pod który co rok woda podchodzi, to będzie wilgoć, także jeżeli stoi wśród bagnisk, stawów, jeziorek i kałuży błotnistych; jeżeli gnojówka jest pod oknami i smrodem swoim zaraża powietrze.

Izby nizkie w domach także skracają życie, tembardziej, jeżeli w nich razem z ludźmi mieszka krowa albo świnia, co się u nas zdarza. Gdzie dużo ludzi sypia, w piecu dzieci, za piecem parobcy, gdzie się w jednej i tej samej izbie mieszka, je, spi, gotuje, pierze i suszy mokre chusty. W takich mieszkaniach często pojawia się gnilec, łożnica i rozmaite krosty.

Wiele jest także chałup, gdzie nie ma podłogi z desek, ale ubita ziemia. Tu woda, pomyje i inne plugastwa w ziemię wsiąkają, a potem zarażają powietrze. Także tam gdzie są chaty dymne czyli kurne, zdrowie być nie może, bo dym gryzie i psuje oczy i piersi.

Kto dom stawia, niechże wybiera wzgórek, zdala od bagien i wód stojących, blizko wody zdrowej, ale nie nizko żeby nie podmakało. Najprzód trzeba zrobić podmurowanie choć na łokieć, a na tem dopiero układać zręby z drzewa wyschłego, zatykając mchem szpary. Domu nie trzeba zaraz wylepiać gliną, ani bielić, aż na drugi rok gdy dobrze wyschnie; na ziemi układać dyle, a między nie nasypać suchego gruzu z murów, a kto nie ma pod ręką to suchego piasku niech nasypie. Izby powinny być tak wysokie, żeby najtęższy chłop na palcach stojący, ręką powały nie dostał. Okna na południe lub zachód wysokie i szerokie do otwierania. Drzwi tak wysokie, żeby sobie wchodząc głowy nie rozbijać. Komin wyprowadzić nad dach.

Stajenka, obórka, chlew, niech będą opodal od domu, a z nich ścieki do gnojowni wykopanej i mocno ubitej, a kto może kamieniami obmurowanej. Dobrze też nad gnojownią zbudować wychodek, jak mają po dworach i plebaniach, aby tam ludzie chodzili z naturalną potrzebą, bo i nie będzie plugastwa wedle domu i nawóz się bardzo poprawi.

Domek twój braciszku niech będzie obielony, aby był jasny jak lilijka i miły Panu Bogu, który się białymi aniołami otacza; w koło domu wybrać rowek i poprowadzić od niego na dół ściek, to będzie w mieszkaniu sucho i zdrowo.

Blizko domu lnu i konopi nie mocz, bo smród zgniłego zielska zaraża powietrze i sprowadzi ci chorobę do domu. Niech twoja poczciwa kobiecina często śmiecie wymiata i utrzymuje czystość, a będziesz zdrów ty i żona twoja i dziatki twoje, a i czeladka twoja — czego ci z serca dobry przyjaciel życzy.

O powietrzu.

Nie dość jeść i pić, ażeby w zdrowiu żyć, do tego trzeba nam jeszcze i świeżego powietrza. Jako ryba wyjęta z wody żyć długo nie może i nędznie ginie, tak też i człowiek w smrodliwem i dusznem powietrzu w zdrowiu ostać się nie może Człowiek wciągając powietrze przy oddechaniu, ożywia krew, odnawia ją, odświeża; a wypuszczając ze siebie, daje powietrze zepsute i niezdrowe.

To też gdzie w izbie dużo naraz ludzi oddecha, powietrez jest duszne i niezdrowe; w ciasnych wiejskich kościołach podczas nabożeństwa, kiedy ludzi jest natłok, to tak się powietrze psuje, że nim ciężko oddechać. Gorzej stokroć w karczmisku, bo tam jeszcze do złego powietrza dołącza się smród z gorzałki. Zatkajmy komu gardło a wnet pocznie się dusić, a wkrótce i udusi się. Kiedy się oddecha powietrzem zepsutem,

to jest także podobnem do uduszenia powolnego, bo wtedy krew się zaraża, zamiast odświeżyć i człowiek łatwo choroby, a za czasem nabawi się śmierci.

Żeby powietrze przyczyniało się do zdrowia, powinno być świeże i czyste, bo jeżeli jest długo w jednem miejscu zamknięte, to się psuje. Do piwnic i głębokich studzien nie należy wchodzić, bo można paść trupem. Daleko lepiej jest przódy światło zapalone spuścić. Jeżeli zgaśnie, to znak że tam powietrze jest śmiertelne, więc przewietrzyć trzeba.

W izbie zawsze zamkniętej jest bardzo szkodliwe, bo powietrze zatruwa się także gdzie jest wilgoć, śmieci i brudy, bielizna mokra lub spocona; kapusta w beczce, śmierdzące mięso, ziela pachnącego wiele, ptastwo, króliki — wszystko to zanieczyszcza powietrze i różne choroby sprowadza.

Od chorych nieochędożnie utrzymywanych także powstaje zaduch; najniebezpieczniejsza zaś pochodzi w zimie z pieców zawczasu zatkanych, kiedy się jeszcze nie wypaliło dobrze i plącze się płomek niebieskawy, albo kiedy piec jest za nadto rozpalony. Wtedy ludzie siedzący lub śpiący w takiem mieszkaniu dostają mocnego bólu głowy i szumu w uszach, a jeżeli nie przewietrzy się rychło, umierają.

Śmierć taka zowie się zagorzeniem.

Starać się więc trzeba braci moi, ażeby w izbie zawsze było świeże powietrze, żeby w mieszkaniach waszych panowała czystość. Trzeba izby przewietrzać, a nawet w zimie okna otwierać, chociażby na krótką chwilę, wykadzać octem, lejąc go na rozpaloną cegłę. — Nie zaniedbujcie tego i róbcie jak wam radzę, chyba że wam życie niemiłe i nie dbacie o zdrowie ani swoje, ani waszych dziatek.

RÓŻNOŚCI.

Zrzęda. Ze trzy lub cztery domy od końca wsi Samozwisk mieszka stary gospodarz imieniem Balcer. Jest to stary mruk, gdyra, zawadyaka, z nikim się nie zgodzi, a w każdego zawadzi: nikomu poczciwego słowa nie da, nigdy się nie rozśmieje, zawsze pomroczny, zły, ciągle w ziemię patrzy i zawsze coś mruczy pod nosem.

W sąsiedztwie zaś jego mieszka Walek, człowiek uczciwy, potulny, cichy, ludzki, usłużny, a wesoły i dowcipny aż miło. Dla tego też wszyscy kochają Walka, a Balcera unikają jak . . . Boże odpuść! niech już nie wymówię bo to grzech.

Zdarzyło się, że od Balcera odszedł parobek, bo u niego długo służebni nie posiedzą. A właśnie i Walek potrzebował parobka, bo mu jego wzięto do wojska. Idzie przeto w dobrej myśli do Balcera dowiedzieć się na pewne, czy go odprawił, i dla

czego, boby go chciał przyjąć. Ledwie wszedł Walek do izby, i jak się należy pochwalił Pana Boga, Balcer ani nie powstał, tylko jak rura jaki siedział na ławie w czapce na głowie a gdy się obejrzał i obaczył, że to sąsiad Walek przyszedł do niego, zaraz rubasznie go zapytał:

— Czegóż chcecie?

— Kochany sąsiedzie — odrzekł Walek — szukam parobka, więc przychodzę do was....

— Co? — przerwał Balcer — co? u mnie szukacie parobka? czy to ja stręczarka?..

— Ale gdzie tam! — odparł zakłopotany Walek — wasz dawniejszy parobek Kuba chce u mnie służyć, więc przychodzę do was się wywiedzieć, czemużeście się z nim rozłączyli.

— A czemubym się nie miał z nim rozłączyć? Czy to my małżeństwo żebyśmy się nie mogli rozłączyć?

Więc czemuście go odegnali?

— Psy się tylko odgania, a to człowiek nie pies.

— I! to na jedno wychodzi sąsiedzie Balcerze — zawołał cokolwiek zniecierpliwiony Walek — to mi powiedzcie, czemuście Kubę oddalili?

— Bo mi się tak podobało.

— To dobrze, ale czemu wam się tak podobało?

— A to znowu komu co do tego? czy nie mam do tego prawa? a to dobre przyjść tu do mnie, i kazać mi się tłumaczyć, czemum ja parobka odprawił!

— Żyw Bogu sąsiedzie, to mi ani na myśl nie postało, ale mnie to cieszy, żem poznał wasze dobre serce.

— A tom ciekawy zkąd?

— Bo nie chcecie nic złego o waszym słudze powiedzieć, bo gdybyście wiedzieli o nim co dobrego, tobyście już powiedzieli; zapewne uczciwość jego.....

— Uczciwość jego nienaganna.

— To zapewnie hardy, nygus albo nieporządny?

— Nic z tego.

Że ma wadę jakąś to pewna, więc go nie przyjmę.

— A czemu go nie macie przyjąć? czy dla mnie ma biedny parobek stracić służbę? ja tego niechcę, ja na to nie pozwolę.

— Aha! rozumiem, więc gdy za nim sami przemawiacie, toć go już przyjmę.

— Za kim ja przemawiam? ja za nikim przemawiać nie myślę, bo ja za nikogo nie ręczę.

— Sąsiedzie, ja was nie rozumiem, raz tak, drugi raz tak.

— Ja też chcę, żeby mnie nikt nie rozumiał, a po co ma mnie kto rozumieć? Śliczne rzeczy! ja tego nie chcę.

— A więc szkoda sąsiedzie, żem tu do was przyszedł, gdy każde słówko was razi.

— A kto wam kazał tu przychodzić? ja wam nie kazał, mogliście nie przychodzić, możecie wcale nie przychodzić, może nikt nie przychodzić, to dobrze, tem lepiej, ja nikogo nie potrzebuję.

— Bądźcie zdrowi sąsiedzie! — zawołał rozsierdzony Walek — niech was P. Bóg ma w swojej opiece, bo się z wami już nie dogadam.

— Ja nie potrzebuje zdrowia, jam nie chory, ja nic nie potrzebuję, ale nie chcę, żeby kto odemnie co potrzebował. Z P. Bogiem! owszem! wszyscy z P. Bogiem! bo to przyjdą tylko na to, aby dom cały przetrząsnąć, aby za słówko człeka schwytać; oho! ale ja ostrożny ptaszek nie dam się złapać w sidła! rychlej wstań, kto chcesz mnie oszukać!

I z temi słowy wstał sąsiad Balcer, czapkę jeszcze bardziej na uszy nasunął, wejrzał za Walkiem, a potem zatrzasnął drzwi, i poszedł dalej mruczeć.

Otóż masz sąsiada! Dobry i ludzki sąsiad — to niebo; ale zły i nieznośny — to czyste piekło!

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

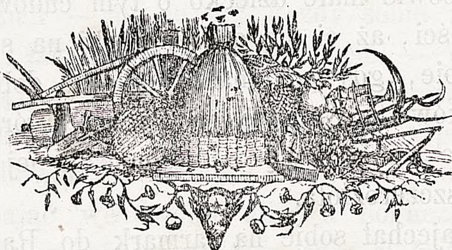
Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 4.

1. Lutego 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Matka boża i kupiec.

Niedaleko Sandomierza, ale w naszym polskim kraju Galicyi, gdzie to rzeka San wchodzi do Wisły, leży staropolskie miasteczko Radomyśl. Stoi ono sobie na piaskach między sosnowymi gajami, a mieszczanie tamtejsi są rzemieślnikami, najwięcej murarzami i rolnikami, ale wiedzą oni dokumentnie, że są prawdziwymi z ojca, dziada i pradziada Polakami, i ani im gadać co o Moskalach, boby cię na kwaśne jabłko zdusili, gdybyś im przygadywał, że oni patrzą na obcych czy Moskalów. Toteż są oni z dawien dawna pobożni, pracowici, sztudery i zarabiają sobie na kawałek chleba, ale z Bogiem i bez krzywdy niczyjej. Chodzą sobie po polsku w kapotach niebieskich, świecących butach, na głowie siwe czapy z jasnemi wstęgami, a w garści laska długa ze skówką mosiężną, a na wierzchu kapoty przepasany pas ze sprzączką świecącą na przodzie, i jakci się tak wywalą w święto na rynek, tobyś myślał że to pany wielkie, a nie mieszczany. Otoż jak kto zajedzie do Radomyśla, zobaczy tam na górce w lasku kościo-

łek nowo fundowany, ba! nie drewniany, ale calutki murowany. A gdy się spyta: co to za kościołek taki? kto to fundator jego? — toci opowie małe dziecko o tym cudownym kościółku wielkie ciekawości, aż ci się dobrze zrobi na sercu, a czasem i zapłaczesz sobie, gdy podumasz, jaka to dobra matka była i jest dla Polaków ta Najświętsza Panna, którą wszyscy Polacy obrali sobie za królowę i ukoronowali jej głowę świętą bogatą koroną szczerozłotą.

Otóż raz zajechał sobie na jarmark do Radomyśla jeden gazda od Rozwadowa, niejaki Maciej Sobuń, a gazda ci to pobożny i trzeźwy i roboczy, jak wół w pługu; on ci zawsze pierwej pójdzie do kościoła zmówić pacierz, nim zacznie co na jarmarku sprzedawać albo kupować, i modli się aby mu Bóg dopomagał sprzedać lub kupić, a broń Boże! ocyganić lub skrzywdzić kogo, a po jarmarku odrachuje ci na wozie zaraz niejeden krajcar to dla Matki bożej, to dla dziadka, a nieraz zostawi za duszę nieboszczyków i na mszę świętą. On też zalazł ci zaraz do tego nowego kościółka, poszedł do ołtarza, gdzie jest Matka boża bolesna, potem do drugiego, gdzie Pan Jezus w Ogrojcu i znowu do jednego, który fundują chłopi na pamiątkę, jak to dał Bóg panom takiego dobrego ducha, że podarowali pańszczyznę na wieczne czasy. Pomodlił się do Boga i wychodząc zapytał zakrystyana:

— A kto to fundator tego kościoła? i na co to ten kościołek daleko od miasta, kiedy jest fara w samem mieście i tak samo nowa?

A zakrystyan powiada na to:

— Mój człowieku dobry, ten kościół to pamiątka dawna jeszcze z polskich królów — ba! ale jaki się tu stał cud, to rzadko gdzie natrafić na taki drugi.

Na to Sobuń gazda ciekawy pyta:

— I za jakiegoż to króla polskiego stał się tu cud?

A zakrystyan mu rzecze:

— To moi kochani powiadają starzy, działo się za jednego króla co to wojował ze Szwedami, a te niewiary zaleźli i do tego miasta i narobili dużo szkody ludziom, a niewinnie i niewiedzieć za co? Ten król zwał się pono Jan Kazimierz,

i został z xiędza królem, a Ojciec święty pozwolił mu się nawet ożenić. Ale ba! nie takie biedne było wtedy to miasto, jak po dziś dzień — bo co to? każdy sobie zarobił na flisie na rok więcej, jak dziś przez całe życie — jak ci sobie pojechał z wiosną po Wielkanocy ztąd do Warszawy i do Gdańska na tratwach drewnianych, to ci wrócił i przyniósł jak nic pół czapki karbowańców i mógł zaraz i bydło dobre kupić i zagon sobie nająć we dworze albo u bogacza jakiego, i co mu bieda zrobiła w zimie? A tędy szły ci tratwy jak w lecie bydło na pole. Otóż widzicie raz wiózł sobie jakiś bogaty Polak tam aż od morza, bardzo dużo dębiny i sosniny, co sobie tu nakupił po lasach i miał ci coś do sta ludzi na wodzie; a tu ani zgadniesz gdzie cię co napadnie — i przyleciała ci naraz woda wielka z gór, jakby się drugie morze wylało z brzegów; tu ludzie stali na brzegu i łapali osękami różności, aż tu naraz gwałtu, krzyk kto w Boga wierzy, niech ratuje, bo temu bogatemu Polakowi rozerwała woda na sztuki to jego drzewo, a ludzie biedni trzymali się rękami za drzewo i wołali: Ratujcie dla Boga! ratujcie nas! bo do jednego potoniemy! To też każdy łap cap co było w rękach i ratował, co jeno mógł, ale najgorzej było z tym bogatym Polakiem, co to zakupił to drzewo, bo to nieboraczysko nie umiało pływać i tylko na jednej grubej sośnie leżał i trzymał się rękami i nogami, a woda go nurzała i co chwila jeno utonąć; drugi śmiały do wody, to skoczył i przypłynął do brzegu, a ludzie mu podali rękę lub tykę albo powróz jaki i wyciągnęli jak rybę na brzeg, a z nim ani rady ani sposobu jakiego, a tu woda gnała jakby na koniu leciał.

A Sobuń gazda poderwał:

— No! i coż się też stało z tymi biedakami?

A zakrystyan mówi:

— A coby innego jak nie cud Matki bożej bolesnej! bo to widzicie! podniósł ten bogaty Polak ręce do nieba w tem samem miejscu, gdzie stoi ten kościołek i wołał: O Matko boża! ratujże mię od śmierci, a ja ci wyfunduję kościół z tego drzewa, co ludzie nałapią! a gdy to powiedział, to drzewo pomaleńku przypłynęło z nim do brzegu, o tu na prost od nas,

i ludzie go łap jak swego za ręce i wydobyli na brzeg drżącego jak liść a mokrego, że się lało z niego jak z konwi, i jak zaczęli się zwijać za drzewem, to wam wyłapali do jednego i tu na brzegu poskładali na kupy wielkie.

A Sobuń gazda aż się zmienił z uradowania wielkiego, że to się tak cudownie porobiło z tymi biedakami, i że ani jeden nie utonął za pomocą Matki bożej — pokiwał na to głową, westchnął do Boga i zapytał:

— A jakże, czy też dotrzymał tego ślubu ten bogaty Polak? bo ten kościołek to widać że nowy, a nie taki stary, jak się to porobiło wszystko?

A zakrystyan mówi:

— A jeszcze by co, żeby nie dotrzymał ślubu Matce bożej. Toć to dawni ludzie to pobożni i świątobliwi, aż strach dziś o tem mówić; bo co to dawni Polacy to nie takie łazęgi jak to dziś po wsiach chłopi; jak ci co obiecał zrobić dobrego to dokonał żebyś go szynami piekł i na kawałki porąbał a dla Boga i Matki bożej toby się był dał i sto razy umęczyć. Tak ci i ten kupiec ani kroku nie odstąpił, dopóki tu nie stanął drewniany kościołek, a dopiero potem pojechał sobie do Warszawy czy gdzie dalej jeszcze, to wie to sam Pan Bóg. Otóż widzicie! taki to był tu cud!

— A Sobuń gazda mówi:

— Toć przecie ten kościołek jest murowany, a wy mi gadacie, że był drewniany?

A zakrystyan rozsierdzony mówi prędko:

— Ot co wy pleciecie dobrego! Tamten kościołek drewniany, co go fundował ten bogaty Polak, to już zaginął i nie ma ani trzaseczki z niego, ta to stał on dobre 200 roczków tu na tem miejscu, ale grzeszni ludziska nie poratowali i tak też zmarniał, aż grzech o tem mówić.

A Sobuń gazda pytał:

— A to może wy teraz wyfundowali taki kościół, ale gdzieby tam tak było, to pewnie jaki pan dobry to zrobił?

A zakrystyan zaczerwienił się i gada:

— Ot trochę dali ludzie dalecy i panowie i xięża na ten kościół, a resztę zrobiła nasza cała parafia swojemi rękami

własnemi i to za daremniusieńko, nie wymawiając tego tej Matce bożej bolesnej, a teraz aż nam miło, że mamy taki cudowny kościołek i to daleko ładniejszy od starego.

A gazda Sobuń markotny na to, że teżto nikt nie podbał o staropolski drewniany i cudowny kościołek, przemówił znowu:

— I jakże, czy to naprawdę dali zmarnować się temu cudownemu domowi bożemu?

A zakrystyan w ten sens odpowiedział:

— Jużci drzewo było grube i zdrowe jak pieniądz, były podwaliny dębowe, jak się patrzy, drzwi dębowe i okute z zamkami, ściany sosnowe, dach gontowy — ale to stało nie rok nie dwa, ale jakie sto lat obeszło, dach przegnił i łało się nie w jednem miejscu — a wy wiecie, jak gazda nie wylezie na dom i nie załata dziury, to dom zlezie sam na głowę twoją a potem się zawali. Tak i tu się porobiło niedobrze, aż kazali do reszty rozebrać i postawili sobie z tego poświęconego drzewa organistówkę koło fary. I został tu plac sam, aż smutno było na to popatrzeć. Zrobiło się potem markotno wszystkim, bo sobie też i popłakali nie raz, jak tu poschodzili się w niedzielę, a zawsze sobie miarkował każdy, że pomoc Matki bożej będzie niejednemu potrzebna, a jeżeli mógł to jeden postawić, to teraz jak się zabierze do tego jakie tysiąc razem, to mogą prędzej coś zrobić. I było dużo lamentów i gadaniny, a jakoś nikt nie śmiał zaczynać, bo się obawiał, aby się z niego nie śmiali drudzy.

A gazda Sobuń poderwał:

— Toż robić co dobrego, nie ma za to śmiechu, zaczynaj sobie człowiecze słaby i ubogi, co jeno wypadnie dobrego, i rób i rób, choćby ci palce i ręce ze skóry poobłaziły, a w końcu Bóg ci dopomoże i postawisz na swojem i zbawisz sam siebie i drugiego. Nic się nie zrobi nigdy samo, nawet złe robi się z ludzi złych. A znowu dobre przychodzi od Boga i od ludzi dobrych. A przecie tu była jakaś dusza pobożna, co się odważyła na to dobre.

A zakrystyan ciągnie dalej tak:

— A jużci była taka dobra dusza i to uboga i pobożna panienka co sobie siedziała w mieście i uczyła nasze dzieci czy-

tania i pisania. Ona była nieraz u bogatej pani w Rozwadowie i tam zawsze z płaczem opowiadała, jak to ludzie niedbali o chwałę bożą i zapominają na te święte miejsca, gdzie się dawno tyle cudów działo. Aż ta pani, której Bóg dał dużo pracy a nie dał jej dziatek, dał jej dużo chleba a ujął jej zdrowia potrzebnego, ta pani dobra zrobiła pierwszą ofiarę na ten murowany kościołek i patrzajcie! że była tak szczęśliwa godzina, bo odtąd dawali ludzie, co kto mógł i z wolą bożą postawili dom boży. Są tu na tym kościółku ofiary przeróżne: są i krajcarki panów i xięży, mieszczan i urzędników, chłopów i sług, ba! nawet dzieci dawały swoje uskładane krajcarki, a ta pobożna panienka zbierała i składała, a potem kupowała materyały, a ludzie z dziećmi robili tu koło kościółka za darmo po całych tygodniach.

A gazda Sobuń spytał się:

— A zkąd wy tu brali wodę na robotę, kiedy tu taka góra i piaski, a studni tu nie ma?

A zakrystyan gadał:

— A to widzicie, chodzili ludzie z konewkami ztąd z góry tam nadół do Sanu po wodę — a jak kto nabrał wody pełno, to sam lazł nieraz na czterech nogach do góry, a konewkę trzymał zębami, a jak mu się nieraz konewka wyrwała, to sobie poszła nazad do wody i popłynęła z wodą, albo się na kawałeczki rozleciała — a wtedy było dużo płaczu i śmiechu; ale nosili ludziska wodę i pomagali, dopóki nie postawili na swojem.

A gazda Sobuń spytał znowu:

— A zkąd macie te obrazy w ołtarzach?

Na to powie mu zakrystyan:

— Ten obraz Matki bożej w wielkim ołtarzu jest starodawny, jeszcze z tamtego kościoła i to cudowny obraz; a znowu Pana Jezusa w Ogrojcu na drugim ołtarzu przysłał nam jeden pobożny Polak z Warszawy; a znowu tamten trzeci obraz na ołtarzu trzecim, to święta męczenniczka Felicyta i patronka tej pani z Rozwadowa, która się najpierwsza przyczyniła do fundacyi całej; a tam będzie ołtarz na pamiątkę,

jak pańszczyzna u nas ustała. A organy mamy z Krakowa naszego polskiego.

Gdy zakrystyan skończył opowiadanie, gazda Sobuń obzierał wszystko dokumentnie, uklęknął i zmówił paciorek, a potem dobył z kieszeni woreczek, podłubał coś w nim i mówi:

— Macie! i ja też ofiaruję te 5 papierków na światło do wielkiego ołtarza, bo to pamiątka naszych dziadków Polaków ten obraz święty — i my chłopi po wsiach powinniśmy takie dawne pamiątki od polskich królów pilnować i nie marnować i prosić tę Matkę bożą, aby się zmiłowała i nad naszą biedą i nie dała nam tak zaginąć, jak i tamci na wodzie nie zaginęli.

I wziął zakrystyan tę ofiarę, zapisał do złotej xiążki, a gazda Sobuń poszedł na jarmark, poprzedał i pokupił sobie drobiazgi a potem opowiadał wszystkim o tym kościółku, którzy jeszcze o nim nie słyszeli.

Skoczek, profesor z Gorlic.

Trzech archaniołów.

Archanioł Gabryel Najświętszej Panience
Zwiastował: Słowo, i w małej stajence
Powiła Syna, i chórem anieli
Pieśń mu śpiewali, a my go widzieli.
I do Betleem bieżeli pastérze,
Ze wszech stron świata brząkając na lirze,
I niosąc dary jakie Bóg przysporzył.

Przyszedł też jeden z za morskiej aż strony,
Witał: Niech będzie Chrystus pochwalony,
I dary swoje obok innych złożył:
I złożył chleba powszedniego kawał
I miodu plaster i grudkę też soli,
A rzekł: co Bóg dał, to ja będę dawał —
Tyle mam Panie z pasieki i z roli
I z ziemi mojej . . . .

A Mateńka boża
Rzeknie: a zkąd to Bóg prowadzi człeku? —
— Najświętsza Panno! jestem aż z za morza:
Na ziemi mojej podostatkiem chleba,

Tylko na ptasiem chyba braknie mleku —
Lud czerstwy, zdrowy — dostatkiem swobody
A po krynicach jak łza czyste wody,
A i pięć dużych strumieni tam płynie —
Toć nie brak w niczem tej naszej krainie,
Toć i żelazo jest... a choć go nie wiele,
To nam wystarcza, bośmy nie do bitki,
Lubo i w boju potkamy się śmiele,
Ale nam bratem w Bogu lud wszytki,
Kto do nas przyjdzie, a powita w Bogu,
Ten już spokojnie uśnie w naszym progu;
Chlebem i solą z serca powitany,
Pozna co Słowian, co to są Polany.
Z żelaza tylko w pracy nam posługa,
Bo z ojców wiernie trzymamy się pługa.
Toż nic Panienko święta nam nie trzeba,
Prócz Twej opieki, łaski bożej nieba.

Słodko spojrzała Najświętsza Panienka
I przed dzieciątkiem najświętszem przyklęka,
A dziecię boże przemówi łagodnie:
— Witaj mi w Bogu, weź słowo pociechy,
Ja chcę pod wasze nizkie zstąpić strzechy,
Bo imię moje wy uczcicie godnie,
Boście w pokoju jęli Bogu służyć,
A jam budować przyszedł, a nie burzyć.

Lecz na żelazo nie krzyczcie zbyt hardo,
Bo jeszcze dolę wam przyjdzie znieść twardą,
Bo jeszcze ludy dzikie was nawiedzą.
I wy spokojni synowie swobody
Najcięższej w świecie doznacie niewoli,
I niewolnikiem pomiędzy narody
Zwać będą naród, co z chleba i soli
Słynie, a wiecznie z dawna strzeże pługa;
Ale w cierpieniu tem waszem zasługa.
Bom i ja cierpieć za was przyszedł wszystkich
Lecz nie padajcie na duchu — bo siłą
Ja was obdarzę, i matkę dam miłą,
Aby wam była królową — i zbytki
One stłumiła... i dwóch wam aniołów
Mych dam za stróżów: jednego mściciela,
Drugiego miru mego głosiciela.

Archanioł Michał będzie stróżem waszym
I Bóg nad rodem zlituje się Laszym —
Czarty pospycha co z nim walczą z wieka
A wtedy Rafał zstąpi do człowieka,
A słowa takie ogłosi wam boże,
I spokój, co świat dać nie może.
Tu rączką drobną święte ściągło dziecię
Nad głową cichą pasterza z nad Wisły,
A Matce bożej duże łzy wytrysły,
Niby dwie perły miłości i wiary
A potem strzelił wzrok cichy, spokojny,
Niby to promień nadziei, co w świecie
Spokój miał głosić — i koniec wszej wojny —
Koniec ofiary krwawej — koniec kary....
I odszedł pasterz zadumany, blady
Do swej rodziny i do swej biesiady.

I długie lata przeszły potem w świecie
I tak się działo, jako boskie dziecię
Wyrzekło — bowiem przyszli obcy ludzie
I świat pracował w bardzo wielkim trudzie,
I powstał w domu brat naprzeciw brata,
I zabił matkę syn prawicą kata....
I ciężkie kaźnie Bóg zesłał i głody —
I brakło chleba, i brakło swobody —
Ale ufajmy obietnicy bożej,
Że on wszystkiemu raz koniec położy....
Najświętsza Panna w opiece nas trzyma;
Archanioł Michał jasnemi oczyma
Patrzy w zdumiałą strachem twarz szatana,
I będzie łaska boża ludziom dana.
O przyjdź Michale ziemi naszej stróżu,
Bośmy strudzeni, krwawym zlani potem,
Bo co nam święte to zbryzgane błotem.
I utonęliśmy w łez i krwi morzu.....
Rdza nam żelazne serca żre i pali,
To oczyść z kału rdzy ogniem miłości,
Szatana ogniem bożym tchnij Michale —
A wnet wybłyśnie blask bożej jasności,
I dzień nastanie, i ku bożej chwale
Wołać będziemy: przyjdź, o przyjdź Rafale,
Zapal pochodnie braterskiej miłości,
Daj czas spokojny, swobody, wolności,

I zaśpiewamy, by na wysokości
Cześć była Bogu, a pokój na ziemi
Ludziom od pługa i chleba i soli
I wszelkim ziemskim ludom dobrej woli,
O święty, święty — ojców naszych Boże
Bądź między ludy pochwalon wszystkiemi
Niech nas Twa łaska najświętsza wspomoże,
Pokój i szczęście daj polskiej ziemi.

Dnia 17 maja 1861. *Wincenty Srokacz.*

Przemądra lekarka.

Zimno było okrutne, wiatr zacinał deszczem ze śniegiem, późna jesień pokazywała swoją sztukę na dworze, a nieprzeliczone stada wron przeciągały po chmurnem i ciemnem niebie. Ścieszką przez łąki szedł Piotr, pałamarz Smerekowski do miasta. Oj bieda go wygnała z chaty na taki czas haniebny. Przewiesił kobiałkę przez plecy, ręce schował w kieszenie, i mrużąc oczy od wiatru i deszczu, spiesznym krokiem dążył ku gościńcowi. W chacie żona śmiertelnie chora leżała na pościeli, ogniska od kilku dni nikt nie rozdmuchał, na całem obejściu ubogiem tylko pies został tuląc się pod stożek słomy. Już od kilku tygodni pałamarzowa choruje mocno, a teraz wzięło ją najgorzej. Od kilku tygodni pałamarz sam kłopoce się wszystkiem, sam sobie jeść gotuje, a czego może urwać ze swojego ubogiego gospodarstwa, to niesie do miasta, przedaje i kupuje za to chorej żonie to miejskich bułek, to wina czerwonego, to miodu, to jabłek parę. Ale chora jak nie zdrowieje, tak nie zdrowieje, nic jej nie smakuje, spuchła cała jak kłoda, obrócić się nie może. Co tylko doradziła jaka baba lekarka, to wszystko robiono, przywoził jej nawet mąż starego Kiczałę ze Soposzyna, co to sławny znachor, ale nic nie pomaga. O doktorze pałamarz i słyszeć nie chciał, mówiąc, że doktor dużo kosztuje a nic nie pomoże, a teraz gdy patrzał na żonę umierającą, toby już był i na doktora przystał, ale cóż umierającemu już doktor poradzi. Zasłyszał wreszcie biedny pałamarz o panu z Sulimowa, który wiele ludziom pomaga, żadnej

zapłaty nie bierze, i leczy jakiemiś drobniutkiemi pigułkami białemi. Namyśliwszy się więc przez noc i do żywego rozżalony bolesnemi jękami swojej żony, wstał rano, zebrał się i niepytając na zawieruchę i biedę, poszedł do Sulimowa prosić dobrego pana aby się zmiłował i przyjechał ratować chorą żonę. Sąsiadka została przy chorej, a pałamarz dążył do Sulimowa, wziąwszy po drodze co przedać w miasteczku i kupić żonie jaki taki posiłek i zachłodę.

Właśnie dochodził do gościńca, gdy coraz gwałtowniejszy deszcz się puścił i zmusił biedaka wstąpić na podsienie pierwszej karczmy, aby trochę przeczekać ulewę.

Na podsieniu stała jakaś kobieta nakryta chustką i widno także czekała aż deszcz ominie. Suknie na niej były trochę z miejska, twarz jeszcze nie stara, i dosyć zdrowo wyglądała — ale poznać było, że się puściła na lekki chleb i wypraszała u ludzi to co jeszcze zarobić mogła. Zobaczywszy naszego pałamarza zziębniętego i przemokłego, wdała się z nim w rozmowę i zaczęła wypytywać zkąd, gdzie i po co idzie. Pałamarz skłopotany opowiedział całą swą biedę, a na końcu na wpół z płaczem dodał:

— Żebym wiedział, że mojej żonie co pomoże, oddałbym cały majątek.

Nieznajoma kobieta słuchała go z uwagą, a na ostatnie słowa jego zaśmiała się, i robiąc mądrą bardzo minę rzekła:

— Żebym tak zdrowa była jakem już nieraz nie sto, wyleczyła takich chorych, co już im tylko trumnę gotowali, śmiać się z tego. Wszyscy doktorowie głupcy, nic nie wiedzą, a jabym wszystkich w kąt zagnała. Człowiek coś rozumie. Ale wy sobie idźcie do Sulimowa do pana, żebrajcie w sieniach żeby był łaskaw pojechać, a on was albo z niczem wyprawi, albo tyle pomoże kobiecie co umarłemu kadzidło. Czy ja go nie znam. Czy to ja nie wiem.

Gadała jeszcze dużo, ni to ni owo, a pałamarz słuchając jął tracić ochotę iść do Sulimowa, a natomiast podobała mu się mądra gadanina obcej kobiety, i dalejże zaczął ją prosić aby z nim szła do chorej żony. Z początku długo się dawała prosić doktorka, ważąc sobie wiele fatygę, drogę i czas stra-

cony, to znowu przysięgając, że ona swojego sposobu czy tam lekarstwa ani za 20 reńskich by nie przedała. Im więcej się drożyła, tem więcej chłop prosił, obiecując że ją wynagrodzi jak go tylko stać będzie. Nareszcie potraktował ją w karczmie piwem, miodem, za które oddał żydowi co niósł do miasta, i ledwie nieledwie uprosił lekarkę, że przyzwoliła z nim pójść do chorej żony. Pałamarz uszczęśliwiony, słuchał całą drogę jak mu opowiadała cuda o swojem doktorstwie, i zdawało się biedakowi, że już wybawił żonę od śmierci.

Przyszedłszy do chaty, lekarka opatrzyła chorą, która słabym głosem prosiła aby ją ratować — i zaśmiała się znowu ze swoją mądrą miną.

— Za dziewięć dni będziecie tańcować — powiedziała.

Pałamarz aż zadrzał z radości i z wielkiem uszanowaniem dla lekarki zaczął znowu prosić, aby robiła wszystko co rozumie. Lekarka potargowała się jeszcze i nareszcie oświadczyła, że to z wielkiej dla nich łaski uczyni, że za 6 reńskich w srebrze podejmie się tego trudu. Pałamarz chciał coś powiedzieć skrobiąc się w głowę, ale lekarka panosząc się odrzekła, że jeżeli woli aby żona do grobu poszła, to ona się nie napiera. Tem go rozbroiła do reszty i przyrzekł wszystko co sama zechce. Lekarka więc dobyła z chuściny garstkę ziela które kazała zagotować, sama zaś położyła chorej na głowie białą chustkę złożoną z pieniędzmi które sobie dać kazała, i zaczęła odmawiać jakąś dziwną i długą modlitwę, którą za nią obecni w chacie powtarzać musieli, potem zamawiała, zażegnywała, spluwała i poziewała, potem okadziła chorą takiem samem zielem, jakie się gotowało i nareszcie napić się jej dała. Po skończonej robocie która się dość długo ciągnęła, uraczyła się jeszcze doskonale, bo pałamarz co miał to stawiał przed nią, jaja, ser, masło, mleko, i wódkę zborgowaną z karczmy, a gdy przyszło do zapłaty, powyciągał gdzie tylko miał jaki grosz, jaki srebrny szóstaczek zachowany od dawna, a gdy niestało dużo jeszcze, biegał do sąsiadów, do żyda i napożyczał po trochę gdzie mógł, aż się zebrało 6 reńskich, które lekarka wziąwszy narzekała jeszcze, że gdyby nie miała względu na biednych,

nie robiłaby tego dla nikogo, i obładowawszy się jeszcze krupami i chlebem, kazała się odprowadzić do gościńca, zaręczając solennie, że za 9 dni pałamarzowa żona tańcować będzie.

We dwa tygodnie potem, w samą niedzielę adwentową pałamarz Piotr pochował żonę i jedyne ciele przedał, aby opłacić pogrzeb.

— Oj Piotrze, Piotrze — mówił w parę tygodni potem pan ze Sulimowa do spłakanego chłopa, gdy go tenże spotkawszy w mieście opowiadał swoje nieszczęście i przeklinał mądrą lekarkę — tak to wy zawsze robicie, żałujecie na doktora w początku choroby, a nie ufacie ludziom, którzy szczerze wam przychylni jak ja, a nieżałujecie na baby, znachory, którzy was tumanią, Pana Boga obrażają, a choremu jeśli nie zaszkodzą gorzej, to nic nie pomogą. Prawda, że komu Pan Bóg pozwoli wyzdrowieć to wyzdrowieje, a kogo podoba Mu się zabrać to umrze, ale Pan Bóg daje na to rozum człowiekowi aby się ratował godziwym sposobem, daje w rozmaitych ziołach lekarstwa na wszystkie choroby aby je człowiek miał ku swojej pomocy i od tych którzy się uczą i mozolą nad tą nauką, mógł je używać. Wszystkiemi czarami i zabobonami brzydzi się Pan Bóg i karze tych, co w nie wierzą, bo to grzech, bałwochwalstwo. Czas już abyście się ich wyrzekli jako dzieł czartowskich. Czas abyście już mieli rozum i nie powierzali zdrowie swoje i mienie chciwym szarlatanom. Komu niestać na lekarza, niech się uda do dworu, do xiędza, a tam go nigdy nie opuszczą, i albo dobrą radą albo wsparciem zasilą, a resztę miłosierdzie boskie dokona.

B. E.

Mrówki.

Pan Bóg urządził świat tak mądrze i pięknie, iż wszytko co się na nim znajduje, służy ludziom na pożytek i na naukę. Czasem zda się jakaś rzecz niepotrzebna, marna, ot niewarta nawet aby się nad nią zastanowić; zaś kiedy miły

człeku przypatrzysz się jej z bliska, kiedy sobie wszystko rozmiarkujesz dokumentnie, to wnet ujrzysz, że i w tej drobnej sprawie jest wielka, wszechmocna mądrość boska.

Nieszukając daleko przypomnij sobie miły bracie pierwsze lepsze mrowisko. Jużci to niby rzecz marna i nieciekawa, najbardziej kiedy czasami stąpisz na nie nogą albo niewidzący usadowisz się na takiem mrowisku. Wtedy nieraz aż zaklnie człek na to paskudztwo, splunie z krzykiem i nawymyśla co nie miara. A to znowu także niesłusznie, bo człek na to ma oczy i rozum, aby nie lazł i nie siadał gdzie niepotrzeba.

Tymczasem kiedy zamiast rozparpać nogą mrowisko przypatrzysz mu się uważnie i z rozumem, kiedy się zastanowisz nad niem dobrze, to aż cię dziw zbierze na ową cudowność, jaka się znajduje w tej prostej kupce ziemi, w owem niepozornem mrowisku.

Aby ci to łatwiej przyszło miły człeku, więc posłuchaj historyi o mrówkach i mrowiskach.

Każde mrowisko jest bardzo sztucznie i bardzo pięknie zbudowane. Ma ono mnóstwo bram, to jest małych dziurek, które mrówki przez dzień strzegą a na noc zamykają; ma także mnóstwo kurytarzy, które prowadzą do różnych większych i mniejszych komórek, co to niby izby porobione są w całem mrowisku. Jest tam także niezliczona ilość ścieżek, schodków i podpór, a całe mrowisko podzielone jest na wiele piąter, i tak pięknie zbudowane jak najpyszniejsze kamienice w mieście. Zaś i to dziwna rzecz, iż pomimo takich dziur i wchodów, całe mrowisko tak jest dobrze zbudowane, że największy deszcz je nie przemoczy i woda do środka nie dojdzie. Niechże takiej sztuki dokaże człowiek niejeden. Jużci łatwiej zbudować chałupę i dobrze ją zbudować, mając drzewo, wapno, glinę i wszystko co potrzeba; a przecież często znajdziesz u ludzi dziury w chałupach, któremi leje się woda na kark. Któż tedy wówczas zmyślniejszy, czy człowiek czy mrówka maleńka, która do swojej budowy ma tylko grudkę ziemi a żadnych innych narzędzi oprócz nóżek swoich?

Teraz znowu zastanowić się potrzeba nad poczciwością mrówek jako rodziców. Daj Boże aby wszyscy ludzie kochali dziatki swoje i tak je pielęgnowali jak mrówki swoje młode. Kiedy już po złożeniu jajek wyjdą z nich małe gąsienice czyli liszki, więc z wielką starannością trudnią się mrówki ich wyżywieniem i pielęgnowaniem, wynoszą je w dzień na słońce a na noc znowu do mrowiska znoszą. Poczwarki te są białawe i okrągłe, a łatwo je zobaczyć kiedy mrowisko jest rozrzucone. Wtedy to dopiero krzątają się biedne mrówki, zbierają rozrzucone poczwarki i znoszą je nazad do mrowiska, aby uchronić je od jakiego nieszczęścia. Żadna matka nie narazi się tak skoro dla swego dziecięcia, jak mrówka dla swej poczwarki. Pamiętajcież przy tej sposobności, że owe białe poczwarki nie są jajami mrówczemi ale już wylęgłemi poczwarkami. Jaja mrówek są takie maleńkie i drobniutkie, jak ziarnka piasku, i ledwie dostrzedz je można.

Z tych poczwarek wylęgają się trojakie mrówki, to jest samce, samice i bezpłciowe. Samice i bezpłciowe mrówki mają żądła albo brodawki, z których sączy się ostra, kwaskowata ciecz, a ta nazywa się kwasem mrówczanym.

Z tego kwasu robi się spirytus mrówczany albo ocet, i tym sposobem mają ludzie pożytek. Zaś dla mrówek jest kwas ów bronią, i tak go one używają jak pszczoły żądeł. Kiedy na ludzkie ciało padnie ów kwas mrówczany, to sprawia czerwoną bolączkę, ale nie wielką.

Znowu poczwarki mrówek są ulubionym pokarmem dla słowików, a w mrowiskach znajdujemy także mirrę, ktorej się używa do kadzenia w kościołach. Toć wiecie, że na trzech Króli znoszą ludzie mirę do święcenia, a to na pamiątkę onej mirry, którą niegdyś ofiarowali trzej królowie nowo narodzonemu Chrystusowi Panu. Mirra tutejsza składa się z okruszyn sosnowej żywicy, która przesiąkłszy kwasem mrówczanym, w zapaleniu wydaje przyjemny i zdrowy zapach.

Insze jeszcze są pożytki z mrówek, i tak używają ich nieraz do wytępienia liszek, objadających kapustę. Wtedy zbiera się mrowiska po polach i lasach, i rozsypuje je po zagonach.

Prócz tego są mrówki jeszcze bardzo zmyślne i rozsądne zwierzątka. O ich pracowitości wie każdy, a już z tego jest nawet przysłowie: pracowity jak mrówka. Także i owe maluśkie zwierzątka mają swoje zabawy i wojny, którym warta się dobre przypatrzyć, takie to ciekawe, a o których napiszę wam obszernie w przyszłym numerku.

RÓŻNOŚCI.

List J. Mazurkiewicza. Do pisarza Dzwonka także nadeszło pisanie:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Proszę umieścić w Dzwonku tych kilka słów:

Nabożeństwo żałobne za poległych braci w bitwie z Moskalami odprawiło się d. 14 grudnia 1863 roku we wsi Woli Zarzyckiej w powiecie Leżajskim. Na zaproszenie miejscowego xiędza Stępina na to nabożeństwo, tak się lud wiejski licznie zgromadził, że aż w kościele ciżba była. Zaś podczas exekwij, na każde wezwanie, na Ojcze nasz za wszystkich poległych braci naszych, tak się lud wiejski modlił nabożnie klęcząc, że w oczach łzy widać było. W czasie nabożeństwa paliło się światło cechowe. Katafalk pięknie był ubrany, co było świec, wszystkie z bukietami, a dziewczęta wiejskie przyniosły ruty zielonej, nawiły wieńców i poprzypinały do katafalku. Po kondukcie i po Salve Regina miejscowy organista zaintonował hymn nasz święty do Pana Boga za wiarę i ojczyznę, a za nim gospodarze tameczni śpiewali, Zwłasza, Walenia, Smarzeniec, Sobota i inni, także dziewczęta, i tak chwalebnie zakończyło się nabożeństwo.

Wola Zarzycka dnia 22 stycznia 1863 rokn

J. Mazurkiewicz organista.

Przypowieść.

Ani w radzie,
Ni w gromadzie
Nigdy człeku nie osądzisz.
Bo gromada daje hart;
Lecz chcesz wiedzieć co jest wart,
Staw samego, a nie zbłądzisz;
Jeśli próby sam dotrzyma,
To go w obec wroga staw —
A kto stanie i tam praw,
Dla tego już próby niema.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.

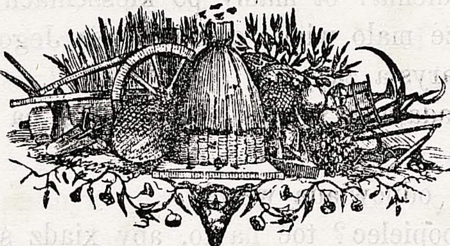
Tom X. Nr. 5.

11. Lutego 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co to znaczy Popielec?

We wsi Jedliczu koło Krosna jest szkoła parafialna, którą utrzymuje gromada pobożna razem z dworem i xiędzem. Domostwo na tę szkołę jest porządne, jak się patrzy, izba wielka z oknami, sucha i dogodna, a dzieci tam aż coś do sta, a czasem i przeniesie nad sto, a więcej dziewcząteк niż chłopaków, a to wszystko ogarnione, uczesane i pozapinane aż miło; xiądz z organistą uczą codzień sami i czytać i pisać i śpiewać, a dziewczęta okazują tam więcej ochoty do nauki, niż chłopaki. Otoż raz zleciało się tych szkolarzy do szkoły, jak wróblów do prosa i konopi, i zaczęło to śmiechy, gzy i przeróżne gadania, a jeden szkolarz Michałek, co to pytłował na każdej xiążce i dorazu przeczytał bez zająknienia wszystko pisane i wymówił bez myłki każdą liczbę, stanął sobie na środku izby i zapytał:

— A kto pójdzie do kościoła na popielec?

Na to krzyknęli szkolarze:

— O jaki mądry! on myśli, że jeno jemu wolno pójść do kościoła — toć my wszyscy chodzimy zawsze i mamy

na to okrycie, tatuś nam dali porobić kamizole, czapki, buty, płótnianki, to nam ciepło. A może on myśli, że nie mamy xiążeczek do modlenia? ot mamy po kieszeniach prawie każdy, a obrazków także mało wiele, co nam nasz Jegomość podawali.

A jedna Marysia zapytała go:

— A no gadajno! kiedyś taki mądry, na co to jest popielec?

A Michałek odpowiada wesoło:

— Na co popielec? toć na to, aby xiądz sypał popiół na głowy grzesznych ludzi.

A znowu Hanusia gada:

— Poczekajno Marysienko moja złota, ja się go o co innego zapytam, kiedy on taki przemądrzały; a dla czego to jest ten popielec?

Na to stanął Michałek jak niemy, kiwał głową, potem szukał po xiążkach i przewracał kartki i nie mógł nic wynaleźć o popielcu — aż nadszedł do szkoły na to sam xiądz, kazał zmówić paciorek, dzieci posiadały po ławkach, pokładły xiążki przed siebie, jeno jedna Hanusia obzierała się na Michałka i zawsze się coś uśmiechała.

Xiądz to zobaczył i pyta:

— Czego ty się Hanusiu obzierasz i śmiejesz?

A Michałek markotny wstał i gada:

— O proszę Jegomości, śmieje się sama nie wie z czego. Ja pytałem się, czy pójdą na popielec, a Hanusia mię zapytała na co to ten popielec? aże ja niewiem tego i szukam po xiążkach o popielcu i nie mogę wynaleźć, to ona się śmieje.

Na to odezwał się xiądz tak:

— Prawda moje dzieci, że blisko popielec, i pójdziecie do kościoła — ażebyście zaś wiedziały dokumentnie, to wam opowiem.

Popielec jest najpierwszy dzień wielkiego postu — jestto post, przezwany popielcem od tego święconego popiołu, co xiądz po mszy posypuje na głowę każdemu. Ten popiół jest znakiem żalu wielkiego za grzechy, jest znakiem wielkiej pokuty, a potem jest on nam nauką i przypominkiem, że nasze grzeszne ciała rozsypią się po śmierci na proch, podobnie jak ten popiół

święcony. Wszak wiecie dziatki, jakto ukarał Bóg grzesznego Adama i Ewę jego żonę?

Na to powiada Michałek:

— Za grzech wygnał ich z raju, kazał im pracować na życie w pocie czoła, kazał im w takiej biedzie żyć zawsze pobożnie, i bać się Boga sprawiedliwego i nie grzeszyć więcej, aby na nich coś gorszego nie przyszło, a potem powiedział im: Jesteście gresznym prochem i w proch się obrócicie.

Na to xiądz powiada:

— To powiedział Bóg o naszych ciałach, i tak się dzieje z nami wszystkimi: czy król, czy pan, czy xiądz, czy gazda bogaty, czy sługa lub dziaduś biedny, to wszystko ziemia jednaka za życia, a na cmentarzu to proch jednaki. Jeno dusza nasza nie jest prochem, ona jest niebieskiem stworzeniem tak jak święci Anieli, i ma wiele podobieństwa do samego Boga. Dla ciała naszego jest największą biedą głód, bolenie, choroba i śmierć, a dla duszy naszej jest znowu ostatnią biedą, gdy kto nie ma rozumu dobrego, gdy się Boga nie boi, gdy ma grzechy na sumieniu, i nie pokutuje za nie, lub gdy ją Bóg pośle do piekła na wieczne potępienie. Oto największa nędza dla człowieka! Otoż i dusza czy to króla, czy pana, czy xiędza, czy gazdy bogacza, czy sługi lub ostatniego dziadka, jest stworzeniem Boga i pójdzie bez ratunku na marność i zagubę, jeżli człowiek sam o nią nie podba, jeżli ona z Bogiem nie idzie jednaką drogą, jeżli Boga nie usłucha lub zapomni o tem, że ciało musi pójść w proch na cmentarzu, a dusza powinna zajść do nieba, choćby jej przyszło cierpieć niewiedzieć co. Dla ciała jest ta ziemia, a dla duszy to wysokie i gwiazdziste niebo.

Otoż widzicie dziatki! ciała nikt już na świecie bożym nie uratuje od śmierci i od prochu, ale duszę naszą może każdy uratować od zguby i potępienia. Ciało uratuje każdy od głodu, zimna i biedy, jeżli będzie w pocie czoła pracował, ale bez szkody i krzywdy niczyjej i bez obrazy Boga; ciało uratuje każdy od ciężkiej choroby, jeżli będzie wstrzemięźliwie jadł i pił, i uważał na swoje zdrowie, to jest w naszej mocy i to nam nakazuje Bóg. I duszę naszą uratuje sobie każdy

od zaguby, jeżli się będzie wszystkiego uczył dobrego, jeżli nabędzie rozumu wiele i jeżli nie zrobi nic złego, a znowu narobi sobie najwięcej dobrego. Otoż ten święcony popiół jest ludziom przypominkiem, jakto Bóg kazał od początku świata pracować rękami i nogami na życie, i jakto on kazał znowu pracować i głową i sercem na zbawienie duszy. Ten święcony popiół jest ludziom nauką, że ciało, chleb, odzienie, pieniądze, zabawy i mitręga i życie ludzkie, to proch i popiół, bo to zostawia każdy na ziemi, a najdalej bierze z trumną na cmentarz i tam wszystko idzie w ziemię i proch jednaki; a znowu nauka, rozum dobry, życie pobożne i wszystkie uczynki i postępki ludzi idą na tamten świat do Boga, aby niemi żyła sobie w zbawieniu wiecznem nasza dusza; ten święcony popiół jest przykazem, abyśmy nigdy nie robili ciężkich grzechów, boby nas tak ukarał Bóg sprawiedliwy, jakto zrobił Adamowi i Ewie; ten popiół święcony jest nam nauką, że ciało mamy od ojców, a duszę od samego Boga, że życie nasze mamy za darmo na ziemi, że możemy mieć i chleb i pieniądze nie raz darmusienko, ale nieba nie dostąpimy nigdy przenigdy durniczkami, lub po próżnicy, jeno musimy go sobie ciężko wysłużyć: pracą dobrą, modlitwą, postem, jałmużną, łzami, pokutą, poprawą, nauką i dobrem życiem i zasługami.

A Michałek zapytał:

— A jak dawno jest ten popielec na świecie?

Xiądz na to:

— Odkąd wygnał Bóg z raju Adama z Ewą, odtąd byli oni grzesznikami; kiedy co zgrzeszyli, to się udawali do Boga z prośbami, a Bóg darował; a jeżli zapomnieli o Bogu i o poprawie, to przepadali na wieki. Na znak poprawy i pokuty nosili ludzie suknie czarne z włosienia, mieli włosy nieczesane i popiołem posypane, ani jedli ani pili tak długo, dopóki nie doznali od Boga zmiłowania jakiego. Tak samo robili i chrześcianie. Oto w pierwszy dzień wielkiego postu schodzili się oni przed kościoły, aby tu pokutę widoczną odprawiać, i nie wstydzili się pokuty, jak nie wstydali się grzech jaki zrobić. Wszyscy stawali przed kościołem, czy miał kto grzech jawny czy utajony, czy też z pokory i skruchy, z pobożności. Stali

koło wielkich drzwi kościoła boso, w czarnem ubraniu, a gdy do kościoła weszli, to klękali, albo krzyżem legali i płacząc prosili Boga o odpuszczenie winy, a biskupa swego o rozgrzeszenie i modlitwę. Biskup żegnał ich i rozgrzeszał ze łzami, a po modlitwie odczytanej podawał im popiół na miseczce, a oni sypali sobie ten popiół na głowy, i odziewali się w suknie pokutne. Potem klękał biskup przed ołtarzem i odmawiał z ludźmi psalmy pokutne, a znowu xięża chodzili między ludźmi i kładli na ich głowy ręce nito na znak, że są już oczyszczeni. Biskup miał potem kazanie, a gdy mówił jakto Bóg wygnał z raju Adama i Ewę na świat daleki nito na pokutowanie i na odszukanie drugiego nieba, to wtedy wstawali ludzie i wyszli z kościoła na tak długo, jak długo mieli pokutę naznaczoną, A xiądz stał przy progu kościoła i mówił na cały głos: W pocie czoła będziecie pożywać chleb wasz — jesteście prochem i w proch się rozsypiecie. Otoż widzicie dziatki! ten popielec to bardzo dawny. I dziś mamy popielec, jeno xiądz ma mszę świętą w ten dzień, potem poświęca popiół upalony z tej palmy i gałązek, które na palmową niedzielę xiądz poświęcał, a po mszy sypie ten popiół ludziom na głowy i mówi: Z prochuś powstał i w proch się obrócisz.

A Michałek zapytał:

— A czemuto dziś tak ludzie nie pokutują?

Xiądz mu na to:

— Dziś tak nie pokutują, bo są gorsi daleko niż byli tamci. To też między dawnymi ludźmi było bardzo dużo świętych, nawet i chłopów i mieszczan, a dziś nie dopytasz się nigdzie o tak pobożnych i świątobliwych ludzi, a jeźli gdzie są, to do utrafu wielkiego. Na popielec mało kto dziś w kościele, bo w szalone dni nie śpi niejeden po nocach, jeno rozpustuje, a na popielec spoczywa i choruje.

Ale wy dziatki kochane! uważajcie sobie to życie jako ciągłe pokutowanie, jako robotę na niebo wasze i drugich ludzi, unikajcie zbytku w jedzeniu i piciu, i szanujcie zdrowie i siły, abyście mogły tem więcej dobrego robić jak wyrośniecie i wyuczycie się na ludzi; unikajcie grzechów jak ognia piekącego, a jeźli się komu noga potknie i zrobi co złego niespodzianie,

to żałujcie zaraz i pokutujcie, a Bóg wam daruje — a uczcie się w szkole, w domu i kościele, abyście byli potem mądrymi i pobożnymi gazdami w gromadzie, abyście byli dobrymi Polakami i służyć mogli krajowi polskiemu ku szczęściu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

PIESN
do Matki Boskiej.

Bądź pozdrowiona Panno nieskalana!
Pani wszechświata! — Matko ukochana!
Bądź pozdrowiona od morza do morza,
Królowo Polski! o zaranna zorza!

Bądź pozdrowiona w całej naszej ziemi!
Gdzie Cię lud Matką i Królową mieni:
Od Ostrej Bramy aż do Poczajowa,
I Częstochowy, Leżajska i Lwowa.

Bądź pozdrowiona Królowo tych ziemi,
W których się naród dziećmi Twemi mieni;
Bądź pozdrowiona ich łzami, mękami,
Ich wiarą w Ciebie i ich westchnieniami.

Bądź pozdrowiona; w Tobie wszechmoc Boga!
Broń nas od nieszczęść, niewoli i wroga,
A gdy nam godłem cierniowa korona:
W cierniach i w mękach bądź nam pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona wszystkiemi pieśniami,
W których Cię wielbim o Królowo! Pani!
Bądź pozdrowiona w każdem naszem tchnieniu,
W prześladowaniach — i w całem istnieniu!

Bądź pozdrowiona w całem chrześcijaństwie!
Przez sług Chrystusa — i w jego kapłaństwie,
Dodaj duchownym siły, mocy, woli;
By swe owieczki wspierali w niedoli!

Bądź pozdrowiona! daj w mękach wytrwanie,
Daj silną wiarę! o! daj zmiłowanie!
A gdy z nas któren na krzyżu dokona
Za wiarę ojców: Bądź nam pozdrowiona!

Tarnów dnia 12 grudnia 1862 r.

L. Majewski.

Legenda o Kindze świętej, królowej polskiej.

Będzie już temu ze sześć setek lat, jak ci ni z tego ni z owego spadła po raz pierwszy czereda Tatarów niby szarańcza do kraju naszego, a było to właśnie za panowania króla Bolesława Wstydliwego, który miał za żonę ś. Kunegundę czyli Kingę, córkę Beli, króla węgierskiego.

Kędy przeszli poganie, szczezło zboże na łanie, wsie i miasta w płomieniu, a bezbronni ludziska w krwi własnej strumieniu. Kto chciał życie ocalić, ten uciekał zawczasu przed tem dzikiem plemieniem do lasu, a całe swoje mienie zostawiał Tatarom na zniszczenie. I tak owe przywłoki gdzieś tam z rodu Moskali, szli ci dalej i dalej, i coby wszystkich przemienić w żebraków, chcieli także zrabować i Kraków. Na dworze u króla zebrała się rada, co tu robić wypada; czyli czekać i bronić się, czyli uciekać i przed napaścią się chronić. Długo, długo radzili, aż się wreszcie wszyscy na to zgodzili, aby się król z królową na jakiś czas do Węgier schronili.

Ano za taką namową, król się wybrał z królową, i uchodził do swego teścia Beli IV, króla węgierskiego. Jak się zdawało, tak się i stało: wnet Tatarzy przybyli, cały Kraków złupili, a potem się dalej za królestwem w pogoń puścili.

— Co my teraz poczniemy? chyba się gdzie skryjemy, albo razem zginiemy, boć nas już doganiają poganie, a do Węgier my uciekną nie w stanie, bo do tego jeszcze na drodze i kopno i błotno, rzecze król do królowej markotno.

— Poczekaj mój mężu i panie, nic się temu nie stanie, kogo pan Bóg w łasce swej chowa — rzeknie święta królowa;

i wnet gródkę ziemi podejmie i rzuci, a z tej gródki powstają wysokie góry Tatry aż pod obłoki, i pogańskie hamują kroki. Potem wstążkę niebieską od sukni odepnie, i na ziemi ją kładnie, a z niej rwiąca rzeka Dunajec powstaje, i Tatarom na zawadzie staje. Idą znowu mil parę, a gdy Tatarów usłyszeli już blisko, wtedy święta Kinga rzuci laskę na ziemię, a ta wielkim lasem się staje, i znowu na czas jakiś ich zasłoni przed napaścią tatarskiej pogoni.

Jedzie król z dworzanami dalej taj jedzie, a królowa na przedzie, aż tu wedle drogi, sieje sobie żyto chłopek ubogi, a królowa go mile pozdrowi:

— Szczęść wam Boże człowiecze!

— Bóg wam zapłać — chłopek odrzecze, a oddawszy królestwu niskie ukłony, zapyta zdziwiony, co Was tu miłościwe państwo zagnało w te strony?

— Oj miły człowiecze — królowa odrzecze — ćma Tatarów za nami się wlecze, a gdy się bronić nie możemy, toć się przynajmniej z życiem przed nimi ratujemy. W ślad za nami i oni wnet tu przybędą wielką zgrają, a gdy was się spytają, kiedyśmy tędy przechodzili, to im odpowiedzcie po prawdzie i śmiało: ot wtedy właśnie, kiedy to żytko się siało.

Ledwie królestwo odjechało, aż tu naraz o dziwo, ledwie wieśniak powlekł broną, rola się staje zieloną, zboże kiełkuje, rośnie, dojrzewa, jakby już sprawiedliwe nastały żniwa, a kiedy w parę godzin tatarska nadciągnęła drużyna, wieśniak już sierpem żyto ścina.

— Ano ty psie chrześcijański — zawoła na chłopka wódz pogański — czy dawno tędy królestwo jechali?

— Wtedy panie właśnie, kiedy to żytko się siało — odpowiada wieśniak rezolutnie i śmiało.

— No to już ich teraz nie dogonię, bo licho wie w której są już stronie — mruknął Tatar w czarnej zbroi, zaczął kląć na czem świat stoi, i w przeciwną udał się stronę, pełen gniewu i złości, a królestwo dostali się niebawem do Węgier w całości.

Zaś od tego czasu rola owa była błogosławiona; bo choćby w całej okolicy ziarno wygniło, albo słońce zasiew opaliło, to

na owej roli wszelkie zboże się rodziło: pszenica i żyto na tej skalistej ziemi przerastało chłopa, a takie namłotne, że nie podniósłbyś człecze jednego snopa, i temu też po kilka korcy wydawała kopa.

I tak przez długie trwało to wieki, a teraz się wszystko zmieniło, boć i między owymi ludźmi wiele dobrego ubyło.

Znikła dawna miłość ku ojczyźnie, przychylności i zaufania ku panom, a nawet i zgoda wzajemna, a natomiast wkradła się nienawiść nikczemna, lud niema bojaźni przed Bogiem, a dla własnego pana i dobrodzieja stał się wrogiem, a za mizerny grosz to brat brata w ręce wyda kata; oj bieda teraz, wielka bieda!

Toć też i teraz na tej błogosławionej ziemi zaledwie oset i zielsko porasta, a jeżeli się już dobrze powodzi, to na owej pszennej roli zaledwie się lichy owies zrodzi, i ot oczywiście Bóg nas karze, taj karze, bo jeszcze ciągle zostajemy z sobą w kłótni i swarze. Serce mi się krajało, kiedym zwiedzał koło Kościelca, Ludziemierza te górzyste strony, i widział ten lud dawniej zamożny, a teraz nędzny, zbiedzony, a kiedy dawniej zajadał chleby pytlowane, to mu teraz zaledwie stać na placki owsiane.

Oj dałby pan Bóg miłosierny, żeby już raz to wszystko się zmieniło, co pewnie nastąpi, niech jeno każdy rzetelnie dawne cnoty w sercu swem chowa, czego wam i sobie życzy

Jacenty z Magierowa.

Piękne przykłady.

Chrzestni kumowie.

Jest w Bocheńskim cyrkule wieś Dołęga, w której zamieszkują bardzo zacni i dobrzy państwo, zaś i lud tameczny z małym tylko wyjątkiem jest bardzo prawy, poczciwy i pobożny — w każdym właśnie domu umieją dziatki czytać, a rodzice wszelkich sposobów i okazyj pilnują, aby dziatki ich nauczyły się czegoś i do rozumu przychodziły. Ale najgło-

wniejszą przyczyną tego jest dobra pani we dworze, która całem sercem zajęła się nauczaniem i oświecaniem tamecznych wieśniaków. Już trzecia zima jak zaprowadziła u siebie szkółkę dla dzieci wiejskich, płaci nauczyciela do tego, więc też i sama przy licznych zatrudnieniach swoich codzień parę godzin w tej szkółce przepędzi. Dlatego włościanie uwielbiają i kochają tę panię jako matkę i opiekunkę, bo też i mają za co. W czasie jakiejś niedoli lub choroby sama pospiesza do chaty włościan, ciesząc i ulgę czyniąc cierpiącym — i często w razie niebezpiecznej choroby posyła o parę mil na swe koszta po lekarza, i wielu już jej winno swe uzdrowienie. Tą panią dobrą jest pani Ginterowa dziedziczka na Dołędze. Ta pani, gdy się jej przed rokiem urodził synaczek, nie szukała chrzestnych ojców dla dziecka w sąsiedzkich dworach, ale zaprosiła 6 par najporządniejszych włościan ze wsi. Radość była patrzeć w kościele na ten piękny obrzęd, gdzie gospodarze i gosposie trzymały pańskie dziecko do chrztu z wielką radością i uciechą. A że to był dzień świąteczny, mnóstwo ludu przypatrując się temu zbliżeniu się państwa do włościan, rozrzewnieni zostali. Wielu mówiło: toć to państwo nami nie gardzą, nas kochają, i nam dobrze życzą, przecież ci to źli ludzie byli, co nas buntowali przeciwko panom. Po obrzędzie chrztu św. była we dworze uczta, ale rozumie się dla chrzestnych ojców głównie zastawiony był stół obficie kołaczami, wędliną, kiełbasami, było także wino i piwo, i byłać to zabawa bardzo wesoła; każda para swe uczucia wynurzyła dla dobrej pani i dla dziecka, tak że obecni goście do łez poruszeni byli. Ale też i państwo nie odmówią, jeżeli który ojciec przyjdzie prosić w kumy, obdarzając w tym razie dziecko podarkami.

Piękny prawdziwie przykład do naśladowania!

Xiądz Paweł U....

O budowlach angielskich.

Zapewnie słyszeliście już mili ludkowie o przemyślności i rozumie Anglików, któryto naród mieszka także w Europie, ale

jest przegrodzony kawałkiem morza. Otóż z kraju angielskiego do Europy trzeba zawsze okrętem przyjeżdżać, co jużci jest rzeczą niewygodną, bo lądem zawsze i prędzej i bezpieczniej. Otóż owi Anglicy, którzy są strasznie rozumni i sztudery ogromni, i pracowici jak rzadko na świecie, postanowili teraz zaradzić temu, i wybudować sobie most przez morze, tak żeby z ich kraju do Europy można tym mostem przejechać. Wybrali więc sobie miejsce, gdzie morze jest najwęższe, bo ma tylko cztery mile szerokości, i tam będą ów most budować. Może niejeden z was uwierzyć nie zechce, aby coś takiego stać się mogło, i aby można zbudować coś tak ogromnego, jak most na cztery mile. Przecieć tak jest. Zaś owo budowanie ma się dziać takim sposobem. Zmurują najpierw 160 wież w morzu, a każda wieża będzie mieć 300 stóp kwadratowych na spodzie, a 150 stóp u góry. Na tych wieżach dopiero jak na palach będzie most zbudowany, a przez niego będzie szła kolej żelazna. W nocy cały most będzie oświetlony gazem, aby żeglarze z daleka widzieli, i aby okręt jaki nie wjechał na którą wieżę.

Zaś całe owo budowanie ma kosztować ogromne pieniądze, bo 30 milionów funtów szterlingów, czyli tysiąc dwieście milionów złotych, gdyż funt szterlingów czyni 40 złotych. Za tę sumę ma się wybudować most za trzy lata.

Kiedy wam o tem piszę, zaraz mi się widzi, że niejeden głową pokiwa i uśmiechnie się jakby na bajki. Ależ tak nie jest mili bracia, a na przekonanie opowiem wam nieco o innych takich sprawach w Anglii.

W kraju tym jest miasto stołeczne Londyn, a to już największe prawie miasto w Europie, gdyż mieszka w niem aż dwa miliony ludzi. Jakie tam okrótne domy, pałace, kamienice, kościoły i wieże, tegoby nie spisał na wołowej skórze, i to wszystko jeszcze furda. Lecz mają tam w mieście mnóstwo kolei żelaznych, a wiele kolei zbudowanych jest nad domami i kamienicami, w górze jakby zawieszone w powietrzu.

Znowu jest tam rzeka, co się zwie Tamiza. Otóż że Anglikom niewygodnie było przez rzekę przechodzić, a most miałby zawadzać okrętom, wiec zbudowali sobie most pod

rzeką, którędy można bezpiecznie przechodzić z jednej części miasta na drugą.

Takito zmyślny i pracowity jest naród angielski. Żeby najtrudniejsza praca nawet, to oni się zaraz do niej wezmą, i jużci udać im się wszystko musi. Tym sposobem przyszli oni do tego, że są najhandlowniejszym narodem na świecie, także przemysł u nich największy, fabryk różnych niezliczona moc, a już nigdzie nie znajdziesz takich dobrych fabryk jak tam. Więc zostali także najbogatszym narodem, i niejeden kupiec u nich taki znaczny i bogaty pan, że zakasowałby niejednego małego monarchę niemieckiego. Otóż widzicie, do czegoto prowadzi przemysł i praca.

Mrówki.

Mrówki żyją między sobą najczęściej w miłości i zgodzie, jednakowoż nieraz bywają i wojny między niemi bardzo ciekawe, co się dzieje takim sposobem. Kiedy się one zanadto rozmnożą, więc wyganiają się i wytępiają, ale nie robią to sztukami lisiemi i podejściem jak inne owady, jeno otwarcie i walecznie biją się jak dzielni żołnierze. W takiej wojnie walczą nawet najmniejsze mrówki, których się wnet znaczna liczba czepia do nóg większych, kręci z niemi w koło i przeszkadza im uciekać. W czasie bitwy są one okrótnie odważne, i dozwolą sobie prędzej nogi poobrywać, niżby miały ustąpić.

Kiedy większe mrówki, które są brunatne, napadną na mniejsze, czerwone, wtedy te mniejsze bronią się zażarcie. Jużci mimoto najczęściej zostaną mniejsze pobite, a wtedy wynoszą się one ze swego mrowiska na 50 stóp, i zabierają ze sobą wszystko, co im może być przydatne. Po drodze zostawiają na straży małe oddziały mrówek, a kiedy się do tych zbliży większa mrówka, to ją one zaraz aresztują. Więc jedna wskakuje jej na kark, okręca się około głowy, i zlewa ją kwasem, a także mocuje się z nią. Zaś inne przychodzą jej na pomoc, i albo zagryzają większą mrówkę, albo ją biorą w niewolę.

Znowu wielkie wojny prowadzą się tak między niemi.

Z dwoch kopców, które są o 100 kroków od siebie oddalone, wychodzą naprzeciw siebie dwa wojska mrówek tak ogromne, że zajmują drogę na dwie stopy wszersz, i kiedy zbliżą się do połowy, zaczynają walczyć między sobą. Mocują się najwięcej pojedyńczo, i zawsze stara się jedna drugą zawlec do niewoli.

Zaś samo pole bitwy ma trzy stopy kwadratowe, to jest wszersz i wzdłuż, a czuć tam ogromnie kwas mrówczany, któren mrówki wytryskują na siebie. W około leżą trupy, a znowu całe gromady mrówek, trzymając się za nogi i głowy albo stoją i ruszyć się nie mogą, albo tak pozagryzają się na śmierć.

Cała wojna zaczyna się tym sposobem, że dwie mrówki wychodzą z otwartemi pyszczkami, staną naprzeciw sobie i pryskają na siebie kwasem. Potem biorą się za łby, jak to i u naś czasami ludziska umieją, najbardziej po pianemu, i tak mocują się okrutnie, aż trzecia mrówka nadbiegnie i rozsądzi sprawę. Jednakowoż najczęściej zbiega się ich tam mnóstwo, i przyczepia nogami do nieprzyjaciela, tak że nieraz 6 albo 10 mrówek trzyma się jednej. Pod noc zawsze obydwa wojska wracają do domu, i zostawiają na miejscu bitwy trupów, a jeno jeńców pobranych w niewolę zabierają ze sobą.

Na tem się jednakowoż wojna nie kończy, i skoro świt, znowu oba wojska wychodzą przeciw sobie, i na nowo bójkę zaczynają. Wtedy biją się już tak zawzięcie, że i miejsce bitwy rozszerzają sobie do 6 stóp. Około południa zazwyczaj już jedno wojsko zaczyna zwyciężać, a wtedy posuwa się ku mrowisku nieprzyjaciela. Maleńkie te stworzenia są naonczas takie rozjadłe, i tak im jeno bójka się patrzy, że choćby im kto wtedy i przeszkadzał, już go nie obleżą. Także dziwnem jest bardzo, że się mrówki zawsze poznają, to jest te, co są z jednego kopca czyli mrowiska. Kiedy się w czasie bitwy zejdą dwie takie mrówki, więc nie napadają na siebie, ale się głaszczą wąsikami czułemi, które im służą zamiast oczu i zwą się macki.

Zawsze jednak choć jest najokrótniejsza wojna, nie ustaje w mrowisku robota ani na chwilę, i kiedy jedne mrówki się biją, drugie znowu idą w las i żbierają pożywienie, albo jeńców ciągną do domu.

Takie są wojny między mrówkami jednakiemi. Kiedy zaś wydarzy się, iż mrowki brunatne mają się bić z czerwonemi, idzie wojna tym sposobem.

Mniejsze, to jest czerwone, czekają na większe niedaleko swego mrowiska w małych kupkach, a potem kupkami jakby żołnierze w szeregach ściśniętych napadają na każdą większą mrówkę, która się nieco od swoich oddali, i zaraz ją biorą do niewoli. Dlatego to obydwa wojska sadowią się w zasadzkach, aby drugich napaść niespodziewanie. Ale kiedy większe mrówki idą wprost do bitwy, posyłają mniejsze wnet gońca do mrowiska, i proszą o pomoc, a tak w jednej chwili ogromne wojsko wypada z bramy, i otacza pojedyńcze hufce nieprzyjaciela. Wojna taka trwa nieraz cały tydzień, i codzień się odnawia, a to jeżeli mrowiska niedaleko siebie leżą, i jeżeli z drugiemi często się spotykają, idąc w las po pożywienie.

Oprócz wojen są także różne zabawy między mrówkami, najbardziej między brunatnemi. Kiedy dzień jest pogodzy, widzieć można nieraz tłumy mrówek, jak się szybko na kopcu poruszają. Każda trzepie okrótnie mackami, to znowu głaszczą się łagodnie po głowie nóżkami przedniemi, albo ustawiają się parami i mocują ze sobą, przewracają itp. Potem znowu obejmują się pyszczykiem za szyję albo z tyłu, jednakowoż nie tryskają na siebie kwasem, i nic złego sobie nie robią. Znowu potem puszczają się, dopadają drugich aby się z niemi pasować, i tak zabawnie bawią się ciągle.

Zabawy te widać doskonale na takich mrowiskach, które mają dogodne położenie, i są blisko pożywienia lub wody, także kiedy są bezpieczne od innych mrówek.

Czasami znowu widać na kopcu mrówki, które się kręcą w około przez dwie lub trzy minuty, jakby miały zawrót. Wnet jednakowoż pędzą do drugich, chwytają je za nogi lub za macki, i puszczają znowu aby biegnąć do innych. Także

bawią się między sobą jak psy, czają się, wykręcają aby się niedać złapać, udają że chcą kąsać, przewracają itp.

Takie to są zmyślne owe malutkie stworzenia. Warto zapamiętać o tem i pomyśleć sobie, że człowiek, kiedy jest nieukiem, mało co więcej rozumu ma od takich nawet zwierzątek, a już zmyślności tyle pewnikiem mieć nie będzie. Warto także brać sobie nieraz przykład z takich zwierzątek, najbardziej z pracowitości mrówek. Żeby ludzie byli tak pracowitymi, toby okrótne zbierali majątki, i biedactwa między nimi nie byłoby pewnikiem.

A już naostatek przyjdzie każdemu na myśl wszechmoc pana Boga i mądrość jego, który tak pięknie świat urządził, że i najmniejsze zwierzątko ma swój rozum i swoją ciekawość, że wszystko co jest, ma swoją potrzebę i przydatność.

Niech wam więc moi mili będą mrówki dobrym przykładem pracowitości, której pan Bóg żąda od ludzi, a której nam najbardziej zawsze potrzeba.

Rady gospodarskie.

Sposób przyrządzania do siewu zboża tak, aby zasianych ziarn ani robaki ani ptaki nie zjadały.

Czytałem niedawno w gazetach, że pewien gospodarz angielski wynalazł taki doskonały na to sposób, iż dostał w nagrodę medal złoty. Zaś i to piszą, że nasienie które się tym sposobem przyrządzi, schodzi także daleko łatwiej. Otóż podaję wam ten sposób, bo nigdy nie zawadzi spróbować co dobrego.

Sposób ten jest bardzo prosty. Bierze się drewniane naczynie, napełnia wodą, i na każdy garniec wody rozpuszcza się ćwierć funta wątroby siarczanej, którą w aptece sprzedają pod nazwaniem „*hepar sulphuris.*“ Kiedy się już ona rozpuści, należy w tej wodzie moczyć ziarno przez godzinę, potem osuszyć i już siać gotowe.

Ziarno takie wschodzi prędko i bujnie, a żaden robak ani ptak nie ruszy je, ponieważ przez moczenie w onej wodzie

nabiera ziarno bardzo przykrego zapachu, którego ptaki i robaki znieść nie mogą.

Abyście zaś mili bracia nie myśleli, że ten sposób jest bardzo kosztowny, i że nie każdy może go używać, to wam powiem że wątrobę siarczaną może sobie każden gospodarz przyrządzić w domu, i to bez wielkich kosztów. Choć tam naostatek i coś kosztuje ta sprawa, to zda mi się warto odżałować, bo już jest pewność, że robactwo nie powyjada ziarna i nie zgubi tym sposobem całe żniwo ,jak się czasami zdarza, o czem wiedzą najlepiej wszyscy starsi gospodarze.

Otóż można łatwo przyrządzić wątrobę siarczaną tym sposobem. Bierze się kwiatu siarczanego część jedną, potażu dwie części, ale ten musi być dobrze wyprażony i na proszek utłuczony; potem miesza się to oboje dobrze i sypie w nowy, niepolewany garczek, tak żeby zapełnić trzy części garczka, a reszta aby była próżną. Garczek nakrywa się dobrze, stawia między węglami i tak długo tam trzyma i ogrzewa, aż mięszanina stopnieje i płynną będzie. Wtenczas wylewa się masa na kamień, wysmarowany olejkiem migdałowym, a gdy ostygnie, utrzeć ją trzeba na proszek, wsypać do butelki, dobrze zatkać i do użytku przechować.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo. Z Alwerni pod Krakowem przyszedł taki list do pisarza Dzwonka:

Dnia 22 stycznia było u nas nabożeństwo bardzo piękne i wystawne. A juści właśnie rocznica była temu, jak nasi bracia w królestwie Polskiem zaczęli wojnę z okrótnym moskalem. Więc modlono się najpierw za wszystkich, co w tej wojnie polegli, a potem z prośbą do Pana Boga, aby się raczył zmiłować nad naszą polską Ojczyzną. Ludzi był tłum ogromny z całej okolicy, więc panów i włościan mnóstwo, a także xięży wielu bardzo. Zaś kościół był przybrany zielenią, i moc okrótna światła gorzała, a znowu śpiewy były bardzo śliczne. Naostatek zbierano składki na rannych braci naszych, i uzbierano grosz bardzo piękny, który odesłaliśmy gdzie należy.

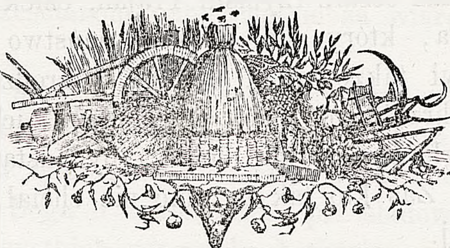
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 6.

21. Lutego 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty biskup Ignacy.

Pamiętacie zapewne mili bracia ową historyę z biblii świętej, iż kiedy Chrystus Pan żył na ziemi, przyprowadzono do niego pewnego razu małe dziateczki, aby na nie ręce włożył, modlił się i błogosławił. Naówczas uczniowie łajali dziatki. A Chrystus rzekł im: Dopuśćcie dziateczkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im, albowiem takowych jest królestwo niebieskie. Zaprawdę powiadam wam, ktokolwiek nie przyjął królestwa bożego jako dzieciątko, nie wnijdzie do niego.

Otóż między temi dziećmi, które pan Jezus błogosławił, był także święty Ignacy, podówczas maleńki chłopaczek.

Zaś kiedy dorósł, został uczniem świętego Jana apostoła. Potem był bardzo zacnym mężem i xiędzem, kochał się bardzo w czystości, był dziwnie stałym w wierze świętej, i został nakoniec biskupem w Antyochii. A kiedy okropne prześladowania zaczęły trapić chrześcian i kościół boży, święty Ignacy modlił się do Boga o zlitowanie, umacniał i chronił swoje

owieczki, aż nareszcie sam zginął po męczeńsku za wiarę świętą tym sposobem.

Był podówczas cesarz rzymski Trajan, człek bardzo możny i wielki monarcha, który miał większe państwo jak car moskiewski, ale był także człek okrótny i srodze nie cierpiał sprawiedliwych chrześcian. Otóż prześladował ich wszystkiemi sposobami, i ciągle zmusić ich chciał, aby odstąpili Chrystusa i wiary świętej. Zaś kto tak uczynić nie chciał, tego męczyć kazał najokrótniej.

Naówczas pomyślał sobie święty Ignacy: Jeżeli cesarz tak dalej będzie męczył chrześcian, to wielu ulęknie się i odstąpi wiary świętej. Otóż pójdę do niego, dam się sam umęczyć, a tym sposobem lud ochronię. Pomyślawszy tak, poszedł do cesarza.

Rzeknie cesarz do niego:

— Ktoś ty jest zły duchu, który prawa nasze przestępujesz, i namawiasz innych, aby się dali męczyć i ginęli okrótnie?

Zaś prawa one nakazywały, aby się kłaniać bałwanom a wyrzec świętej religii. Więc odpowie święty biskup:

– Jestem sługa Boży a nie zły duch, albowiem wiara święta odegnała złe duchy od sług bożych.

Zapyta cesarz:

— A któż jest podług ciebie sługą bożym?

Odpowie biskup:

— Ten co nosi Chrystusa w sercu.

Na to cesarz:

— A więc ty nosisz w sercu Chrystusa?

Biskup odrzekł:

— Noszę go, albowiem napisano stoi w piśmie świętem: Będę mieszkał i przechadzał się w nich.

Naówczas wydał cesarz okrótny wyrok na świętego biskupa, a to aby go okuć w kajdany i zaprowadzić do Rzymu, zaś tam rzucić na pastwę i na pożarcie dzikim zwierzętom.

Droga z Antyochii do Rzymu jest bardzo daleka, więc prowadzono świętego Ignacego dłużej niżeli rok cały. Po drodze nauczał on wszędy lud, umacniał go w świętej wierze, zaś sam

cieszył się bardzo na swoją śmierć męczeńską, iż tym sposobem stanie się godnym Chrystusa Pana, i da dobry przykład wszystkim chrześcianom, aby chętnie za wiarę świętą śmierć ponosili.

Kiedy już stanął w Rzymie święty Ignacy, wyszli przeciw niemu chrześcianie pełni smutku, iż taki mąż zacny szedł na śmierć. On zaś napominał ich ciągle i nauczał, modlił się za kościół, prosił Boga o zakończenie prześladowania i o wzajemną miłość wszystkich wiernych chrześcian.

Naostatek rzucono go dzikim zwierzętom, które natychmiast pożarły świętego.

Wnet potem cuda się działy za jego przyczyną, a już na wieczne czasy mają chrześcianie ztąd przykład dobry i naukę, jak należy stać mocno przy świętej wierze, i nie lękać się za nią żadnej kary, żadnego cierpienia, a nawet śmierci męczeńskiej.

Czemu tak smutno?

— Czemu tak smutno mruczysz potoku?
— A czemu bracie łza w twojem oku?
— Strumyku luby po ojcu płaczę,
Co mi na ręku skonał z rozpaczy.
— A ja się smucę bracie mój młody,
Bo krwią zbroczone czyste me wody.
— Lecz gdy w Wiślane wejdziesz raz fale,
Toć się już skończą twe jęki, żale?
— O mój kochany, co ci się marzy!
Fala Wiślana także się skarzy —
Wszak krwią zbroczone królowej wody
I ona jęczy bracie mój młody!

— Czemuż ty brzózko taka zgarbiona?
Milcząca, blada i zasępiona?
— A czemu bracie tyś taki blady?
— Bo dla mej duszy niemasz już rady!
Matka mi zmarła po ojca skonie
Temuć rumieńcem lice nie płonie.

*

— Gałązki moje, słuchaj mój drogi,
Na bratnie męki złamał wróg srogi,
I smagał niemi tak długo ciało
Aż się w kawałki nie rozszarpało.

— Czemuż słowiczku śpiew twój tak rzewny,
Jakby głosowi memu był krewny?
— Głos twój podobny, równy mej pieśni,
Bośmy w niewoli obaj rówieśni;
Trele wesołe spłoszył jęk bratni,
Okropny jęk to — bogdaj ostatni!
Wesołą piosnkę na zawsze zgłuszę,
Wszak ja mam czucie, mam bracie duszę!

— Czemuż ty chmuro taka czerwona
Nad naszą biedną zwisłaś krainą?
— Jam z ziemi polskiej bracie zrodzona
A na tej ziemi strugi krwi płyną!

Czemu tak smutno jak w mojej duszy
Na ziemi naszej — w polskiej krainie?
Jęk zewsząd leci, trwoży i głuszy,
Fala czerwonej zewsząd krwi płynie!
Ach ziemio moja, ojców mych matko,
Ludu bożego odwieczna chatko,
Tyś taka smutna! cała w żałobie!
Bo twoją wolność złożono w grobie!

Grzela z Waszkowiec.

Piękne przykłady.

Szkoła w Grodzisku i Grodziszczanie.

Do pisarza Dzwonka przyszedł taki list od Stanisława Pysza z Grodziska:

Dziękuję Wam moiściewy za wydrukowanie pielgrzymki do Częstochowy. Teraz was bardzo pięknie proszę o wydrukowanie odpowiedzi na pisanie xiędza Wojciecha z Medyki względem szkoły trywialnej w Grodzisku i o Grodziszczanach,

a to ile możności jaknajspieszniej, aby świat szeroki przestał już raz wytykać Grodziszczanów, którzy się już poprawili, szkołę potwierdzili i czytelnię parafialną za starunkiem xiędza Mikusia wikarego w Grodzisku zaprowadzili.

Jeszcze więc raz proszę was o wydrukowanie jaknajspieszniej załączonego tu artykułu.

Bogu was w opiekę polecam.

Przy tym liście było pisanie:

Odpowiedź

na pisanie xiędza Wojciecha z Medyki względem szkoły trywialnej w Grodzisku i o Grodziszczanach.

Już te pisania względem szkoły w Grodzisku jako i samej gromady grodziskiej zniewalają mnie na zarzuty a nawet słuszne w krótkich wyrazach odpisać wam moiściewy i oświadczyć na dokument o wydarzonych tej szkoły termedyach.

Z górą minęło temu trzy lata, pamiętam jak dzisiaj, gdy powracałem przed wieczorem z miasta Leżajska do mego domu do Grodziska, a że to było jesienną porą, co to dzień krótki i na niebie pochmurno, leciałem prędko z góry na której Niemcy zamieszkują, a zbliżając się do wsi Giedlarowy, dopędziłem trzy kobiet pod samą Giedlarową, a mijając je rzekłem staropolskim zwyczajem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen — odpowiedziała jedna z nich Hanka R.

— Witajcie chrzestny!

— Bóg wam zapłać — odpowiedziałem.

— Powoli se powoli, będziecie na czas — rzekła mi Hanka R.

— Tać prawda że będę na czas, ale się spieszę do domu, bo by moja kobieta mnie wyzierała, myślałaby że się mi trafiła jaka kompania, o którą w mieście nie trudno, co się kum z kumem albo z jakim znajomym spotka i niepotrzebnie zmarnuje kilka groszy na traktament aż żal się Boże, a tu o grosiwo bardzo ciężko jak nieprzymierzając o rękę.

— Oj świętą prawdę mówicie chrzestny — rzekła Hanka R.

— A jużci że tak jest, sami pomiarkujcie, że teraz żydowstwo narobiło jakichsić ta miodów, co to ni słodkie ni kwaśne, i trują tem ludzi bez miłosierdzia, bo jakżeby to nie było trucizną, kiedy ten miód ze wszystkiemi harabudami i z nieżywemi pszczołami uwarzą i takie fusy dają ludziom za napój?

Przychodzimy wreszcie pod sam kościół w Giedlarowy, któren na pagórku niewielki, lecz piękny, murowany, parkanem z murowanemi słupami obwiedziony stoi, a naprzeciw tego pięknego kościoła stoi dom organisty, z którego kilku wiejskich małych chłopczyków wybiegło z xiążkami pod pachą, i każden z nich spieszył do swego domu. Jest to szkoła parafialna, którą pod zarządem miejscowego plebana wielebnego xiędza Panka organista Czadowski prowadzi. Hanka R. rzekła:

— O mój Panie Jezusie! ot że to taka szkoła i w naszym Grodzisku byćby powinna, a nie taka jak to nasz xiądz proboszcz chce postanowić, co to ma być pono aż na trzy piętra.

Na taką mowę nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, musiałem się śmiać mało mi pas nie pęknął, a trochę z fantazyą mówię:

— Otbyście już raz mieli rozum a przestali pleść takie głupstwa, bo gdzieżto w naszej polskiej wsi widział kto szkołę aż na trzy piętra?

Zaś Maryna M. dodała:

— Tać prawda, że na trzy piętra, bo mój był onegdaj w gromadzie, jak była gromada o tę szkołę, i jak przyszedł to powiadał, że szkoła ma być aż na trzy klasy, to na każdą klasę jedno piętro.

Na to mówię:

— Oj bajdugi, bajdugi, to też ma być na trzy klasy, a nie piętra, jak to wy pleciecie, a będzie się nazywać szkoła trywialna, to jest taka, że jak który chłopak będzie się dobrze uczył, a jak tu w Grodzisku przejdzie wszystkie trzy klasy, może iść do wyższych szkół i będzie przyjęty do czwartej klasy.

Maryna M. mówi:

— A na cóż to w naszym Grodzisku potrzebna taka szkoła, jak wy mówicie trywialna, kiedy tu w Giedlarowy takiej niema jeno parafialna, a dlatego dzieci chodzą i uczą się?

Na to odpowiadam:

— W Giedlarowy taka szkoła trywialna już niepotrzebna; bo Leżajsk tylko kilka staj i już jest szkoła trywialna, a jak słyszałem, że starsi mieszczanie starają się aby w Leżajsku była szkoła główna, to jest taka, co aż na cztery klasy, zaś w Giedlarowy to jeno parafialna, w której się dzieciaki przygotowują i sposobniejszemi stają do dalszej nauki, co jest wielkiem dobrodziejstwem. Dawniej w Grodzisku nawet i takiej szkoły jak w Giedlarowy nie było, co aż wstyd dla nas, że taka ogromna wieś co się dzieli na dolne i górne, a jest też i jakie takie miasto, a tu o szkole ani słychu ani dychu, tylko dzieciaki po prostu powiem lampartowały się, i nic nie robiły, aż żal ściskał za serce, że tyle narodu wygląda ni do Boga ni do ludzi. A zajrzyjcie no do karczmy, to dorosłych parobków i dziewek jak nabił, i wywijają tam obertasa i wiertaka aż się kurzy, a malcy którzy jeszcze nie mogą tańczyć, co robią? ot w karczmie i koło karczmy rozpustują, targają się za włosy i kułakami biją; otoż taki porządek w Grodzisku. A w domu co robią? Ot siedzą na karku ojcu i matce, a jak ich jest kilkoro, to się kłócą razem, a dorosły syn nalega na ojca: Tatusiu, dajcie mi grunt, będę się żenił, a Wojtkowi, Marcinowi i Marynie spłacę. A trza to takiego uciemiężenia ojcu i matce na starość he? co wszyscy dorośli i mali siedzą na piecu i za piecem? a nie mogły by te dzieci gdyby były wyuczone iść pomiędzy ludzi? wszak polska ziemia jest tak ogromna, że nawet z obcych krajów przybyszów utrzymuje, żywi, a nawet bogaci, a nasi tutejsi rodacy nie mogliby mieć miejsca he?

Na to moje gadanie jedna z tych kobiet z Grodziska dolnego, co to trochę lepsze ma wyrozumienie jak Hanka i Maryna z górnego, a jej chłop umie na xiążce i czyta niejedno, odzywa się:

— Ja ta słucham tej mowy i nic nie mówię, ale Pysz to prawdę mówią, bo juźci jak kto uczony to uczony, i nieda

się nikomu oszukać ani co, umie sobie we wszystkiem poradzić, Boga chwalić, i jakoś mu to lepiej idzie jak takiemu drągalowi co nie zna czarne na białem. Uczony zaś jak widzi że nie peć, to dalej w świat i już ma miejsce. Nasz ta kościelny Chmil wyuczył swojego Jonka, i gdzieś go tam jeszcze dał uczyć, ot widzicie wyszedł teraz na organistę, i powiadają że jest organistą pono w Zaczerniu, i już nie będzie siedział ojcu na karku. Albo Jantek Pałys to trzech posyła do szkoły aż do Rzeszowa, także Krzan Sobek, a z waszej góry to także kilka chłopaków się uczą, a jak się nauczą, to myślicie że będą siedzieć w chałupie przy ojcu? oj nie! jedni pójdą na xiędza, drudzy na jakiego pana.

A Hanka R. przerywa:

— Ot nie wiele ta dobrych, prędzej będzie jeszcze większym drabem jak rozmądrzeje, jak ten co nieuczony.

Ja nie mogłem już zcierpieć, bo mię brała jak to mówią szewska pasya, więc zapytałem:

— Którego to wy chrzestna znacie draba, co się dobrze uczył? Wszakże w naszej wsi macie więcej drabów i pijaków co nie znają ani litery, niż tych co są uczeni. Bo ci niemogąc w domu nic wskórać, idą na flis, tam się wyuczą pijatyki i próżniactwa, a jak przyjdą z flisu, to ten grosz co przyniosą, w karczmie zmarnują, a do tego fajką jeden drugiemu łeb rozbija; wprawdzie nie wszyscy tak robią, ale więcej gorszych niż lepszych. Uczeni zaś albo się dalej uczą, albo idą do jakich obowiązków, albo wreszcie do porządnego rzemiosła, a w naszej wsi tak wielkiej to nawet ani jednego kuśnierza niema, co jest brak wielki dobrych rzemieślników. Dawniejto była pańszczyzna i różne termedye, a Grodziszczanie przecież do szkół synów dawali, jest jeszcze trzech xięży z Grodziska z dawniejszych szkół: x. Urban Mach Bernardynem we Lwowie, xiądz Misiewicz proboszczem w Przybyszówce pod Rzeszowem, a xiądz Kogótowicz aż w Krakowie infułatem, co to mało nie biskupem; otóż tak dawniej bywało. A teraz pańskiego niema, ani żadnych termedyj, a szkoły jak niechcą tak niechcą.

Na to Maryna M. mówiła:

— Tać Jędrzej Mazurek, co go to Paćzochą zowią, był pono aż dwa razy u cesarza we Wiedniu, żeby szkoły w Grodzisku nie było, ale jakoś nie mógł nic wskórać. Drudzy niechcą nawet temu wierzyć że był we Wiedniu, jeno gdzieś tam w jakiem mieście przesiedział kilka dni, najadł, napił i powrócił do domu, a teraz go wstyd że na jego nie stanęło.

Odpowiedziałem na to:

— Ja sam temu nie wierzę; w Wiedniu mógł być kiedy mu gromada dała na drogę, ale cesarza nie widział; zresztą niech sobie tam będzie we Wiedniu albo nie, to z tego nic, bo cóż on tam wskóra?

— Ha, dla mnie niech ta będzie jaka chce szkoła, taka albo siaka, jeno coś mówią, że do tej szkoły musi być stójka i inne posługi, a do tego trza płacić co rok profesorowi, to będzie jeno zdzierstwo, a żołnierz ze wsi nie wylezie — mówiła Hanka.

— Ani żadnej stójki ani zdzierstwa nie będzie — rzekłem — bo cóż to tak wielkiego, że się na cały rok da z morga może trzy grajcary, a jak kto ma dziesięć morgów, to zapłaci trzydzieści nowych grajcarów i kwita.

Na ostatku mówię im:

— Gadajcie sobie co chcecie, ot szkoła już raz zaprowadzona zostanie na zawsze, a płacić każden będzie musiał.

A Hanka już się do żywego rozjadła na mnie, i zaczęła mi wytykać:

— Tać ja wiem, że wy za szkołą trzymacie, to se ta trzymajcie, ale ta komuś będzie na sumieniu, żeby ten z piekła nie wyjrzał, kto szkołę postanowił.

— Aha, więc aż piekłem się odgrażacie, a ja mówię że to xiądz proboszcz i dobrzy ludzie z gromady starali się o to, aby szkoła była, a za to im Pan Bóg wynadgrodzi, że o dobro dzieci się starają.

Przyszliśmy z taką rozmową do Grodziska i rozeszliśmy się wszyscy, kobiety w swoją stronę, a ja także w swoją.

Otoż moiściewy w naszym Grodzisku taka była termedya o tę szkołę. Lecz teraz dzięki Bogu wszystko to ustało; szkoła jest jak się patrzy trywialna na trzy klasy, ale nie piętra jak

to prości ludzie mylnie sobie wystawiali. Profesor Fr. Kłosowski dobry i porządny człowiek, uczy dzieci dobrze i jest ich teraz pełna szkoła, a poczkajcieno trochę, to tu jeden profesor nie da sobie rady, a nawet z tej szkoły cosik ich w Rzeszowie uczą się łacińskiego. Sporu ani procesu już niema, składkę dla nauczyciela Grodziszczanie w tym roku złożyli chętnie, a żołnierza na exekucyi już nie było i na potem nie będzie, bo w tym roku za drugie pół roku zapłacili z góry, aby się zbieraniem dwa razy nie mitrężyć. Jędrzej Mazurek, co go to gromada obrała za deputata, siedzi w domu jak niepyszny, o Wiedniu już przestał bajdurzyć, bo mu teraz nikt składki dać niechce, a podobno już wkrótce deputatem być przestanie, bo gromada na niego zerka i kpią z niego, że taki niby mądry, a przytem cyganina.

Ci co byli wrogami tej szkoły, teraz najpierwsi do składki dla nauczyciela i dzieciaki swoje do szkoły posyłają. Co było dawniej, teraz już nie jest, a co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Otże teraz moiściewy napiszcie o tem w Dzwonku, aby inni ludzie już nie myśleli, że Grodziszczanie tacy niedobrzy, bo się już teraz poprawili i o procesie z kretesem zapomnieli. Lecz jeszcze wam donoszę, że wśród tych waśni o tę szkołę dał nam Najprzewielebniejszy Konsystorz przemyski xiędza Jana Mikusia do Grodziska za wikarego. Xiądz J. Mikus przybył d. 24 września 1863 roku do nas, i jako katecheta miał wkrótce kazanie o wychowaniu dzieci. Mówił, że nie dosyć jest dać życie podobnej sobie istocie, wykarmić ją i wypielęgnować z dzieciństwa. Mają święty obowiązek rodzice pamiętać o przyszłem przeznaczeniu swoich dzieci, i tak je po bożemu wychowywać, aby z czasem stać się mogły podporą społeczności ludzkiej, wśród której żyją. Bolesno wyznać, że nie jeden ojciec i nie jedna matka zapominają o tej świętej powinności, nie troszcząc się bynajmniej o dobre wychowanie dziatek, jakby w lesie pomiędzy zwierzętami dzikiemi, a nie z ludźmi rozumnymi kiedyś w świecie żyć miały. Ani im znajomości Boga, ani dobrego przykładu z siebie, ani żadnej zgoła nauki nie starają się udzielić. Wyrasta biedne stworzenie w

domu rodziców gorzej niż sierota pod progiem obcego człowieka. O jakaż to odpowiedzialność przed Bogiem i sumieniem własnem i t. d. Mówił, że rodzice są pierwszymi nauczycielami dzieci swoich, na nich się bowiem zapatrują, z nich przykład do naśladowania biorą. Jaki ojciec taki syn, mówi przysłowie. Mówił dalej jeszcze, że wszędzie i zawsze rodzice powinni czujne nad dziećmi mieć oko. Nic tak nie psuje dzieci jak złe towarzystwo. Z jakim się kto wdaje, takim się sam staje. Nakoniec mówił o posyłaniu dzieci do szkoły, że szkoła uzupełni nauką wychowanie dzieci, z których dopiero rodzice mogą obiecywać sobie pociechę, a kraj pożytek i podporę.

Mówił, że nie dosyć jest, aby dziecko umiało chodzić po zagonach za krową i poganiać konie, ale aby umiało czytać i pisać i porachować, aby się nie dać oszukać.

Z żalem wyznać muszę, że po tem kazaniu Grodziszczanie idąc z kościoła rozmawiali:

— Oho, dali nam xiędza dali, już my zginęli, oho już i on przekupiony i namówiony od xiędza proboszcza! i piorunowali na xiędza wikarego, że mówił, że szkoła być powinna, i że będzie.

I dowiedział się o tem xiądz Jan Mikus, i bynajmniej nie zraził się, ale miewał tak silne kazania, dowodził przykładami z życia codziennego, osobliwie na roratach do łez pobudzał i kruszył twarde serca, a nakoniec dwoma kazaniami, przy zakończeniu starego roku wieczór, i zaraz na drugi dzień na nowy rok podczas sumy zupełne odniósł zwycięztwo.

Parafianie przekonali się, że kapłan ich uszczęśliwienia a nie zguby pragnie. Podali sobie ręce i odtąd największa w parafii zgoda.

Wielki i potężny Boże! o jakże przenikające na wskróś są słowa Ewangelii Twojej świętej, jeżeli pochodzą z serca pałającego miłością ku Tobie i ku bliźniemu.

Przyszło więc już do tego, że za usilnem staraniem czcigodnego xiędza Mikusia wikarego czytelnia parafialna zaprowadza się, dla któréjto czytelni z redakcyi Przeglądu znaczny zapas xiążek jest sprowadzony, lud chętnie się do tego przy-

czynia i prosi Boga za swoim dobrodziejem x. Mikusiem i cieszy się tą czytelnią.

Jedno jeszcze cięży na Grodziszczanach, a to jest, że z powodu zaprowadzonej już szkoły, zły duch opanował kilku z parafii i niewinnie oczernili swego xiędza proboszcza. Myśleli oni, że jak proboszcza wysadzą, to szkoły nie będzie; lecz im się ta sztuka nie udała, bo szkoła jest i xiądz proboszcz jest. A ten zarzut, który niewinnie swemu pasterzowi zadali, będzie ich ścigał we dnie i w nocy, i będzie im sumienie wyrzucało i gryzło, bo się nie godzi nikomu życia zatruwać, a tem bardziej swemu pasterzowi, któren ma wielkie o nich staranie. Jest to złe największe, swego pasterza na honorze krzywdzić, i na stare lata życie mu zatruwać, któren dla swych owieczek we dnie i w nocy, w życiu i przy śmierci jest największą pociechą. Jedna jego łza niewinnie wyciśniona może sprowadzić na całą parafię wielkie klęski i niebłogosławieństwo boskie.

O czytelni doniosę wam mili czytelnicy poźniej i obszerniej, bo może i wy taką czytelnię u siebie zaprowadzicie.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Stanisław Pysz
włościanin z Grodziska górnego.

Dnia 9 lutego 1864.

Do Stanisława Pysza.

Miły bracie! Dziękuję wam serdecznie za wasze piękne pisanie o Grodziszczanach, które warto aby sobie każden dobrze zapamiętał i wziął z niego naukę. Cieszę się także bardzo, iż tym sposobem znowu Grodziszczanie przyszli do dawnego honoru i sławności jako ludzie zacni i rozumni, że nikt już nie będzie mógł przedrwiwać z nich, iż niechcą mieć szkoły u siebie, żałują grosza na to, aby dzieci ich miały rozum, aby się wyuczyły chwalić Pana Boga jak należy, i żyć poczciwie jak się patrzy. Dlatego też wydrukowałem cały wasz list i całe pisanie o Grodziszczanach, aby oni mieli znowu sławę i honor w całej Polsce, i aby ich sobie insze gromady brały na przykład.

Teraz życzę wam z całego serca, abyście razem ze wszystkimi Grodziszczanami doznali jak najprędzej pociech i pożytku z waszej szkoły, abyście już raz na zawsze mieli spokój od termedyj i niepoczciwych knowań złych ludzi, aby takich ludzi nie było już nigdy w waszej gromadzie. Więc niech was także ma w swojej świętej opiece Najświętsza Panna Marya królowa polska, i niech dozwoli a dopomoże, aby wszystkie dziatki wasze wyrosły i wychowały się na chwałę bożą a pożytek naszej miłej ojczyzny polskiej.

Pozdrawiam was serdecznie i wszystkich Grodziszczanów, a także proszę, abyście rychło napisali o czytelni, więc zaraz takie pisanie wydrukuję w Dzwonku.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pisarz Dzwonka.

Osobliwsza żarłoczność.

Chociaż moi ludzie nie mamy ani najmniejszego powodu do weselenia się, przecież nie źle to bywa i w smutku czasem się rozśmiać. Dlatego opowiem wam, com w drukowanej dawnej xiążce wyczytał.

Kiedy było dawne wojsko polskie, zebrali się przeróżni oficerowie, i młodsi i starsi, i jak to bywa, zaczęła się gawędka o tem i owem. I tu opowiadał pułkownik Stanisław Odważny o sławnym apetycie swego żołnierza Maćka, i twierdził, że nikt tyle nie zje od razu co on.

— A czy zjadłby całą gęś naraz, jak to widziałem niedawno piwowara? — zapytał się kapitan.

— Co, gęś? to żarty dla niego, on gotów zjeść naraz całego cielaka, ręczę wam za to — rzeknie pułkownik.

— O! przesadasz panie pułkowniku — odezwało się kilku oficerów.

— Co nie, to nie — odparł pułkownik — a jeżeli nie wierzycie, to się załóżcie, że Maciek to zrobi.

— Zgoda! idzie o sto dukatów — zawołali.

— Niech idzie — zawołał pułkownik.

— Ale wymawiamy sobie — dodał kapitan — że my sami wybierzemy cielaka, że nasz kucharz go przyrządzi, jak mu się będzie podobało.

— I na to przystaję, bo jestem pewny swego, i możecie z góry złożyć pieniądze — rzekł pułkownik, a potem rozeszli się wszyscy.

Pułkownik powróciwszy do domu, zaczął powątpiewać o Maćku. Całe cielę, myślał sobie, to nie żarty; trzeba na to djabelnego żołądka, żeby się mogło w nim pomieścić. I dlatego skoro świt przywołał do siebie Maćka.

— Zrobiłem o ciebie zakład — rzekł do niego — i opowiedział mu wszystko, co wczoraj zaszło

— Jakże myślisz? czy się nie powstydzę za ciebie? — zapytał.

— Przy pomocy bożej to jakoś pójdzie panie pułkowniku — odpowiedział Maciek — umyślnie rano zjem tylko dwie racye, aby żołądek był w pogotowiu, a potem mi się wydaje że się uda.

Ale kapitan i oficerowie też nie próżnowali; wybrali na targu ogromnego cielaka, który już prawie dorastał wolca. I kucharz też był majstrem nie lada w swej sztuce.

— Jak go proszę panów, zwyczajnie całego upiekę — rzekł do oficerów — to nie będzie sztuka zjeść, bo to Maciek zuch, spałaszuje cielaka i jeszcze palce obliże. Ale ja proszę panów przyrządzę go częściami w sosach, i na rozmaite sposoby; przez to stanie się dwa razy większy, a wtenczas...... zobaczymy.

W umówionej godzinie wszyscy się stawili, przyniesiono sześć kociołków, zawierających wszystkie części cielaka, a nawet i nóżki i główkę; a w każdym kociołku pływało mięso w prawdziwem morzu rozmaitych sosów. Maciek podrapawszy się w głowę, zabrał się bardzo poważnie do jedzenia; ale wymówił sobie poprzednio, że będzie miał do woli chleba i piwa, bo bez tego mówił, to jeść nie można; i tak jadł ciągle i popijał sobie.

Już cztery kociołki znikły, i piąty był na schyłku, a w tem Maciek jakoś się mięsza, zwolniał oczywiście w jedzeniu, położył nawet łyżkę i wstał z miejsca.

— Co ci to? — zawołał pułkownik.

— Nic panie pułkowniku, tylko proszę na ustęp — i odszedł kilka kroków.

— Proszę pana pułkownika, ja niewiem jak to będzie — mówił niby po cichu, ale tak żeby go wszyscy słyszeli.

— Albo co? czy nie dasz rady?

— Gdzie tam! tak znowu źle nie jest, tylko że mi tu każą się bawić jakiemiś sosami, rosołkami, a jak potem przyjdzie do cielaka, tom mu gotów nie poradzić.

Myślał bowiem Maciek, że to dopiero przekąska, i że poźniej dopiero z cielakiem rozprawić mu się przyjdzie.

Usłyszawszy to oficerowie, śmiali się do rozpuku, zapłacili przegranę, i na prędce złożyli się Maćkowi na sto bitych, aby w wojsku nie umarł z głodu.

Sz. N.

Rady gospodarskie.

Jakie dla bydła lepsze ziemniaki: gotowane czy surowe?

Nie wiem jak to o tem myślicie sobie, ale opowiem wam na przykład, jak pewien mądry gospodarz próbował i o czem się przekonał. Wziął on 2 krowy dojne, podobniuteńkie, co to zupełnie równo dawały dziennie po 8 kwart mleka. Otoż zaczął karmić jedną surowemi a drugą gotowanemi ziemniakami, zaś dawał im ich równo po trzy garce. Owoż po kilku tygodniach krowa, co jadła surowe ziemniaki, ani na krztę się nie zmieniła, i po dawnemu dawała 8 garncy mleka; zaś tamta druga, której dawał gospodarz ziemniaki gotowane, dawała po 9 garncy mleka. Także mleko od niej bywało daleko lepsze, bo na funt masła szło 10 kwart, kiedy od owej pierwszej trza było brać 12 kwart na funt masła, tyle było cieńsze. Macie tu przykład, a sami radźcie sobie jak wam rozum każe.

Karmienie źrebiąt bez mleka.

Zrebięta można dwojakim sposobem karmić bez mleka, a to albo żółtą brukwią, albo odwarem ze siana. Brukwią tak się je karmi. Bierze się kilka funtów ostruganej brukwi żółtej i rozciera, zaś potem wrzuca w 3 kwarty wody wrzącej i gotuje przez 5 minut przy ogniu, potem odstawia się, dzieli na porcye, rzuca do każdej garść pszennej mąki albo jęczmiennej, i dolewa trochę mleka, bo to bardzo smakuje źrebakom. Można także dosypać trochę soli. Czasami zamiast brukwi używają ziemniaków albo ćwikły, które nie są już tak dobre dla źrebiąt, i dlatego należy do nich koniecznie przymieszać trochę brukwi.

Znowu odwarem ze siana tak się karmi. Należy wziąć funt siana, pokrajać, włożyć w naczynie, nalać ze 4 kwarty wody wrzącej i nakryć. Za pół godziny dodać do tego siana mleka i soli, a już karma gotowa. Można także nieco mąki dodawać jak do brukwi, i też jest doskonałe karmienie, które źrebiętom wystarcza za mleko kobyle.

RÓŻNOŚCI.

Mądry psisko. Pewien lekarz w Paryżu wyleczył raz psa, który sobie nogę złamał. Po niejakim czasie siedzi sobie pan doktor w pokoju i czyta xiążkę. W tem slyszy, że coś do drzwi drapie i stuka. Wstaje więc i otwiera drzwi, aż tu ten sam pies, którego był wyleczył, wbiega i zaczyna łasić mu się i skakać do rąk i nóg, zaś za nim wchodzi drugi pies smutny ze złamaną nogą. Pies wyleczony ciągle się łasi panu doktorowi, i ciągle zwraca się do psa kulawego, i ciągnie do niego doktora, jakby prosił, aby go także wyleczył. Jużci poczciwemu doktorowi nie dużo trzeba było namowy, i wnet opatrzył i wyleczył chorego psa, za którym jego dobry przyjaciel tak mocno prosił.

Zdania moralne.

Człowiek poczciwy i rozważny jest jako blask słoneczny, co wszystkie kąty oświeca, wszystkie zaziębłości rozgrzewa, a nie tylko sam sobie dobry, lecz dla cnót swoich wszystkim jest dobry.

Prawda na wszystkie cnoty jest miła, jak deszcz majowy na wszystkie zioła.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

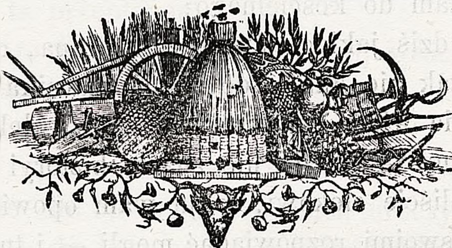
Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 7.

1. Marca 1864.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ofiarnik pustelnika.

(Legenda.)

Jakoś jeszcze w jesieni łońskiego roku przejeżdżałem ci przez wieś Bruchnal, co to leży w przemyskim obwodzie, a dobrą milę za Jaworowem. A musicie wiedzieć, że to sobie wieś nie lada jaka, i raczej do małego miasteczka podobna, bo jest tam i rynek schludny, i austerya porządna we środku, i kościół murowany jak się patrzy, a chaty i zabudowania to takie czyste i białe niby w jakiej kolonii niemieckiej. Kiedy się tak przechadzam i rozpatruję po rynku, usłyszałem naraz głos sygnaturki, i udałem się prosto do kościoła. Wyszedł xiądz ze mszą świętą, a choć to był dzień powszedni, to ludu w kościele jak nabił, a zaś przy pobocznym ołtarzu, w którym był Pan Jezus ukrzyżowany, była ciżba większa niż gdzie indziej. Wspinam ci ja się na palcach i zazieram drugim po nad głowy, i widzę prosty drewniany ofiarnik, na którym ludziska ofiarki palą i bardzo ciekawie w płomień się wpatrują. Co czynią drudzy, trzeba i mnie tak samo, — pomyślałem

sobie, kupiłem parę ofiarek, i zapaliwszy przylepiłem je na ofiarniku, a kiedy się msza święta skończyła i ofiarki już dogorywały, zagadam do kościelnego:

— Czy to dziś jakiego świętego patrona, czy co, że pobożni ludziska tak się garną do tego ofiarnika i ofiarki palą.

— No toście widzę nie tutejszy mój człeku — odpowie mi na to kościelny — kiedy nie znacie historyi tego dziwnego ofiarnika, a jeżeliście ciekawi, to ją wam opowiem, abyście to potem i między swoimi rozpowiadać mogli — i tu kościelny pogasił świece, zamknął kościół, i zaprowadził mnie do swego mieszkania, gdziem ja posłał do austeryi po mały traktament, a on mnie tak zaczął prawić.

Dawnemi już bardzo laty żył tu w naszej wsi jeden nadleśniczy, człek bardzo grzeszny i nieludzki; nie uszanował ci on ani święta ani niedzieli, a kiedy na wiosnę na przednowku przydybał kogo w lesie na hubach lub poziomkach, to i najbiedniejszej wyrobniczce zdjął ostatnią płachtę lub malowankę, i potem w karczmie przepijał. Kiedy się już dobrze podstarzał, zaczęło mu sumienie coraz bardziej dokuczać, i on nadleśny umyślił czynić pokutę, i zostać na starość pustelnikiem. Niebawem też wystawił sobie w lesie małą budę z gałęzi i ziemi, zawiesił drewniany krzyż na ścianie, naznosił w kąt mchu na posłanie, i zaraz się w to nowe sprowadził mieszkanie, i tak rzecze do siebie:

— Kupa ja nagrzeszyłem w mojem życiu, a radbym teraz szczerze to złe naprawić i pokutować, a chcąc się przekonać, kiedy też wszystkie winy odpokutuję, to po każdej pokucie będę palił ofiarki, i to będzie znakiem, że mi Pan Bóg wszystkie winy odpuścił, jeżeli ofiarka w jednej chwili cała zgoreje.

Tu się pustelnik szczerze pomodlił, i zaczął dawne swe grzechy rozmyślać.

— Hej, hej, ile to razy człowiek zabywszy myśliwskie prawa sięgnął po cudzą własność, i w cudzym lesie ubił zwierzynę a ile razy niewinną przestraszył dziewczynę, albo gdym po polu się błąkał, tom nieraz z próżnej chętki morderstwa zastrzelił w lecie skowronka, kiedy ten Panu śpiewał pacierze....

I za pokutę postanowił pustelnik odprawić pielgrzymkę do różnych miejsc cudownych, i tam spowiadać się, ażeby Pana Boga za to przebłagać.

Kiedy już to wykonał co postanowił, wrócił do swojej pieczary, wykrzesał ognia, i zapalił ofiarkę — ale ofiarka paliła się ciemno i powoli.

Skruszony grzesznik rozmyśla dalej swe grzechy, i wspomniał sobie, ile on to razy w dzień uroczysty lub w dzień niedzielny ruszał do lasu na polowanie, i odgłosem trąby myśliwskiej lub skowyczeniem psów przerywał modły pobożnych chrześcian w kościele.

A więc dla wybawienia duszy z mąk czyscowych, poczynił pustelnik znowu wiele ślubów, a to: przez dłuższy czas o chlebie i wodzie suszyć co soboty i leżeć krzyżem każdej niedzieli, aby tak Pana Boga przeprosić.

Zaś kiedy już ślub odprawił i znowu ofiarkę na ofiarniku przed krzyżem zapalił, to ofiarka paliła się już teraz jaśniej i prędzej, ale jeszcze od razu nie zgorzała.

— Widać, że moja pokuta jeszcze niedostateczna — pomyślał sobie pustelnik, i znowu przypomniał sobie, jak to on goniąc za zwierzyną tratował biednych rolników zboże, deptał lny i konopie, które sobie wieśniak posiał na przyodziewek, a biednym wdowom i sierotom grabił ostatnią koszulę lub dymkę i potem przepił.

— Grzechy to wielkie — przemówił do niego jakiś głos wewnętrzny, i nie można je inaczej odpokutować, chyba tym sposobem, jeżeli się wyrządzone krzywdy wynagrodzi.

Wziął więc pustelnik kostur do ręki, i chodził z wioski do wioski, z młyna do młyna, i żebrał wszędzie po garstce ziarna lub mąki, a co uzbierał, to zanosił biednym rodzinom które pokrzywdził, a jeżeli te już nie żyły, to z wyżebranego chleba i grosza wspierał inne biedne kaleki, sieroty i wdowy.

Potem zaś chodził od chaty do chaty, kędy dziewczęta kądziel przędły, i wszędzie wyżebrał trochę przędziwa lub szmat, płótna, i tem przyodziewał obdarte sieroce dziatki. A kiedy mu już sumienie powiedziało, że dostatecznie dawne krzywdy wynagrodził, a sam już opadł na siłach, i broda mu

siwa po pas urosła, zawlókł się do swojej pieczary, i znowu zapalił przed krzyżem ofiarkę — i patrzcie o dziwo, ofiarka spłonęła od razu jasnym ogniem jak siarka.

Wtedy to dopiero pomiarkował pustelnik, że chcąc Pana Boga należycie przebłagać, to nie wystarczą same jeno modły i posty, ale trzeba także i poczynione krzywdy wynagrodzić.

Od tego czasu zaniemógł staruszek, ludziska, jak mogli, tak go dozierali w chorobie, a on dawał rozmaite nauki i przestrogi, i jednego dnia usnął snem sprawiedliwego.

Pochowano go na wiejskim cmentarzu i zatknięto na jego grobie ten krzyż, który sobie sam uciosał, a zaś ofiarnik, na którym palił swoje ofiarki, obrócono na użytek kościoła. I od tego czasu ludziska palą na nim swoje ofiarki z wielką wiarą, i uważają pilnie, jeżeli czyja ofiarka po spowiedzi i komunii św. spali się prędzej i jaśniejszym płomieniem niż inne, to wierzą mocno, że modlitwa i pokuta tego człowieka została u Boga mile przyjętą.

Tu skończył kościelny, a ja podziękowawszy mu za jego opowiadanie, opisałem wam to wszystko, abyście się tym ofiarnikiem tak zbudowali, jak się nim budują ludzie w Bruchnalu, i jak ja się nim zbudował *Jacenty z Magierowa.*

TAŃCE,

Zdarzenie z roku 1831.

I.

Przed gospodą wielka wrzawa,
Gędźbę sprawia młodzież żwawa;
W parze chłopak i dzieweczka!
Raźno brzęczy podkóweczka.

I krakowska nóta w koło
Brzmi ochoczo i wesoło,
A młódź w pląsach chwacko idzie —
„Prędzej“ — woła — „graj nam żydzie!“

Toć żyd smykiem jak się zwinie
I zakoci pół kaftana;
Młódź w odpowiedź żydowinie
Rznie w podkówki, danaż! dana!

Starzy w koło stół obsiedli
I gawędę sobie wiedli —
Każdy radzi po swojemu,
Jakby to zaradzić złemu.

„Źle się dzieje mocny Boże!“
Rzekł kmotr stary — „źle sąsiedzi!“
Sąsiad mówić nic nie może,
Jeno łzę ma w odpowiedzi.

Teraz Zbroja zabrał słowo —
Starzec z ośrebrzałą głową
I na ręce wsparł się obie
A o przeszłej gwarzy dobie:

„Toć pamiętam szyki nasze
Kosynierów — nie w pałasze
I nie w strzelby były zbrojne —
My z kosami szli na wojnę!

„Dawniej bracie lepiej było,
Kiedy się Moskali biło —
Kiedy Kościuszko dowodził
I sam naprzód w boje wodził!“

Zbroja różne rzeczy baje
O Dubieńce, Racławicach —
Wspomniał i o Maćjowicach,
Lecz łza kończyć mu nie daje.

I tak długo rozmawiali
Gospodarze siwi z sioła —
Młódź w podkówki raźno wali,
Proch się kłębi do około.

Chłopak przed dziewoją staje
I spogląda oko w oko —
Westchnął czegoś on głęboko,
Coś mu w sercu nie dostaje

I sam nie wie czem się dzieje
Że mu serce tak boleje;
Dziewczę oczki w ziemię zwróci,
On koło niej tak zanóci:

„Nie długo ja dziewcze moje
Razem z tobą będę —
Bo gdy zawrzą krwawe boje
Kosy mej dobędę.

„I polecę het z wiatrami,
Kędy białe ptasze,
Gdzie się mierzą z Moskalami
Dzielne chłopcy nasze!

„Nie zapomnij o mnie przecie
Gdy już będę w dali —
Ty mi piękne przyszlij kwiecie
W czystej Wisły fali.“

I nie skończył pieśni całej,
Jeno smutno na nią spojrzał —
A w jej oczach łzy błyszczały,
Lecz on przez łzę łez nie dojrzał.

A na dworze rznie muzyka
I młódź chwacko się pomyka
I ochoczo w pląsach idzie
„Prędzej,“ — woła — „graj nam żydzie!“

A żyd smykiem się zawinie —
I zakoci pół kaftana
Młódź w odpowiedź żydowinie
Rznie w podkówki, danaż! dana!

II.

Już wieczorne zorze błysły
Kiedy stanął przed gospodą
Pielgrzym obcy z ponad Wisły
Siwy starzec z śrebrną brodą,

I gdy ujrzał gędźbę ową
Potrząsł smutno starą głową

I wykrzyknął: „Tutaj tany
A tam tyle krwi przelanej!“

Wszystkich przeszło jakby mrowie
Tak ofuknął starzec biały —
Smyczek wypadł z rąk żydowi
A dziewczęta posmutniały.

Nawet z karczmy wyszli starzy
„My nie wiemy“ — zawołali
„Rzeczcie, co się w świecie darzy.“
„Nasi biją już Moskali!“

„Czy żart starcze?!“ Każdy woła
I czem prędzej mknie do sioła
I dobywa z strzechy kosę!
Naszą kosę! Polską kosę!

I stanęli razem chwaty
I do góry podskoczyli:
„Weźmiesz jucho ciężkie baty,
Kiej Mazury się ruszyli.“

Błogosławi ojciec syna —
Wyprawia go matka z łzami,
A dziewczyna, a jedyna
Jeno oczy trze palcami.

I złorzeczy w wielkim żalu:
„Bogdaj kosa cię przeszyła,
Bogdaj ranka, ty Moskalu,
Śmiertelną ci każda była!“

I pognali het z wiatrami,
A nad nimi białe ptaszę —
Ale jeszcze nie wrócili
Jurne zuchy chłopcy nasze!

Grzela z Waszkowiec.

Czyżyk i Krogulec.

Gadka o dwoch rodzinach sąsiednich.

Dobrym wszędzie, dobrze będzie.

Złego człeka, kara czeka.

We wsi Piórowicach mieszkało dwoch gospodarzy obok siebie przez miedzę. Jeden z tych Józef Czyżyk był pracowitym, rzetelnym, łagodnym, przyjacielskim, pobożnym i trzeźwym. Był to zacny człowiek jak się patrzy. Miał uczciwą, rządną i gospodarną żonę; dwoje ładnych, skromnych i potulnych dziatek: Jasia i Jadwisię. Posiadał kilkanaście mórg dobrej, urodzajnej roli i w dobrym stanie gospodarskie budynki.

Drugi gospodarz nazywał się Szymon Krogulec. Byłto człowiek przewrotny, zazdrośny, obłudny, chytry, łakomy, zawzięty, mściwy a przy tem wszystkiem skryty, słodkiego, życzliwego i przyjacielskiego udający. Słowem, był to żarłoczny, drapieżny wilk w skórze łagodnego baranka. Żona wierna połowica Szymona, nie lepsza była od męża. Z takiego małżeństwa nie mogło się nic dobrego urodzić; boć to zdanie potwierdza nasze polskie na doświadczeniu oparte przysłowie:

Jakie szczepko, takie jabłko.

Jakie drzewo, taki klin; jaki ojciec, taki syn

Jaka marchew, taka nać; taka córka, jaka mać.

Owóż dzieci Krogulca były nieodrodnem potomstwem niedobrych rodziców: zuchwałe, rozpustne, krnąbrne, szkodniki i psotniki niesłychane. Żona Krogulca pochodziła z rodziny Czyżyka; otóż Czyżyk i Krogulec byli sobie szwagrami.

Takie dwie, dziwnie różne rodziny mieszkały obok siebie. Z tego położenia wypływa to, że cała familia niedobrego Szymona Krogulca niemiłosiernie krzywdziła uczciwego Czyżyka. Starzy i młodzi w polu i około domu, wydzierali, wyrzynali zboże na roli, trawę na łące, jarzyny w ogrodzie; obrywali owoce z sadowiny, słowem mówiąc: nic się nie ostało przed tymi drapieżnikami. Z przyczyny tych szkód często powstawały sprzeczki i kłótnie, ale Krogulec umiał się zawsze z czynionych mu zarzutów zręcznie wywinąć i uniewinnić.

Nakoniec muszę jeszcze o jednym zwyczaju Szymona Krogulca powiedzieć; miał on swoją piosnkę, którą gdy był wesół, gdy sobie podchmielił wyspiewywał:

Hop! hop! hop! ja se chłop!
Hu! ha! huh! ja se zuch!
Mój syn drugi, to nas dwóch!

Józef Czyżyk był słabowitego zdrowia. Cierpiał słabość piersiową. Niebawem zachorował śmiertelnie. Krogulcowie odwiedzali go w słabości bardzo często, z wielkiem podchlebstwem usługiwali mu, okazując ubolewanie nad jego słabością. Tym chytrym postępkiem zjednali sobie przychylność u Józefa.

Józef Czyżyk opatrzony świętemi Sakramentami przysposobił się na śmierć. Nie chcąc zostawić żonę i dzieci bez opieki, przywołał swego sąsiada Krogulca i w te słowa przemawia do niego: „Szanowny Szymonie a kochany Szwagrze! Prawda różnie bywało między nami, ale ja to zapominam i przebaczam, proszę cię, i ty mi daruj, jeżelim ci w czem uchybił. Czuję się bardzo słabym; dychawica mię coraz więcej trapi, a ludzie mówią: Kto się krztusi, umrzeć musi. Wkrótce powoła mię Pan Bóg do siebie, proszę cię mój kochany szwagrze i kumeczku! bądź po mojej śmierci opiekunem, obrońcą i ojcem mojej żony, moich dziatek i całego majątku. Twojej opiece to wszystko przy tych tu świadkach i sąsiadach oddaję. Mój szwagrze! jesteś moim najbliższym sąsiadem, bez trudności możesz ten przyjacielski obowiązek przyjąć i wypełnić.“

Krogulec, ten chytry i szczwany lis, udając żal i smutek odpowiada: „Kochany szwagierku! luby kumeczku! nie przepraszaj mię, Bóg świadkiem, jam się nigdy na ciebie nie gniewał, boś mię nigdy nie obraził! Ale ja ciebie błagam: daruj! daruj! przebacz! nie pamiętaj! ja się biję w piersi i przyznaję, żem ci często dokuczył! Mój szwagierku! jeszcze nie jesteś tak słabym, żebyś miał umrzeć. Dobry Pan Bóg może cię przywrócić do pierwszego zdrowia! a jeżeliby Jego święta wola była, powołać cię do siebie, to bądź spokojnym! przy tych tu świadkach zaręczam i przyrzekam, że ten obowiązek opiekuństwa, który na mnie wkładasz, wiernie i sumiennie wykonam. W każdym razie i wypadku dam twojej żonie i dzieciom radę

pomoc i obronę.“ Krogulec zapłakał się niby i dodaje: „Wszakżeśmy to sąsiedzi, kumowie, szwagrowie! jeden drugiemu powinien usłużyć! pomódz! a że nie mogę ci innym sposobem być dogodnym, przyjmuję tę, choć dla mnie bardzo smutną usługę, dla twojej rodziny, którą zamyślasz opuścić.

Czyżyk Józef umarł.

Krogulec kontent ze śmierci Czyżyka, zanócił swoją ukochaną piosnkę:

Hop! hop! hop! ja se chłop!

Hu! ha! huh! ja se zuch!

Mój syn drugi to nas dwóch!

Po pogrzebie Czyżyka wybucha Szymon Krogulec z tem, czem był podszyty. Z szatańską zaciekłością występuje przeciw wdowie po Czyżyku; krzywdzi i okrada ją, gdzie tylko może; trapi, prześladuje, nęka i uciska w każdym względzie. Jeżeli się biedna wdowa chce przeciw niemu bronić, to Krogulec grożąc jej, wrzeszczy na całe gardło: „Ja opiekun! wara! cicho! bo cię kijem opiekę.“

Zmartwienie i zgryzota, to straszna trucizna, która życie skróca; to też wdowa Czyżykowa opuszczona, prześladowana, trapiona od Krogólca, zachorowała i umarła.

Krogulec zadowolony, że wszystko po jego myśli idzie, zaśpiewał sobie swoim zwyczajem; Hop! hop! hop! Jako opiekun zagarnia cały ruchomy majątek i sprowadza dzieci sieroty tj. Jasia i Jadwisię po Czyżyku, do swego domu.

Jednego wieczora usiedli oboje Krogulcowie w kąciku, i długo ze sobą na szepty rozmawiali, układając plan, jakby cały grunt i budynki po Czyżyku posiąść. Krogulcowa poglądając na wesołego męża, uśmiechała się śmiechem szatańskim i szeptała mu coś do ucha. Wnet rzuciła się z gniewem i oburzeniem jak jędza piekielna, a bijąc pięść o pięść głośno krzyknęła: Głupiś! mazgaju głupiś! głupiś! Znowu się do męża przymila i szczebioce. Mąż kiwnął głową na znak, że przystaje. Co uradzili to wykonali.

Najpierw potrzeba było pozbyć się sierot z domu; to też Krogulec znalazł kulkę, że te oboje sieroty Jasia i Jadwisię niemiłosiernie ochłostał. Te ćwiczenia kijem powtarzały się często. Krogulcowa jeść im nie dawała a szturkańcami do cięż-

kiej roboty pędziła. Nawet Krogulczęta dziubały, prześladowały i biły te biedne nieszczęśliwe sieroty. Tak więc niepodobną rzeczą było, aby Jaś i Jadwisia w domu opiekuna wytrzymać, wyżyć mogły. One też uciekły. Dokąd? tego nikt w całej wsi nie wiedział.

Krogulcowie tego sobie życzyli, aby się sierót, ostatniej przeszkody do swego zamysłu, z domu pozbyć.

Krogulec z wielką radością tupając nogą, zaśpiewał: Hop! hop! hop! Wyszukuje dwoch świadków, którzy byli przy śmierci Czyżyka, tych upaja i przekupuje. Idzie z nimi do pokątnego pisarza, tam fałszuje testament Józefa Czyżyka. Na fundamencie tego okropnego fałszu, na fundamencie że żona Krogulca była siostrą Józefa Czyżyka, przychodzi Krogulec Szymon w posiadłość gruntu i budynków po śp. Czyżyku. Ruchomy majątek już dawniej zagrabił.

Teraz Krogulec pełnem gardłem zaśpiewał: Hop, hop, hop! Oburzył wprawdzie ten haniebny czyn, ta podstępna grabież, ten rabunek sierocińskiego majątku całą wieś; jednakowoż nikt nie wystąpił w obronie pokrzywdzonych sierot, nikt nie odkrył tego fałszu, tego podstępu Krogulca w sądzie.

Wszyscy sąsiedzi ze zgrozą szemrali, wygadywali, a nawet w oczy Krogulcowi wyrzucali to haniebne bezprawie. Ale Krogulec człowiek przebiegły, nie tracił miny, wiedział czego komu trzeba; jednych sąsiadów ujął to grzeczną przysługą, to słodkiem podchlebstwem; innych pozyskał sobie gościnnemi traktamentami, których w domu nie szczędził; innym zalał gardło wódką w karczmie. Urzędnikom gromadzkim ostro i surowo pogroził od nosa, a ci poczuwając się do czegoś potajemnego złego, milczeli. Szeptali niektórzy, bo szeptali! drudzy pomrukiwali coś tam do siebie, ale każdy ruszył ramionami, kiwnął ręką i na tem się skończyło! ucichli wszyscy!

Krogulec przez swoją przebiegłość był górą. Wyorawszy miedzę połączył wydarty sierociński grunt z własnym, gospodarował dosyć pomyślnie, powodziło się mu nie źle.

Do czasu dzbanek wodę nosi. I Krogulec Szymon ustał wojować. Sumienie da się niekiedy na krótki czas przytłumić, zagłuszyć, ale gdy się obudzi, z tem większą surowością i

ostrością prześladuje, martwi i gryzie za popełnione występki i zbrodnie, mszcząc się za znieważenie swego napominającego głosu. Tego doświadczył Szymon Krogulec i żona jego. Pierwsze zdarzenie, które z gruntu wstrząsło umysł i serce Krogulca, była nagła śmierć obydwóch przez niego przekupionych świadków. Jeden z tych, Jan Pięta, powracając z jarmarku wieczorem, pobłądził, przeziąbł i na polu umarł; dopiero trzeciego dnia znaleziono jego ciało, którego twarz wrony i kruki podziubały. Na drugi tydzień po śmierci Jana Pięty, pojechał drugi świadek Filip Gołda do lasu; tam go drzewo na śmierć zabiło.

W tych dwoch wypadkach poznał Krogulec wyraźną karę Boga. Nagle traci swoją wesołość. Ustał śpiewać swoją piosnkę: Hop, hop, hop! odtąd unikał towarzystwa. Chodził zadumany z zwieszoną głową. Sam do siebie nieustannie coś mruczał. Zachorował i dostał obłąkania. Ponieważ go wszyscy we wsi nienawidzili i w sercu potępiali, nikt go w słabości nie odwidził. Domownicy i służący opowiadali sąsiadom, że gospodarz miewa jakieś widzenia; lęka się strachów; zrywa się, chce uciekać. Wciąż gada, plecie, majaczy o testamencie; o dzieciach sierotach; o świadkach: Pięcie i Gołdzie; o gruncie i budynkach Czyżyka.

O xiędzu, o spowiedzi nie dał sobie w słabości wspomnieć. Ale bo on i za zdrowia nie uczęszczał do kościoła. Posłano wprawdzie po xiędza, gdy już widocznie śmierć groziła; ale nim xiądz zdążył, Krogulec umarł.

Żona i syn Jakób Krogulec prosili o wspaniały pogrzeb. Ponieważ Szymon Krogulec bez świętych sakramentów umarł, xiądz na pogrzeb paradny nie zezwolił, a za wielkiem uproszeniem, ledwie ciało święconą wodą pokropił i raz zadzwonić kazał.

Żona Krogulca Szymona, wspólnica grabieży sierocińskiego majątku patrzała na okropny koniec życia męża. To zrobiło na niej straszne wrażenie. Poznała w tem surową karę sprawiedliwego Boga. Sumienie przypomniało jej, że ona bardzo wiele przyczyniła się do krzywdy biednych sierót, że na niej cięży, jeżeli nie równa, to większa jak i na zmarłym mężu, zbrodnia wiadomej grabieży. Ta myśl, to przekonanie za-

częło ją prześladować, nękać, gryźć. Teraz ona ani jeść, ani spać nie mogła; zaczęła płakać, lamentować, narzekać, przeklinać. Nakoniec wpada w obłąkanie i podobnie, jak jej mąż, kończy życie.

Jakób Krogulec, syn, objął całe gospodarstwo po rodzicach. Był to chłop dumny i cięty, ale haniebna śmierć rodziców upokorzyła jego pychę i zarozumiałość; spuścił on ze swej zuchwałości, lecz za to nabrał więcej złośliwości i opryskliwości. Dla domowych i sąsiadów stał się nieznośnym. Wiedział on bardzo dobrze, jakim nieludzkim sposobem nabyli rodzice jego cały majątek po śp. Czyżyku. Sąsiedzi radzili mu po przyjacielsku, aby sieroty wyścigane odszukał, grunt, budynki i ruchomości zwrócił i tę do nieba o zemstę wołającą krzywdę, którą rodzice jego popełnili, naprawił i zmazał. To chrześcijańskie napomnienie oburzyło go do największej złości. Wręcz każdemu z gniewem odpowiadał: „Ojciec skradł, zrabował, nie ja, ojciec za to niech odpowiada.“

Kto niesprawiedliwość zasiewa i mnoży, zbiera nieszczęścia.

Owóż naszemu Jakóbowi Krogulcowi zaczęło się rwać, psuć i niedarzyć. Jednego roku chociaż okolica miała dosyć dobre zbiory, jemu chybiły. Później wybił mu grad całe zasiewy. Na nowe zasiewy jesienne i wiośniane, na wyżywienie domu zaciągnął dług. Dla brąku paszy dostatecznej wyginęło mu bydło. Na zakupienie nowego bydła zaciągnął dług. W parę lat zgorzała mu stodoła ze zbożem i stajnia z bydłem. Został mu tylko dom mieszkalny. Teraz już cała bieda przygniotła Jakóba Krogulca; ani on co jeść, ani czem orać; ani co siać, ani co u kogo pożyczyć, bo dla licznych długów, które dawniej zaciągnął a nie oddał, stracił kredyt. Jakób z wielkiego zmartwienia i zgryzoty wpada w słabość i umiera.

Kredytorowie wystawili przez proces sądowy budynki i grunt Jakóba na licytacyą i sprzedali dla odebrania długu z procentami.

Wdowa po Jakóbie Krogulcu zpędzona z gruntu i z domu poszła z kilkorga dziećmi na żebry, bo pieniądze na licytacyi

zebrane ledwie dług pokryły. Cała rodzina niegodziwych Krogulców poszła w poniewierkę i przepadła z Piórowic.

Tym wypadkiem potwierdza się prawdą naszego polskiego przysłowia:

Niesłusznie nabyte mienie,
Nie przejdzie na pokolenie. —

Taki był koniec Krogulców, ale na tem jeszcze nie koniec całej historyi, bo Pan Bóg nie tylko ukarał grzech, lecz także ukrzywdzonym sierotom wynagrodził cierpienie i nie dał im marnie zginąć. Owóż w przyszłym numerku napiszę wam znowu o tych sierotach po Czyżyku, co się z niemi stało i jakie Pan Bóg nad biednymi okazał zmiłowanie.

Jak mieszkania urządzać trzeba, dobry pzyjaciel rady daje.

W numerku trzecim mieliście mili bracia naukę o tem, jak urządzać dobrze mieszkania. O tej sprawie napisał teraz xiądz jeden, więc wam to drukuję, abyście się dokumentnie przekonali, że dobre urządzenie pomieszkania jest bardzo ważną rzeczą, a już najbardziej dla zdrowia ludzkiego.

Kiedym chodził po kolędzie — pisze ów xiądz — widziałem jako mało jeszcze dbają ludzie o mieszkania i o zdrowe powietrze w izbie. Chaty niskie, zadymione, często pary i wilgoci różnej co nie miara. Na środku izby stoi grapa ze zarżewiem a powietrze tak duszne, że ledwo wytrzymać.

Ja mówię: ludzie kochani, cóż robicie! miejcie litość nad samymi sobą, przecie nie podobna, abyście mogli być zdrowymi w takiem powietrzu.

A Maciej Trąba, gospodarz nizko się pokłoni, ale się niby trochę z boku uśmiecha i powie: Dobrodzieju, dyć to już tak u nas było, jak jeno zapamiętam. Drzewo drogie, w chacie zimno, toć aby przy tem zarżewiu się trochę gromada dziateczek ugrzeje.

Ja znowu mówię: ale przecie i wam to niezdrowe i te wasze dziateczki wnet wam muszą pochorować! wnet was pocznie głowa boleć, na krosty pochorujecie i Pan Bóg miły wie, jakie się tam z tego choróbska wywiążą.

A Trąba znowu nizko się kłania i mówi: My już tak się przyzwyczaili do tego, dobrodzieju, to nam pewnie nic nie będzie.

Ja znowu mówię: Alećto trucizna zawsze szkodzi zdrowiu, patrzcie jak blade te wasze dziateczki.

A Maciej się niby trochę zafrasował, ale wnet odpowie: Ej, dobrodzieju, toć to u nas tak wszędzie a przecie nie wszyscy chorzy.

Aż mię serce okrutnie zabolało, ale cóż tu począć, kiedy na upartego nie ma lekarstwa. Pożegnałem mądrego Trąbę i myślę, przecie się rzecz z kim innym lepiej uda. A tu jakby się wszyscy zmówili; ja im tak a oni inak i pewnie tam nikt nie usłuchał dobrego upomnienia mego. Myślę sobie, co tu począć, bo mię zawsze serce boli, gdy na to patrzę i uważyłem sobie aby w pisaniu tę rzecz wyłożyć, by każdy to sobie wszystko dobrze rozważył a przestróg przyjaciela usłuchał.

Kiedy w kościele wielki natłok, to tak czasem duszno, że aż ciężko oddychać. Gdyby ci kto całkiem gębę zatkał, tobyś się wnet udusił. Ja tę rzecz do tego stosuję: Jako jest pokarm i napój ku pożywieniu, tak też i powietrze ku naszemu pożywieniu. Jako wierutne głupstwo gada, kto mówi, by i najgorsze pokarmy miały być zdrowe, tak wierutne głupstwo jest, by każde powietrze było zdrowe. Zgniłe i nieczyste powietrze jest jakby mięso z chorego zwierzęcia, co się zakopuje w ziemię, by niem się kto nie otruł. Byś miał oczywisty przykład, idź do karczmiska po jakiej muzyce i spróbuj, jak ci tam będzie przyjemne te zepsute powietrze gorzałczyskiem doprawione. Wnet się ztamtąd wyniesiesz, jeśliś już docna nie popsuł nosa na zgniłem powietrzu. A ja ci tak mówię: choćbym się rad u ciebie zabawił, gdy cię szczerze kocham, wnet z izbiska twego pocznę umykać, jeśli w niem powietrze nieczyste, bo mi też chodzi o życie a u ciebie truciznę w siebie ciągnę. Wnet cię będę musiał opuścić, gdy gospodyni nieporządna, rzadko śmiecie wymiata, kiedy czasem statki myje, wodę porozlewa, kiedy bydłu co ugotowanego w izbie przyrządza, a tu pełno pary, że jeden drugiego ledwo zobaczy. Wnet cię będę musiał pożegnać, chocieś przyjaciel miły, kiedy przy kominie suszy się bielizna, izba nigdy nie przewietrzna, kiedy kapusta z beczką w niej stoi; kiedy wiele w niej ziela pachną-

cego, kiedy w niej ptactwo i króliki, bo to wszystko zanieczyszcza powietrze i różne choroby sprowadza. A kiedy się tam dymić na dobre pocznie, to ty sam już z izby uciekasz, tak duszno. A kiedy tam w małej izdebce wielu śpi, to i jakie tam powietrze! To wszystko pożywienie bardzo niezdrowe i wielu chorób przyczyna. Aleć najgorsze te grapy nieszczęsne z węglami na izbie, ten płomyczek niebieskawy, to największa trucizna, co wielu ludzi na miejscu zabija a więcej jeszcze powoli tłucze i do grobu wpędza.

Nawet i to, co koło chaty twej nieczyste, w izbie ci powietrze zanieczyszcza. Gdy w podwórzu nieporządek, gnojówka ściany domu płucze, jeśli opodal domu len zamoczysz, wszystko do chaty ci niezdrowe wprowadzi powietrze a choróbska różnego nabawi.

Kiedy by ci przyszło dom z podwórkiem budować, takiebym ci dał rady. Wybierz sobie wzgórek, zdala od bagien i wód stojących, blisko wody zdrowej, ale nie nizko, by nie podmakało. Fundament załóż dobry a gdy u nas drzewo do budowli drogie, może cię stanie na cegłę dobrze wypaloną a ostatecznie użyj i surówki ale niech jeno dobrze wyschnie. Wszystką też robotę wczas lata zacznij, by budynek przed zimą dobrze wysechł, bo jeśli w tem chybisz, już się wilgoci nie pozbędziesz. Gliną pierwszego roku nie radziłbym ci ścian obrzucać, jeno czekać drugiego lata aż dobrze wyschną. Na ziemię nasyp gruzów ze starego budynku, a kto tego nie ma, niech piasku wprzódy nasypie; potem kładź podłogę, która się powinna koniecznie w każdym domu znajdować. Izby powinny być tak wysokie, żeby najtęższy chłop, choćby się na palce postawił, powały ręką nie dostał. Okna na południe albo na zachód, jeno wielkie a do otwierania. Drzwi niech będą tak wysokie, bym sobie głowy nie nasinił, gdy cię odwiedzę, ni też zginać się potrzebował. Inne zabudowania niech będą cokolwiek od domu oddalone a z każdego budynku niech będą ścieki do gnojowni wykopanej i mocno ubitej a najlepiej kamieniami wymurowanej. W około domu zrób mały rowek i poprowadź z niego na dół ściek. Jako zaś wewnątrz tak i na zewnątrz pamiętaj dom twój często wybielać, by był miły Panu Bogu, co się białymi aniołkami otacza.

Takie ja rady daję i szczerze wam życzę, byście z nich jak najwięcej korzystali, bo je wam podaje wasz szczery przyjaciel, co się też na tem wszystkiem zna nie źle. Panu Bogu was oddaję.

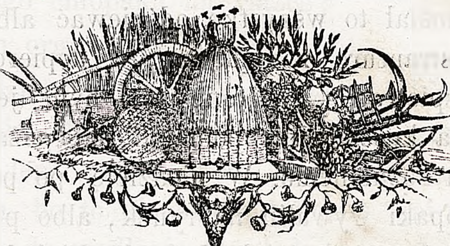
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. **Nr. 8.**

11. Marca **1864.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szkoła w Radomyślu pierwsza.

Nie ma nic gorszego dla każdego człowieka, jak kiedy jest głuptakiem, nie zna się na niczem i da się lada komu w pole wywieść. A nie ma znowu nic lepszego na świecie nad dobry rozum i naukę dobrą. Czy to pan, czy chłop, czy mieszczanin czy ladajaki, to mu bieda nic nie zrobi przenigdy, gdy sobie potrafi poradzić i zrobić koło siebie, jak się patrzy. Tam najgorsi i najbiedniejsi ludzie, gdzie nie ma dobrej nauki, dobrego przykładu i bojaźni Boga. Otóż bywało nie dobrze i w Radomyślu, bo choć to miasto i mieszczanie z pańska chodzili, to tam było biedy i grzechów pełno, a to dla tego, że nie było tam dawniej szkoły, ani nauki, ani dbania o to. Pan organista był już podeszły w latach i nie mógł ani głośno pobożne pieśni śpiewać, ani dać sobie rozgarnienia na odpustach i procesyi, a tu nikt a nikt z mieszczan i wsiowych nie pomagał mu w śpiewaniu, bo nikt nie rozumiał nic na xiążkach, ba nie znano wtedy w parafii całej ani jednego, coby się znał na kalendarzu i na pobożnych xiążkach. A jak przyszła święta

niedziela, to była ostatnia bieda w kościele, bo nie było ani bractwa żadnego, ani żywej duszy do różańca, ani chłopaka, coby potrafił do mszy świętej posłużyć. Pan organista nachylony ku ziemi musiał to wszystko odśpiewać albo odmówić, a jak zmówił ministranturę z xiędzem, to dopiero wtedy szedł na chór grać i śpiewać — a jakie tam było jego śpiewanie, kiedy mu nikt na kościele nie pomagał, to pożal się Boże o tem mówić komu rozumnemu. W niedzielę po południu to się dziewczęta i chłopaki wywalili na rynek, albo poszli do lasku, tam gdzie stoi cudowny kościół Matki boskiej bolesnej, i tam się gzili i chichotali i tak im schodziło na głupstwach święto boże. A wieczór znowu to przy muzyce wszystko tańcowało, aż ziemia dudniła, a jakie tam były śpiewki przeróżne gdzieś ze świata, to aż ucho uczciwe obraża mówić dziś o tem pobożnym ludziom. Było źle, bo nie było szkoły i nauki dobrej poza kościołem. A choć xiądz staruszek łajał za to w kościele, to to mało pomagało, bo nie było przykładu i rozumu dobrego. Ale każdemu złemu przychodzi raz koniec na świecie. Otóż raz przyszedł stary pan organista Walenty do xiędza, a pokłoniwszy się, mówił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jegomości dobry wieczór!

A xiądz powitawszy go zapytał:

— A co tam nowego? może kto chory, albo co?

— Ej nie! jegomość — rzecze pan organista — ja tu pęco innego przylazł, aby mię jegomość odprawili już z kościoła na moje stare lata, bo nikt mi nic nie pomaga w kościele, a ja już nie mogę sam się drzeć na tyle i chciałbym już odpocząć sobie.

Xiądz na to:

— A jakże wy myślicie sobie? cóż ja zrobię sam na całą parafię? Któż zagra na mszy? Kto posłuży?

Na to organista:

— Ja ta jegomość! choć starowina słaby, to nie odmawiam posługi w domu bożym, ale sam jegomość niech pomiarkuje sobie, że się nie ma na raz jeden kim posłużyć czy do rożańca, czy do mszy, czy na nieszpory, czy na pogrzebie, czy na procesyi.

Xiądz na to:

— A czybyście nie mogli w domu waszym przyuczyć jednego i drugiego chłopaka na xiążce?

Na to pan organista odpowie:

— Ta gdzieta jegomość poradzi z takim ludem jaki tu u nas w parafii? Mieszczanie są bardzo przemądrzali i widzi im się, że oni lepsi od chłopów, a to Boże zmiłuj się nad jednym i drugim, bo to nie zna ani liczby, ani numeru, ani nie wie jak xiążka do modlenia wygląda, ani nawet nie wie jak odmówić koronkę, a powiedz im co o szkole i nauce to cię wyśmieją i nakpinkują sobie aż grzech.

Xiądz na to:

— A pono chodzi do was czasem chłopak Piaseckiego i Przymykały z miasta?

Na to rzecze p. organista:

— Ale co to znaczy nauka ukradkiem i raz na tydzień na chwilę jedną? a i za to bije ojciec chłopaka i powiada, że mitręży i nie pilnuje roboty — a chłopcy by się uczyli, bo mają ochotę jak głodny do chleba, i już oba poznali abecadło i chcą się wyuczyć do mszy świętej posłużyć, już em ich nauczył dzwonić w mały dzwonek przy ołtarzu.

Xiądz na to:

— Poczekajcie no mój panie organisto! kiedy tak, to ja się sam przejdę do tych mieszczan i pogadam z nimi o tem na wyrozumienie.

I poszedł xiądz do domu Przymykały i Piaseckiego w mieście samem, a wszedłszy do domu, pochwalił Boga i usiadł koło stołu na zydlu drewnianym i mówi: Mój panie Przymykało! macie dobrego chłopaka, co już sporo podrósł, a za 5 lat pomyślicie o żonce dla niego, ale jakieto będzie stadło i jaki mieszczanin z niego, kiedy on umie jeno wóz złożyć i do pługa konie założyć, zboże zwieść, wymłócić i zjeść? a co będzie z jego duszą i zbawieniem wiecznem?

Na to Przymykała rzecze:

— I mój dziadek i pradziadek nie bywali ani sędzią ani w urzędzie, a jedli chleb i jeszcze podali i drugiemu — byli

*

kilka lat wójtem na ratuszu naszym, choć nie znali druku i pisma, to ta i my ich dzieci nie wyginiemy.

Xiądz na to:

— Ale mój Przymykało! to też bardzo źle, że nie było z waszego rodu nigdy ani piśmiennego, ani xiędza, ani przy kościele brata, jeno jesteście wszyscy jednacy i jednacy i nawet sobie testamentu odczytać ani go napisać nie potraficie, ale latacie za pisarzem o jakie trzy mil daleko. A przecie nikomu Bóg nie zagrodził drogi do dobrego stanu jakiego. Z innych miast wychodzą na xięży, na profesorów, na sędziów — a tu u was jakby zaklął kto to miasto i nie ma ani jednego chłopaka po szkołach czy to w Rzeszowie, czy w Sandomierzu! a co wielka hańba dla was i dla mnie, że też nikt nie umie posłużyć w domu bożym i zaśpiewać.

Na to pan Przymykała rzecze:

— No cóż, żeby i dać chłopaka gdzie, to któż go tu będzie uczył? organista nasz wiekowy, a jegomość ma swoje zatrudnienie inne.

Xiądz na to:

— No! to go posyłajcie nateraz do organisty, a jak się poduczy trochę, to go dacie do Sandomierza, boć to nie daleko — a zobaczycie, że Bóg dopomoże na dobre.

Na to pan Przymykała mówi:

— To się będzie memu chłopakowi samemu cnęło, gdyby jeszcze choć jeden taki był, toby im szło lepiej w kupie.

Xiądz na to:

— Ja to zrobię, że i Piasecki będzie dawał swego chłopaka do organisty.

I stało się, jak xiądz powiedział. Dwa chłopcy tj. syn Przymykały i drugi Piaseckiego chodzili odtąd co dzień przez południe do pana organisty na naukę. Za kwartał służyli do mszy, śpiewali w ławkach różaniec z panem organistą, a na nieszpory śpiewali na chórze — a za pół roku czytali każdy druk i pismo, a nawet czytali na mszale samym.

Po dwu latach zawołał xiądz obu ojców do siebie i mówił im:

— No! widzicie teraz sami, co to zrobić może ochota do

nauki! Straty nie macie żadnej w robocie, bo rano i popołudniu robili wam chłopcy w chałupie, a jeno przez południe zbiegli na organistówkę i tam się od starego pouczyli mało wiele i macie z nich piśmiennych takich, jakimi nie byli wasi dziadkowie i jakimi wy sami nie jesteście. A teraz mię posłuchajcie i dajcie te dzieci do Sandomierza a zobaczycie, co z nich będzie. A stać was na to.

A pan Przymykała skłonił się i rzecze:

— Mój jegomość! choćbym stracił parę koni i wóz do krajcara jednego, to już teraz nie pofolguję na włos i nie dam zmarnować się przy pługu memu dziecku.

A znowu pan Piasecki na to:

— I ja tak samo zrobię! choćbym miał zastawić kawałek łąki i zagon jaki — a nareszcie wolę w domu żyć suchym chlebem i od dziś ani skosztuję miodu na ratuszu i nie stracę krajcarka, jeno będę składał, aby też i moje dziecko wyszło na ludzi.

I stało się tak! a zaraz na drugi tydzień jechał wóz wielki napakowany bochenkami, ćwiertnikami, workami z mąką i kaszą, a na samym wierzchu siedziało dwu szkolarzy z Radomyśla, których odwozili ojcowie do Sandomierskiej szkoły.

Matki płakały za dziećmi, ale gadały sobie:

— Niech się tam uczą z pomocą bożą, a my sobie tu jakoś poradzimy w chałupie i bez ich roboty — weźmie się jakiego pastucha na służbę i zrobi się wszystko.

Za trzy lata podrośli chłopcy dobrze, ale też nauczyli się tyle dobrego w Sandomierzu, że mogli drugich nauczać i dostawali za to wielkie pieniądze od panów polskich. A na examinie gadał im sam biskup Sandomierski:

— Uczcie się dzieci! a choć wy tylko prości mieszczanie, to mogą być z was ludzie kiedyś i podacie rękę waszym ojcom i swojakom, a jak wam Bóg dopomoże do jakiego stanu, to pójdą za wami inni Radomyślanie i będą się uczyć, jak wy teraz.

I wyprorokował ten pobożny biskup tym chłopakom z Radomyśla. Jak biskup widział, że to byli najlepsi szkolarze, że zarabiali sobie grosik niejeden i nie raz posłali do domu

ojcom albo braciom coś w podarunku, zawołał ich raz do siebie, uraczył ich i mówił:

— Na co wy macie ochotę moje dzieci?

A szkolarz Przymykała odpowiedział:

— Ja, proszę xiędza biskupa, mam straszną ochotę być xiędzem na wsi, takim plebanem, i jeźli mi Bóg dopomoże, to będę po wsiach zakładał szkoły, będę uczył dzieci razem z organistą, będę pomagał swojakom do nauki, bo to i ja uczyłem się także z początku u takiego organisty staruszka, a dziś umię więcej niż dziesięciu takich organistów.

Na to mu xiądz biskup mówił:

— No to dobrze moje dziecko! ja cię wezmę zaraz do seminaryum na kleryka, a potem cię wyświęcę na xiędza i będziesz u swoich albo niedaleko od nich xiędzem, ale pamiętaj, abyś się nie wstydał swoich krajanów i abyś im dawał dobre nauki i dobry przykład, a drugich z Radomyśla namawiał tak samo do szkoły, jak ty chodził z ochoty.

A potem mówił biskup do Piaseckiego:

— A ty moje dziecko! na co masz ochotę? może na jakiego profesora albo pana?

Ale szkolarz Piasecki rzecze z ukłonem:

— Ja zaś proszę xiędza biskupa! mam ochotę na zakonnika, bo lubię strasznie modlić się od rana do wieczora, lubię w izbie siedzieć i co dłubać i gadać kazania ludziom i pościć i jałmużnę dawać.

— No to dobrze moje dziecko — rzecze biskup — to ja cię poszlę jutro do zakonu, abyś był dobrym zakonnikiem i tam Boga chwalił a ludzi nauczał.

I nazajutrz był szkolarz Przymykała klerykiem, a znowu Piasecki poszedł do zakonu. Za trzy lata był wielki hałas w Radomyślu na rynku — koło fary stały cechy z chorągwiami i obrazami, a xiądz staruszek w kapie i stary organista szli do domu w mieście, gdzie siedział Przymykała i Piasecki; a ludzie pytali się:

— Gdzieto idzie ta procesya?

A inni gadali na to:

— Toć to idą po naszych xięży nowych, po synów Przy-

mykały i Piaseckiego, których wyświęcił biskup Sandomierski i którzy będą mieli tu prymicye i będą nam głowy ściskali dzisiaj.

A ludzie z podziwu gadali:

— To to ci dwa chłopaki, co to za młodu paśli bydło i poganiali konie i mieli być gazdami prostymi?

— A jeno! że ci sami — odpowiadali im drudzy — ta to wyuczył ich abecadła stary organista, ot ten sam, a potem oddali to ojcowie do miasta na naukę, i patrzajcie moi dobrzy jak to Bóg wykierował i dopomógł do dobrego, a ojcowie się cieszą aż strach wielki.

I odbyły się dorazu dwie prymicye w Radomyślu a nowi xięża gadali do mieszczan i chłopów:

— Moi dobrzy ludzie! fundujcie szkoły wszędzie, a gdzie trudno o to, to dajcie dzieci bodaj do organisty albo do pisarza wsiowego na naukę, a potem dajcie do miasta bliskiego i dbajcie co można, a Bóg dopomoże wam i wasze dzieci wyjdą z biedy na ludzi — widzicie sami, co porobił Bóg i z nami!

I był xiądz Przymykała plebanem w Grębowie koło Sandomierza, wyfundował tam gromadzką szkołę, która do dziś stoi i uczy się tam po 200 dzieci co rok, i idą te dzieci w świat boży potem i ma każde kawałek chleba i pamiętają tam ludzie do dziś tego xiędza, choć już pomarł. Był on dobrym i dla swojaków, pomagał, dawał i radził do dobrego.

A znowu xiądz zakonnik Piasecki został starszym w zakonie i pamiętał o krewniakach swoich.

Otóż taki to był początek szkoły w Radomyślu, stary organista Walenty zaczął, Bóg dopomógł i zaraz dwaj pierwsi szkolarze wyszli na xięży. Odtąd była już nauka jaka taka w Radomyślu.

A to piszemy wam moi ludzie na to do Dzwonka, abyście i wy tak robili, a wasze dzieci z niczego zostaną xiężami, panami albo co im sam Bóg wyznaczy.

Zaś w drugim numerku będzie więcej o tej szkole.

Skoczek profesor z Gorlic.

Śpiewka o Polsce.

Jak nie kochać bracie drogi
Polską ziemię — polską rolę?
Kędy zasiadł ludek mnogi,
Pełniąc szczerze Bożą wolę —
Gdzie przechodnia, ubogiego,
Pełnem sercem powitają,
I ugoszczą, a do tego
Z nim pogwarzą i pobają.

A gdy gość się mądry zdarzy
Co i prawdę przytem waży,
Gdy zasiędzie przy twym stole
W przyjacielskiem, bratniem kole
To człek wtedy coś się dowie
O Warszawie, o Krakowie.
O Kościuszce bohatyrze
Co to trzepał wrogów szczerze,
O Kilińskim szewcu chwackim,
I o chłopkach co z Głowackim
Bijąc tęgo psów Moskali
Za ojczyznę życie dali.

Jak nie kochać polską ziemię
I to nasze polskie plemię,
Jak nie kochać gór grzbiet siny
Lub zielone te równiny,
Gdzie mogiły zdobią krzyże,
Pod któremi zbrojni w spiże,
Pełni cześci, pełni chwały,
Ojce nasze się zdrzymały.

Jak nie kochać polskie syny?
Co rzucając swe rodziny
Pełni męztwa, pełni wiary,
Pod ojczyste szli sztandary,
A tam walcząc siły wszemi
Za pomyślność własnej ziemi,
Z taką w polu legli chwałą
Z jaką ginąć nam przystało!

Stanisław ze Siedliszowa.

Czyżyk i Krogulec.

Gadka o dwoch rodzinach sąsiednich.

II.

Może spytacie mili ludzie, co się też z biednemi sierotami Jasiem i Jadwisią stało? Czytajcie dalej z uwagą, a ja wam o nich opowiem.

Jaś i Jadwisia błąkały się i tułały, jak błędne owce, ode wsi do wsi, żebrząc o zasiłek, to o nocleg. W jednem miejscu wyłajali i wyścigali je; w innem małym darem zasilili. Czasem mieli nocleg pod dachem, czasem pod gołem niebem. Nikt je na służbę przyjąć nie chciał.

Pewnego ranka przyszli oboje pod figurę pod krzyż co stał śród pola; uklęknąwszy pomodlili się.

Jaś mądrzejszy tak przemawia do Jadwisi:

— Kochana siostro! musimy się rozłączyć, bo pojedynczo idąc, łatwiej się między ludźmi wyżywiemy, prędzej nas kto do domu na noc lub na służbę przyjmie.

Jadwisia na te słowa rzewnemi łzami zapłakała; zaczęła szlochać, rączęta załamywać i narzekać:

— A gdzież ja biedna sierota, sama jedna bez ciebie Jasiu pójdę!? gdzie się obrócę? z tobą mi weselej i śmielej!

Teraz i Jaś zapłakał i oboje stojąc pod krzyżem płakali.

Po uspokojeniu się w płaczu, Jaś jeszcze powtórzył swoją mowę. Jadwisia po chwilowem namyśleniu przyjęła radę Jasia. Uklękli jeszcze raz i gorąco pomodlili się do ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa. Zmocnięni świętą modlitwą, ze łzami w oczętach ściskają się i serdecznie całują na ostatnie pożegnanie. Jaś z łkaniem jeszcze przemówił do Jadwisi:

Żegnam cię moja kochana Jadwisiu! może na zawsze, oddaję i polecam cię Panu Jezusowi i Jego Matce Najświętszej Pannie Maryi; w nich ufaj i módl się zawsze, a oni cię nie opuszczą.

Z gorzkim płaczem rozstały się biedne sieroty. Na kogoż padną te niewinne łzy sierót, jeżeli nie na przeklęty ród Krogulców?

Rada Jasiowa dobra była, i pokazało się, że rozłączenie sierot wypadło im na dobre. Jaś zbliżając się ku wsi Małowicom zdybał miejscowego xiędza proboszcza idącego na spacer. Xiądz widząc pomalutku idącego chłopczynę pyta się:

— Dokąd idziesz moja duszo?

Jaś: Proszę Dobrodzieja! sam nie wiem dokąd?

Xiądz: Jak to? nie wiesz? a zkądżeś ty?

Jaś: Z Piórowic.

Xiądz: To zdaleka! Cóż ty tu robisz?

Jaś: Proszę dobrodzieja! tatuś i matusia umarli. Chrzestny ojciec wziął mię i moją siostrę po śmierci naszych rodziców do siebie. U niego było nam bardzo źle. Bił nas, jeść nie dał, nakoniec wyścigał; otóż teraz tułam się po świecie.

Xiądz: Jak się nazywasz?

Jaś: Nazywam się po ojcu Czyżyk, na imię mi Jaś.

Xiądz: Jasiu! będziesz-że ty u mnie służył, to cię przyjmę?

Jaś uchwycił xiędza za nogi, pocałował w rękę i odpowiedział:

— Będę i bardzo chętnie. Prawda! żem jeszcze mały i słaby, ale co możności bedę robił. Będę paść bydło, bo to potrafię.

Podobał się Jaś xiędzu z postawy i z odpowiedzi, wziął go więc z sobą na plebanią. Kazał go oczyścić i okryć, miał też z niego bardzo dobrego sługę; był bowiem Jaś posłusznym, zręcznym, zwinnym, pojętnym i grzecznym. We wsi Małowicach była przy kościele szkołka, do której się dzieci bardzo licznie zgromadzały; do tej kazał xiądz Jasiowi co dzień w południe chodzić i uczyć się. Jaś przy swojej zdolności i pilności w krótkim czasie przewyższył w nauce wszystkie dzieci. On był pierwszym, on najpłynniej czytał, najpiękniej pisał, najzręczniej rachował, najlepiej katechizm odpowiadał. Wszystkie nabożne pieśni, które się w kościele podczas nabożeństwa spiewały, umiał na pamięć. W każdą niedzielę i święto albo służył xiędzu do mszy świętej, albo na chórze z organistą nabożne pieśni śpiewał, miał on bowiem piękny głos. Najulubieńsza jego pieśń, którą sobie zawsze i wszędzie, w domu i na polu nócił, była następująca o ufności w Bogu:

Bądź spokojna, duszo moja!
Bóg kocha człowieka,
Jemu ufaj w Nim jest twoja
Obrona, opieka.

Zna on ciebie, zna twą dolę —
Co cię dręczy, czuje,
Widzi twoje łzy i bole,
Pociechę gotuje.

Wie On, w jakiej jesteś biedzie,
Widzi twe strapienie;
I ze złego cię wywiedzie,
Nagrodzi cierpienie.

W Jego ręku moc i władza,
Gdy zechce wspomoże,
Do bram śmierci przyprowadza,
I znowu wskrzesić może.

On w dobroci nieprzebrany,
Złe od nas odsuwa;
Jako Ojciec ukochany,
Co nad dziećmi czuwa.

Na Niego zdaj twoje troski,
Duszo bądź gotowa!
On ci przyrz·kł balsam Boski
I dotrzyma słowa. — Amen.

Jaś garnął się wszystkiemi siłami do Boga i do ludzi. Xiądz go za to pokochał i pamiętał o nim. Posuwał go w służbie z pastucha na poganiacza, poźniej na parobka, na koniec na gospodarza plebańskiego. We wszystkich tych obowiązkach był pilnym i zręcznym a szczególniej jako gospodarz plebanii okazał swą zdatność. Był on dobrym i łagodnym, ale gdzie potrzeba było użyć gorliwości i surowości, to potrafił; dla tego kochali go i szanowali wszyscy służący i służące na plebanii, ale się go i bali. Wszędzie w budynkach i około budynków, w ogrodzie, na polu i na łąkach panował najpiękniejszy porządek. Bydło było utrzymywane w czystości. Każdy sprzęt, każda rzecz leżała na swojem miejscu. Robota szła jak z kłębka; każdy wiedział od niego co? jak? i kiedy? miał uskutecznić. Krótko mówiąc: całe gospodarstwo plebańskie prowadzone było wzorowo.

Jaś — już nie Jaś! ale Jan zachowywał się sam bardzo moralnie. Nikt go tam nie widział w karczmie, albo na jakiejś zabawie, pohulance, lub rozpustnej pijatyce. Nie wdawał się w żadne złe towarzystwa, nie włóczył się po jarmarkach, ale pilnie wypełniał obowiązki swego położenia. W wolnych godzinach czytywał sobie i czeladzi piękne religijne i inne pożyteczne xiążki, które mu xiądz dawał. Takie postępki chwalebne, takie skromne i moralne życie zjednało Janowi Czyżykowi u wszystkich w całej wsi Małowicach miłość i szacunek.

Każda matka, każdy ojciec życzył sobie mieć Jana zięciem; bo trzeba wiedzieć, że u Jana była bardzo piękna dusza w pięknem ciele. To też Jan różne miewał oświadczenia o żeniaczce przez posły. Jan słuchając to, uśmiechał się i milczał; nie chciał nikomu przez przyjęcie oświadczenia robić zawodu lub zawracać dziewczętom głowy i serca. Do jednej tylko czuł on szczególniejszy pociąg. Była to Zosia, córka majętnego gospodarza w Małowicach. Jan nie śmiał się oświadczyć z swoją miłością, bo się czuł ubogim, sierotą.

Cała jego nadzieja w Bogu i w xiędzu. Bez porady bowiem i wiedzy xiędza nic też nie czynił.

Jednego razu po ukończeniu dziennej pracy, po obejrzeniu wieczorem wszystkich budynków i bydła, przyszedł do xiędza dla zdania sprawy z całodziennej czynności i dla odebrania rozkazu na dzień następujący. Przy tej sposobności z wielką nieśmiałością, kłaniając się xiędzu, w te odzywa się słowa:

— Proszę jegomości dobrodzieja o ojcowską radę, bo i do kogoż mam się udać jeżeli nie do jegomości dobrodzieja!? Byłem sierotą opuszczonym. Błąkałem się i tułałem ode wsi do wsi, nikt mię nie przyjął. Często pod gołem niebem musiałem noc przespać. Byłbym może z głodu zginął. Jegomość dobrodziej przyjął mię z miłosierdzia w dom swój wtedy, kiedym jeszcze na zjedzoną strawę zarobić nie był w stanie; przyjął, okrył, wyżywił, wychował, wyuczył, i na człowieka wyprowadził. Za te wielkie i nieoszacowane dobrodziejstwa oświadczam czułą i serdeczną wdzięczność; ale też mam pewną nadzieję i ufność w łasce i dobroci jegomości dobrodzieja, że mię i nadal z swej miłosiernej opieki nie opuści a potrzebnej rady i pomocy doda.

Xiądz z uwagą wysłuchał przemowę Jana i pyta:

— O cóż to chodzi? Czegóż to żądasz? kochany Janie!

Jan: Ludzie namawiają mię do ożenienia, a ja bez wiedzy i porady jegomości dobrodzieja nic rozpocząć nie chcę.

Xiądz: Bałamucą cię ludzie! bałamucą! pomyślemy o tem! — bo to już tobie czas, masz wiek po temu, a zresztą jest to twojem dalszem przeznaczeniem! Przekonany jestem o tem, że zawsze przy mnie być nie możesz. Potrzebujesz swego

własnego kącika. Powiedzże mi otwarcie, z kim zamyślałbyś się żenić?

Jan zaczerwienił się i z jąkaniem odpowiada: Jabym myślał i życzyłbym sobie u Andrzeja Kurcza ze Zosią. Ta dziewczyna niezmiernie się mi podoba! Ale ona córka bogatego, zamożnego i gruntowego gospodarza, a ja sierota, ubogi, biedny; wysokie progi na moje nogi!

Xiądz: Nie uważaj za nadto na majątki i bogactwa. Cnota, uczciwość, stateczność przewyższa to wszystko. No! no! bądź spokojny! pomówię ja z Kurczem o tem, i jakoś to będzie!

Jan kontent z obietnicy, ucałował nogi swego dobrodzieja i odszedł wesoły.

Teraz opowiem wam moi mili o Andrzeju Kurczu. Był to gospodarz zamożny ale przy tem pracowity, pilny i uczciwy. Taka też była cała rodzina, bo jabłko nie daleko odtacza się od szczepka.

Pewnego razu pojechał Andrzej Kurcz na targ do miasta powiatowego. Podczas targu usłyszał obębnienie licytacyi na grunt w Piórowicach. Na to ogłoszenie tak sobie Andrzej w swej głowie rozważa: Pieniądze, dzięki Panu Bogu! mam; na kupienie gruntu wystarczą; mam dwoje dzieci, syna obsadzę na ojcowiznie a córkę na gruncie kupionym; co dać! to dać! kupię! Jak zamyślał, tak zrobił. Zalicytował, zapłacił i otrzymał dekret własności. O tem kupnie nikt nie wiedział, tylko sama żona Andrzeja. W interesie parafialnym przyszedł Andrzej Kurcz do xiędza proboszcza. Po uskutecznieniu tegoż odezwał się xiądz do Kurcza:

— Mój Jędrzeju! Jan Czyżyk, mój gospodarz pragnie ożenić się z twoją córką Zosią, ale obawia się oświadczyć ci swoje życzenie dla tego, że jest ubogim sierotą. Ja zaś, ile go znam i twoją córkę, myślę, żeby to było małżeństwo bardzo stosowne. Nie potrzebuję opisywać i chwalić ci Jana, bo go od dzieciństwa znasz. A że ubogim! to Pan Bóg rozdaje wiana i majątki! Andrzej Kurcz rzeknie na to:

— Proszę jegomości dobrodzieja! nie ma się co dlugo namyślać, ani w bawełnę obwijać! oto za szczęście sobie poczytam, jeżeli tak godnego i uczciwego człowieka w dom mój

dostanę jak Jan. Dałby to tylko Pan Bóg, aby takim został, jakim teraz jest!

Xiądz: W Bogu nadzieja! spodziewam się, że Jan nie zmieni się. Za nadto dał jasne dowody swojej pobożności, bogobojności i uczciwości. Jeżeli jako niedoświadczony młodzieniec nie dał się pokusom uwieść, to jako mąż i gospodarz stateczniejszy w cnocie byćby powinien.

Zwyczajem swoim przyszedł Jan wieczorem do xiędza. Po ukończeniu interesów gospodarskich rzekł xiądz do Jana:

— Janie, mówiłem z Kurczem, idźże teraz sam do niego i proś o Zosię.

Jan z radością podziękował xiędzu i odszedł.

Na oświadczenie się i prośbę Jana o Zosię oboje Kurczowie starzy z duszy serca przystali, aby wydać Zosię za Jana, a i Zosia nie była od tego.

Na rozgłos o tem małżeństwie było wiele i różnej gadaniny i podstępów. Zli i przewrotni ludzie z zazdrością ganili Andrzejowi i Zosi Jana, mówiąc między innemi obelgami, że jakiemuś przywłoce, jakiemuś dziadowodowi, jakiemuś nieznanemu przybyszowi córkę daje itd. Ale te gadaniny sprawy nie popsuły. Cnota, uczciwość Jana zwyciężyła. Niebawem nastąpiło sute i huczne wesele.

Po weselu przychodzi Kurcz do xiędza i okazując dekret na kupiony grunt w Piórowicach, dodaje:

— Proszę jegomości i dobrodzieja! kupiłem grunt w Piórowicach, kazałem wystawić potrzebne budynki i zamyślam tam osadzić moją córkę z zięciem. Na moim zaś gruncie w Małowicach zostawię syna.

Xiądz: Bardzo dobrze! bardzo mądrze zrobiłeś kochany Andrzeju! żeś ten grunt kupił. To jest najpewniejsze i najtrwalsze wiano dla córki. Pieniądze, to rzecz doczesna. Święta ziemia! to kapitał pewny, niezmienny; złodziej go nie ukradnie, ogień nie spali. Kto umie w tym kapitale pracować, ma nieustający procent; a mogę ci zaręczyć, że Jan będzie umiał. W dzień przed odjazdem do Piórowic, cała rodzina twoja niech przyjdzie do kościoła na Mszę świętą, a potem do mnie.

Przy tej zapowiedzianej mszy świętej pomodlił się xiądz za pomyślność młodej pary małżonków. Po mszy świętej udzielił im błogosławieństwo do podróży.

Po przybyciu na plebanią tak xiądz w przytomności całej rodziny Kurcza przemówił:

Kochany Janie! służyłeś u mnie przez kilkanaście lat, byłeś mi wiernym, pilnym, we wszystkiem dogodnym; o to jest twoja pieniężna zasługa, która ci się za ten czas służby należy. Do tej dołączam jako podarunek z mej strony te pieniądze. Weźmij sobie tę sumę! zda ci się na początek twego gospodarstwa. Oprócz tego podaruję ci z mej stajni jedną krowę i jałówkę, furę zboża i połeć słoniny; niech ci to służy! kochany Janie muszę ci dać tę radę: Odłóż co rok kilka złotych na zakupienie sobie xiążek do czytania jak np. Dzwonek, Czytelnia niedzielna, Przyjaciel domowy i inne, które szczególnie dla ludu wiejskiego są wydawane. Kupuj, czytaj i innym do czytania pożyczaj, bo xiążki na to drukowane, aby je czytać. Pamiętaj Janie! dobra xiążka, to dobry przyjaciel, z którym się w wolnych godzinach rozmówić, zabawić i rozweselić możesz; on cię nauczy, oświeci, pocieszy, poradzi, do dobrego zachęci; otóż na takiego przyjaciela wydać kilka reńskich już nie żal.

Janie! bądź dobrym, uczciwym, pracowitym, jakim dotąd byłeś. Dotąd pracowałeś dla mnie, teraz pracuj dla siebie i dla żony. Żyj z żoną według przysięgi przed ołtarzem i Bogiem złożonej. Pamiętajcie oboje o tem, że w małżeńskim stanie są przyjemności, ale są i krzyże, które dźwigać potrzeba; znoście je w świętej cierpliwości. W smutkach, dolegliwościach i utrapieniach, jakie was trafić mogą, szukajcie pociechy w modlitwie i w Bogu. Bóg! błogosławieństwo jego i moje kapłańskie niech będzie z wami!!

Z serdeczną czułością podziękowali wszyscy xiędzu za naukę i dobrodziejstwa a w szczególności Jan; i z łzawem okiem pożegnał się ze swym wielkim dobrodziejem.

Andrzej Kurcz odwiózł zięcia i córkę z całem gospodarstwem, jakie im udzielił, na nową posadę do Piórowic. Tu poznał Jan z wielkiem zadziwieniem, że po długiem błąkaniu

się po świecie, przychodzi na swoją ojcowiznę. Włościanie Piórowic poznali w Janie onego małego zaginionego Jasia i z radością go witali.

Tu wam kochani czytelnicy! wyjaśniam, że grunt i budynek kupiony na licytacyi przez Andrzeja Kurcza był właśnie ten sam, który za długi Krogulca sąd sprzedał. Grunt zaś Krogółca,—jak wam to na początku powieści opisałem, składał się z jego własnego i Czyżykowi wydartego. Otóż Jan Czyżyk przychodzi teraz w posiadłość obydwoch.

Andrzej Kurcz sprawił zięciowi sute wprowadziny na nowe gospodarstwo. Najpierw na drugi dzień pojechali do parafialnego kościoła. Tam uprosili xiędza proboszcza, aby na ich intencyą mszę o błogosławieństwo dla początkowego gospodarstwa odprawił. Po nabożeństwie rozpoczęła się huczna gościna, przy której sobie mieszkańcy Piórowic różne wypadki rodzin Czyżyka i Krogulca przypominali i opowiadali; a wszyscy w owym powrocie Jana Czyżyka do swojej ojcowizny poznawali i w pokorze uwielbiali cudowną opatrzność dobrego i łaskawego Boga, który dobrych nigdy nie opuszcza, a chociaż czasem przez ciernie i głogi, to zawsze do szczęścia prowadzi.

Jan Czyżyk cieszył się na nowem gospodarstwie miłem szczęściem i pomyślnem powodzeniem. Wiodło mu się we wszystkiem. Ta tylko jedna smutna myśl go trapiła, że o swojej ukochanej siostrze, po rozłączeniu się z nią pod onym krzyżem, nic nie wiedział i nic się dowiedzieć nie mógł, chociaż się pilnie sam wywiadywał i tych sąsiadów, którzy w odległe strony na jarmarki lub na odpusty do dalekich kościołów chodzili, o dowiadywanie się o niej prosił.

Zaś o Jadwisi Czyżykowej przyszłą razą napiszę wam, co się z nią stało.

PRZYPOWIEŚCI.

Kto w młodości rozrzutny i marnotrawny, ten się doczeka starości ubogiej.

Praca i oszczędność daje majątek, i robi człowieka użytecznym obywatelem kraju.

Wstrzemięźliwość daje zdrowie i ciągłą rzeźkość do poźnej chwały.

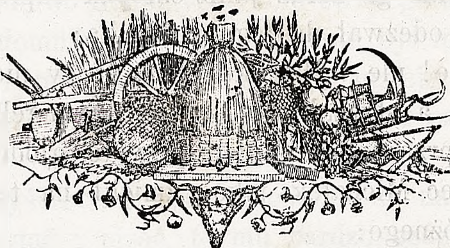
Szczerość i sprawiedliwość sprowadza zaufanie, miłość i szacunek.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 9.
21. Marca 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szkoła w Radomyślu druga.

Jak syn Przymykały i Piaseckiego wyszli na xięży, tak z tego była wielka uciesznosć w Radomyślu, a i zazdrości było nie mało; to też dla tego każdy ojciec i matka chcieli dać swoje dziecko do nauki, ale nie było komu, bo organista Maciej nie był taki uczony, jak nieboszczyk Walenty, to się też tego i nie podejmował. Cała gromada bardzo sobie markociła, że nie było profesora, a trudno to było wtenczas o jakiego piśmiennego człowieka, nie tak jak teraz.

Przeszło tak kilka lat, aż zkądsi ze świata przyszedł do Radomyśla jeden podróżny człowiek na odpust, a nazywał się Gotner. Doskonale był uczony, a do tego umiał grać na przeróżnych instrumentach, bo był przy wojskowej bandzie za najstarszego co się nazywa kapelmeister.

Właśnie przyszedł ten Gotner do Radomyśla w sobotę wieczór dwa tygodnie po Matce Boskiej Zielnej, a w niedzielę zaraz wypada odpust na Pocieszenie Matki Najświętszej. Cho-

dził po kilku chałupach i prosił o nocleg, ale go wszędzie odprawili, bo już była ciżba, aż zaszedł do chałupy Kowalika. Wlazł do sieni, ale gó zaraz jakiś chłopak odprawiał, że ciżba. Tak się Gotner odezwał do tego chłopaka:

— Chłopcze! nie wykrzykuj tak, bo ty nie wiesz, że ja daleki podróżny, a słyszałeś w świętej Ewangelii, co Pan Jezus powiedział: przechodnia w dom przyjąć, głodnego nakarmić?

Ten chłopiec Michałek jakoś zmiękł na te słowa święte i rzekł do podróżnego:

— No! to poczkajcie panie, aż matusia przyjdą bo teraz poszli doić krowy.

Za chwilę przyszła Kowaliczka od krów, i jak jeno zobaczyła podróżnego, tak go zaraz prosiła do drugiej izby, żeby usiadł; przecedziła mleko i postawiła w szafarnią, zaświeciła kaganek, dała dzieciom wieczerzę a i Gotnerowi podała z kwartę mleka i dużą kromkę chleba. Potem siadła sobie koło podróżnego, wypytywała się o wszystko, bo ona była bardzo ciekawa, a jak zauważała, że ten podróżny jakiś mądry i do tego z waszecia, to mu też znowu opowiadała o swojem gospodarstwie, że mają troje dzieci w domu, że mąż jest na robocie w Warszawie, i że najstarszy syn Sobuś jest przy wojsku już cztery roki, a nic o nim nie słyszą, i zaczęła płakać.

— A i cóż, nic do was nie pisał? — zapytał się podróżny.

— A toć onegdaj przyszło pismo na pocztę — rzekła Kowaliczka — ale nie ma go kto przeczytać; może wy panie potraficie?

— Pokażcież to pismo —. rzekł podróżny.

— Kowaliczka dostała ten list z za obrazu, a podróżny rozpieczętował i zaczął czytać:

Sercem najukochańsi rodzice! Najpierw donoszę wam, że jestem zdrów i dobrze mi się powodzi z łaski Boga najwyższego, czego i wam życzę. Już 4 roki jakem z domu wyszedł a żadnej wiadomości wam nie dałem, bom nie umiał pisać. Teraz dzięki Bogu już umię, bom się tego nauczył od pana doktora, co teraz jestem przy nim. Pan doktor wyuczyli mię pisać i wyrobili tak u pana kapitana, że ja już u nich nie będę, jeno pomaszerują do naszego kochanego polskiego kraju

do Rzeszowa na kaprala, i będę w naszem cyrkularnem mieście. Jak w Rzeszowie pobędę ze 6 niedziel, to się zamelduję na urlop i przyjdę do Radomyśla koło świętego Marcina. Żebym był umiał co z domu pisać, tobym się już był może na felfebra wydrapał, ale i teraz mam w Bogu nadzieję. Wszystko mi dobrze idzie, egzecyrkę umię dokumentnie, i pany oficyry mię bardzo lubią. Sercem najukochańszy tatusiu i matusiu, bardzo was proszę, żebyście dali brata Michałka do nauki, bo jak nie będzie umiał czytać i pisać, to mu bardzo będzie źle na świecie, bo ja się dopiero teraz przekonał, co to jest za dobra rzecz. Po milion razy pozdrawiam tatusia i matusię, brata Michałka, siostrę Kasię i Julkę, ciotki obie i swaka, stryjanki i stryjów, obu sąsiadów Rybaka i Macugę i wszystkich znajomych i krewnych Matce Boskiej Bolesnej w opiekę oddaję, a proszę o odpis do 14 kompanii do Pesztu.

— O dla Pana Jezusa! — zawołała Kowaliczka z płaczem. — Poczekajcie panie ja pójdę po ciotki, stryjów i sąsiadów tu zawołam, żeby też słyszeli, co mój Sobuś do nas napisał — i co tchu na ulicę poleciała. Zawołała z 10 kobiet i sąsiada Macugę. Posiadali sobie w chacie a podróżny jeszcze parę razy to pisanie czytał, a oni aż płakali z radości, że też Sobuś o nich pamiętał. Macuga strasznie wzdychał i jeno zawsze to powtarzał, że ta największa sztuka mu się podoba, że się Sobuś wyuczył pisać, i że chudaczek sam swoją ręką napisał, i że o wszystkich pamięta.

— Widzicie! mówił Macuga — ja to zawsze gadam, że nauka człowiekowi potrzebna — ot kumy Przymykały chłopiec wyszedł na xiędza, a Sobuś będzie kapralem, to mu przecie lepiej jak prostemu wojakowi, a on jeszcze się wyżej wychrapie, bo czysty chłopak kieby łaleczka, a do tego starszyzna go lubi. Niech go Pan Jezus błogosławi.

Wszyscy to powtórzyli, a Kowaliczka nie wiedziała co ma począć z uciechy, bo żeby jej był Sobuś i tysiąc dukatów przysłał, to by się na nich tak nie patrzała, jak na to pisanie. To też na tę fantazyę posłała po miód, usmarzyła 3 kiełbas dużych i raczyła sąsiadów, a wszystkim się zdawało, że i Sobuś z nimi razem pożywa, bo ten list leżał na stole, i każdy

się na niego patrzał, a tego podróżnego Gotnera to mało na rękach nie nosili za to, że im pisanie czytał i wiele mądrych rzeczy opowiadał.

Kobiety gadały sobie różności, a Macuga usiadł sobie koło podróżnego i wypytywał się o wszystko, a jak zmiarkował, że ten podróżny umie grać, tak mówił do niego:

— Ot wiecie Panie! wyście muzykant i ja taki, to już pójdziecie do mnie na nocleg, bo tu te kobiety będą gdakać do północka — u mnie jest świeże siano, to chodźcie do mnie i wyspicie się dobrze — i odeszli oba, a kobiety jeszcze zostały.

Gotner nocował u Macugi, a raniutko w niedzielę Macużyna zwarzyła mleka z masłem i zawołali podróżnego z góry, bo on już nie spał, a to dla tego, że kompanie szły na odpust i śpiewały.

Po śniadaniu zdjął Gotner skrzypce Macugowe co wisiały na ścianie, a jak wystroił i zagrał, to aż Macuga struchlał, bo takiego grania w życiu nie słyszał. Przegrał on parę kawałków a Macuga nie mógł się napatrzeć na te palce co mu tak prędko latały, a smykiem to tak ciągnął, jakby szablą. Macuga jeno głową kiwał i wzdychał — a tak potem graniu poszli oba na miasto. Ciężko było się przepchać, tak dużo ludzi było na odpuście, żebyś był mógł po głowach chodzić, ale oni oba wszędzie zaleźli i Macuga wszędzie oprowadzał Gotnera, a on się bardzo dziwował, że taki ład w kościele. Potem na sumę poszli oba na chór, a jak Gotner siadł przy organach i zagrał, to się wszyscy ludzie obejrzali na chór, a jak zaśpiewał, to się aż kościół trząsł.

— Mój Boże jedyny! mówił Macuga do siebie — żeby też to ta dusza została w naszej mieścinie, toby nam też chłopaków wyuczył!

Po sumie wziął go z sobą Macuga na obiad i tak się pokochali jakby bracia. Po obiedzie zeszło się kilkoro ludzi do Macugi, żeby tego podróżnego zobaczyć a i Kasper mieszczanin przyszedł i zasiadł se zaraz koło Gotnera z jednej strony. Kasper to był ciekawski na całę miasto, to się też wypytywał Gotnera o różne nowiny ze świata. Macuga i Kasper zdali się

na jedno i zmiarkowali po mowie, że to nie kiep. Tak słowo do słowa, zapytali się Gotnera, czy by też nie został w Radomyślu, a on się nie ociągał. Tak Kasper wstał z ławki i tak do wszystkich zaczął gadać:

— Moi kumowie kochani i sąsiady! Ten pan wędrowny nie ma już ojca ani matki ni żadnego przyjaciela a dobrze zna naukę, to go tu zostawmy w naszem mieście a będzie nam uczył naszych chłopaków czytać, pisać i grać. Złożemy się na niego i po kolei będziemy mu nosić jeść, a wy kumie Macuga weźmiecie tego pana do siebie, bo u was jest wielka izba, to się kilkoro dzieci zmieści. Wszyscy na to przystali, a i ten podróżny przystał bo był jak sierota, a miał się włóczyć po świecie za jaką służbą, to wolał zostać w Radomyślu między poczciwymi ludźmi.

W tym czasie zadzwonili na nieszpór i wszyscy poszli do kościoła, a po nieszporze poszli do Kaspra i tam się zabawiali jakby na jakiem weselu, bo Gotner z Macugą grali na skrzypcach, a serków suchych tam parę poległo.

Na drugi dzień Macuga z Kasprem poszli do xiędza plebana Bąkowskiego i Gotnera wzięli ze sobą. Opowiedzieli xiędzu wszystko jak zamyślają zrobić, a xiądz za to ich pochwalił; to też Macuga i Kasper dla tego honoru o wszystko się starali dla Gotnera.

Zaraz po jarmarku postarali się o xiążki, skrzypce, klarnety, trąby i basy, a Gotner zaczął uczyć chłopaków od razu na xiążkach i grać, a to nie z pamięci, jeno z takich kropek co się nuty nazywają.

Nauka szła aż miło, uczyło się 12 chłopaków i niezadługo to już grywali w kościele, na pogrzebie i na weselu. Ludzie się bardzo z tego cieszyli, a dzieci to się z całego miasta do nich zlatywały, jak na jakie cuda.

Czytać i pisać to się te chłopaki tak wyuczyły, że poszukać, bo za dwa roki to ich tak nauczyciel wyuczył, że inszy byłby tego i za 4 lata nie dokazał, to go też bardzo ludzie lubili, a on się tam tak zaznajomił, że się ożenił.

Najpierw uczyło się u niego 12 chłopców, a potem coraz więcej ich przybywało, tak że było ze 20. Ale cóż? znowu

bieda! bo w tej chułupie nie mogły się pomieścić. Więc się gromada zeszła do wójta i uradzili, żeby kupić taki osobny dom na szkołę, żeby się zmieściło z 50 dzieci. Jak uradzili tak kupili, bo kto jeno miał rozum to na to naciągał, ale Gotner już nieborak w tej szkole nie uczył, bo umarł i do dziśdnia go wspominają i żałują, bo on wyuczył ze 20 chłopaków, a to przecie dużo znaczy jak jest w gromadzie 20 piśmiennych, a pierw nie było ani jednego. To też jak te piśmienne chłopaki wyszły na gospodarzów, wójtów i przysiężnych, to inaczej z nimi gadał dziedzic i sędzia, i w gromadzie wszystko się przeinaczyło na dobre, a żaden drab i włóczęga już gromady nie okpił — a w kościele to do dziś dnia jeszcze śpiewają te pieśni, co Gotner wyuczył, i nie jeden zmówi za niego „Wieczny odpoczynek!“

W drugim numerku będzie dalej o tej szkole.

Skoczek profesor z Gorlic.

Czyżyk i Krogulec.

Gadka o dwoch rodzinach sąsiednich.

III.

Jadwisia po smutnem rozłączeniu się pod figurą, z ukochanym bratem Jasiem, idąc drogą, żałośnie płakała. W tem nadjeżdża pani dziedziczka z Cepowa, a widząc płaczące dziecko, miłosierdziem wzruszona pyta:

— Mój aniołeczku! moja duszko! dla czego tak boleśnie płaczesz?

Jadwisia: Biednam! brat oto teraz mię opuścił, nie wiem, dokąd się mam udać? co począć?

Pani: Zkądżeś ty moje dziecię?

Jadwisia wskazując rączką: Tam! tam! z daleka.

Pani: Cóż ty tu robisz i dokąd idziesz?

Jadwisia: Proszę pani! tatuś i matusia pomarli. Chrzestny ojciec mego brata Jasia i mnie wybił i wyścigał, teraz się błąkam.

Pani: Jak się twój tatuś nazywał i jak tobie na imię?

Jadwisia: Tatuś nazywał się Czyżyk, mnie na imię Jadwisia.

Pani: Moja ty Jadwisiu, pojedziesz do mnie, to cię wezmę?

Jadwisia: Pojadę proszę pani! i bardzo chętnie.

Pani: Siadaj na bryczkę ze mną.

We dworze do przybyłej żony wychodzi pan dziedzic i witając ją, pyta:

— Kochana żono! cóżeś mi to przywiozła z podróży? cóż to za dziecinka?

Pani: Mój mężu luby! nie gniewaj się! znalazłam sierotę na drodze i wzięłam ją; będziemy ją chować. Nasze wszystkie dzieci w szkołach. W domu cicho, pusto, jakby w klasztorze! otóż będzie nam z tą dzieciną weselej.

Pan: Ach! i owszem! bardzo dobrze! bardzo święcie! uczynek miłosierny! cokolwiek takim maluczkiem czynimy, to Chrystus Pan przyjmuje, jakbyśmy to jemu samemu czynili. Każ tylko moja duszko tę dziecinę oczyścić i przybrać, niech się z nami chowa.

Sama pani nauczyła Jadwisię pacierza, czytać, pisać, rachować, szyć i wyszywać.

W tym dworze był starodawny polski zwyczaj, że wszystka czeladź dworska w przytomności państwa, codziennie ranne i wieczorne pacierze, klęcząc raz przed obrazem ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa, innym razem przed obrazem Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej, odmawiała; to też Jadwisia razem z tą czeladką klęcząc ze złożonemi rączkami, te nabożne modlitwy odprawiała.

Jadwisia obdarzona była od Boga dobrą pamięcią i wielkiem pojęciem. Co raz usłyszała, to zaraz pojęła, zrozumiała i na zawsze pamiętała; to też w udzielonych naukach znaczny postęp robiła. Cały katechizm wiedziała na paluszkach. Na zlecenie pani nauczyła się historyi biblijnej starego i nowego testamentu. Co niedziela i na każdą uroczystość jeździła z panią do kościoła parafialnego na nabożeństwo. Słysząc tam nauki z Ewangielii, prosiła pani o xiążkę z Ewangieliami; z tej xiążki nauczyła się na każdą niedzielę i uroczystość przypadającą Ewangielię naprzód w tygodniu, na pamięć, tak więc

za rok umiała wszystkie Ewangielie. Bardzo chętnie czytywała i uczyła się historyi o różnych zwierzętach, ptakach, rybach, motylach i innych stworzeniach boskich. Nie zaniedbała też z porady pani nauczyć się historyi o królach i xiążętach polskich, tudzież opisania całej ziemi w ogólności a w szczególności opisania naszego kraju polskiego. Czytywała wieczorami, przy ręcznej robocie domownikom rozmaite religijne, pobożne i inne pożyteczne xiążki. Najulubieńszem zaś zatrudnieniem w wolnych godzinach było dla niej, czytywać Żywoty Świętych. Starała się aby codzień historyę przypadającego świętego lub świętej przeczytać, tak więc w roku przeczytała historyę życia Wszystkich Świętych.

Przez to czytanie nabrała Jadwisia niezmiernej ochoty do życia klasztornego, zamyślała też podług przykładu Świętej Jadwigi swojej patronki zostać zakonnicą.

Jadwisia pewnego razu całując rączki swej pani w te słowa przemówiła:

— Proszę mojej kochanej, szanownej pani dobrodziejki, mam bardzo ważną prożbę.

Pani: Jadwisiu! wiesz, że cię jak własną córkę kocham, nic ci nie odmówię, mów śmiało, czego żądasz!?

Jadwisia: Mam wielką ochotę pójść do klasztoru i zostać zakonnicą, proszę pani kochanej pokornie o udzielenie mi w tym względzie łaskawej rady i pomocy.

Pani z zadumaniem namyślała się nad tem nigdy niespodziewanem oświadczeniem Jadwisi i pyta: Jadwisiu! to ci tu u mnie nie dobrze? chcesz mię opuścić?

Jadwisia: Proszę łaskawej pani mnie tu bardzo dobrze! nie brakuje mi na niczem, jestem zupełnie szczęśliwa! pod opieką pani dobrodziejki wychowałam się i wykształciła; jednakowoż czuję jakiś nadzwyczajny pociąg do życia zakonnego i mam to wewnętrzne przekonanie, że w klasztorze najswobodniej będę mogła Bogu służyć i duszę swą zbawić. Lubo ciałem oddalę się z domu pani, duszą i sercem nieustannie cię kochać będę. A ponieważ pani za niezliczone dobrodziejstwa innym sposobem wywdzięczyć się nie mogę, błagać będę Boga w moich zakonnych modlitwach o błogosławieństwo dla pani kochanej i

dla całej twej rodziny. Z czułej dobroci twojej zajęłaś się mną od dzieciństwa, z macierzyńską troskliwością prowadziłaś mię aż do tego momentu, zajmijże się pani droga dalej moim przyszłym losem, o co cię z najgłębszą pokorą upraszam.

Przy końcu przemowy Jadwisi nadszedł sam pan, ów w całem znaczeniu czcigodny dziedzic Cepowa, i z ciekawością pyta się:

— O czem to mowa między wami?

Pani: Mój mężu kochany! z wielkim żalem oznajmiam ci, że nasza Jadwisia chce iść do klasztoru i zostać zakonnicą; prosi o radę i pomoc.

Pan: Chwalebnie! nic nie mam przeciw temu! znam bowiem skromność, pokorę, cichość i pobożność Jadwisi, a te cnoty potrzebne są do życia zakonnego. Wszystkie stany od Boga. Sam Bóg powołuje różnych ludzi do różnych stanów. Jeżeli Jadwisia ma powołanie od Boga do stanu zakonnego, niezawodnie zostanie zakonnicą. Ale jest to sprawa kościelna, religijna, święta. My świeccy ludzie nie umiemy tej sprawy rozsądzić i rady udzielić. Udajcie się do naszego kochanego i szanownego xiędza proboszcza, to jest jego rzecz; on w tym razie udzieli dobrą, światłą i zbawienną radę.

W niedzielę po nabożeństwie wstępuje pani dziedziczka z Jadwisią do xiędza proboszcza i oznajmia chęć Jadwisi do życia zakonnego, prosząc o poradę. Xiądz wysłuchawszy przedstawienia rzeczy, zwraca się do Jadwisi i tak przemawia:

— Jest to moja Jadwisiu! krok bardzo ważny, raz postawiony cofnięty być nie może; jest to krok, od którego szczęście życia twego doczesnego i wiecznego zawisło. Obowiązki życia zakonnego są bardzo trudne, przykre, uciążliwe, kto je na siebie weźmie a nie wykona, jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Masz Jadwisiu tę tu xiążkę, ona cię nauczy o obowiązkach życia zakonnego, czytaj a na drugą niedzielę zdasz mi sprawę.

Jadwisia w następującą niedzielę oddając xiążkę xiędzu, odpowiada:

Przeczytałam tę xiążkę z uwagą. Żadnemi trudnościami nie zrażam się, ale owszem przyrzekam, że wszystkie obowiązki

zakonne, choćby najtrudniejsze, przy pomocy i łasce Boga, wypełniać, starać się będę.

Xiądz: Pochwalam twoje chęci i przyrzeczenie, ale moja Jadwisiu! jesteś jeszcze młoda i niedoświadczona, musisz pierwej niżli pójdziesz do klasztoru, przebyć próbę, którą ci przepisuję; a ta jest następująca:

1. Co miesiąc raz przystąpisz do spowiedzi i komunii świętej. W tych świętych źródłach szukaj uświętobliwienia duszy i serca twego.

2. Codzień przy twych zwykłych modlitwach będziesz prosić Ducha świętego o światło mądrości i rozumu dla poznania, czy masz od Boga powołanie do życia zakonnego lub nie?

3. Wszystkie środy będziesz pościć od mięsa, a piątki suszyć.

4. Jesteś sierotą, obierz sobie Najświętszą Pannę Maryą za matkę, poleć się jej macierzyńskiej opiece i przyczynie, dla tego wpisz się w szkaplerz i w różaniec i wypełniaj pilnie obowiązki tych dwoch bractw.

5. Czytywaj jak dotąd, tak i dalej z uwagą Żywoty świętych. Czyń codziennie rozmyślania tajemnic i prawd religii naszej podług tej oto xiążki którą ci daję.

6. Codziennie rachuj się ze sumieniem twojem dla przekonania, czy w świątobliwości życia postępujesz?

Te wszystkie ćwiczenia duchowne czynić będziesz nieprzerwanie przez dwa lata.

Trudne i długie miała Jadwisia ządania, jednakowoż wypełniła je z ścisłą sumiennością i z wierną uległością. Te ją w chęci do życia zakonnego wzmocniły i przysposobiły.

Po dwoch latach oddała xiędzu proboszczowi pożyczone xiążki z prożbą o błogosławieństwo na podróż, które z kapłańskiemi radami i przestrogami otrzymała.

Wyjazd i pożegnanie Jadwisi we dworze były bardzo czułe. Pan dziedzic Cepowa kazał jej przed obrazem ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa uklęknąć i według starodawnego patryarchalnego polskiego zwyczaju udzielając jej ojcowskie błogosławieństwo położył swoje ręce na jej głowie, wzniósł swe oczy ku niebu i tę czułą modlitwę zmówił: Święty Boże!

Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! Ty swoją mądrą opatrznością wszystko utrzymujesz i rządzisz! my z Twojej potężnej wszechmocności jesteśmy, żyjemy, ruszamy się ale i z twojej dobroci mamy wszystko dobre. Tyś mi oddał tę sierotę dó wychowania ja ci ją teraz zwracam z najpokorniejszą prożbą, abyś na nią w obfitości twoje błogosławieństwo zlać raczył; ażeby, jak z domu mego do Tobie poświęconego klasztoru przechodzi, tak z klasztoru po świątobliwem, bogobojnem i pobożnem życiu przeniosła się do Twego ojcowskiego domu, gdzie cię ze wszystkimi świętymi, a w szczególności z naszą polską i swoją patronką świętą Jadwigą wiecznie chwalić i wielbić będzie! Wszyscy tej wzniosłej i uroczystej ceremonii przytomni jednogłośnie odpowiedzieli: Amen.

Służący i służące z całego dworu smucili się z utraty Jadwisi, która była dla nich opiekuńczym aniołem, bo przez nią dostępywali wiele łask i dobrodziejstw od państwa; to znowu cieszyli się niezmiernie, że Jadwisia będzie zakonnicą. Z wielką czułością i z płaczem pożegnali się z nią wszyscy. Sama pani odwiozła ją do klasztoru.

Tu znowu odbyła prawem zakonnem przepisaną próbę, po której w dzień świętej Bronisławy śluby zakonne czyli przysięgę na całe życie pod imieniem: Bronisława Jadwiga, złożyła.

W klasztorze jaśniała Bronisława Jadwiga świątobliwością i pobożnością w życiu zakonnem; roztropnością i mądrością w udzielaniu rady i przestrogi; przyjaźnią i miłością w pożyciu towarzyskiem z siostrami zakonnemi; nadewszystko zaś ścisłością w zachowaniu wszystkich, choćby najmniejszych obowiązków klasztornych; przez te cnoty zjednała sobie przychylność, przywiązanie, miłość, szacunek i zaufanie całego klasztoru. Po kilku latach obrały ją sobie zakonnice na przełożoną klasztoru. Taka przełożona u zakonnic nazywa się xienia.

Bronisława Jadwiga pamiętała przy wszystkich swoich modlitwach o duszach rodziców a nawet według nauki Jezusa, który nakazał: Módlcie się za nieprzyjaciół waszych, nie zapomniała modlić się i za duszami swych chrzestnych ojców Krogulców, którzy ją niemiłosiernie skrzywdzili, aby im Pan Bóg tę krzywdę odpuścił. Modliła się także za swym bratem Jasiem

Jednego wieczora po odprawieniu zwykłych modlitw zasnęła. We śnie zdawało się jej, jakoby widziała przecudnie pięknej postaci anioła, który mile do niej przemówił: Bądź spokojna Bronisławo! twoi rodzice byli świątobliwi, są szczęśliwi, twoi zaś chrzestni ojcowie są ukarani, patrz o to!! Zdaje się jej, że widzi cały ogrom ognia piekielnego a w nim Szymona Krogulca, jego żonę i dwoch sąsiadów jego Jana Piętę i Filipa Gołdę, których w dzieciństwie znała — a którzy byli fałszywi świadkowie. Zdaje się jej, że widzi nadchodzącego Jakóba Krogulca syna Szymona, i że słyszy jak z całą zaciekłością zionie przekleństwo na swych rodziców, mówiąc: Ty przeklęty ojcze i ty przeklęta matko! posuńcie się tam dalej w piekielny pożar, ja siędę na waszem miejscu, ja odziedziczę tę tu karę piekielną po was, bo dziedziczyłem i używałem za życia, przez was szatańskim sposobem wydartego sierocińskiego majątku. Rozpocznijmyż teraz wszyscy troje pieśń narzekania, przekleństwa i bluźnierstwa, którą na wieki wieków śpiewać będziemy.“

Bronisława Jadwiga budzi się ze snu, czuje się okropnie przestraszoną tym snem, tem widzeniem piekła. Lubo to był tylko sen, jednakowoż uwierzyła w niego, bo te kary które we śnie widziała, zgadzały się ze sprawiedliwością boską. Drząc na całem ciele wstaje, pada krzyżem na ziemię i uwielbia niepojęte sądy, niezgłębione i niedocieczone wyroki boskie. Wstając ze ziemi po tej czułej modlitwie, wzdychając mówi sama do siebie: Ach! biada straszna biada! łakomym, którzy innych oszukują, krzywdzą, okradają. Ach! biada straszna biada! zatwardziałym grzesznikom, którzy z miłosierdzia bożego nie korzystają. Tacy na wieki ginąć muszą! O jak straszną jest rzeczą dla każdego grzesznika, dostać się w ręce sprawiedliwego Boga!

Kochani Czytelnicy! rodzina Krogulca za tę wielką krzywdę, jaką na sierotach popełniła — za ten grzech o zemstę do nieba wołający, musiała być ukarana, bo żaden grzech nieodpokutowany nie może ujść bezkarnie. Grzech krzywdy dotąd nie będzie odpuszczony, dopokąd wziątek nie będzie

zwrócony; naucza nasze polskie przysłowie. A i wyroki boże, głoszone w piśmie świętem, grożą łakomym i niesprawiedliwym wieczną karą mówiąc: „Kto zbiera skarby językiem kłamliwym, nikczemnym i szalonym jest i wpadnie w sidła śmierci. Jezus Chrystus pyta się łakomego: Cóż ci pomoże człowiecze, chociażbyś cały świat posiadł, jeżeli duszę twą utracisz? Paweł św. apostoł wyklucza łakomych z nieba mówiąc: „Ani złodzieje, ani łakomi, ani drapieżcy nie posiędą królestwa bożego.“

IV.

Moi mili Czytelnicy! jeszcze o jedno zapytacie pewnie z ciekawością, a to: Czy też Jaś z rozłączoną Jadwisią w tem życiu się zobaczył?

Jeżeliście ciekawi, czytajcie z uwagą do końca a dowiecie się wszystkiego.

Jan Czyżyk po osadzeniu się na własnem gospodarstwie był zawsze uczciwym, pracowitym i religijnym. W całem swojem życiu trzymał się tego prawidła: Pracuj i módl się. Wiedział on o tem bardzo dobrze i mocno wierzył, że: „Nie ma broga bez Boga.“ Wszystek swój piękny majątek, jakiego się dorobił, nie swojej pracy i zapobiegliwości, ale z wdzięcznością, z pokorą błogosławieństwu Boga i Jego świętej opatrzności przypisywał.

Jan czynił różne ofiary do parafialnego kościoła. Między innemi sprawił on piękny bogaty ornat białego koloru a oddając go xiędzu proboszczowi, prosił o potrójne nabożeństwo:

Pierwsze na podziękowanie Panu Bogu za udzielone mu dobrodziejstwa. Drugie na żałobne nabożeństwo z wigiliami za dusze swoich rodziców, krewnych i wszystkich jego dobrodziejów. Trzecie na taką intencyę: Jeżeli jego siostra Jadwiga Czyżyk żyje, aby ją Bóg miał w swojej ojcowskiej opiece, a jeżeli już umarła, aby ją Bóg do swojej chwały przyjąć raczył.“

Tu Jan Czyżyk zapłakał, bo serdecznie kochał swoją zgubioną siostrę.

Xiądz proboszcz na wspomnienie o Jadwidze Czyżykownie namyślał się chwilę i rzekł:

— Mój Janie! ja cię w tej sprawie objaśnię: bierze xiążkę jaką to wszyscy xięża mają, w której wszystkie parafie, wszystkie kościoły, wszyscy xięża, wszystkie klasztory, wszyscy zakonnicy i zakonnice spisani; i czyta z tej xiążki: „Bronisława Jadwiga Czyżykówna xienia klasztoru w St....“

— „Czy to nie będzie twoja siostra?“

Jan: Ach! mój Boże! mojej siostrze na imię Jadwiga! ależ jakim cudem została zakonnicą?!

Xiądz: Mój Janie! u Boga nie ma nic niepodobnego. Wysokich poniża, niskich wywyższa. Pysznemi, wyniosłemi pogardza, pokornych, potulnych kocha i błogosławi. Tajemnice swoje przed zarozumiałymi zakrył a maluczkim objawił. Jak się Bogu spodobało, mógł ją do godności zakonnej powołać i doprowadzić. Powiem ci nakoniec w jakim jest wieku, ma lat 32.

Jan: Lata jej życia stosowne do moich. Ja starszy o dwa lata. — Pojadę i będę się wywiadywał.

Po odprawieniu zamówionych nabożeństw wyjechał w podróż. Im bliżej był miasta St..... tem gwałtowniej biło serce jego, tchy zatykały się mu w piersiach w tem oczekiwaniu, w tej niepewnej nadziei, czy znajdzie zgubioną siostrę!?

Po przybyciu do miasta St..... najpierwej pomodlił się z drżącem sercem, w kościele klasztornym, potem wszedłszy do klasztoru prosił o widzenie się z xienią Bronisławą Jadwigą. Gdy ta przyszła, od razu poznał Jan w niej swoją siostrę, jednakowoż w najgłębszej pokorze kłania się i tak do niej przemawia:

— Przewielebna xieni! przepraszam uniżenie wysoką godność zakonną! oraz proszę pokornie, darować mojej śmiałości, że się odważam, przewielebną xienię zapytać, czy miała brata Jana, z którym się niegdyś pod figurą ostatni raz pożegnała i rozłączyła?

Xieni poznała także brata, z wielkiej radości łzami zalana, z powagą odpowiada:

— Tak jest! miałam brata! a ty mój kochany Janie jesteś tym moim bratem, z którym niegdyś pod krzyżem pożegnałam się i rozłączyła!

Tu go całuje w głowę. On zaś z wielkiej uciechy płacząc, rzuca się jej do nóg i chce je całować. Ona na to nie zezwoliła, ale podaje mu rękę do pocałowania, i tak dalej przemawia: „Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejść może;“ to nasze polskie przysłowie dzisiaj się potwierdza. Złożywszy ręce a wzniosłszy oczy ku niebu tak się modli: O jak dobry! o jak łaskawy! nasz Ojciec niebieski! zasmucił nas w sierocińetwie, ale nas nie opuścił, o nas nie zapomniał; krótki smutek, krótki płacz zamienił w uciechę i radość. Po długich i długich latach pozwolił nam znaleść się, ale w stanie błogim i szczęśliwym. Niechże Jego mądrość,

opatrzność, dobroć i łaskawość wiecznie chwalona i uwielbiona będzie!!

Tu nastąpiły różne obopólne pytania i odpowiedzi. Jan opowiedział siostrze zdarzenia swojego życia; te ją czule zajęły a osobliwie jego powrót na ojcowiznę, to ją ucieszyło; za co Panu Bogu czułe dzięki złożyła. Ona znowu opowiedziała jemu, jaką koleją przyszła do życia klasztornego, tudzież owo straszne widzenie senne piekła, to na Janie smutne wrażenie zrobiło.

Po czułem i serdecznem pożegnaniu się, wstąpił znowu Jan do kościoła dla podziękowania Bogu za znalezienie zgubionej, a teraz uszczęśliwionej siostry.

Jan co rok odwiedzał siostrę, później nawet z żoną i z dziećmi. Ile razy jechał do niej, zawsze wziął po drodze z sobą jakąś ofiarę klasztorowi ze swego gospodarstwa. Zakonnice na wzajem wywdzięczały się mu pamiąteczkami, dając mu to szkaplerze bardzo pięknie wyszywane, to koronki, to rożańce, to obrazki, i t. p.

Bronisława Jadwiga w parę lat poźniej zrobiła prezenta dla xięży. Trzy piękne i bogato wyszyte stuły przesłała przez Jana: jednę dla miejscowego xiędza, w którego parafii Jadwiga ochrzczoną była; drugą dla xiędza, który ją do zakonu przysposobił; trzecią dla xiędza, który Jasia wychował.

Nie zapomniała też i o państwie w Cepowie którzy ją w dzieciństwie wychowali. Tym także przez brata piękne upominki z klasztoru doręczyć kazała.

Klasztor w St..... słynął, podczas zarządu Bronisławy Jadwigi, z miłosierdzia. Każdy ubogi, który się tam udał, nie odszedł bez pociechy. Garnęli się też tam ubodzy z dalekich okolic po jałmużnę.

Razu jednego przyszła do klasztoru między innemi ubogiemi kobieta biedna, wynędzniała, obdarta z trojgiem dziećmi. W tym dniu rozdawała sama xienia jałmużnę. Ujrzała kobietę łachmanami okrytą z biednemi dziećmi z ubolewaniem pyta:

— Moja ty kobiecino! zkądżeś ty?

Kobieta kłaniając się z pokorą odrzekła: Z Piórowic.

To xienię przeraziło: Zkąd? zkąd? z Piórowic?

Kobieta: Tak jest, proszę przewielebnej xieni! z Piórowic.

Xienia: Jak się nazywasz?

Kobieta: Krogulcowa.

Ta odpowiedź jeszcze silniej wzruszyła xienię. Pyta więc dalej:

— Może ty jesteś wdowa po Jakóbie Krogulcu, któremu majątek za długi sprzedano? Kobieta z wielkiem zadziwieniem odpowiada:

— Tak jest. A zkądże to przewielebna xienia o tem wie?

Xienia: Wiem ja o tem nieszczęściu, moja kochąna kobieto! wiem. Tak to Pan Bóg sprawiedliwy, grzechy rodziców w późniejszem pokoleniu karze. Idź moja kochana! z dziećmi do kuchni, potem dostaniesz jałmużnę. W parę dni dostała Jakóbowa wszystko nowe potrzebne odzienie. Dzieci zaś pięknie po miejsku przybrane były. Wszyscy czworo otrzęśli się z nędzy. Jakóbowa zadziwiona tem nadzwyczajnem, nadspodziewanem szczęściem idzie i pada do nóg xieni, składając pokorne dzięki za te wielkie dobrodziejstwa, przy tem podziękowaniu słyszy o nowych dobrodziejstwach, tak bowiem przemawia do niej xienia:

— Moja kochana! biorę was w swoją opiekę. Najstarszy syn Marcin będzie chodził do szkoły. Córkę Kasię będę sama uczyć. Ty zaś z najmłodszem dzieckiem zostaniesz w klasztorze przez parę tygodni a potem postanowię, co ma nastąpić.

Xienia zostawiła ją na próbę. Jakóbowa wyćwiczona głodem i chłodem była uległą, posłuszną, pilną, dla tego pozostała na usługi przy klasztorze. Marcin, chłopiec zuchwały, leniwy i tępy do nauk, ledwie nauczył się czytać i pisać. Xienia oddała go do rzemiosła, aby mu zabezpieczyć dalsze życie. Kasię, gdy już dorosła, po ukończeniu potrzebnych nauk, oddała w obowiązek do pewnej bardzo uczciwej pani. Na jej miejsce wzięła xienia najmłodszą córkę Jakóbowej do nauki i tej także zabezpieczyła los przyszłego życia.

Tak więc owa świętobliwa Bronisława Jadwiga zajęła się potomstwem swego największego nieprzyjaciela Krogulca i uszczęśliwiła je.

O to miłosierdzie! o to! czysto chrześcijańska miłość!

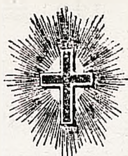
Kochać nieprzyjaciół, nie tylko sam Chrystus Pan naucza, ale i nasze polskie przysłowie zaleca: Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Xiądz Jan Maciejowski.

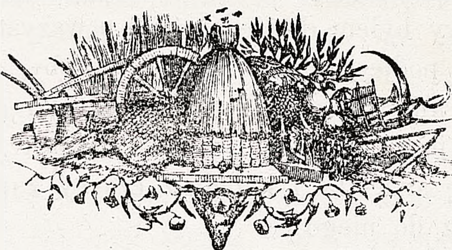
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. **Nr. 10.**



1. Kwietnia **1864.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Jezus frasobliwy.

Mam znajomego xiędza, co jest dziś dziekanem w Krościenku koło Krosna i co to porobił porządki w parafii i kościele jak się patrzy, a co to dawniej był na innej parafii. Otóż kilka niedziel temu jechałem do niego, aby opatrzyć te porządki i szkołę nową i przejeżdżałem górami i wsiami różnemi, aż w jednej wsi, Furmanowicach, natrafiłem na figurę z Panem Jezusem frasobliwym. Był to suchy dąb w płocie, na którym ani listka jednego nie było, łupa obleciała z niego do odrobinki, a jeno między dwowa konarami było siekierą wyrąbane miejsce, gdzie stała maleńka kapliczka, a w niej siedział sobie Pan Jezus z podpartą główką, obrócony na całą wieś twarzą. Ale też za to gazda tej figury to bogacz na 10 wsi — stodoła z grubego drzewa w węgły stawiana, stajnie porządne, chałupa z izbami na obie strony i z idebką ładną, płoty wysokie, żeby tam kot ledwo przelazł, a brama jak na jakiej plebanii. Widząc to, jakoś mi się żal zrobiło i dumam sobie:

Czy ten gazda taki niedobry na rany boskie! żeby też sam siedział jak pan jaki, a figura jego taka biedna, że aż za serce ściska?

Otoż ciekawy byłem dowiedzieć się o wszystkiem, kazałem memu furmanowi podjechać w cień pod wierzby, a sam wziąłem kij i poszedłem ku bramie. W tem wychodzi gazda; koszula na nim cienka, pas nowy na cztery sprzączki, buty pasowe, kamizelka aż się świeciła i kapelusz czarny z pańska na głowie. A ja zaraz do niego:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! jak się tu macie ludzie dobrzy i co tu słychać?

A gazda mię powitał pięknie, spytał gdzie jadę i zkąd? a ja palę zaraz prosto:

— Mój ojcze tacto jakoś mi dziwnie i markotno, że też macie takie budynki i gospodarstwo, a ta figura taka biedna, jakby nie wiem co na świecie.

A gazda na to:

— O broń Panie Jezusie! aby to było z jakiego łakomstwa albo niedbalstwa mego, jabym to był dawno odmienił, tać mię i stać na murowaną figurę, ale ta figura jest mi tak, jak cudowną i ja też ją dotrzymuję na pamiątkę moim dzieciom.

A ja pytałem dalej:

— No! i cóż to za pamiątka taka, gadajcieno prędko, bo mnie się ściele daleka droga, a tu już sporo na dzień.

A gazda tak mi jął opowiadać:

— Widzi jegomość, że to na wszystko jest miłosierdzie Boskie i my nie wartamy tego nigdy. Toć przed pięćdziesięciu laty nie było tu tego, co jegomość widzi na oczy, a teraz jest pracy podostatkiem, aż miło każdemu popatrzyć i wleść do budynków. Taki to dobry dla mnie ten Pan Jezus.

A ja spytałem ciekawy:

— Jakto! to tu nie było nic na tem miejscu?

— A juści tak, jakby nie było, mówi mi gazda, bo mój stary dziadek był komornikiem i siedział całe życie u Florka Sroki, tam aż w trzeciej chałupie, a żył ten dziadek jakie 100 lat z okładem i pamiętają go tu ludzie het! na około o jakie dziesięć mil daleko.

A ja powiadam mu!

— A z kądże wy i wasz ojciec przyszliście do takiego chleba? toćto na miłość Boga! nie takie dawne lata!

A gazda podniósł ręce złożone ku figurze i mówił zapłakawszy:

— Ot ten miłosierny Ojciec dał nam to, za co niech mu będą dzięki na wieki amen. — Potem otarł sobie oczy i mówił: Jaką miarką mierzymy, taką samą, albo sto razy większą oddaje nam nie raz sam Bóg z wysokiego nieba. Bo to widzi jegomość! mój stary dziadek, to był taki człowiek, że nikomu nie zrobił nigdy nic złego na świecie bożym, a jak zobaczył ubogiego gdzie na drodze, albo we wsi naszej, to dawał ostatni kawał chleba albo i ostatni grosz, i jeszcze go się nagłaskał i napłakał nad nim, jakby to był jego brat rodzony albo stryk albo wójek jaki. A jak się trafiło, że nie miał nic przy sobie albo mało co, to się wrócił do chałupy, odemknął skrzynkę, zabrał co jeno złożył z zarobku jakiego i dał to cichuteńko ubogiemu.

Nie raz dał dziadkowi ten placek, co go miał sam zjeść i co mu nieboszczka babka na nalepie przez noc upiekła, a on sam calutki dzień od rana do wieczora nic nie jadł, jeno o chłodzie i wodzie robił siekierą i jeszcze sobie odśpiewał godzinki, „do Ciebie Panie Boże dobroci“ „Straszliwego“ i „Anioł Pański“ a wieczór albo jadł albo i nie, jeżeli nie było co. A choć głodny legał, to niechnoby kto zawołał gwałtu na wsi, a mój stary dziadek już na prostych nogach na dworze i poratował i drogę pokazał i jeszcze się nalamencił, jakby się jemu samemu co złego stało.

A ja słuchałem tego opowiadania, jakby to o jakim świętym, i jakoś mi się wesoło zrobiło w sercu, że też to na wsi trafiają się tacy ludzie, jak był ten stary dziadek w tej wsi. — A ten gazda opowiedział dalej o swym dziadku tak:

— Raz to się tak stało, że wracał mój dziadek z drugiej wsi tam za lasem z Cebulówki, a było to dobrze pod twardą jesień i wiater ciągnął zachodni zimny, aż świeczki stawały w oczach, aż tu spotkał mój dziadek jakiegoś ubogiego żyda starego, co był odarty i prawie na pół nagi, a drzał od zimna

jak piórko na wietrze i cóż on nie robi? zdjął wór z siebie, którym się zaodział rano, i włożył go na żyda potem dał mu czapkę i jeszcze go poprowadził het za las i pokazał tam arendarza Dawida starego, co to siedział za lasem dobre pół mili tam na wygonie za Cebulówką, a sam biedaczysko przylazł aż po północy do chałupy i to bez wora i czapki. Co to się wtedy nie nagadała na niego moja babka: A ty sam taki chudak a jeszcze rozdajesz i łachy z siebie, a ja ci muszę zarobić, uszyć, wyprać i dać w niedzielę gotowe, a ty dajesz lada żydowi; a zkąd ja ci nastarczę, kiedy ja już nie mogę rękami ruszać, to ty bez koszuli umrzesz, a może i bez trumny; i tak wydziwiała, aż się ludzie nieraz nazbiegali i słuchali.

A ja poderwałem gazdę i pytałem:

— I cóż też na to ten wasz stary dziadek?

— A coby robili, oni zawsze jedno i jedno gadali każdemu, rzecze gazda, oni gadali tak: Oj ludzie, ludzie! a wiecie wy o tem, że jeszcze nigdy nie chodził z torbami ten, co ubogim rozdał majątek! a wiecie wy przez Boga żywego, że nikt nie został dziadem na świecie bożym, kto dziadom rękę podawał, że jałmużna nikogo nie z-ubożyła — jeżeli nie wzbogaciła.

A ja dodałem na to tak:

— Oj miał on dobry rozum, ten wasz stary dziadek, bo to święta prawda, że jałmużna nigdy majątku nikomu nie ujmuje, jałmużna daje majątek i błogosławieństwo, i to jest tak na świecie. Co ty sam przejesz i przepijesz, to za to nic a nic nie dostaniesz od Pana Jezusa, a co ty zmarnujesz na durniczki i zabaweczki, to za to odpowiesz nieboże na sądzie bożym; ale co ty dasz z serca ubogiemu kiedy, to za kroplę wody dostaniesz miód i mleko, za okruszynę dostaniesz korczyk niejeden, a za szmatkę, co nią owiniesz palec komu skaleczony, odbierzesz złotą suknię; a za grosik drobny, dostaniesz i ćwierć dukatów od Boga miłosiernego.

A gazda na to powiadał:

— Oj prawda to prawda wielka, co jegomość mówi, bo taki cud porobił się i z nami, jak ja tu jegomości opowiem. Mój dziadek złożył sobie po krajcarku co tydzień i kupił sobie

za to na Kalwaryi tego Pana Jezusa, dał go poświęcić, potem zdłubał sobie sam siekierą tę figurkę i wyprosił sobie u Fejkla gazdy, że mu pozwolił na swoim dębie postawić tę figurkę koło drogi. I widzi jegomość tędy zawsze przechodził rano i wieczór i tu się nieraz przeżegnał i paciorek zmówił, a całował na dole to drzewo, bo nie mógł dostać do nóżek tego Pana Jezusa, i tak żył aż 110 lat, a jak umarł, to nic nie zostawił jeno starą kożuszynę i jeden reński — a kazał dać ten kożuch do szpitalu do Brzozowa, a te pieniądze na mszę za swoją duszę. Mój tatuś nic a nic nie wzięli po dziadku jeno te 10 palców, a nikt nie pomyślał na to, że za 30 lat da nam Bóg miłosierny tyle chleba i pracy, jak to widzi jegomość.

A ja przerwałem znowu i pytałem:

— No mój ojcze! i jakże to się stało, gadajcieno, bo słówko leci a leci, a jabym chciał stanąć w Krościenku bodaj o północy.

A gazda gadał tak:

– Jak dziadek pomarli, to był taki płacz i jęk na pogrzebie, jakby jaki bogacz umarł — a mój tatuś nieboszczyk mieli wtedy już koło 50 lat i zostali sierotą i komornikiem. W tem pomarł ten Fejkiel gazda co to dał tego dąbka na figurę i co tu siedział i została biedna wdowa po nim. Mój tatuś ożenili się z tą wdową i żyli jakie cztery lata i pomarli a ja zostałem maleńki z mamusią moją, co także niedawno pomarli. Ja wychowałem się tu w tej chałupie, potem ożeniłem się u Sobka Kozyry i mam babinę dobrą i pobożną — i widzi jegomość od dziesięciu lat gazduję i mam tyle chleba i pracy, bo powiadam sprawiedliwie, że mi wszystko prosto z nieba leci gotowe. Ot cztery lat temu, jakem pokończył te budynki do okoła, a teraz siedzę i cieszy mię to niezmiernie, że Bóg tak miłosierny dla mnie. A tego Pana Jezusa nie ruszam, to pamiątka mego dziadka, a każde rano i wieczór mówię tu Anioł pański za duszami dziadka, babki, ojca i mamusi mojej i widzi jegomość, czyż to nie cud porobił się z moją familią, co to komorowała zawsze, a ja w trzeciem pokoleniu mam także budynki i na tyle chlebusia; czyż to nie błogosławień-

stwo boskie dla mnie sieroty? i za cóż to? oj pewnie za to, że mój dziadek był taki szczodry i niesłychanie szczery dla każdego, że dał jałmużnę każdemu ubogiemu bo tak był i ojciec nieboszczyk i matka moja.

A ja zapytałem zaraz gazdę:

A wy też taki sam szczery dla każdego, jak był dziadek i ojciec?

A gazda powiadał:

Niewymawiając Bogu miłosiernemu, robi się, co jeno można dla biedaków, boć jest i z czego. Jak to przyjdą jakie święta, to u mnie pełno biedactwa i daje się nieskąpą ręką — na Wilią bożego narodzenia je u mnie pięćdziesięciu biedaków — na dzień zaduszny sprawia się co rok cztery obiady dla dziadków i babek i rozdaje się po bochenku chleba i krup albo mąki każdemu — na Wielkanoc piecze się na tyle święconego, aby też można obdzielić to sieroctwo na całej wsi, potemu powozi się także do szpitalów nie jeden worek zboża i wszystkiego — ot daje się także do szkoły nie mało, bo mam już chłopaka takiego, że chodzi w Brzeżowie do szkoły, a wziąłem też i sierotę po jednym komorniku i wychowałem i posyłam do szkoły razem z mym chłopakiem, dałem też i na kościół i teraz posyłam na pogorzelców i na tych rannych biedaków, co ich moskale pokaleczyli w Warszawie — i tak się nie żałuje nigdy dziatkowi półkwarty zboża do torbiny albo kawałka chleba i robi się, co jeno można, aby się jakoś opłacić Bogu miłosiernemu za takie dary i aby znowu zarobić i dla dzieci na miłosierdzie boskie!

A ja zadziwiłem się na to wszystko i dumam:

Ano! to masz dowód widoczny, że miłosierną ręką wspiera i napełnia miłosierna Opatrzność boska, że miłosiernym ludziom nie zabraknie nigdy chleba ani do życia ani dla ubogich, że miłosierni nie idą po żebraniu nigdy, że jałmużna nie zubożyła jeszcze nikogo i nie zrujnowała mu pracy, że błogosławieni miłosierni, bo oni dostąpią miłosierdzia! A teraz bywajcie zdrowi mój gazduniu, niech wam tu płaci ten Pan Jezus miłosierny jak wy drugim płacicie.

I rozjechaliśmy się z tym gazdą — a ja opowiadałem to w Krościenku xiędzu tamtejszemu, a on mi znowu opowiedział coś takiego, o czem zwowu napiszę w innym numerku. A wy moi kochani! dawajcie jałmużnę, co jeno możecie, to dziadom, to pogorzelcom, to zatopionym od wody, to na kościoły, to na szpitale, to na rannych Polaków, a Bóg miłosierny i wam zapłaci, jak to dał i temu gazdzie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Niezgodne stadło.

Z włosem w nieładzie, z twarzą czerwoną,
Z przekleństwem w ustach złowrogiem
Magda Ratajka z głową spuszczoną
Siadła przed chaty swej progiem;
I swojej własnej złorzecząc doli,
Chcąc dowieść, że się nie boi,
Krzykliwym głosem klęła do woli
Jak mówią: na czem świat stoi.
W tem gdy tak ciągle z iskrzącym wzrokiem
Niewczesne żale wywodzi,
Z sąsiednej chaty powolnym krokiem
Stara Wojtkowa nadchodzi.
— Cóż wam to Magdo? zapyta stara,
Czy wam co złego kto zrobił?
— Mój chłop niegodny, hultaj, poczwara
O nic tak strasznie mnię pobił.
Stara westchnęła: „a o cóż przecie?
Toć musiał powód mieć jaki,“
— Nic rzecze Magda: najciszej w świecie
Wypoczął, spożył ziemniaki,
Kiedy w tem chyba za złego sprawą,
Rzuciwszy okiem pod ścianę
Spostrzegł leżącą w kącie pod ławą
Starą przęślicę złomaną.
Nuż gderać na mnie, że nieład w domu,
Nuż mnię łżyć strasznie na nowo;
Ja się też nie dam przeprzeć nikomu,
Sto rzekłam za jedno słowo.

I oto teraz spojrzyjcie sami
Zważcie straszliwą mą dolę,
Zbił mię okropnie, okrył sińcami,
Nim jeszcze ruszył na pole.
Zdumiona stara kiwnęła głową,
Zgroza jej serce przeszywa
W końcu Ratajki znudzona mową
W te słowa doń się odzywa:
— Przykro to bardzo moiście mili
Płaczącą widzieć sąsiadę,
Lecz według siły, o każdej chwili
Bóg każe dobrą nieść radę.
Dłużej ja od was żyję na świecie.
Siwy włos błyska na głowie:
A starych ludzi słuchać jak wiecie:
Dawne doradza przysłowie.
Miałam ja matkę dobrą, poczciwą,
Wszystkim znajomą w tem siole
Jej mądrą radę, jej głowę siwą
Najstarsi cenili wiele.
Po tej więc drogiej kochanej matce,
Ukryta w pośród zakątka
Do dziś mi jeszcze została w chatce
Kosztowna jedna pamiątka.
Na pozór niby wartość nie wielka
Choć jest jak mówię kosztowna,
Jest to po prostu szklanna butelka,
W której jest woda cudowna:
Bo ona w chatę zgodę wprowadza,
Chroni przed kłótnią i biciem,
Żon nieszczęśliwych dolę osładza
Za bardzo prostem użyciem
Jak tylko chwila kłótni się zbliża,
W najprędszej jak można dobie
Nabrać jej w usta, zrobić znak krzyża,
I usiąść w kątku gdzie sobie.
Jeśli więc chcecie Magdo kochana,
To dla trosk waszych osłody,
Przyjdźcie też do mnie wieczór lub zrana
I chętnie dam wam tej wody
Wnet też i dała wodę sąsiada.
Chcąc dobrze działać w ukryciu,
A w tydzień Magda w chatę jej wpada
Wesoła jak nigdy w życiu.

— Ach kumo, kumo, pewno nie znacie
Cudu, co u mnie się zrobił,
Od chwili jak mam wodę tę w chacie,
Mąż mnię ni razu nie pobił.
Tak teraz u mnie miło i cicho,
Aż się dziwują sąsiady:
Znać woda cudem zaklęła licho,
Co nas kusiło do zwady.
Ale Wojtkowa z dziwnym uśmiechem,
Zmierzywszy Magdę szczęśliwą,
Rzekła: już teraz nie będzie grzechem
Odkryć przyczynę prawdziwą.
Urok co owa woda zawiera,
W największej winien być cenie,
Bo on: niezgodzie przystęp zapiera,
Jest to pokorne milczenie.
Bo wszakże w usta nabrawszy wody,
Chociaż gniew w tobie się wzmaga,
Języka użyć nie masz swobody,
I wnet ustaje odwaga.
Jeżli więc wiecznie chcesz pozbyć licha,
I zyskać miłość u męża
Bądź zawsze dobra, pokorna, cicha,
Bo dobroć wszystko zwycięża.

Cz. N.

Jacek organista.

Pod starą gruszą, na miedzy która odgraniczała pola włościańskie od proboszczowskich gruntów, siedział mały chłopczyna o bladej twarzy i nieśmiałem spojrzeniu; i oparłszy głowę na wychudłej rączynie rzewnie płakał. Tuż obok niego pasły się dwie krowy i tłuściutkie, kilkotygodniowe cielę, co w nadmiarze wesołości rozmaite wyprawiało skoki.

Mój Boże! westchnął biedny malec ocierając oczy, jak też to miło każdemu stworzeniu na tym świecie, kiedy ma dobrą matulę obok siebie; ot na ten przykład, choćby i to cielę, nieme stworzenie, jak to wyskakuje, a poczciwa Sozdocha co

raz to go liźnie, to choć mruknie z radości, ile razy przejdzie koło niego; a jak nieborak, już blisko dwa lata jak się nie mam do kogo przytulić; ale co tam, dodał nieco weselej, wszakże nieboszczka matusia mawiali zawsze, że nie masz tak lichego robaka pod słońcem, o któregoby się Pan Bog tam w niebie nie zatroszczył — oj! droga matusia, mądrzy też to byli mądrzy, a co to umieli przeróżnych pieśni! pamiętam jak se to nie raz wieczorami śpiewywali: „Kto się w opiekę poda Panu swemu."

I młody sierota pełnym rozrzewnienia głosem, z całej duszy zaczął powtarzać znaną wam wszystkim moi bracia, prześliczną, starą pieść o Opatrzności Boskiej.

— Któż cię to tak pięknie nauczył śpiewać chłopcze? zapytał go niespodzianie jakiś głos pełen łagodności.

Chłopak obejrzał się z pośpiechem, a poznawszy w mówiącym zacnego xiędza proboszcza rodzinnej wioski, skłonił mu się do samej ziemi.

— A któżby? rzekł po chwili skrobiąc się w głowę, jak nie nieboszczka matusia.

— A jak się nazywała twoja matusia, zapytał dobrotliwie kapłan.

— Katarzyna Dudziakowa, odparł wzdychając sierota.

— Aha! to żona Franciszka Dudziaka, gospodarza, co to ma chałupę niedaleko starej karczmy, przy gościńcu.

— A tegoć odrzkło dzeiecię, jeno że już dwa roki jak nie żyją.

— A ty wiele masz lat chłopcze?

— Albo ja wiem proszę jegomości, macocha tylko powiada zawsze, że jestem stary a do niczego.

— Ha! bo może to i na prawdę nie chce ci się robić — rzekł proboszcz z łaskawym uśmiechem:

— Ale gdzież tam, tłomaczył się chłopczyna spuściwszy oczy, jeno świt to już mną pomiatają na wszystkie strony, Jacek tu! Jacek tam! że aż nogi nie raz zabolą, toć i teraz nie darmo siedzę przy bydle, choć o suchym kawałku chleba jestem od rana.

Kapłan z współczuciem spojrzał na sierotę — no! mój Jacku przemówił odchodząc, jak przypędzisz bydło a nie będą

cię potrzebowali w chałupie, to przyjdź wieczór na probostwo, a zobaczemy czy też tak jesteś zupełnie do niczego.

Jacek z pokorą ucałował rękę czcigodnego xiędza, i odrzekł smutnie — o! przyjdę niezawodnie, jeżeli mi tylko nie każą kołysać macoszynego Wojtka.

— Oj! nie troszcz się o to tak bardzo moje dziecko, powiedz po prostu że ci przyjść kazałem, a już cię pewnie nie będą wstrzymywali.

Trzebaż wam tu mówić moi dobrzy ludzie, czy biedny Jacek, do którego nikt poczciwem słowem się nie odezwał w chałupie, pierwszy raz w życiu tak mile zapraszany, stawił się wieczorem na probostwie?

Porzucił nawet miskę z kartoflami, i zaledwia zaspokoiwszy pierwszy apetyt, umył się, ogarnął jak można było naprędce, i stanął niespodzianie przed samym xiędzem, który się też niezmiernie ucieszył z jego przybycia.

— A byłci też to świątobliwy i mądry człowiek ten xiądz proboszcz z Grabówki; słyszeliście już zapewnie nie raz na kazaniu moi bracia, jak to sam Zbawiciel wyrzekł niegdyś o sobie: „Ja jestem dobry pasterz, a dobry pasterz daje życie swoje za swe owieczki,“ tak ci więc i nasz proboszcz, pragnąc stać się we wszystkiem podobnym boskiemu mistrzowi swojemu, z ojcowską pieczołowitością czuwał nad duszami parafian swoich — kochał on wszystkich z całego serca, a pełniąc już od lat kilku obowiązki duchowne w tej samej wiosce, wszystkich prawie znał dokładnie z imienia i nazwiska.

I teraz na widok biednego Jacka, powstała w jego duszy myśl szlachetna osłonienia opieką swoją opuszczonego sieroty.

Wdawszy się w rozmowę z chłopczyną, poznał od razu że tenże nie był wcale złym ani głupim, a całą przyczyną niesprawiedliwego zarzutu macochy, było lekkie upośledzenie natury, to jest po prostu, że miał lewą nogę znacznie krótszą od prawej, przez co trochę utykał.

Nazajutrz więc zaraz poszedł do chałupy Dudziaka i wręcz mu oświadczył, że pragnie Jacka zatrzymać u siebie; stary pomruczał cokolwiek pod nosem, nie śmiał jednak długiego stawiać oporu, a macocha dodała z szyderstwem:

— Puść go, puść Franku, niech się też i jegomość przekona co to za niedołęga, ten nasz miły cherlak, kuternoga.

W rok potem wszyscy mieszkańcy Grabówki wydziwić się nie mogli, jakiemuś miłemu dźwięcznemu głosowi, który ich co niedziela dochodził z chóru wtorując staremu organiście, co już od niejakiego czasu widocznie tracił na siłach — nikt bowiem dotąd nie widział jeszcze tajemniczego spiewaka, który podobny skowronkowi głosił czystemi piersi świętą chwałę bożą, i stojąc ukryty po za organem wcale nie myślał się pokazywać oczom ludzkim.

Zdumiewali się więc wszyscy, pragnąc się dowiedzieć ktoby to był taki, ale bliżsi głosili po wsi, że to nie kto inny jeno znajomy nam Jacek syn Dudziaka, a stary proboszcz rozpływał się z radości, patrząc na postępy swojego wychowańca, który codziennie ucząc się od poczciwego organisty, dorównywał już prawie swojemu nauczycielowi.

Tak mijał rok za rokiem, a nasz Jacek ciągle pozostawał na probostwie, wyrósł on i zmężniał znacznie, a chociaż zawsze utykał na lewą nogę, bynajmniej to nie przeszkodziło proboszczowi do powierzenia mu obowiązków organisty, po śmierci starego Bartłomieja Miecha, co jeszcze za życia nie mógł się odchwalić swojego ucznia.

Przez ten czas umarł i Dudziak, a poczciwy chłopak niepomny złego obejścia, jakiego niegdyś doznawał w domu ojcowskim, ze łzami szczerego żalu odprowadził jego ciało na cmętarz, i złożył je obok mogiły ukochanej matki, której pamięć zawsze święcie przechowywał w wdzięcznem sercu.

Wyrósł też i macoszyn Wojtek, a chociaż bardzo młody, ożenił się wkrótce z córką bogatego włościanina z sąsiedniej wioski i przedawszy ojcowskie gospodarstwo, wyprowadził się z Grabówki.

I długo bardzo długo nic o nich nie wiedział Jacek, aż dopiero w parę lat później, kiedy nasz organista, wysłany za jakąś pilną sprawą, jechał w czasie zimy do sąsiedniego miasteczka, z bolem serca dowiedział się o smutnym losie swojej macochy.

W drodze zaskoczyła go śnieżna zawieja, i chcąc nie

chcąc musiał się zatrzymać w poblizkiej karczmie — w progu zaraz zastanowił go głos gospodyni, która dość krzykliwie i grubiańsko domagała się zapłaty od jakiejś wieśniaczki, co otulona płachtą, w kornej postawie przytuliła w się kącie izby.

— Ależ miejcie jeszcze cierpliwość pani gościnna, mówiła błagalnym głosem nieboga, wiecie, że teraz jestem chora, jak Bóg da mi zdrowie, to wam odsłużę w gospodarstwie za ten kąt pod piecem i trochę strawy, której mnie własne dziecko pozbawiło... łzy zatamowały resztę słów nieszczęśliwej.

Jacek z dziwnie ścieśnionem sercem podniósł się z miejsca aby się bliżej przypatrzeć mówiącej.

— Niestety, w tej zbiedzonej, schorowanej kobiecie, poznał on zuchwałą i dorodną niegdyś żonę własnego ojca.

Kiedy w parę dni później powracał do Grabówki, wszyscy zdziwili się nie pomału widząc go zesadzającego ze sanek starą, ciepło otuloną kobietę, której zrazu nikt nie mógł poznać.

Była to jednak znana wszystkim Franciszkowa, co dotąd żyjąc w domu cnotliwego pasierba, najczulszem przywiązaniem stara mu się wynagrodzić krzywdę uczynioną w dzieciństwie, i nie może wyjść z podziwienia jak mogła niegdyś utrzymywać, że Jacek wyrośnie na niedołęgę, dla tego że był trochę kulawym; bo nie wiedziała biedna kobieta, że Bóg nie zapomina o nikim, i jeżeli mu nie da silnych i zdrowych członków, to mu niezawodnie czem innem nagrodzi.

E. Leja.

Jak Smolik wykręcił się sianem.

Za dobrych czasów kiedy to królem polskim był Zygmunt stary, a w Polsce było wesoło a naród był szczęśliwy, żył na dworze królewskim dworzanin Smolik co był tak dowcipny jak rzadko. Wszędzie go było jak to mówią pełno, każdemu figla wypłatał, a jak wiecie takiego wesołego człowieka każdy rad widzi i słyszy, dla tego też i sam król Jegomość bardzo go lubił.

Otóż ten Smolik najchętniej lubił płatać figle dworzanom, którzy też koniecznie chcieli się na nim pomścić. Zaprosili go

więc na wino i zaprowadzili do handlu winnego, jak to dawniej był zwyczaj do sklepu na dół czyli do piwnicy. Gdy go już mieli między sobą powiedzieli mu wręcz: Panie bracie za te figle twoje jakie nam zawsze płatasz, musisz być ukarany, zapłacisz nam więc nieboże beczkę wina. Prędzej cię ztąd nie puścim aż beczkę zapłacisz, którą my tu zaraz wypijemy. Smolik choć mu było bardzo markotno wydać siła pieniędzy za marny trunek, udał że chętnie zapłaci klasnął w dłonie niby z wielkiej uciechy i kazał dać beczkę wina dla dworzan, których było nie mało. Piją więc na dobre, a Smolik dowcipny zabawia ich figlami jak może. Kiedy już wino wypili, a w beczce dno się pokazało, chce im Smolik nakoniec pokazać sztukę jaką jeszcze w życiu nie widzieli. Ciekawi dworzanie patrzą, aż im ledwie oczy nie wylezą i proszą by im tę sztukę pokazał. Smolik kazał przynieść siana. No moi bracia, rzecze Smolik, o zakład, że sznur z siana ukręce i nim was wszystkich wyciągnę! — To nie podobna, to być nie może, zawołali wszyscy. Załóżmy się o beczkę wina! Zgoda odrzekł ucieszony Smolik, i zaczął kręcić sznur ze siana; daje im jeden koniec, a kazał im go mocno trzymać, a sam kręcąc siano wyszedł z piwnicy na górę. Gdy już był u góry targnął mocno za sznur i zawołał: trzymajcie mocno! potem oddał swój koniec sznura parobkowi i kazał mu raz po raz potargnąć; a sam w nogi mój drogi. Dworzanie chcieli Smolika złapać, a on z nich sobie zadrwił potężnie, bo musieli w końcu sami beczkę wina zapłacić a on się wykręcił sianem. I to przysłowie aż po dziś dzień pozostało.

RÓŻNOŚCI.

Mędrzec jeden siedział w swojej izdebce wśród pism i xiążek zatrudniony zgłębianiem natury. W tem weszła mała dziewczynka z sąsiedztwa prosząc mędrca aby jej pozwolił wziąść nieco ognia z piecyka. Mędrzec ów chętnie pozwolił, ale spostrzegłszy, że dziewczyna nie przyniosła żadnego naczynia, w które by mogła wziąść kilka węgli, rzecze: A w cóż weźmiesz ogień? wszak nie przyniosłaś nic ze sobą, poczekaj ja ci pożyczę jakie naczynie na węgle. Gdy mędrzec zaczął szukać po izbie, zbliżyła się dziewczyna do pieca, posypała dłoń zimnym popio-

łem, a potem położyła na nim kilka żarzących węgli. Mędrzec zobaczywszy to zdziwił się tak dalece, że rzucił swoje xięgi na ziemię mówiąc: „Z całą nauką moją, nie byłbym tak prostego a naturalnego sposobu wynalazł.“

Głuchych ludzi nie brak na świecie, a jak lekarze utrzymują, ma ludzi cierpiących na głuchotę i mających słuch bardzo słaby coraz więcej przybywać. Pewien sławny lekarz angielskie co to się tylko leczeniu głuchych od bardzo wielu lat oddaje, wydał całą xiążkę o głuchocie, w której dowodzi, że teraz co raz więcej kobiet jest głuchych a to z tej prostej przyczyny, że kobiety tak sobie zwijają włosy iż niemi całe uszy zakrywają. I jest to rzecz bardzo naturalna, bo owe włosy zakrywając zupełnie uszy nie dozwalają dojść do nich głosowi a dla tego słuch coraz bardziej tępieje. A nadto powietrze jest tak dla ucha potrzebne, jak dla oddychania, dla oka i dla wszystkich zmysłów; a że włosy, zakrywające uszy, nie dopuszczają powietrza ucho cierpi, a słuch tępieje. Dla tego też niewiasty zaniechać powinny zwyczaju zakrywania uszów włosami. Niech zwijają włosy jak chcą ale zawsze tak aby ucho było wolne na wpływ powietrza a nie zakryte włosami.

Straszny wypadek wydarzył się przed trzema miesiącami w Sant Jago, stolicy rzeczypospolitej Chili w Ameryce. Oto gazety opisują to okropne zdarzenie w sposób następujący:

W dniu 8. grudnia roku przeszłego, w uroczyste święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi zebrało się około 3000 ludzi, w kościele zwanym de la Compania. Tłok był tak wielki, że z 500 kobiet musiało pozostać zewnątrz na schodach i ztamtąd słuchać nabożeństwa. Na dwie godziny przed otwarciem kościoła już mnóstwo kobiet przybyło. Kościół otwarto o godzinie 6tej i kobiety zajęły swe miejsca, cisnąć się jak najbliżej wielkiego ołtarza. Dawno już robiono uwagę, że z powodu zbytku światła używanego przy nabożeństwie, pożar może łatwo nastąpić. W owym nieszczęsnym dniu w dodatku lampy były napełnione nie olejem, lecz kamfiną. Główny obraz Matki Boskiej w wielkim ołtarzu, ozdobiony był od dołu półxiężycem z lamp; zdaje się, że ogień się zajął od tych lamp, przyczyna bowiem pożaru nie została jeszcze wyśledzoną. Ogień od lamp półxiężyca dostał się do innych otaczających lamp, świec, sztucznych kwiatów, wieńców i tp. Ale ludzie zostający w kościele nie ujrzeli ognia, czy też sądzili, że łatwo zostanie ugaszonym, jakto już poprzednio kilkakrotnie miewało miejsce: dość, że nie chcieli swych miejsc opuszczać. Tymczasem ogień dostał się do dachu, który był drewniany i do kopuły także z drzewa, a obecni poznali, że są w niebezpieczeństwie. Pewna liczba opuściła swe miejsca spokojnie, ale w kilka minut zrobiło się w kościele najstraszliwsze zamieszanie. 3,000 obecnych ruczilo się do drzwi. Kościół

ma trzy wielkie wrota, ale z tych tylko środkowe otwierano a dwóch bocznych nigdy. Wszystko rzuciło się do drzwi frontowych i do bocznych. wychodzących na ulicę, drugie boczne drzwi wychodzą na mały podwórzec. Trzecia część zebranych zdołała wyjść, ale jak kobiety w natłoku zaczęły padać jedne na drugie przed samemi drzwiami, zatamowały wyjście. Ta massa ciał z każdą chwilą zwiększała się, stawała się wyższą, robiąc niepodobnem usunięcie tej strasznej zawady.

Można sobie wyobrazić straszliwe położenie nieszczęśliwych istot, zamkniętych w ten sposób w kościele, którego kopula już się paliła, lampy zaś i palące się świece padały na zebranych. Ludzie zewnątrz starali się ratować, ale siła rąk nie pomagała: potrzebaby było chyba machiny do usunięcia massy ciał zawalających drzwi. Zdołano jednak jeszcze kilkanaście wydobyć, ale wkrótce suknie poczęły się palić na pozostałych w kościele ofiarach, od sukni ogień objął włosy, wielki płomień buchał z kościoła, zapaliły się drzwi i odrzwia. Straszne były to chwile! podobnej katastrofy może nie spotkamy w historyi. Piszący list mówi: Gdy się dostałem na miejsce, wnętrze kościoła zajęte było czerwonemi płomieniami. Słyszałem tylko krzyki i jęki ludu na ulicach i placu, trzask i huk zapadającej się kopuły. W kilka minut wieża z drzewa zajęła się, a w kwandrans zapadła na kościół. Wiele ofiar zginęło! Każdy pytał o swą matkę, żonę, siostrę. Dopiero wieczorem odkryto straszną prawdę. Bardzo mało zdołało wyjść z kościoła, jeszcze mniej zdołano wydobyć i to na pół popalonych Gdy się ogień wypalił, pokazały się stosy ciał albo leżących, albo w gruzach stojących albo klęczących, jak je ogień zachwycił; większa część blizko drzwi, inne pod arkadami lub pod wielkim dzwonem, który spadł na nie koło drzwi. Wówczas zaczęto przypuszczać, że mogło zginąć 500 do 600 kobiet, na drugi dzień rano, gdy ciała zebrano i porachowano, naliczono tysiąc czterysta! a to jeszcze nie wszystko. Według list ogłaszonych przez dzienniki brakuje około 2000 kobiet w mieście, z tych dwie trzecie służących, jedna trzecia kobiet należących do najzamożniejszych rodzin w Sant-Jago. Główna straszliwa katastrofa nie trwała więcej kwandransa.

ZDANIE MORALNE.

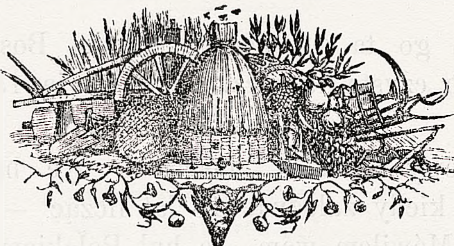
Można gnębić niewinność, okować w kajdany;
Lecz pewny w sumieniu, w cnocie niezachwiany,
Ten łańcuchem obciążon potrafi być sobą;
Pęta ciężą na zbrodni, cnocie są ozdobą.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 11.

11. Kwietnia 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Stanisław Kostka.

Bóg wszechmogący błogosławił naszej drogiej ojczyźnie różnemi sposobami. Serce mi skacze z radości, gdy wspomnę na takiego Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, o których to wam w Dzwonku pisali — bo ci oni byli waleczni i kochali bardzo ojczyznę swoją. Spodziewamy się więc, że ich Bóg za to do swojej chwały przyjął.

Ale moiściewy wiemy my i dokumentnie, że mamy świętych Polaków w niebie, którzy to przez swoje cnoty wielkie błogosławieństwo na naszą ojczyznę sprowadzali; — a i o takich pisali wam w Dzwonku, jak o św. Stanisławie Szczepanowskim, św. Janie Kantym, św. Kazimierzu królewiczu, o św. Jadwidze i o innych. Ale o jednym jeszcze wam nie pisali, a to o św. Stanisławie Kostce, który był także Polakiem z duszy i serca i pochodził z bardzo sławnej i bogatej familii polskiej.

Mógł ci on tutaj na ziemi setnie używać — ale on nie chciał. Ofiarował się Bogu, a nawet tyle nie miał swego, jak każdy biedny chłopek.

Szczególniej kochał on naszą królowę Najświętszą Pannę Maryę i prosił ją, aby w dzień jej Wniebowzięcia śmierć po niego przyszła.

Wysłuchała go ta miłosierna Mateńka Boska, bo sama przyszła po jego czystą duszyczkę i wzięła ją 15 sierpnia 1568 do nieba.

Ach moiściewy kochani, musiał to być bardzo cnotliwy młodzieniaszek, kiedy zaledwie 18 lat licząc — już do nieba został przyjęty. Mówiłem wam, że był Polakiem — i to prawdziwym, bo kochał ojczyznę i ciągle się o pomyślność takowej modlił. A gdy go Bóg już do siebie wziął — zdziaływał za Jego przyczyną różne cuda w naszym kraju; a o takim jednym cudzie ja wam kochani moi jeszcze tutaj napiszę.

Za panowania Zygmunta III. w r. 1621 groziła wielka klęska naszej drogiej ojczyźnie a to od strony pogan, którzy z całą wyruszyli siłą na zawojowanie Polski.

Poskrobał się nasz Zygmunt, bo wiedział, że nie znajdzie pomocy u ludzi. Wezwał więc ratunku z niebios przez przyczynę Matki Najświętszej i świętych Patronów polskich, a osobliwie św. Stanisława Kostki.

Ej bo też nie było trudno o przegranę z naszej strony bo jak wam rzekłem, pogan niesłychaną siłę przyprowadził, a naszych była mała garstka pod dowództwem kochanego Chodkiewicza.

I nie zawiódł się nasz Zygmunt, bo w czasie ostatniej walki, widzieli pobożni ludkowie wóz złocisty, na którym siedziała nasza Mateńka a u Jej nóg św. Stanisław, który nasze wojsko Najświętszej Pannie pokazywał. Boska łaska przyszła w pomoc naszej garstce i pobili poganina.

Moi ludkowie kochani uciekajcie się w potrzebach waszych do tego naszego patrona.

Św. Stanisławie Patronie i obrońco nasz, módl się za nami! *K. T.*

Piosnki góralskie.

I.

Idą do dom Podhalanie
W drodze wyśpiewują
Skosili już na polanie
Więc też się radują
Hahu! hej! hej!

Idą strzyżki heń w szałasy
Dzwonią dzwoneczkami,
Biegną za nimi juhasy
Dzwonią toporkami
Hahu! hej! hej!

II.

Turnie nasze turnie, hale nasze hale
Jakżeż Pan Bóg śliczny, dał nam świat górale!
A nasze dziewoje kieby krople rosy!
Bielutkie na liczku, czarne mają włosy!

Halu! halu! halu!
Cieszże się góralu,
Że ci Pan Bóg rad,
Dał tak piękny świat!

Nasz Góral po skałach, kieby koza skacze,
Jak dobrze podskoczy, o niebo zahaczy,
A jak się zawinie, jak toporkiem ciśnie,
To mu toporeczek na chmurce zawiśnie!

Halu, halu, halu!
i t. d, i t. d.

Kochajmyż te góry, kochajmy te skały,
Nasze turnie, hale, i ten kraj nasz cały,
Bo chociaż tu ziemia jałowa, skalista,
Przecież to jest ziemia rodzinna, ojczysta!

Halu, halu, halu!
i t. d., i t. d.

*

III.

Tańczą góralczyki,
Chłopaki jak smyki,
Kobzarz im przygrywa
A dzieweczka śpiewa.

Po gospodzie krzyki!
Szumią góralczyki,
Toporeczek furczy,
A bas w kącie burczy.

W koło, w koło, w koło,
Raźno i wesoło!
Drużba przodem skacze:
„A od ucha gracze!“

A hulajże Grzela!
Bo to dziś niedziela —
A dalejże w kółko,
Na święte niedziułko!

Jan Zamojski, hetman polski,

co ojczyznę radą i orężem wspierał.

We wsi Morawicy stoi pyszna szkoła, aż się serce raduje gdy się na nią popatrzysz. Budynek szkolny nowy niedawno wystawiła gromada, wygląda on ci jak pałac, ma ganek, duże okna, a w około ogród zarosły kwiatami i jarzyną. Do tej szkoły chodzi dzieci jak mrowia, a wszystko ładnie poczesane, pomyte, ogarnione, widać z tego wszystkiego, że w tej gromadzie ludzie nie lada mieszkają, co tak dbają o swoje dzieci. Jest tam w tej szkole i profesor, ba ale profesor, jakich mało na świecie, dawniej chodził on ci na wsi do szkoły, a później w mieście i tak się wszystkiego dokumentnie wyuczył, że każda książka choćby i ze samego Paryża lub z Rzymu, to furda dla niego, a skończył on ci tyle szkół, że nawet mało chybiało, iż xiędzem nie został. Ten profesor wyuczył dzieci rachunków,

pisania, czytania z drukowanych i pisanych xiążek, także i śpiewać to do Matki Boskiej, to do Pana Jezusa, to do Wszystkich Świętych. — Krótko mówiąc z wszystkiego tam tak dużo szkolarze umią, żebyś tego i na wołowej nie spisał skórze. Do tej szkoły chodzi Wawrzuś, co się bardzo pięknie uczy, a wszystko sobie tak miarkuje, jakby jaki człowiek stary. Otóż przyniósł on ci raz śliczny obrazek do szkoły. Na tym obrazku stał rycerz wymalowany, miał na głowie czapkę z piórami obszytą barankiem, kapoty miał aż dwie na sobie, jednę pod spodem żółtawą przepasaną pasem ze samego złota, na wierzchu było widać drugą kapotę szeroką ze sukna niebieskiego obszywaną aksamitem a krajami futrem ze sobola, buty z ostrogami były żółte z długiemi cholewami aż za kolana, w obydwóch zaś rękach trzymał do góry miecz tak, jakby się już zamierzał nim kogo ciąć. U spodu był taki napis: Jan Zamojski, polski hetman, co ojczyznę radą i orężem wspierał.

Wszystkie dzieci skupiały się koło Wawrzusia, i opatrywały ten śliczny obrazek i mówiły między sobą, że jeszcze takiego siarczystego rycerza na obrazku w życiu nie widziały. Gdy pan profesor do szkoły przyszedł, Wawrzuś pierwszy podskoczył ku niemu, pocałował go w rękę i pokazał mu swój obrazek. Zdziwił się pan profesor co nie miara tym obrazkiem i zapytał: Kto ci Wawrzusiu darował taki przecudny obrazek?

Wawrzuś: Proszę pana profesora wczoraj byłem z tatusiem na odpuście w Krakowie, i oto ten obrazek bardzo mi się spodobał, a tatuś kupili mi go za szóstkę od obraźnika. Proszę pana profesora, rzekł Wawrzuś — bądźcie też łaskawi, a powiedzcie mi, co to za jeden ten pan, co tu na tym obrazku tak cudnie wymalowany stoi?

Pan profesor nie dał się długo prosić, podumał trochę, zmarszczył czoło, i jął opowiadać:

— Ten pan wymalowany, to pochodził z prostej chłopskiej familii, podobnie jak wy moje dziatki; jego prapraojciec to był wielki chudzina, mieszkał na wsi, pasł bydło za młodu jak wy teraz, a gdy dorósł, to był ci z niego dzielny wojak i tak się też wsławił na wojnie jeszcze za króla Łokietka. Widzicie dziatki kochane, za rządu króla Łokietka, Krzyżacy niemieccy

napastywali Polskę i niszczyli ten nasz kraj. Łokietek, choć to człowiek nie wielki, bo tylko ledwie na łokieć urósł, był wszakże bitny i dziarski wojak, więc zawsze kurtę skroił niemieckim krzyżakom i wypędzał ich het, het daleko za granicę. W jednej oto widzicie bitwie, co trwała od rana aż do nocy, pobił ten Łokietek na głowę Krzyżaków. Oj byłaż bo to była okropna bitwa, bo aż dwadzieścia tysięcy trupa leżało na placu boju. Na drugi dzień król w świecącej zbroi i z gromadą panów objeżdżał pobojowisko i zobaczył na niem jednego ciężko rannego, którewu Krzyżacy trzy piki wbili w ciało i brzuch niemiłosiernie rozdarli, że mu aż nieprzymierzając wnętrzności wychodziły, które sobie nieboraczysko aże rękami zatrzymywał. Łokietek chociaż wielki wojak, jakoś zrobiło mu się markotno, gdy zobaczył tak rannego chłopka polskiego, zbliżył się do niego i tak się zapytał:

Jak się ty biedaku nazywasz?

Nazywam się Kastroróg Floryan Szary, odpowiedział ranny.

Aha, toś to ty Szary chłopek — mówi król dalej — co jednym zamachem zabiłeś trzech niemieckich krzyżaków?

A jażci ja, odrzekł Szary.

Grackoś się spisał mój zuchu, odparł król. Od dziś dnia jesteś już szlachcicem i daruję ci dwie wsie.

Odtąd Szary prosty człowiek był równy panu — jak chłop chłopu.

Widzicie dzieci, Floryan Szary bardzo kochał swoją ojczyznę, życie za nią chciał chętnie ofiarować, za to mu też i Pan Bóg i król Łokietek sowicie wynagrodził. Ten oto pan wymalowany jest jego familiant!

— Ależ wy mówicie panie profesorze, rzekł Wawrzuś, że tego wymalowanego pana na obrazku prapradziad był chłopkiem i zwał się Szary, a dla czegóż więc stoi tu pod jego familiantem napisane Zamojski a nie Szary.

— Ba — to znowu coś innego w tem zachodzi, mówi pan profesor. Dawno, ale to już bardzo dawno temu kochane dziatki — nie było takich nazwisk jak dziś: Zamojski, Grabowski, Tęczyński itd. ale mówiono po imieniu i dodawano: Jan z Tęczyna, Kazimierz z Grabowa itp. a że Floryan nosił

kapotę szarą, to go nazwali ludzie Szary — a ten co mieszkał we wsi Tęczynie nazwali go później Tęczyński, co w Grabowie Grabowski i tak to powstały różne polskie nazwiska. Otóż syn Floryana Szarego miał wieś nad Wisłą i od sąsiednich wsi oddzielił ją mostem, ztąd jego wieś nazwano Zamość i nie dawano mu już więcej nazwiska Szary, ale Zamojski.

Aha, rzekł Wawrzuś uradowany, kiwając głową, to już wiem dla czego to ten pan nazywa się Zamojski.

Teraz — dodał pan profesor — uważajcie wszyscy, a opowiem wam przeróżne piękne rzeczy o tym tu na obrazku wymalowanym Janie Zamojskim.

Jak oto tu Jan Zamojski żył, to już temu trzysta lat. Z małości chował się przy ojcach, a był bardzo rozumny, pobożny, posłuszny starszym, a ojca i matkę i Pana Boga to już co prawda — nad życie kochał. Gdy dorósł, oddał go ojciec do szkół do miasta, co się zwało Krasnystaw. Tam ze wszystkich uczniów uczył się Janek najlepiej, bo też miał ogromną ochotę do nauki. A kiedy skończył szkoły polskie, to go ojciec wysłał do obcych krajów na naukę. I tak młodziuchny Jan Zamojski pojechał najprzód do francuzkiego kraju gdzie jest bardzo wielkie i pyszne miasto Paryż. W tym Paryżu była sławna szkoła, co się zwała akademia. W takiej szkole, akademii, uczą się na sędziów, urzędników, na doktorów i uczonych ludzi, co xiążki piszą, a potem drukują. Jan Zamojski uczył się w takiej akademii przez trzy lata, potem pojechał do kraju niemieckiego na niemieckie nauki do miasta Sztrasburga, ztąd na koniec pojechał do Włoch, do tego kraju gdzie jest ojciec święty. W tym kraju jest miasto Padwa, a w niem wielka i najsławniejsza na cały świat szkoła akademia. Tu byli dawno najmędrsi i najuczeńsi ludzie, co się zwali doktorami i profesorami. Od nich uczył się Zamojski przeróżnych nauk, i tak się wyuczył wszystkiego dokumentnie, że był prawie najuczeńszym człowiekiem wówczas — ba nawet i samych profesorów w rozumie prześcignął. Był on ci więc najpierwszym między tymi, co xiążki pisują, a po całym niemal świecie gadano o jego niesłychanie wielkiej mądrości.

Zamojski później powrócił do swej ojczyzny, którą nad życie kochał. A gdy się o jego przybyciu dowiedział król polski Zygmunt August, to słał a słał posły do niego, żeby jak najprędzej do niego przyszedł. On się też tam nie dał wiele prosić, ale czem prędzej przyszedł do króla, a król choć to pan co się zowie, to nie dufał w swoje państwo, lecz uściskał i ucałował Zamojskiego jakby brata i przyjaciela największego, a poznawszy w nim rozum wielki, zrobił ci go najprzód pisarzem, poźniej starostą najstarszym. Nie długo cieszył się Zamojski przyjaźnią krola Zygmunta, bo tenże wkrótce umarł.

Polscy panowie i biskupi obrali na króla polskiego Francuza co się mianował Henryk Walezyusz. Po tego króla nowego pojechali do Paryża posłowie polscy, a z nimi na czele Jan Zamojski, i kiedy nasi tam przyjechali, to Jan Zamojski przy wszystkich panach francuzach uciął ci taką ognistą i piękną mowę do króla, że wszyscy francuziska aż głowami kiwali i dziwili się co niemiara, iż to Polak tak ładnie francuzką mową mówił jakby ich rodak. Henryk Walezyusz pojechał do Polski, ale nie długo był naszym królem, bo uciekł do Francyi. a nasi Polacy na powrót za poradą Zamojskiego obrali innego króla, co się zwał Stefan Batory. Ten Stefan Batory był to wielki król, wspaniały, sprawiedliwy i najdzielniejszy po wszystkie czasy. Ze Zamojskim to żył on jakby rodzony brat, kochał go jak największego przyjaciela, a że poznał w nim tęgiego człowieka, mianował go kanclerzem.

— A co to znaczy kanclerz? zapytały ciekawe dzieci.

— Kanclerz, mówił pan profesor, to jest taki człowiek, co się zna dobrze na prawie i pilnuje, aby je król i cały naród dotrzymał, listy do obcych królów pisze on, a król je tylko podpisuje. Jakby król chciał co uczynić lub pisać nie podług prawa narodu, to kanclerz nie da swej pieczęci, a takie pismo choćby ta i królewskie — nic nie znaczy, — kanclerz widzicie dzieci to tyle znaczy, co pisarz całego narodu, a po królu to jest najstarszym panemw kraju. Takim panem i kanclerzem był Jan Zamojski, bez którego Stefan Batory sam nic nie działał, ale we wszystkich sprawach się z nim naradzał jak w gromadzie wójt z pisarzem.

Wawrzuś: Ależ proszę pięknie pana profesora, przecież tu na obrazku nie stoi napisane kanclerz, lecz hetman polski!

Pan profesor rozśmiał się na takie gadanie Wawrzusia i tak powiedział: no poczekajże zuchu mój, to wam jeszcze opowiem jak to oto ten Zamojski został oprócz tego i hetmanem polskim.

— A co to znaczy hetman polski? zawołały dzieci jednogłośnie.

— Hetman polski, prawił profesor, to tyle znaczył dawniej, co najstarszy żołnierz, to jest wódz całego wojska w Polsce. Hetmana wszyscy żołnierze musieli szanować i słuchać, jak dzieci ojca lub jak szkolarze swego profesora w szkole. Obowiązkiem hetmana było prowadzić wojsko na wojnę i gromić nieprzyjaciela.

— Dobrze, rzekły dzieci, to już teraz rozumiemy co to znaczył hetman polski, ale dlaczego tu na przodzie za pasem widać Zamojskiemu jakąś krótką laskę z kulą na końcu?

— Aha! ta laska krótka z kulą na końcu, prawił profesor, nazywa się buławą, jest ona znakiem urzędu hetmana. Taką buławę hetman nosił zwykle w ręku, ale że Zamojski, jak tu widzicie, właśnie bił się z moskalami, więc buławę za pas zatknął, a pałaszem kropił jak gniew boży.

Teraz uważajcie dzieci, bo wam opowiem, jakim to sposobem został Zamojski tym polskim hetmanem.

Widzicie, wtedy kiedy żył król Stefan Batory, ów dzielny wojak, to wara było zaczepiać Polskę, bo ciął każdego aż miło! — nawet sam Turek, co w onczas nikogo się nie bał na świecie, baczył na przyjaźń i zgodę ze Stefanem. Jeden tylko car Iwan moskiewski nazwany „okrutny“, odważył się z nim pójś na udry; oj nabrał też za to mój miły Boże po skórze, aż mu w piętach zastygło.

Otóż temu Iwanowi zachciało się polskiego kraju, co się nazywa Inflanty. Z wielkiem przeto wojskiem wkroczył do tych Inflant i nuże po swojemu jął tam gospodarować. Ale ta krzywda ludzka nie wyszła mu na dobre, bo Stefan Batory miał ostre zęby, nie ścierpiał morderstw Iwana i nie dał sobie w kaszę pluć moskalom. Uradził więc z Zamojskim, aby iść na tego

wroga. Jak uradzili, tak i zrobili; zebrali obaj trzydzieści tysięcy wojska polskiego i ruszyli na wojnę i jak też nie zaczęli kropić a kropić z kretesem tych nieproszonych gości — to oddaj się Bogu. Moskwa szle a szle swoje wojska, ale żadne wojsko nie ostało się na placu przed królem Stefanem — ba nawet już nasi najsilniejsze zamki i fortece zabierają i chciwego moskala pędzą het — het daleko z kraju polskiego — i wprost walą aże do moskiewskiego kraju.

Car Iwan sierdzi się i całemi garściami rwie sobie włosy z głowy, a jużby i do kolan upadł Batoremu, aby go jeno nie kropił tak zażarcie. Ale ze Stefanem wojować, to nie żarty było.

Przegrawszy moskale wiele bitew, uciekli aż do Wielkich Łuk do fortecy ogromnej, ale Zamojski na czele wojska nie pofolgował, ani się ta zląkł moskiewskich kul, co jak grad padały — szturmem zdobywał fortecy i zdobył ją. Ej była też tam rębanina, moskaliska padały jak muchy, a widząc, że nie zmogą naszych słali a słali posły do króla Stefana mówiąc:

— Miłościwy królu, bierz miasto, bierz i zamek, tylko nam życie daruj!

Poddali się nieprzyjaciele, król Stefan wjechał z wojskiem do Wielkich Łuk, a za waleczność kazał obwołać Jana Zamojskiego hetmanem polskim.

Odtąd Jan Zamojski sam już wojował moskalów i koniec końcem car Iwan musiał odstąpić Inflanty, ze 100 miast i 24 zamki. Tak to zawsze ten wychodzi, co na cudzą własność dybie. Nie tylko widzicie dzieci, ten waleczny hetman Zamojski bił moskalów, dał on się we znaki i Niemcom i Szwedom i Tatarom co Polskę napadali. Do samej śmierci wciąż a wciąż ucierał on się z tymi nieprzyjaciołmi, a kiedy miał wolną głowę od wojaczki, to budował za własne grosiwo kościoły, szkoły, miasta i zamki, a wszędzie czynił dobrze ojczyźnie. Przeżył on ci aż trzech królów i trzy żony, a żył lat 64. Po śmierci cały naród za nim gorzkiemi łzami płakał i mówił: bodajś się był lepiej nie rodził, kiedyś nam już umarł poczciwy hetmanie!

Nie zapominajcie dzieci Jana Zamojskiego, jak on to bronił i kochał ojczyznę naszą, uczcie się także tak pilnie jak on, a wyrośniecie na chwałę Bogu, na pociechę waszym rodzicom i ojczyźnie naszej na pożytek.

Wojciech Michna ze Zakopanego.

Szkoła w Radomyślu.

(List trzeci.)

Po śmierci Gotnera nie miała już gromada wielkiego strapienia o profesora. Ludzie przychodzili jakoś do rozumu, że bez nauki to człek nie żyje jak Bóg przykazał, jeno krom duszy jak zwierzę, to też w całym naszym kraju zaczęli się ludzie co raz więcej garnąć do nauki. W tych miastach gdzie biskupi mieszkali, to porobili umyślnie już takie szkoły, co się w nich uczyli tacy młodzi ludzie, co chcieli być profesorami w świecie. Jak się jaki taki w szkole wyuczył, to go brał biskup i kanoniki pod egzamin, a jak się pokazało, że rzecz dobrze rozumiał, to mu dali takie pismo co się zwie dekret i posłali go na jaką wieś czy miasto.

I do Radomyśla przysłał biskup z Przemyśla takiego młodego profesora — a był on dobrze uczony, a zwłaszcza miał wielką zażyłość z gromadą. Wziął on się nie na żarty do szkoły, chodził z dziećmi w parach do kościoła, a ludziom się to bardzo podobało, bo tego dawniej nikt nie widział, to też potem jak kto mógł tak dziecko ogarnął i odprowadził do profesora. Uczyli się po polsku i po niemiecku bardzo pięknie, ale ten profesor Miller nie długo tam był, bo poszedł gdzieś w świat na większą szkołę, a po nim to już było kilku inszych a dzieci to coraz więcej do szkoły przybywało i tak Pan Jezus pobłogosławił, że teroz w Radomyślu prawie każdy piśmienny, a jakie dwunastu chłopaków wyszło na ludzi w świat. Kobieta tam każda idzie z xiążką do kościoła, a wielu gospodarzów to są tak uczeni jakby jaki profesor lub pan. — To też jak taki piśmienny pokaże się do urzędu, to już nie stoi

przy samych drzwiach jak to dawniej, jeno idzie do samego stołu, a nie raz se koło komisarza siędzie i dopiero gada, co potrzeba. Teraz już gromada nie potrzebuje trzymać pisarza, sami se podatki wybierają, a jak wypadnie co napisać do urzędu żeby i do Wiednia, to nikogo nie potrzebują, jeno se sami radzą, ba nawet z dalekich wsi schodzą się do nich ludzie w jakim interesie, a oni każdemu poradzą i napiszą, ale broń Boże żeby co złego albo jaki fałsz na kogo — bo u nich pan i chłop to wszystko jedno, dla tego się tak ze wszystkiemi kochają — u nich nie tak jak się to gdzie niegdzie trafia, że chłop na mieszczanina a mieszczanin na chłopa to tak bije jak pies na kota! o u nich nie tak! — mają oni rozum, że wszyscy ludzie to są dzieci jednego Boga, a więc jak bracia powinni się kochać, bo jeno miłość i zgoda osłodzi nam to życie na ziemi, a potem otworzy nam bramę do nieba.

Pamiętają oni też o swoich dzieciach. Niejeden ojciec albo matka to sam goni bydło w pole, a dziecko posyła do szkoły — to też tak na łeb na szyję wzięli się do tego, że aż się dzieci nie mogły w szkole pomieścić, bo izba była i niekoniecznie wielka — to też posłuchajcie co oni zrobili?

Działo się to wtenczas jak ten kościółek w lasku stawiali. Jeszcze go nie skończyli, a już przebąkiwali o nowej szkole co na nią jeszcze ani szeląga nie mieli. Jedni chcieli żeby tę starą rozszerzyć, drudzy żeby nową drewnianą stawiać a znowu było takich dwóch hersztów: Jędrzej Okoń i Tomasz Rojek, co chcieli murowaną. Było dość przytem gadania, bo gromadzie nie mogło się w głowie pomieścić, bo jakimże prawem, kiedy to koszt okrutny — ale że gromada szanowała tych dwóch gospodarzy, to też słuchała co oni radzili. — Dopiero Rojek całą rzecz tak wytłómaczył:

Panowie gromada! Jawam pożyczę pieniędzy na zaczątek a wy mi oddacie na lepszym czasie. W naszym gruncie nie ma gliny dobrej, to poprosimy naszego xiędza żeby nam w swojem polu pozwolił glinę brać, sprowadziemy sobie zkąd strycharza żeby nam cegłę palił, a z numeru poszlemy na robotę. Cegłę będziemy mieli za pół darmo, a o drzewo to fiaszki — i niewielkim kosztem postawiemy szkołę, ale nie

na tym placu gdzie stara, jeno trzeba prosić xiędza naszego, żeby nam odstąpił swój jeden ogród bo tam będzie najskładniej na szkołę. Bodajeśmy mieli u kogo i na odrobek zapożyczyć, to murujmy, bo to już i dla naszych prawnuków będzie po nas pamiątka, a nie będzie nas nikt w grobie ruszał, żeśmy o szkołę nie dbali.

Całej gromadzie się ta rada podobała. Radzili jeszcze długo, poszli do xiędza o ten ogród a xiądz z ochotą odstąpił bo też to xiądz na całą okolicę dobreńki. Zrobił tak jak uradzili i już mają szkołę murowaną. Szkoła też to szkoła! niech się schowa i jaki dwór — duża, piękna jak klateczka, jest tam w niej jedna izba co się zmieści do niej 160 dzieci, a na drugiej stronie jest izba, kuchnia i piwnica dla profesora.

Przypatrzcież się z tego przykładu, co to może każda gromada dokazać, jeżeli jest wszystko w zgodzie! bo gdzie nie ma zgody i jedności, to tam Pan Jezus nie błogosławi, jeno szatan się z tego cieszy.

To też w Radomyślu, aż się miło teraz na taką szkołę popatrzeć; bo taka jak w jakiem wielkiem mieście, a dzieci się do niej sypie jak stado wron — to też jak się wysypią do kościoła po dwóch w parze, to tak jak jakie wojsko. Ale bo też to w tych czasach i nauka insza jak dawniej. Teraz profesor uczy regularnie czytać, pisać i różności o świecie, a xiądz przychodzi i uczy jak to kochać Boga i bliźniego? Do tego w tych czasach pamięta o szkole xiądz biskup i sam cesarz, ale biskup i cesarz nie mogą sami do każdej szkoły zaglądnąć, to dla tego mają zastępców. Biskup ma xięży dziekanów, a cesarz ustanowił takich urzędników, co szkoły objeżdżają i doglądają: czy profesor dobrze uczy? czy szanuje gromadę i xięży? czy mu gromada regularnie płaci? i czy dzieci chodzą regularnie do szkoły?

Niedawno temu jak przyjechał taki urzędnik z Krakowa do Radomyśla, a nazywa się konsyliarz Macher. Poszedł on razem z xiężmi do szkoły, a luda tam za niemi poszło jak procesya. Dopiero on w szkole dzieci na różne sposoby wypytywał i wszystko uważał, to też za to pochwalił szkolarzów i profesora — a tych rodziców, co dzieci do szkoły posyłali,

to pod niebiosa wychwalał, ale znowu tych, co nieposyłają, to tak ogadał, że aż wstyd było słuchać; to też dla tego potem każdy dziecko do szkoły posłał, bo nikt nie chciał być ostatni a najwięcej to ich cieszyło, że on dzieci głaskał i obrazki dawał; a insze dzieci to tak się poniewierały po ulicy, jakby prosięta niezaganiane.

Wtedy to miał profesor 50 reńskich na rok — otóż ten pan Macher zawołał do siebie na plebanię kilkunastu z gromady i tak do nich przemówił:

Panowie gromada! Bardzo mi się tu u was podoba, bo jest porządek we wszystkiem, że nigdzie tak nie ma Napiszę o tem do biskupa i Gubernatorowi powiem o waszej szkole — jeno o jednej rzeczy jeszcze nie baczycie, a to o tem, że profesor ma małą płacę. Uważcież se to, że parobek u gospodarza więcej zarobi jak 50 reń. a jakże dopiero taki uczony człowiek co wasze dzieci tak pięknie prowadzi ma wam tu za 50 reń. uczyć?

Na to się odezwał wójt Krajowski Marcin. Wielmożny panie konsyliarzu! My o tem nie zapomnieli i dawno o tem gadamy żeby płacę podnieść choć na 150 reń. Ale kiedy już tak padło, to powiem co prawda, że jest parę gospodarzów takich co niechcą płacić i inszych buntują — otóż kiedy tak, to prosimy o egzekucyą.

A pan Macher tak odpowiedział: Ja widzę, że gromada już tyle dobrego zrobiła, to się spodziewam, że bez egzekucyi obejdzie się, bo by to był wielki wstyd, ale po obiedzie kazał się prawie całej gromadzie zejść i takie różne przykłady gadał tak sumienie roztrząsł, że płacę na 180 złr. podnieśli, a słychać jeszcze, że mają na 200 złr. podwyższyć i dać do tego 2 morgi pola, a ogród ma już profesor.

Teraz dzięki Bogu chłop jest wolny, kieby Pan, jeno mu trzeba nauki. Trzeba się zrównać rozumem z panami, ale nie takim sposobem, żeby na się wdziać: kamizelkę, surdut lub kapotę, jeno trzeba się zachowując suknie ojców, przez naukę z panami zrównać. A do tego my Polacy powinniśmy o tem pamiętać, że nas insze kraje zawstydzają. Bo w innych krajach to na 100 dzieci uczy się 90, a u nas na 100 ledwie 10, to

też obcy parobek mądrzejszy jak u nas gazda nie jeden, choćby miał i dużo majątku. No nie jest że to hańba? a dlaczegoż to? czy może u nas bieda? oj nie bieda! co u nas ma jeden gruntu, to w inszych krajach 10 gospodarzów na nim siedzi — a zmiarkujcieno wiele to przenicy i różnego majątku idzie od nas za granicę! więc u nas nie bieda jeno upór i zuchwalstwo — bo wiele to jeszcze jest u nas takich co gadają: Hej mój tatuś nie był uczony, ja nie uczony, to i moje dzieci będą żyć bez nauki! To prawda! że twój tatuś żył i ty żyjesz, ale ja bym twoim dzieciom takiego życia nie życzył, tylko tego, żeby se to wszyscy brali przykład z Radomyślaków i żeby się starali o naukę, bo teraźniejszych czasach, to nauka koniecznie potrzebna. *Skoczek, profesor z Gorlic.*

Rady gospodarcze.

Jak zasilić drzewa owocowe i zapobiedz opadaniu z nich kwiatu?

Drągiem, jakiego używają przy sadzeniu szczepów, lub innem jakiem narzędziem, robi się głębokie dziury w ziemi do koła drzewa, jak daleko sięga korona; około gruszy głębsze niż koło jabłoni i wisien, a przy tych znowu głębsze niż przy śliwach. Można to także robić przy latoroślach winnych. Otwory te w porze kwitnięcia albo wkrótce potem napełniają się wodą. Dolewanie od czasu do czasu jeszcze jest lepsze, a przesadzić w tem nie można, bo nic nie zaszkodzi Jeżeli zamiast wody, użyjemy bardzo rozcieńczonego guana albo gnojówki, to wpływ na sile i obfite wydanie owocu tem będzie pewniejsze.

Wykonanie tego prostego środka przystępne jest dla każdego, mało bowiem trudu i kosztów wymaga, a powtarzane być winno corocznie, gdyż zawsze wielką korzyść przynosi.

Wiadomo, iż wielu ludzi w południowych Niemczech małą tylko liczbę drzew owocowych posiada, a prawie corocznie dobry zbiór owoców otrzymują. Tryb ich obchodzenia się z drzewami owocowemi utrzymywano często w tajemnicy: polega on wszelako jedynie na powyżej podanym sposobie.

Najtańsza omasta z kości.

Nie ma ci u nas wprawdzie takiej jeszcze biedy jak za granicą, szczególnie w niemieckich i francuzkich krajach, są jednak i u nas okolice gdzie bardzo trudno o omastę, a strawa i najlepsza nieokraszona nie łatwo w gardło lezie, dla tego przepiszę wam tu dobrzy ludzie com wyczytał w gazetach francuzkich, jak to sobie tam ludzie w łatwy sposób radzą aby mieć tanią bardzo, a dobrą okrasę. Tak w południowej Francyi robią tanią a pożywną okrasę z kości, a w sposób następujący: Jakiebądź kości: wołowe, skopowe lub inne tłuką obuchem na drobne części, i kładą je w naczynie polewane tak, żeby dwie części naczynia zajęły, resztę zaś napełniają wodą. Naczynie to zamykają potem bardzo szczelnie glinianą pokrywą i wstawiają zaraz po chlebie w piec, który też zatykają. Po czterech godzinach wyjmują z pieca naczynie, odlewają ów tłusty klejowaty odwar w inne naczynie, a kości nalewają znów czystą wodą i znowu po chlebie stawiają w piec. Po sześciu godzinach odlewa się znów odwar do płynu pierwszego, a kości się po raz trzeci znowu czystą wodą nalewają, ale teraz w piecu aż ośm godzin stać powinny i znowu się ten tłuszcz z dwoma pierwszemi miesza. W ten sposób otrzymuje się na przykład z 12 funtów kości 40 funtów dobrej i zdrowej okrasy, która do kaszy, jarzyny, ziemniaków lub innej potrawy prawie przez rok cały dla jednego człowieka może służyć.

ZDANIE MORALNE.

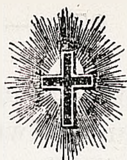
Nie pogardzaj ubogimi, gdy jesteś bogaty
Bo nie czynią cię wielkiemi majątek i szaty,
Nie wydzieraj co cudzego, szanuj wszystkie stany
Poznaj w człeku brata swego, a będziesz kochany.

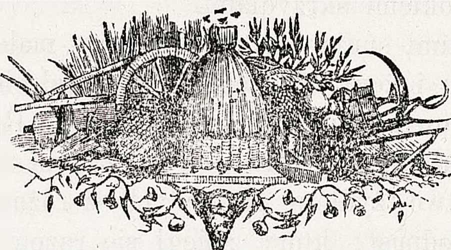
Pięknem cnót wszystkich zakończeniem, niezwyciężonego umysłu siostrą, córką męztwa, matką szczęścia jest cierpliwość.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 12.

21. Kwietnia 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dzwony krośnieńskie.

W mieście Krośnie huk ludu zbiegło się na odpust z rozmaitych stron. Włościanie z równin w białych sukmanach, w okrągłych kapeluszach białą wstążką przepasanych, a ozdobionych pawiemi piórkami i bukietami z robionych kwiatów. Włościanki odziane bieluchnemi jak śnieg rantuchami, w krasych chustkach na głowie, — dalej górale w bronzowych guńkach, obcisłych spodniach i snurowych kierpcach. Szerokie ich pasy nabijane gęsto mosiężnemi guzikami, na głowach kapelusiki okrągłe, sznurkiem zamorskich muszelek opasane, w ręku siekierki stalowe. Góralki w niebieskich, różowych i czerwonych spodnicach, w żółtych butach na wysokich korkach, w gorsetach kwiecistych i czerwonych chustkach, a w białe otulone rantuchy. To znów mieszczanie z Jasła, Krosna, Frysztaku, z Gorlic nawet, w długich kapotach i wysokich czapkach. Górale rusini w szarych guniach, Węgrzy sąsiedzi w obcisłych spodniach i kaftanach gęsto wyszywanych sznurami, w węgierkach taśmami wzorowanych i Słowacy w szerokich

szarawarach, w koszulach jak śnieg białych czerwonemi i czarnemi deseniami ze sznurków wyszytych, w kapeluszach z ogromnie szerokiemi skrzydłami.

Pomiędzy nimi snują się urzędnicy w malutkich czapeczkach urzędowych i żony ich postrojone, i szlachta z okolicy i rządzcy, ekonomowie, xięża polscy i ruscy, Reformaci z Zakłuszyna, Bernardyni z Tarnowa, Kapucyni z Rzeszowa, a obok tego mnóstwo żydków przybyłych z różnych miasteczek z towarami na odpust, który zbiegł się razem z jarmarkiem. Słowem miasteczko zapełnia lud tak różnorodnie strojny, że się zdaje jakoby to było zgromadzenie narodów pod wieżą babilońską.

Na rynku ogromnym setkami stoją kramy, czego tylko dusza zapragnie wszystkiego tam dostać można. Tu sprzedają różne perkaliki i płócienka, sukna i płótna, chustki kraciaste wełniane i czerwone tureckie w żółte palmy. Tam wstążki, korale i paciorki wszelkiego koloru wiszą w pęczkach, koronki i różańce, kwiatki robione, pawie piórka, krzyżyki, medaliki, pierścionki i piszczałki, drumle, nożyki, skrzypce i czapeczki dla dzieci malutkich i czapki wełniane. Po drugiej stronie żydzi czapnicy rozłożyli swój towar na półkach różnej formy i różnego koloru, rogate i okrągłe, chłopskie, wojskowe, pańskie, z daszkami i bez daszków. Dalej sprzedają kożuchy polskie i węgierskie. Obok kramy z piernikami i cukierkami, a przy nich gotują wieprzowinę, smażą kiszki i kiełbasy, aż dusi zapach tłustości. Tu szynkują kawę z mlekiem, tam wiejscy piekarze sprzedaję kukiełki i kołacze z serem. Owdzie zasiedli kramarze Niemcy i na sznurach rozwiesili mnóstwo obrazów świętych, na płótnie i papierze jaskrawo malowanych. Szewcy z butami i trzewikami. Górale z sprzętami i naczyniem drewnianem. Węgrzy z bryndzą, śliwkami i powidłami. Jednem słowem niebrak niczego i byle człek miał pieniądze, może nakupić wszystkiego do woli.

A przy propinacyi miejskiej tłok i ścisk jak pod kościołem. Mój Boże cisną się ludziska do przeklętej gorzałki bardziej niż na odpust. Wewnątrz muzyka przegrywa i słychać krzyki pijaków i śpiewy dolatują przez okna a chociaż dopiero

dziesiąta przed południem, już nie jeden spił się i jak bydle leży bez duszy. Tak to ta przeklęta gorzałka, pomimo że na nią zewsząd wymyślają, pomiędzy ludźmi dokazuje.

A na środku rynku pod austeryą, stała duża gromada ludzi z nizin przybyłych i rozglądali się po wszystkich stronach gawędząc wesoło.

W tem nadszedł xiądz reformat, a pochwaliwszy Pana Boga zapytał sędziwego sołtysa:

— Powiedźcież moi mili ludzie, czyście z daleka przyszli.

— O z daleka, odrzekł sołtys, aż z Niewodnej.

— A pocóżeście tutaj przyszli?

— Po cóżby, proszę jegomości, tylko na odpust.

— Hm, na odpust, odrzekł xiądz, prawda, ale jakoś tego zupełnie nie znać po waszych twarzach, bo zamiast stać pod kościołem i czekać rychło wyjdzie suma, tłoczycie się przed karczmą. I oto kilku pijanych przewraca oczyma, jak gdyby zły duch ich opętał.

Zawstydzili się trzeźwi, sołtys chciał coś powiedzieć na obronę gromady, ale mu słowa zamarły na ustach. Więc zamilkł a tylko westchnął, a xiądz prawił dalej:

— Dziwnie wy moi ludzie pojmujecie odpust, porzucacie wieś swoją na kilka a czasem i kilkanaście dni i idziecie z krzyżami i świętościami daleko, a przyszedłszy na miejsce zamiast w pokorze czynić pokutę, puszczacie się na pijaństwo i zbytki, i jeszcze zamiast łaski, ściągacie na siebie gniew Boży. Odpusty są nadawane przez Ojca świętego aby ludziom dać sposobność czynienia pokuty i zyskania odpuszczenia grzechow, ale kiedy kto idzie po to tylko na odpust, żeby się upić i nabroić złego, a drugich gorszyć, to stokroć lepiej żeby siedział w domu i pracował na kawałek chleba. Włóczęga po odpustach bez prawdziwej intencyi, i zanadto częste odwidzanie miejsc świętych dla zmarnowania czasu i grosza, pewnie nie wyjdzie na pożytek duszy, lecz na jej zatratę.

— Dobrze to jest, proszę jegomości, odrzekł sołtys, ale jakże nie iść na odpust, jeżeli się gdzie w okolicy odbywa. Praca potrzebna dla ciała, ale modlitwa potrzebna dla duszy, jako codzienna strawa.

*

— Prawda to jest, rzecze zakonnik, ale nie rozumiecież źle moich słów. Nie mówię ja przeciw odpustom, bo jakżebym śmiał mówić nosząc tą szatę kapłańską, mówię tylko przeciwko zbytecznym włóczęgom po odpustach. Z tysiąca ludzi idących na miejsce święte, śmiało powiedzieć można, że stu ledwie ma prawdziwą intencyę, a reszta po to tylko idzie, ażeby nie robić w domu i przepić pieniądze krwawo zarobione. Obejrzyjcie się po rynku, do koła widać kramy wszelkiego rodzaju, muzyka gra w szynku a z niego jak z przepaści piekielnej dzikie dolatują głosy, głuszące nawet dźwięk tych prześlicznych dzwonów krośnieńskich.

A właśnie w ową chwilę dzwoniono na sumę. Srebrzysty a prześliczny głos dzwonów, cudownym dźwiękiem napełniał powietrze.

— Na kolana bracia moi, zawołał zakonnik, ukorzcie swe głowy przed Panem Zastępów i proście go o zlitowanie i odpuszczenie nam win i grzechów naszych.

Więc wszyscy na kolana upadli i powtarzali za kapłanem słowa modlitwy, a serca ich skruszone napełniła błogość i spokój święty.

Po skończonej modlitwie odezwał się sołtys do zakonnika w te słowa:

— Nie wiem co to jest, proszę xiędza dobrodzieja, że ile razy słyszę te dzwony — a słyszałem je z piętnaście razy — to coś dziwnego ze mną się dzieje: tak wszystko drzy we mnie jakobym miał ujrzeć jakiego świętego. Głos tych dzwonów tak śliczny, jak gdyby święci aniołowie śpiewali w niebie; muszą to być jakieś cudowne dzwony.

— Oj pewnie, że cudowne. Czy to nie słyszeliście ich historyi?

— Nie słyszałem dobrodzieju, a radzibyśmy ją usłyszeć, bo musi być bardzo piękna. Gdyby była łaska jegomości opowiedzieć ją gromadzie, to byśmy byli bardzo radzi usłyszeć.

— Zgoda bracia moi, ale dopiero po nabożeństwie, bo dzisiaj mam mieć kazanie, a właśnie przedzwoniono na sumę.

Po nabożeństwie gromada z Niewodnej, zebrała się na rynku pod ratuszem, kędy podług obietnicy xiądz Dydak, re-

format Zakłuczyński miał przybyć, aby opowiedzieć ludziom o krośnieńskich dzwonach. Jakoż w pół godziny potem zjawił się zakonnik i tak opowiadać począł:

— Lat temu już bardzo wiele, za panowania polskich królów, jak Krosno było już dużem miastem nawet większem jak dzisiaj, bo trzeba wam wiedzieć moi ludzie, że wówczas wiele miast naszych podgórskich miało się bardzo dobrze z powodu bardzo rozszerzonego handlu z Węgrami. Ot i Biecz na przykład co dziś jest nędzną mieściną, był miastem wielkiem, z pięknemi kościołami, tak że go drugim Krakowem nazywano.

Podówczas żył w Krośnie zamożny mieszczanin, prowadzący bardzo wiele wina z Węgier do Polski. Miał on się bardzo dobrze, bo na tym handlu duże zrobił pieniądze.

Nie miał on dzieci, ani blizkich krewnych, więc też majątku swego używał na wspieranie ubogich i jak tylko kto był w potrzebie, skoro udał się tylko do starego Mateusza, z pewnością hojnie uzyskiwał wsparcie.

Nie było jeszcze w ten czas w Krośnie tej wspaniałej fary, w której się dzisiejsze nabożeństwo odprawia; stał wprawdzie kościół parafialny, ale daleko mniejszy, i już upadkiem grożący, a mieszczanie przemyśliwali nad tem jakby znaleźć fundusz na wystawienie nowego kościoła.

Mateusz właśnie powrócił z winem z Węgier, kilkanaście bryk zajechało przed bramę, a parobcy spuszczali beczki do piwnicy. Stary dozorował roboty a niekiedy sam uchwycił za sznur, jeżeli beczkę za nadto prędko po wschodach spuszczano.

— Jegomość, zawołał nagle starszy parobek, co to może być w tej beczce, co tak okrutnie ciężka, że ani z wozu dźwignąć jej nie można?

— Cóżby było, tylko wino, odrzekł Mateusz, znać nie chce wam się już brać do roboty, skoro narzekacie na ciężar.

— Gdzieżbyśmy się znów lenili, toć przecież człowiek nie pierwszy raz dzisiaj przy robocie, ale niechaj jegomość sam sprobuje.

Mateusz poszedł ku wozowi i ujął silnemi rękami beczkę od jednego dna, ale jej nawet poruszyć nie mógł.

— Czy czary, czy co, zawołał zdziwiony Mateusz, a toż

ona najmniej z dwadzieścia centnarów waży. Hej! weźcie się wszyscy, toż jej przecie damy radę.

Z niezmiernym mozołem spuszczono beczkę na ziemię, a Mateusz rzekł:

— Podajcie mi siekierę, odbijemy szpunt, bo mi się widzi że się Węgier omylił i zamiast wina nakładł w beczkę ołowiu.

Skoro odbito szpunt, Mateusz ujrzał w beczce dukaty. W jednej chwili zabił szpunt na nowo, przewrócili beczkę i odbito dno. Cała była napełniona dukatami.

Natenczas stanął jak skamieniały, dziw nad dziwy, złoto zamiast wina.

Stary Mateusz pomyślał trochę, potem rzekł:

— Widno że się Węgier omylił, trzeba mu własność jego powrócić.

— A to na co, zawołał jeden ze starszych krewniaków, mógł Węgier lepiej patrzeć co wam sprzedawał. „Kto nie dopatrzy okiem, dołoży workiem.“ Co dał Bóg, to bierzcie.

— Wstydź się Józefie grzeszyć niepoczciwym językiem, rzekł stary Mateusz, jeszcze się nie pokazało, żebym kogo na grosz ukrzywdził. Cudza własność dla każdego powinna być świętą i nietykalną. Czyś to zapomniał o siódmem przykazaniu Boskiem „nie kradnij.“

Józef spuścił głowę a stary Mateusz natychmiast ową beczkę kazał włożyć na wóz i wziąwszy do straży dwóch najwierniejszych parobków, pojechał z powrotem na Węgry.

W trzy niedziele potem ujrzano Mateusza z tą samą beczką dukatów wracającego do Krosna Obok na wozie siedział Węgier, tęgi pięćdziesięcioletni mężczyzna.

I stanęli oba przed rajcami grodu Krośnieńskiego najwyższymi urzędnikami miasta Krosna, a Mateusz tak mówił:

— Sławetni rajcowie! Od tego tu stojącego kupca kupiłem na Węgrzech sześćdziesiąt beczek wina, pomiędzy niemi znajdowała się beczka napełniona dukatami. Pieniądze te snać do niego należą, ale on się wypiera i do nich przyznać nie chce. Otóż dopraszam się aby go sławetny gród zmusił do przyjęcia napowrót beczki z pieniądzmi, bom ja wino kupował.

A Węgier mówił: Sławetny grodzie, ja sprzedałem wino,

ale nie złoto, więc go nie przyjmę na powrót, i słuszna jest rzecz, aby on wziął pieniądze.

Tedy rajcowie pochwalili cnotę obydwóch, ale się bardzo nad nią nie dziwowali, boć to w owych czasach była u nas rzecz bardzo zwyczajna, a ponieważ dojść nie można było, jakim cudem przemieniła się beczka wina w beczkę złota, a winiarz w żaden sposób złota przyjąć nie chciał, osądzili aby Mateusz złoto zabrał.

Mateusz zaś skłoniwszy się rzekł:

— Sławetni rajcowie, złota cudzego nie przyjmę, ale kiedy już pan Bóg tak dał, niechże ono służy na sławę Jego przenajświętszą. Za te pieniądze wymurujemy z kupcem węgierskim kościół w Krośnie.

Więc wystawiono ten wspaniały kościół który bracia moi oglądacie, sprawiono wszystkie porządki, ale się i tak dużo jeszcze pieniędzy zostało. Naradziwszy się tedy coby z niemi uczynić, zakupili za resztę pół srebra, pół spiżu i dali ulać te dzwony, które takim prześlicznym głosem do dziś dnia wzywają wiernych na nabożeństwo, a są wiecznym świadkiem poczciwości i cnoty dawnych mieszczan polskich.

Powiedzcież mi moi kochani ludzie, ażali dziś jest taka poczciwość na świecie? czy przy dzisiejszem zepsuciu znaleźliby się ludzie niechciwi na cudzy grosz i łatwo zrzekający się dla czystości sumienia ogromnej fortuny. Dzisiaj jest świat zepsuty, a ludzie dla grosza gotowi dopuścić się największej zbrodni.

Módlmy się bracia do Pana Boga i prośmy go serdecznie, ażeby się nad nami zlitował i Duchem świętym natchnął nas ku cnocie i poczciwości, a ile razy który z was poczuje pociąg do przywłaszczenia sobie cudzej własności, albo szukania niecnego zarobku sprzedaniem własnego sumienia, niechajże mu staną w myśli „Krośnieńskie dzwony.“

Proces.

Wawrzek śrebrnych sto reńskich był winien Maćkowi,
Maciek, dwie pięćdziesiątki za łąkę Wawrzkowi,
Nie chcieli się pogodzić, dalej więc w procesa,
A żeby lepiej w sądzie poprzeć interesa,
Dał Maciej adwokatom najpiękniejszą krowę,
A Wawrzeniec z kulbaką źrebną klaczkę płową,
Lecz mimo tych kubanów trwał proces lat parę,
Za taxy Wawrzeńcowi sprzedano czamarę:
Maćkowi także buty i kaftan zabrano,
Nareszcie wyrok wydano:
„Iż, gdy dług Maćka równy, Wawrzeńca długowi,
Więc Maciej nic nie winien Panu Wawrzeńcowi“
Obadwa nie przegrali, lecz więcej stracili,
Bo już przed wyrokiem bez butów chodzili,
Adwokat jeździł klaczą, piękną doił krowę,
Lecz zato przy dekrecie powiedział im mowę:
„Iż lepiej choć ze stratą przecież się pogodzić,
Niźli w procesa wchodzić!“

Powrót z jarmarku.

Kuba w bliskiem miasteczku piękne byczki kupił,
Wypił litkup podwójny więc się tęgo upił,
Zdjął kożuch, nakrył byki, bo go wódka grzała,
Legł w kałuży, bo mu się pierzyną wydała,
Tym czasem nadszedł złodziej, i korzystał z pory;
Swinkę w błocie zostawił, byki pognał w bory,
Później Kuba się zbudził, — chcąc byki gnać dalej,
Hej byciu! hej! hej! krzyczy, kijem w kożuch wali,
Aż go podziurawił, lecz ten nieruchomy.
W tem z jarmarku nadchodzi gospodarz znajomy,
„Co robisz?“ — „byki gonię“ — „A gdzież są te byki?“
Ocknął się, — darmo płacze i wyrabia krzyki,
Daremnie wszędzie byków długi czas szukano,
A Kubę odtąd w drwinkach „byciem“ nazywano.

Zmartwiony, wyśmiany, poprawił się Kuba,
Wkrótce handlem przy statku nadgrodzona zguba,
Stateczny gospodarz opływał w dostatki,
Dla przykładu tej powieści sam nauczył dziatki.

Przy źle nabytem i swoje się traci.

Gospodarzowi bydło zdychało,
Uwiązał bydło pod lasem,
Poszedł po paszę bo brakowało,
Gdy nadszedł złodziej tymczasem,
Ukradł krowinę, do dom wprowadził,
Nabył zarazę, sam siebie zdradził,
A że wszystkie razem stały,
Co do jednej wyzdychały.
„Cudzem się człowiek nigdy nie zbogaci,
Przy źle nabytem i swoje traci!“ *T. o.*

Babskie leki.

Nic gorszego na świecie jak baba co się bierze do leczenia chorych, a głupia jak sak, nie zna ani choroby, ani leku i chorego na tamten świat wyprawia. Żebyście mieli tyle złotówek, ile głupie baby zgubiły ludzi ze świata, tobyście mogli najpiękniejsze wsie zakupić w kraju.

Bo zkądże baba może wiedzieć co radzić i jak radzić, kiedy się lekowania nauczyła od takiej samej głupiej jak ona. Weźmy na ten przykład człowieka co nie umie ani czytać ani pisać, dajmy mu w rękę pióro i papier i każmy napisać list. Stanie on jak ciele i nie będzie wiedział co robić a chociażby się uwziął i począł gryzmolić po papierze, to tego nikt nie przeczyta. Tak samo też i baba, nie zna ani jednej żyłki w człowieku, nie wie w którem miejscu jest śledziona albo nerki albo inne wnętrzności, a chce leczyć i przez to też ludzi zabija.

U nas jest to mocno zabronione, ale przecież nie ma parafii, żeby nie było baby lekarki, co jak zbójca gubi ludzi ze świata. Dla przykładu opowiem wam o jednej takiej lekarce, co nie mało ludzi na tamten świat wyprawiła.

W jednej wsi zachorowała kobieta, matka pięciorga dzieci. Z początku mąż chorej zamiast iść do dworu i prosić o pomoc, albo też pójść do miasta i sprowadzić doktora, co się już całe życie uczy leczenia ludzi i zna najmniejszą żyłkę w człowieku, udał się do wiejskiej lakarki; dopiero kiedy się niewieście bardzo pogorszyło, widząc że leki zadawane przez babę nic nie pomagają, pobiegł do dworu i opowiedział dziedziczce rzecz całą. Właśnie był tam doktor z miasta, który przybył do chorego dziecięcia. Natychmiast udali się oboje do chaty Marcina. Skoro doktor obaczył Marcinowę, poznał zaraz że jest bardzo chora i że trudno będzie uratować ją od śmierci. Wedle niej uwijało się jeszcze obrzydłe babsko. Doktor przystąpił do łóżka chorej i zapytał coby ją najbardziej bolało.

— Okrutnie mię pali na wnętrzu, wyjęczała chora.

Doktor kazał położyć się Marcinowej na wznak, po czem długi czas pukał po piersiach i żywocie, przykładał ucho do pleców i piersi, kazał jej wzdychać, wreszcie rozpoznawszy dobrze męczącą ją chororobę, zapytał:

— Czy ci dawano wódkę?

Marcinowa zaczerwieniła się okrutnie, a potem rzekła:

— Ej nie, proszę pana, nijakiej wódki nie piłam.

— Nie bój się moja kobieto, rzekł doktor, wódka jest pomocną czasami, więc wiem że ją często dają po wsiach chorym, mianowicie też na boleści. Powiedz prawdę, bo mi o to tylko chodzi, żebym się dowiedział, czy ci dawali wódkę czystą, czy zaprawną, czy zimną, czy grzaną?

— Dawali mi trochę grzanej, odpowiedziała Marcinowa, zwijając się od boleści.

— Wiele też jej być mogło?

— Ha, było może półkwaterek cały.

— Czemże ta wódka była zaprawna?

— Nic nie było, jeno trochę tartego imbieru i dziewięć ziarnek pieprzu.

— Okrutna rzecz, zawołał doktor, kobiecie chorej na zapalenie kiszek dawać wódkę z pieprzem i imbierem. — A co też jadłaś?

— Cóżby ja też jadła, kiedym okrutnie chora, rzecze Marcinowa.

— Ale przecież ja wiem, żeś jadła i to pewnie wczoraj na wieczór.

— Co prawda, tom tylko małą odrobinę zjadła jajecznicy z kiełbasą, bo mi bardzo pachniała. Więc Kazimierka, ta ona kobieta co mię lekuje, usmarzyła po sześciu jajach na świeżéj sperce, w nowym garnku. Kazimierka mówiła, że koniecznie trzeba bólowi dogodzić, boby mógł się obrócić na wnętrze i pokręcić kości i powykrzywiać członki. Więc zjadłam ryneczkę i może ćwierć łokcia kiełbasy.

Wtedy doktor załamał ręce i rzekł do dziedziczki:

— Patrz pani co oni z tą kobietą uczynili. Prawdziwie cud będzie, jeśli ją od śmierci wybawię. A potem odwróciwszy się do Kazimirki z gniewem krzyknął: Niegodziwa, jak śmiałaś zabijać matkę pięciorga dzieci?

— Ej, kajbyż ja ją miała zabijać, zawołała Kazimierka, przecię nie pierwszy raz leczę niewiasty i poświadczą mi tu wszyscy na całą okolicę, żem ja nikogo nie zabiła.

— Zabiłaś ją wódką z pieprzem i kiełbasą z jajecznicą. Dam ja wam niegodziwe baby trudnić się leczeniem, a teraz ruszaj mi za drzwi i nie pokazuj się tu więcej. Poczem zajął się chorą.

Dwa tygodnie leżała Marcinowa gdyby martwa kłoda, i dopiero przy wielkich staraniach doktor wyleczył ją z tej niebezpiecznej choroby. Gdyby się był doktor spóźnił jedną godzinę, jużby było po kobiecinie.

Kazmirkową wsadzili do więzienia, a gdy się wydało w inkwizycyach, że nie jednego już wyprawiła na tamten świat swojem głupiem leczeniem, sąd skazał ją na pięć lat ciężkiego więzienia. *(Km.)*

Rady gospodarcze.

Co robić aby krowy więcej mleka dawały?

Przeszłej niedzieli byłem sobie po południu u Marcina Grzezułki, owego zacnego gospodarza na pogadance gospodarskiej, z której człek wiele może odnieść pożytku i nauki.

Owoż pomiędzy innemi rzeczami gadaliśmy sobie o naszych krowach.

— I nie wiecie wy też przypadkiem — zagadam ja do Marcina — jakiego sposobu aby krowy więcej mleka dawały, bo moje na nieszczęście jakoś bardzo mi go teraz skąpo dostarczają?

— Aj cóż wy zaś sobie myślicie mój Józefie — przemówi Marcin — żeby dobry gospodarz nie wiedział na to sposobu? Moje krowy dzięki Bogu nie skąpią mi mleka, umiem ja sobie radzić doskonale, bo czytam książki i dowiaduję się jak to inni rozsądni robią gospodarze.

— Toć udzielcie i mnie przecie — powiem do Marcina — jakiej wiadomości o tem, a kiedyś to się wam za to serdecznie odwdzięczę.

A Marcin zaraz na to:

— I wy nauczyliście mię już nie jednego, i wam też wszystko opowiem do odrobiny, bo dobrej rady nigdy taić nie trzeba, wedle której postępując można sobie przysporzyć grosika. Jeden zaś człowiek o wszystkiem wiedzieć nie może, musi zawsze zasięgać rady drugiego.

— Będzie to dla mnie pożyteczną rzeczą — przemówię po chwili — wiedzieć o takiej dobrej nowinie.

— Otoż moiściewy — zaczął opowiadać Marcin, przeszłego jeszcze roku czytałem jednę książkę gospodarską, a z niej dowiedziałem się wiele nowych rzeczy. Stało tam także i o krowach. Pewien gospodarz miał kilkoro krów, a z tych niektóre daleko więcej jak inne dawały mleka, chociaż wszystkie jednakowo były pielęgnowane.

Zachodził on w głowę coby to znaczyć miało, aż naresz-

cie dowiedział się o całej tajemnicy. Parobek, który wydajał owe krowy, miał szczególny sposób dojenia, co w największym trzymał sekrecie.

Zaś cały ten sekret był taki: Kiedy szedł do dojenia, obwijał sobie palce miękką, wilgotną skórą albo niekiedy płótnem i tak łagodnie pociągając naciskał wymiona. Krowa zaraz po odsadzeniu cielęcia nie mogła rozpoznać czy ją ciele ssie, boć to było zręczne udanie. Takim sposobem oszukiwane krowy więcej dawały mleka aniżeli te, które dziewki wydajały. Myślały one, że gdy będą kościstemi palcami mocno wygniatać. wymiona, to od krów więcej wydobędą mleka, a to tymczasem zrażone krowy jak najmniej go dawały.

— Alboż ja to sam nie widziałem — rzeknę do Marcina, jak dziewki nasze gniotą niemiłosiernie wymiona krowom.

— O, to bardzo szkodliwie! — zawoła Marcin — bo przez takie ściskanie krowa często ma boleści w wymionach, które się kurczą a przez to mleko do krzty w nich wysycha.

Gospodarz kazał później szkolarzom porobić paluchy z gumy, poczem daleko więcej niż pierwej otrzymywał mleka.

— Ale któż wie czy to dla tego — powiem Marcinowi — krowy moje mniej dają mleka, że je dziewki doją?

— Są czasem i inne przyczyny — odpowie Marcin — gdy krowy mleko utracą. Ale i na to jest sposób. Lepiej go wiedzieć i używać jak sprzedać krowę rzeźnikowi. Robi się kataplazm z gliny i skrapia się go octem, potem tak skropionym kataplazmem okłada się wymiona krowie. Po jednej nocy już zaraz można widzieć skutek z tego sposobu leczenia, chociaż czasem i przez kilka nocy potrzeba robić takie obkładanie.

— Bóg by dał! odezwie się zaraz — żeby wasza rada mój Marcinie wyszła mi na pożytek, wtenczas to wszystkim ludziom opowiem o tem, a nagrodą dla was będzie gdy się niejeden za duszę waszą pomodli.

A że krówki moje przyszły do siebie, doją się kapitalnie więc też i wam moi ludzie donoszę o tym sposobie, który od Marcina słyszałem. Bóg mu zapłać za niego. *J.*

Przestawienie ula i pomnożenie pszczół.

Słaby rój można wzmocnić postawieniem go na miejscu ula gromadnego, który się nawzajem przeniesie na miejsce ula słabego. Ale robiąc to, trzymać się następujących przepisów:

1. Z ulów przestawiać się mających nie powinien być żaden bez matek, ani chorowity, bo wtedy na nicby się nie zdało.

2. Przystępować do przestawienia wtedy, gdy jest obfite miodobranie.

3. Dobierać do przestawienia ule podobne sobie wielkością, kształtem, kolorem i które niezbyt blisko siebie stoją.

4. Przestawiać ule po południu, gdy większa część pszczół jest w polu na robocie.

5. Chcąc nie dopuścić, aby jeden ul dwa razy się roił, trzeba go przestawić z innym ulem, w którym rój jest mały; wtedy znaczna część pszczół z ula gromadnego przejdzie do małego a u pierwszego ustanie chęć do rojenia. (*P. d.*)

RÓŻNOŚCI.

Mądra odpowiedź chłopa. „Czas i pieniądze wydane na wychowanie dzieci, zawsze są dobrze użyte-“

Tak się da rozumieć odpowiedź pewnego uczciwego wieśniaka, który zapytany jaki robi użytek z zapracowanych przez siebie pieniędzy, odpowiedział:

— „Rozdzielam je na trzy części Pierwszą część obracam na zapłacenie mych długów, drugiej używam na zaspokojenie potrzeb żony i moich własnych, a trzecią oddaję na procent.“

— Co chcecie przez to odpowiedzieć, zapytano go.

— „To rzecz najprostsza: pierwsza część przeznaczona na utrzymanie mych rodziców, to jest część obrócona na zapłacenie mych długów. Drugą używam na utrzymanie, a trzeciej części używam na wychowanie mych dzieci, i to są pieniądze dane na dobry procent.“

Głód. W wielu miejscach w Węgrzech nie przestaje panować pomimo wszelkich zabiegów komitetu dobroczynności najokropniejsza nędza, z powodu zeszłorocznej posuchy i nieurodzaju. Ze Szolnoka (w komitacie Siedmiogrodzkim) donoszą że ludzie padają tam z głodu po dro-

gach. W dniu 21 b. m. umarło 5 osób okropną śmiercią głodową. Klasztor i zamożniejsi mieszkańcy czynią co tylko mogą, aby biednym dać choć najnędzniejszy posiłek, lecz ogrom tamecznej nędzy przechodzi ich usiłowania. Dzienniki węgierskie opowiadają rozrzewniający przykład miłosierdzia. W Nagylak rozdzielono niedawno pomiędzy biednych zapomogę, nadesłaną przez komitet dobroczynności, między któremi znajdowała się biedna wdowa. Jeden z członków komitetu zapytał, czy dzieci jej chodzą do szkoły:

„Chodzą panie i uczą się pilnie, gdyż inaczej już dawno byłyby z głodu pomarły, bo ja im nie mam zkąd dać chleba“ odpowiedziała biedna.

Odpowiedź ta zdziwiła członków komitetu, którzy udali się do nauczycieli o wyjaśnienie, jakim to sposobem szkoła zgłodniałych nasyca, i pokazało się, że uczniowie między sobą, nieszukając żadnej chluby, żywili tajemnie dwunastu najbiedniejszych współtowarzyszy.

Dobra żona. Zacna jedna i rozsądna niewiasta, na zapytanie swej przyjaciółki, jakim sposobem utrzymuje stale miłość męża ku sobie, tak odpowiedziała: „sposób to bardzo prosty: przestrzegam jak najściślej obowiązków do mnie należących; uprzedzam wszystkie jego życzenia; wykonywam jego wolę, nie staram się nigdy poznać spraw, których nie ma ochoty mi powierzyć; słowem robie to co się jemu podoba, a znoszę cierpliwie wszystko, co mi się nie podoba.“

Jako niektórzy ludzie są silni. Już to temu pewnie trzydzieści lat, bom był jeszcze chłopcem u rodziców co pod Kaliszem mieszkali Zdarzyło się tedy, że przybyło jakichsiś trzech komedyantów i nuże dziwne rzeczy swej mocy pokazywać. To biorą centnary i jak pupką jaką nad głową wywijają, to szyny żelaza zginają, to jeden trzyma w zębach drąg a drugi na niego wchodzi a on jeszcze sobie z tem wszystkiem podryga i jakie tam jeno sz uki, oni to wszystko pokazywali a ludzie się temu wydziwić nie mogli. Aż tu w dzienniku, co wtenczas w Kaliszu wychodził, zapozywają oni mocarze, by się kto z jednym z nich spróbował a jeśliby go zmógł, wiele pieniędzy dać obiecują. Aliści nie długo na swego czekali. Wnet stało znowu w tymże dzienniku, jako jeden młynarz, co też mieszkał koło Kalisza, daje znać, jako nie jeno jednego, ale wszystkich trzech onych mocarzów bierze na siebie i wyznaczył czas, w którym się miał z nimi potykać Zebrało się na oznaczony czas wielu widzów i ja też poszedłem z mym ojcem, by się temu potykaniu przypatrzyć. Pamiętam jak dziś, gdy się nam przedstawił on młynarz nizkiego wzrostu, ale barczysty w krakowskim ubiorze. Aż tu wyskakuje onych trzech komedyantów i jeden z nich mówi: „Moi panowie, jak powiem raz, dwa, trzy, to ten pan musi być powalonym.“ I wnet młynarza obskoczą, jeden go chwyta z przodu za kołnierz, drugi tak samo z tyłu a trzeci z boku

koło biodra. Myślimy sobie, już tam po młynarzu: a jeden komenderuje raz, dwa i trzy — aż tu stoi młynarz, ale nie stoją oni komedyanci. Bo jeden leży przy nim i ma nogę złamaną, drugi w piecu dziurę wybił i sam bez duszy został, a trzeci między gości przyleciał i ledwo „her je" zabełkotał. A młynarz wąsa pokręcił i nas szczerze pożegnał.

Pisanie gospodarzy Bachorskich do pisarza „Dzwonka."

Kochany nasz panie pisarzu!

Już wyczytałem z waszego Dzonka bardzo wiele pięknych przykładów o postępowaniu wieśniaków z różnych okolic kraju naszego, otóż serdecznie mnie to boli, że w naszej wsi która leży na samym trakcie węgierskim nie daleko Dynowa, same tylko swary i kłótnie między wieśniakami, a dom Boży jest całkiem od nich opuszczony i tylko pobożne państwo o niego dbają. Przed czteroma laty mówił owczesny wójt że ma być postawiony nowy kościół murowany w Bachórzu, ale dotąd nic nie zrobiono bo w gminie niezgoda. Otóż prosili mnie gospodarze dobrzy, o poradę a ja was proszę panie pisarzu, abyście to moje pisanie wydrukowali w Dzwonku, bo Bachorzanie trzymają i czytają Dzwonek, może więc to pisanie moje pomoże co i zaradzi złemu. A tak oddajemy was Bogu i Najświętszej Pannie i życzymy wam zdrowia.

Kilku gospodarzy Bachorskich
2 kwietnia 1864.

Pisanie xiędza Załuskiego proboszcza z Brzozowa do pisarza „Dzwonka."

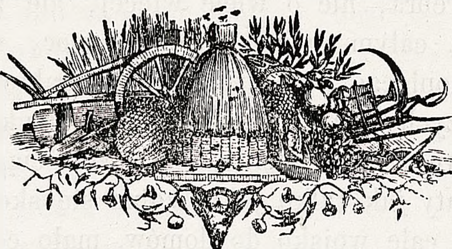
Proszę umieścić w Dzwonku co następuje:

„Dnia 13. b m. pochowaliśmy zwłoki ś. p. x. Antoniego Kossaka, plebana w Grabownicy, kapłana gorliwego, którego strawila żarliwość o chwałę Bożą i dobro zbawienne owieczek swoich. Jeszcze na Matkę Boską zwiastowania, choć już mocno słaby, miał sumę i naukę od ołtarza, przeczuwając, że już po ostatni raz naucza owieczki swoje, co im też wyraził. Jeszcze silny, liczący dopiero lat 52 wieku, a kapłaństwa 26 lat, żadną namiętnością nie nadwerężony, ledwie dni kilka zalegając łóżko, pomimo pomocy lekarskiej zasnął w Panu w ową niedzielę, na którą przypada ewanielia o dobrym pasterzu, co kładzie duszę za owieczki swoje. Parafianie na wiadomość o zgonie kochanego swego pasterza, zalali się łzami, kilkudziesięciu kapłanów, na których czele staruszek kapłan, wój niebożczyka x. Ołko, pleban z Świlczy, przybyło na pogrzeb, równie też zacna sąsiednia szlachta nasza i szanowny kolator pobożnie uczcili zasługi zmarłego, tak że i na barkach swoich równie z kapłanami na przemian i parafianami ponieśli zwłoki szanowne do grobu. Oddali też żałobni kaznodzieje w trzech przemowach słuszną podziękę wszystkim obecnym, a osobliwie pobożności obecnych obywateli i kolatora Wgo Ostaszewskiego. Przeto z łaski Boga żałoba złączyła się z radością religijną i szczera ochota w nas kapłanach obecnych powstała, być gorliwymi w służbie Bożej, bo i tu pamięć dobra prac szczerych pozostaje u ludzi wdzięcznych. — Pokój Boży duszy twojej, kochany xięże Antoni.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 13.
1. Maja 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Polacy w Danii.

Wszak wiecie moiściewy kochani, że teraz nie tylko w Polsce toczy się wojna, ale także i daleko za granicą za niemieckim krajem, w Danii leje się krew, a siła wojska z jednej strony niemieckiego, a z drugiej duńskiego bije się ze sobą. Wiecie o tem bo i z naszych galicyjskich pułków wiele narodu tam się bije z rozkazu cesarskiego. Jak się tam ta wojna skończy Bogu jednemu wiadomo, a jeżeli wam o tem tutaj przypominamy to tylko dla tego aby wam powiedzieć, że nie pierwszy to raz biją się Polacy w tym zamorskim kraju co się Danią nazywa. Za dawnych czasów przed dwustu laty za panowania króla polskiego Jana Kazimierza bili się tam nasi pod dowództwem wielkiego Stefana Czarnieckiego, o którym to dawniej już nieraz pisaliśmy wam w Dzwonku, ale bili się oni wtenczas broniąc Duńczyków przeciw Szwedowi. Dawnemi czasami inaczej ludzie prowadzili wojny jak dzisiaj. Znali już wprawdzie działa i karabiny ale te nie były wcale tak niebezpieczne jak dzisiejsze; twierdz takich straszliwych nie umieli

jeszcze budować, a co najważniejsza mieli daleko mniej wojsk bo mniej było pieniędzy. Dziś chociaż tam pieniędzy właściwych, złota i srebra, nie o wiele więcej, ale za to pieniędzy papierowych na całym świecie większa moc, mają więc mocarze z czego opłacać żołd tysiącom jenerałów, pułkowników i oficerów niższych stopni, mają z czego wykarmić i odziać całe miliony prostych żołnierzy, stojących ciągle pod bronią. Przed paręset laty jak tylko jaka wojna się skończyła, rozpuszczali królowie całe wojsko do domów, mało co bardzo zostawiając w twierdzach i na straży przy sobie, a jak przyszło do nowej wojny, to królowie na nowo zwoływali wojsko z domów, obdarzając ich dla zachęty różnemi dobrodziejstwami czyli przywilejami szlacheckiemi, bo tymi żołnierzami stającymi na każde zawołanie królewskie pod chorągwie, to właśnie była szlachta. Było tak wszędzie, było tak i u nas w Polsce. Przez długie wieki pilnował włościanin tylko roli a szlachta sama znosiła krwawe trudy i znoje w ciągłych wojnach.

Wojny te wszystkie są opisane w starych xiążkach, a tę wojnę polską w Danii najpiękniej opisał pan Pasek który służył w wojsku polskiem pod sławnym Stefanem Czarnieckim, trzymając się zawsze tego wielkiego wodza, zażywając z nim i biedy i rozkoszy. Pan Pasek opisał tak pięknie Danię, że przepiszemy tu w krótkości niekóre części jego historyi, głównie dla tego, że w miejscach gdzie się przed dwustu laty krew polska lała, pod Koldyngą, Fryderycyą na wyspie Alzen i dzisiaj także obficie krew polska płynie, bo biją się tam jak wiecie także polacy w wojsku cesarskiem i pruskiem. Że jednak nic nie ma gruntownie stałego na ziemi, przeto po dwustu latach, niektórzy przyjaciele Duńczyków zmienili się w nieprzyjaciół, a z nieprzyjaciół porobili się przyjaciele. W roku pańskim 1658 i 1659 Polacy, Austryacy i Prusacy bili się w obronie Duńczyków rugując Szwedów ze Szlezwigu i Jutlandyi; dziś w tych samych miejscach garstka Duńczyków broni się przeciw dziesięćkroć silniejszym austryacko pruskim wojskom. Szwed który był dawniej Duńczyków nieprzyjacielem nie pomaga wprawdzie swojemu sąsiadowi, którego dziś jest przyjacielem, ale na ochocie mu nie zbywa, i pomoc przyobie-

cuje. Owoż onego czasu za panowania króla polskiego Jana Kazimierza, Frydryk III król Duński wydał Karolowi Gustawowi, królowi szwedzkiemu wojnę, chcąc się na nim pomścić za dawniej wyrządzone Duńczykom krzywdy, i obrał ku temu najstosowniejszą chwilę, bo Szwedzi prowadzili właśnie wojnę z Polską. Duńczycy wpadli w nieobecności króla szwedzkiego do jego państwa i zajęli już wielką część kraju, gdy tym czasem Gustaw Karol wycofawszy wojska swe z Polski nie tylko że wygnał ich ze Szwecyi, ale nadto większą część Danii opanował. Król Duński udał się więc w prośby do króla Polskiego o pomoc. Jakoż tenże wysłuchał jego prośby i wysłał w sierpniu r. 1658 Stefana Czarnieckiego na czele 6000 Polaków w pomoc Duńczykom. Wojsko polskie udało się więc ze swoim dzielnym wodzem, który już przedtem niejednokrotnie przetrzepał nieprzyjaciół swej ojczyzny, w pochód przez kraje pruskie i inne niemieckie ku krajom duńskim. Wojsko cesarskie (austryackie) i brandenburskie (pruskie) posłane było także Duńczykom na pomoc. Pan Pasek, który, jak wam już wyżej powiedziałem, zawsze przez cały czas swojej wojaczki walczył pod dowództwem Czarnieckiego, pojechał tam także do Danii i oto z jego opisu tego kraiku przepiszemy co nieco, abyście się dowiedzieli jak to tam w tej Danii przed dwustu laty wyglądało. Że to jednak pan Pasek bardzo obszernie wszystko opisał, więc tylko w krótkości słowa pana Paska tutaj powtórzymy.

Oto pisze pan Pasek: kiedyśmy wychodzili z Polski, było wiele namyślań, trwożyło nie jednego że to iść za morze, iść tam gdzie noga polska nie postała. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów aby tam nie chodzić, bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mnie miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imie Boskie wziąwszy na pomoc, szedł śmiele tam gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiem i macierzyńskiem, obiecując gorąco Majestatu Boskiego błagać i upewniając mnie, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej. Poszedłem więc. Przechodząc granicę zaśpiewaliśmy nabożne pieśni, konie zaś po wszystkich pułkach, uczyniły okrutne parskanie, aż serca przy-

rastało bo to był dobry znak. Przeprawiwszy się przez rzekę Odrę weszliśmy do Prus gdzie nas wcale dobrze przyjmowano i prowianty regularnie nas dochodziły. Przebywszy ogromny kawał drogi weszliśmy do Danii. W Haderschlewen stanął nasz wojewoda Czarniecki zimować z dwoma pułkami, inne stały w innych okolicznych miasteczkach. Przez całą zimę czaty nasze ścierały się ze szwedzkiemi. Staliśmy w kraju bardzo bogatym. Zboża, bydła i owiec była wielka obfitość, wińsko złe ale miody dobre, drew tylko mało, bo tu ziemią rzniętą i wysuszoną palą, z której węgle tak dobre jak dębowe. Jeleni, sarn i zajęcy mnóstwo. Wilków nie ma, bo jest tam w Danii takie prawo, że jak wilka obaczą, powinni wszyscy wychodzić z domów, tak po miastach jakoteż i po wsiach i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go umorzą albo utopią, albo złapią, a nie obdzierając go, we skórze na wysokiej szubienicy albo na drzewie obwieszają na grubym łańcuchu i tak długo wisi póki kości staje. Nie tylko rozmnożyć ale i przenocować się wilkowi nie dadzą.

Lud w Danii nadobny: białogłowy gładkie i bardzo białe, stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki. Sposób życia ich ucieszny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą (bo tam tak białogłowa młóci cepem jak i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem, to posiędą na słomie i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często robią a po kęsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszej kropli krwi nie popsują, ale ją wytoczą w naczynie, namięszawszy w to krup, tem kiszki onego bydlęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiej misce koło głowy onegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawiają przy każdym obiedzie i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach szlacheckich tak czynią, i mnie częstowano tem do uprzykrzenia,

ażem powiedział, że się Polakom tego jest nie godzi, bo by nam psy przyjaciołmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, ale kominy szerokie, przy których krzeseł stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadawszy to się tak ogrzewają albo w dołek na środku izby węgli nasypią, rozedmą i to się tak żarzy i ciepło sprawuje.

Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtem bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze niżeli u naszych polskich kalwinistów, bo są ołtarze i obrazy po kościołach.

Zdobywszy — pisze pan Pasek dalej — pod wodzą Czarnieckiego szturmem Koldyngę, mieliśmy jeszcze wyspę Alzen na przeszkodzie, która że nam w tyle zostawała, więc nam czeladź na czatach porywano bo tam załoga była wielka. Przeszło koło niej wojsko brandenburskie ale uderzyć nie śmieli. Wojewoda tedy pojechał w trzysta koni na rozpatrzenie, a nazajutrz całemu wojsku polskiemu kazał na koń siadać, przez odnogę morską przepłynęliśmy i wyspę zdobyli Konie były już do pływania próbowane, który źle pływał to go między dwoch dobrych mieszano, niedając mu tonąć.

Zimę przebyliśmy pod szwedzką fortecą tłukąc się ustawicznie, potem poszliśmy do prowincyi Jutlandyi i pułk nasz stanął w Arkuzen. Znalazłem tu kraj bogaty: trunki dobre, osobliwie miody; ryb rozmaitych siła; a chleb to z grochu, bo tam tego wielka rodzi się obfitość. Miałem tam różne uciechy i zabawy o które w Polsce trudno, albo przypatrując się łowieniu ryb najrozmaitszych rodzai, albo pływając po morzu kiedy woda cicha, to stanąwszy w bacie spokojnie, ujrzało się rozlicznych zwierzów morskich i ryb cudownych; osobliwie też w miejscach, gdzie jest trawa na dnie z której sól robią. Tę trawę białą jak śnieg rwą osękami żelaznemi, puszczając je na dno na długim sznurze; wyciągniętą suszą, palą i z popiołów sól robią bardzo dobrą. Nie tylko trawa ale i ziemia jest tam taka, że wypłókawszy ją na misie, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny sól się zsiada.

Skoro się ociepliło oblegliśmy zajętą przez Szwedów fortecę Friderichs-Odde. Po długich bójkach Szwedzi nie czekając szturmu, na okrętach uciekli. Jak tylko dowiedział

się o tem ich król, zaraz z królem duńskim począł o pokój traktować. My też otrzymaliśmy królewskie listy, aby do domu powracać. Zostawiwszy wtedy w Danii półtora tysiąca ludzi naszych pod dowództwem Piaseczyńskiego, szliśmy nazad do Polski, a minąwszy granicę podziękowaliśmy Panu Bogu, że nam dał w dobrem zdrowiu oglądać miłą ojczyznę.“

Tyle przepisaliśmy z historyi pana Paska, a teraz jeszcze kilka słów wam powiemy o tej Danii gdzie się znowu krwawa toczy wojna.

Otóż Dania ta to kraik nie wielki, bo nie większy jak połowa naszej Galicyi, liczy ledwie dwa miliony mieszkańców, kiedy u nas w Galicyi jest ich przeszło pięć milionów. Większa połowa tych mieszkańców siedzi na półwyspie połączonym ze stałym lądem Europy tylko wązkim przesmykiem, druga połowa siedzi na wyspach które otaczają na morzu półwysep ten. Oprócz Kopenhagi, stolicy tego państwa, nie ma w Danii wielkich miast, bo też to Dania to nie handlowy ani przemysłowy, ale jak nasza Polska rolniczy kraj, a przytem i rybacki. Koło roli chodzą Duńczycy bardzo pięknie i starannie, choć tam grunta bardzo jałowe. Dobrą uprawą roli jednak robią, że mają zboża do syta i wielką moc pszenicy, żyta, jęczmienia i grochu sprzedają cudzoziemcon. Kartofli także dużo sadzą a i rzepak sieją bo go dobrze spieniężyć mogą. Prócz zboża siła koni, bydła, masła, wełny, skór i najrozmaitszych solonych albo wędzonych ryb, także tranu za granicę swego królestwa na sprzedaż wyprowadzają. Lud wiejski ma się tam dobrze bo podatki są tam nie wielkie, pijaństwem się nie bawią, ale albo w polu robią, albo płótno tkają, bo to tam prawie każdy z nich tkacz. Poddaństwo i pańszczyznę która za dawnych czasów we wszystkich krajach istniały, zniesiono w Danii wcześniej niż u nas bo jeszcze przed sześćdziesięcioma latami. Jedną jednak biedę mają, a to że lasu tam bardzo mało. Radzą więc sobie jak mogą. Belki i deski sprowadzają sobie z zagranicy, najwięcej z Norwegii, a w domach palą węglem kamiennym, albo torfem, który już pan Pasek widział i opisał. Jeżeli się gdzie lasek zdarzy to bukowy, bo to tam najochotniej rośnie. Lasów więc tam mało, ale za to wód,

piasków i rozmaitych pustek nie brak. Lud na wyspach i w północnej części półwyspu mówi językiem duńskim, który jest bardzo podobny do języka szwedzkiego. W części południowej Danii, mówi lud językiem niemieckim.

Innym razem może wam napiszemy więcej co o tej Danii i o owej wojnie polskiej w tym kraju.

Ołtarz Matki Boskiej Bolesnej.

O! nasz kościółek chociaż tak mały,
Ha! nie wiem zresztą jak tam dla kogo,
Dosyć w nim miejsca dla Bożej chwały,
Piersiom przestronno i duszom błogo.
Taki ozdobny choć nie bogaty,
Taka w nim cudna czystość do koła,
W święto go zdobią pól naszych kwiaty,
Na świece nasza wosk robi pszczoła.
W wielkim ołtarzu Chrystus na krzyżu,
Z koroną cierniową na krwawej skroni,
A w bocznych zaraz przy nim w pobliżu,
Święty Stanisław, święty Antoni.
Lecz jest tam jeden ołtarz na boku,
Przed nim w najszczerszej upadam skrusze,
I gdy się modlę z krwawą łzą w oku,
Jak kroplę rosy wnet ją osuszę.
Bo tam królowa, zorza zaranna
Co w cieniach życia promienie nieci,
Z siedmiu mieczami Najświętsza Panna,
Pełnem miłości obliczem świeci.
O! jej łzy święte na zbladłej twarzy
Gdzie ani cienia ziemskiej sromoty,
To nieprzebrany skarb dla nędzarzy,
To zdrój pociechy sercu sieroty.
Na ten ja ołtarz w wiosenne ranki
Już od lat wielu zawsze codziennie,
Pierwsze fiołki, pierwsze sasanki,
Najświętszej Pannie znoszę niezmiennie.
Na tym ołtarzu, też ku jej chwale
Dotknięta dolą sieroctwa srogą,
Złożyłam zmarłej matki korale
I krzyż po ojcu pamiatkę drogą.

Przed nim się modlę każdego święta,
I nie chcąc wadzić ze wsi nikomu,
Nie pcham się między inne dziewczęta,
Bo tutaj tylko jestem jak w domu.
A choć łza rzewna po licu ciecze
Coraz się coraz modlę goręcej,
Bo w łonie Matki najświętszej miecze
Mówią mi: „Ona cierpiała więcej.“
I łacniej znoszę co los przeznaczył,
Gdy zbawca z krzyża duch mój oświecił
Kiedy wśród męki wrogom przebaczył
I grzeszne plemię Matce polecił.
A kiedy smutna między drugiemi
Sierocym wzrokiem rzucę przed siebie,
I tak mi pusto na Bożej ziemi,
Dwie matki za mnie, modlą się w niebie. *(Km.)*

Wdzięczność sieroty.

Nie bardzo to tam dalekie czasy, bo wcale jeszcze nie starzy pamiętają ludzie, kiedy we wsi Topolińcach żył Protazy Kociołek. Byłci z niego kmieć całą gębą, miał wszystkiego po uszy, chyba mu tylko jak to mówią ptasiego brakowało mleka. Sierdził on się z tego niezmiernie, a gdyby to padło na innego, toby nie zadzierał tak bardzo nosa, ale żyłby spokojnie z każdym i dziękował Bogu, że pozwolił rodzicowi dla swego synala tyle przysporzyć dobytku. Bo i w samej rzeczy Protazy po ojcu jako jedynak otrzymał całą spuściznę — sam własną pracą ani paździorka jednego nie pomnożył w chacie a i tak nadymał się jak bąk nieprzymierzając, z czego się też niejeden śmiał w duchu i ganił zarozumiałego Kociołka.

Mając takie gospodarstwo, zamiast jąć się do pracy, aby coraz więcej przysporzyć grosza, próżnował każdy dzień boży, nie zważał, że dzieci przybywa i coraz dla nich więcej będzie potrzeba — dumny z wszystkiego palił sobie fajkę, chodził od sąsiada do sąsiada i chwalił się, że niczyjej łaski nie pragnie i jeszcze drugim potrafi udzielić pomocy.

— A za pozwoleniem mój kumie — chwycił go za słowo stary Jakób — kiedy macie na tyle, nie moglibyście ano wziąść do siebie Kostusia, syna po nieboszczyku Szczepanie Smigoście, a dziecko to spokojne, zmyślne, musi się tułać po domach, boć sierota nie ma stałego kąta.

Rozjędyczył się na to Protazy, i chcąc nie chcąc tak zagadał:

— I cóż wy myślicie że mnie nie stać iżby jedna chudzina więcej była w mojej chacie? Mam ci ja chwałać Bogu dosyć na to, i nigdy mnie nie zabraknie!

— Ej nie wiele mię to tam patrzy, ale na mój głupi rozum wolelibyście nie wołać: hop! boście jeszcze rowu nie przesadzili. Zaś koniec końcem jeśli chcecie to i zaraz mogę Kostusia zawołać i pójdzie z wami.

To bardziej dopiekło dumie Protazego, owoż całą siłą machnął ręką i zawołał:

— A to lećcie kiedyście taki gorączka, mnie wszystko jedno.

Nie żartował Jakób, wdział sukmanę i nie zadługo przyprowadził małego Kostusia.

— Aha to to ten chłopczyna! — zapytał się z szyderskim uśmiechem Protazy.

— A ten, i cóż nie szwarny? — powie Jakók.

— No dobrze, dobrze, niech idzie do mojej i powie kto go przysłał — dodał Protazy.

A Jakób poderwie i mówi:

— I jakże to będzie wyglądało? Chłopczyna nieśmiały, żona go ofuknie, rozpłacze się i pójdzie kędy go oczy poniosą.

Protazemu nie trzeba było więcej. Zezłoszczony, porwał chłopca za rękę i wyprowadził z Jakóbowej chaty.

— I cóż ty myślisz robić z tym chłopcem? wsiadła Protazowa na męża gdy z Kostusiem przybył do domu. Nie mamy my to sami dosyć dzieci i jeszcze obce sprowadzasz śmiecie?

— Trzeba to dla oka zrobić — powie Protazy — niech ludzie nie pyskują, że człek dobytku ma tyle, a nikomu nic nieda. Ja chcę przecie za dobrodusznego uchodzić...

— Nie będzie on tu długo śmierdział — przerwie żona — zkąd przyszedł tam pójdzie!

— To niechtam — odrzeknie Protazy — gdy pójdzie, powiem że próżniak, niecnota i kwita.

Od tego czasu rozpoczęła się cierniowa męka dla Kostusia śieroty. Codzień bardzo wcześnie musiał wstawać do roboty, późno wieczór kłaść się na spoczynek, bo żona Protazego koniecznie go chciała tym sposobem wykurzyć z domu. Jednakże Kostuś znosił wszystko cierpliwie, rąbał drzewo, czyścił w stajni, pasał bydełko na błoniu, i wtenczas czuł się najszczęśliwszym bo sobie mógł zanucić smutną jaką dumkę albo inną piosnkę, czasem znowu swobodnie wyrzynał sobie z drzewa figurki i różne drobiazgi.

Wierniejszego i pracowitszego od niego nie było w całej chacie Protazego, a pomimo tego Kociołkowa najbezecniejsze na niego wymyślała mowy, codzień poszturkiwała i potrącała Kostusiem, który nieraz od zmęczenia ledwie nogi wlókł za sobą, a przecież chodził on ukradkiem co wieczór za ogród do krzyża i przed nim modlił się szczerze i za każdą razą jak odchodził lżej mu było na duszy.

— Tak zawsze nie będzie — mawiał niekiedy do siebie — i mnie Bóg nie zapomni, toć nie zapomnę wywdzięczać się Protazemu.

I myślałby niejeden, że jakie grzeszne myśli roił sobie w głowie, ale potem przekonacie się jakie on to ma zamiary.

Protazowa codzień to gorszą okazywała się dla Kostusia, przeklinała go jak najchaniebniej, a jednego wieczora wypędziła go z domu. Zaś było to za to: Posłała go ze skopcem po mleko do stajni. Kostuś szedł powoli, bo w skopku pełniutko było mleka i bał się żeby się nie rozlało.

Zaperzona Protazowa wybiega z chaty i nuż złorzeczyć Kostusiowi i popychać go niemiłosiernie. Kostusiowi zamąciło się w głowie i jakoś nie chcący wypuścił z rąk skopiec i rozlał mleko.

Wtedy Protazowa wzięła kij do ręki, zaczęła okrutnie bić Kostusia i wołać w niebogłosy:

— A ty mizero świata, gałganie i dziadu, ruszaj z mojego domu, nie marnotraw mojej pracy, niech cię psy gdzie rozjedzą, ja cię więcej nie potrzebuję.

Kostuś sierota rozpłakał się żałośnie, zabrał swoją czapczynę i poszedł do starego Jakóba. Jakób uwierzył wszystkiemu, co mu Kostuś opowiedział, ponieważ już dawniej od drugich słyszał o obchodzeniu się Protazowej z Kostusiem.

— Zoztań u mnie mój chłopcze — powie Jakób — co ma kto na ciebie wymyślać, kiedy ja znam twoję uczciwość, twoje dobre serce, a jak umiałem kochać twojego nieboszczyka ojca, któremu daj Panie Boże niebo, tak i ciebie potrafię. Jakoś to będzie. I tak niedawno umarł mój kochany syn Piotruś, zastąp mi go ty w chacie, weź jego książki i chodź sobie do szkoły.

Kostuś uchwycił dobrego Jakóba za kolana i dziękował mu ze łzami w oczach za przytułek, którego nie odmówił biednemu sierocie.

Kostuś odtąd chodził pilnie do szkoły i niebawem ukończył wszystkie szkoły w owej szkółce z wielkim pożytkiem. Xiądz proboszcz i pan dziedzic cieszyli się bardzo z pilności Kostusia i dali mu w złoto oprawną xiążeczkę, aby ją czytał i nie zapominał nigdy o nauce. Jak tylko przyszła niedziela, Kostuś otworzył xiążeczkę, Jakób z domownikami obsiedli go w koło i słuchali co Kostuś o dawnych mężach polskich czytał, jak oni kochali swoją ojczyznę i jak jej służyli.

— I jabym z duszy chciał służyć krajowi — mówił Kostuś do Jakóba — ale do tego potrzebna jest nauka. O! jakżebym ja się uczył — wzdychał sobie i poglądał na Jakóba.

Jakóbowi zaszkliły się łzy w oczach, uchwycił Kostusia za szyję i rzecze:

— To głos święty mówi z ciebie, chłopcze! Gdyby mię było stać, posłałbym cię do szkoły, wszelako jakkolwiekbądź bodaj na pół roku zapłacę ci wikt i stancyę w mieście, kupię xiążki i papiery — potem może cię Bóg jako opatrzy, albo i ja jak lepsze będą czasy, a człek na to zapracuje.

Podziękował Kostuś życzliwemu Jakóbowi i nie minęło dwa tygodnie, Kostuś chodził już w mieście do szkoły.

W jedną niedzielę, a było to jakoś przy końcu półroku od czasu jego pobytu w mieście, modlił się Kostuś pod chórem w kościele i tak się zatopił w modlitwie, że wszyscy wyszli już z kościoła, a on o tem nie wiedział. Wtem przychodzi ku niemu braciszek klasztorny, złapał go za kołnierz i powiada:

— Toś to ty ptaszku zakradł się tutaj aby co smyknąć z kościoła?

Chłopiec zaczerwienił się po uszy, braciszek dla większego przestrachu bierze go za rękę i prowadzi niby do przełożonego klasztoru.

— Ale przez miłość Boską — prosił się Kostuś na kurytarzu właśnie przed celą przełożonego — ja nie miałem złej myśli, tylko modląc się zostałem sam jeden.

Wyszedł przełożony, spojrzał na braciszka i pyta:

— Co to za chłopiec?

Na to braciszek zarumienił się, spuścił oczy do ziemi i ani słowa nie powiedział.

— Chodź ze mną! — rzekł przełożony do Kostusia, który pełen obawy wszedł za nim do celi.

— Po co cię to przyprowadził braciszek? — zapytał po chwili przełożony.

Na to powie Kostuś nieśmiało:

— Byłem teraz w kościele, modliłem się na książeczce i tak jakoś byłem uniesiony podczas modlitwy, żem ani nie wiedział jak ludzie powychodzili po nabożeństwie. Przyszedł do mnie braciszek i myśląc żem ja się zaczaił ukraść co w kościele, chciał mię przyprowadzić do xiędza jegomości. Ja zaś choć jestem sierotą nie zrobiłbym tego nigdy na świecie.

— A zkądeś ty chłopcze? — wtrącił znowu zakonnik.

— Ja jestem z Topoliniec — rzeknie Kostuś — mój ojciec nazywali się Szczepan Śmigost i byli ubogim wyrobnikiem.

— Szczepan Śmigost! tyś syn jego!! — wykrzyknął zadziwiony xiądz jegomość — o dla Boga tać jestem brat jego i nic o nim lat kilka nie wiedziałem. Czy żyje jeszcze?

— Nie żyje już xięże dobrodzieju! — odpowiedział Kostuś.

— A któż ciebie utrzymuje? — zapytał teraz przełożony.

A Kostuś całując go w rękę tak powie:

— Z początku byłem u Protazego Kociołka, ale tam nie mógłem wytrzymać, wziął mię potem do siebie stary Jakób, dawał mię na wsi do szkoły i teraz zapłacił mi tu w mieście na pół roku wikt i stancyę, która mi się już za tydzień skończy, potem nie wiem co mi przyjdzie począć?...

I otarł sobie chusteczką zapłakane oczy.

— Bóg cię tu do mnie sprowadził — odparł xiądz — ja ci wyrobię mieszkanie i jedzenie w klasztorze i będziesz spokojnie mógł chodzić na naukę.

Nie umiem opisać tej radości jaka przejęła małego sierotę. Zapłakany całował xiędza a swojego stryja, po rękach i nogach aż mu tenże kazał wstać i iść do domu.

Za tydzień był już Kostuś w klasztorze. Mając tam wielki spokój, uczył się z większą jeszcze ochotą, czytywał różne xiążki i tak mu spiesznie upływał miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Niekiedy we wakacye, to jest wtenczas kiedy po ukończeniu roku szkolnego uczniowie dwa miesiące mają wypoczynku, pojechał na wieś dla odetchnięcia świeżem powietrzem, dla przypatrzenia się tym zielonym błoniom, na których pasał bydełko, spiewał piosenki i nie jednę gorzką ronił łezkę. Zaś najwięcej dla tego jeździł on na wieś, aby odwidzić staruszka Jakóba i jego córkę Halkę, do której miał wielką miłość. Dziewczyna to była ładna o niebieskich oczkach i jasnych włosach, a delikatna jak rzadko która miejska. Kostuś przywoził jej z miasta podarunki, bo i ona pamiętała o nim, gdy się z nią bawił w ojcowskiej chacie. Czytywała xiążki, których jej Kostuś dostarczał, umiała wszelakie roboty, a jak ci wyszyła włóczką Kostusiowi na imieniny czapkę, to mu omało serce nie pękło z radości.

Miłość pomiędzy Halką i Kostusiem trwała ciągle, bo i w późniejszych czasach nie ostygła. Ukończywszy przy pomocy swojego stryja xiędza wszystkie szkoły, został doktorem i pojechał do miasta na mieszkanie.

Kiedy przyjechał do Topoliniec ubrany po pańsku, stary Jakób nie mógł go poznać, tak się odmienił niezmiernie. Wszyscy ludzie nie mogli się nadziwować, że z Kostusia sie-

roty mógł się zrobić taki pan znamienity, a to ich bardziej zadziwiało, iż Kostuś nie gardzi Jakóbową strzechą.

Halka wyszła do ogrodu, rozpłakała się serdecznie i fartuszkiem ocierała oczka. Przyszedł ku niej Kostuś i wziąwszy ją za rękę tak powiada do niej:

— I cóż ty mię nie kochasz już więcej moja Halciu?

— I gdzieżbym ja cię mogła kochać, kiedy ty pan taki a ja prosta wiejska dziewczyna!

— A przez kogoż ja się stał tym panem? — przemówi Kostuś — Nie przez kogo innego jeno przez twojego ojca. Jemu się to chcę odwdzięczyć biorąc ciebie za żonę — pójdź niech nas pobłogosławi.

Przyszli oboje przed ojca, padając mu do nóg, a Kostuś tak się odzywa:

— Teraz pobłogosław dzieci twoje, bo one się kochają i śmierć je tylko rozłączyć może!

Stary Jakób zrosił się łzami, oczom swoim nie wierzy, zdaje mu się że to sen tylko, złudzenie, lecz wreszcie ściska klęczących i wymawia:

— Niech się dzieje wola Boska, ja was błogosławię razem z moją Jadwigą, a niebo cieszyć się będzie waszym związkiem:

Powstali oboje młodziankowie i zaraz poszli donieść o tem xiędzu. Xiądz przyjął na zapowiedź i za trzy niedziele całe Topolińce brzmiały weselem. Dorodne wiejskie pary i miejscy ludzie uwijali się w tańcu, tylko Kostuś był czegoś smutny.

— Co tobie mój kochany Kostusiu? — pytała się go z przymileniem Halka.

— Oj przykro mi bardzo — odrzeknie Kostuś — że Protazy Kociołek na mojem weselu być nie może.

— Nikt mu przecie nie życzył choroby — zagada Halka — sam sobie winien. I dzieci mu podobno chore..

— Aj tak, tak — zalamentował Kostuś — biedny z niego człowiek!

Trzeba bowiem wiedzieć, że Protazy jak za czasów Kostusia w jego domu, tak i później nic zgoła nie robił, chciał

sobie lekkim żyć chlebem, ale mu się nie udało. Robota w polu i koło domu nie smakowała mu nigdy, owoż wziął się do handlowania końmi. A że to był człowiek bez nauki i doświadczenia, stracił wielkie na tem pieniądze, handlarze pozabierali cały inwentarz i jak pierwej był dumnym i opryskliwym, teraz słał się ubogim i pokornym. Bóg na domiar nieszczęścia zesłał na niego i dzieci chorobę, w której nie miał ich kto ratować, bo Protazy każdemu gorącego sadła zalał na skórę.

Kostuś odchodząc dzieciakiem z jego domu, zrobił sobie postanowienie odwdzięczyć mu się kiedy. Owóż codzień chodzi do jego chaty, leczył jego i dzieci, posyłał za własne pieniądze po lekarstwa do apteki i niebawem Protazy przyszedł do zdrowia. Kostuś tymczasem pojechał z ukochaną Haliną do miasta, nie zapomniał jednak o lepszej pomocy dla Protazego. Będąc u jednego xięcia, któremu szczęśliwie wyleczył dwoje dziatek, dostał od niego sporo pieniędzy, wtedy przypomniał sobie Protazego, wsiadł do bryczki i pojechał do Topoliniec.

— Macie tu mój Protazy — powiedział doktor Konstanty — trzydzieści dukatów na zapomogę za dany mi przytułek w młodym wieku. Wycierpiałem się u was nie mało, niechcę, wam tego pamiętać i Bóg wam tego niech nie pamięta, który kazał kochać bliźniego swojego. Tę wam tylko dam jeszcze przestrogę, żebyście się nie pysznili gdy przyjdziecie do dobytku, ale pracując ustawicznie, bądźcie uczciwi i skromni.

Pobladł z zadziwienia Protazy, osłupiała jego żona a Kostuś poszedł do pana dziedzica, wstawił się za Protazym, dlatego też pan dziedzic odstąpił mu kawałek pola, dał trochę drzewa, a gdy Protazy chwycił się na prawdę do roboty widząc, że pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki, przyszedł do lepszego mienia, a nie był już nigdy zarozumiałym i lekkomyślnym. Stary Jakób mimo starości swojej odbył pielgrzymkę aż het do Rzymu dla podziękowania Bogu za szczęście, które go w starości spotkało. Nie długo starowina umarł w rodzinnej wiosce, gdzie żył znowu dobrze się mający gospodarz Protazy a w mieście szczęśliwi i weseli mieszkali Konstantowie.

Tak to moi mili praca i nauka prowadzą ludzi do szczę-

śliwości na ziemi, owóż posyłajcie dzieci do szkoły, nie zagradzajcie im szczęśliwej przyszłości, bo i ojczyzna cieszyć się będzie nimi jak się cieszy Kostusiem, który do dziś dnia żyje w jednem polskiem mieście.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Smutny wypadek wydarzył się w Nowym Sączu. W pierwsze święto Wielkanocne, gdy w kościele parafialnym mnóstwo ludzi było zgromadzonych, w celu poświęcenia pasek, powstał nagle krzyk i zamięszanie z powodu słabości pewnej kobiety. Gdy przytomni cisnęli się w jedną stronę aby zrobić miejsce w celu wyniesienia kobiety chorej, krzyknął ktoś z tłumu że się pali, ktoś inny krzyknął, że się kościół wali, inni znowu co innego wołali, tak że powstał okropny krzyk. płacz, lud zatrwożony zaczął się cisnąć, tłoczyć, ledwie zdołano go uspokoić, że ani kościół się nie wali, ani nie pali, ani żadne inne nikomu nie zagraża niebezpieczeństwo. W skutek złośliwej psoty jakiegoś nierozważnego człowieka, który pierwszy w miejscu świętem zaczął wykrzykiwać strasząc lud, zostało kilkadziesiąt osób w ścisku pokaleczonych.

ZDANIA MORALNE.

Wszędzie można ojczyźnie zostać pożytecznym,
Czy to pod wiejską strzechą, czy w mieście stołecznem.
Ten się tylko ma prawo zwać obywatelem,
U kogo dobro kraju, najpierwszym jest celem.

Co nas żywi do tego trzeba się sposobić,
Kto chce jeść chleb, powinien na niego robić.

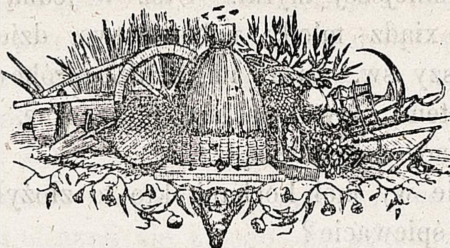
Ani w radzie
Ni w gromadzie
Nigdy człeka nie osądzisz —
Bo gromada daje hart.
Lecz chcesz wiedzieć co jest wart
Staw samego, a nie zbłądzisz —
Jeśli próby sam dotrzyma,
To go w obec wroga staw —
A kto stanie i tam praw,
Dla tego już próby niema! *W. P.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X. Nr. 14.

11. Maja 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KOCHANOWSKI,

pisarz i pobożny Polak.

We wsi Żarnowie stoi ładny drewniany kościółek na brzegu potoczka, naokoło sztachety dębowe i wielkie lipy, a po obu stronach kapliczki malowane, w jednej Pan Jezus frasobliwy, a w drugiej Najświętsza Panna boleśna. We środku kościoła wiszą przeróżne obrazy świętych naszych polskich patronów, a nad drzwiami zakrystyi wisi znowu obraz, gdzie jest wymalowany jakiś pan, co sobie trzyma w ręce xiążkę do modlenia a przed nim stoi ukrzyżowany Pan Jezus. Ale też lud w tej wsi pobożny, przykładny, pracowity, trzeźwy, a usłużny każdemu, żeby biednego nie minął za nic w świecie. Dzieci schodzą się do chałupy wójta Gduli i tam co dzień przychodzi organista z drugiej parafii i uczy wszystkiego, a co święto czyta najstarszy syn wójta Franek różne pisma, a młodzi i starzy słuchają z ochotą, a potem sobie rozpowiadają, jak który mógł lepiej spamiętać. Otóż co drugą niedzielę po południu przyjedzie tam młody xiądz i odprawia nabożeństwo a potem uczy

śpiewać pobożne pieśni. Wyuczyły się dzieci śpiewać na nieszpor po polsku i umią ci z pamięci wygadać do jednego słówka bez najmniejszej myłki. Otóż w jedną niedzielę tego roku odprawił xiądz młody nabożeństwo, dzieci odśpiewały pieśni, a po mszy św. kazał im xiądz spróbować: „Kto się w opiekę“ a potem znowu psalmy nieszporne. A gdy dzieci skończyły śpiewać, zapytał xiądz:

— A wiecie wy moi kochani, kto to złożył te psalmy nieszporne, co wy śpiewacie?

Na to pytanie nikt nic nie odpowiedział, bo odpowiedzieć źle, to lepiej nic nie mówić.

Otóż xiądz jął sam opowiadać:

— Widzicie moi ludzie! że to byli tacy pobożni ludzie, którym dał Bóg taki rozum, że oni potrafili dobrze radzić, ale jakci co napisali, to czytając to pismo płakałeś jak dziecko a nie dałbyś go i za wór dukatów z chałupy nikomu. Otóż takim rozumnym pisarzem i pobożnym człowiekiem był niejaki polski pan, Jan Kochanowski. Ten to pobożny pan ułożył przeróżne śpiewki, a na chwałę bożą ułożył znowu pieśni pobożne, które w całej Polsce wszyscy śpiewają. On to ułożył pieśń: „Kto się w opiekę“ co ją to i małe dziecko odmawia, jak lega spać, a gazda znowu śpiewa na polu przy robocie albo w chałupie do dnia, albo w zmartwieniu i jakiem utrapieniu, a ludzie nasi śpiewają ją kiedy idzie procesya albo kiedy idą na odpust.

Nawet te psalmy nieszporne, co my tu śpiewamy po naszych kościołach po polsku, to złożył tak ładnie i składnie ten sam pan Kochanowski.

A gazda jeden z Żarnowa, Tomek Gdula, brat rodzony wójta samego, słuchał tego opowiadania z wielką uwagą i spytał się xiędza:

— A proszę też pokornie jegomości, gdzie się to urodził ten pan Kochanowski, może to nasz krajan i swojak?

Xiądz na to rzecze:

— A jużci, że on nasz krajan i taki Polak i katolik jak my wszyscy od maleńkiego do starego, od chudaka do bogacza — jeno on urodził się z tamtej strony Wisły koło Sandomierza,

gdzie od nas idą na flis co rok. Niedaleczko od Sandomierza stoi gromadzka wieś Sycina, gdzie to rośnie polska pszenica jak groch duża, a zowie się Sandomierką, i był w tej wsi jego ojciec pobożny pan i matka tak samo dobra pani — tam się wychował od maleńkiego Jan Kochanowski, a w Sandomierzu chodził do szkoły z drugimi chłopaczkami i uczył się bardzo dobrze, a lubił sobie zawsze skrobać piórem i składał zawsze do równego wiersza różne wesołe śpiewki, co je potem szkolarze śpiewali i cieszyli się z tego, że szkolarz Janko potrafił składać takie słowa do śpiewania. Za młodu był on tak pobożnym jak jego ojciec i matka, a miał także starszego brata Kaspra, którego lubił strasznie.

Ale nikt nie zgadnie, co na niego jutro spadnie, ani nikt w żadnej xiążce nie wyczytał tego, co jutro będzie z niego. Tak się stało i z Jankiem szkolarzem. Jak mu minęło 17 lat to odumarł go ojciec, a biedna matka nie przerywała mu nauki, ale sama we dnie i w nocy zarabiała z starszym synem Kasprem, aby jeno dobry Janko mógł się uczyć i wyuczyć na dobrego Polaka. I tak dbałą była ona o swoje dziecko, że mu kazała het szkoły pokończyć w polskim kraju, a potem dała dużo dukatów do kieszeni i posłała go w daleki świat aż do ziemi ojca świętego i do Francuza, aby się tam wyuczył rozumu między rozmaitymi ludźmi, a potem był dobrym i mądrym Polakiem. Ale gdzie cienko, tam się najprędzej urwie, a chudaka to się najwięcej bieda nabije — tak i Jankowi się stało. Umarła mu matka, a wtedy nie było komu podać mu ręki. Toż musiał on szkoły za granicą poniechać, a wrócił do swego kraju na ojcowiznę i zaczął robić koło chleba i roli.

A gazda Tomek Gdula zagadał:

— O! tać to było szkoda sponiewierać takiego chłopaka dobrego, co się tak doskonale uczył i byłby został jakim urzędnikiem, albo biskupem.

A xiądz na to tak powiada:

— Tak samo, jak wy Tomaszu, mówili wtedy ludzie dobrzy. To też xiądz biskup z Krakowa, niejaki Myszkowski, zawołał Janka do siebie i tam go długi czas trzymał u siebie i namawiał go koniecznie na xiędza, ale Janko mu odpowiedział:

Mam być złym xiędzem, to wolę być pobożnym i przykładnym gazdą na wsi razem z chłopami. Ale biskup chciał mu u króla polskiego Zygmunta Augusta wyrobić koniecznie jaki urząd w mieście, ale Janko mówił zawsze: Urzędnik narazi się jednemu i drugiemu i musi się charkać z ludźmi, a ja lubię spokój i zgodę z każdym, a zresztą mam ojcowiznę, lubię strasznie żyć na wsi razem z chłopami, pojadę więc na ojcowiznę i tam będę robił w roli, a co zbędzie mi czasu, to sobie będę pisał różne śpiewki i piosenki na pożytek ludzi i na chwałę bożą, a dla chłopów zostanę nauczycielem i ojcem i dobrym panem. I tak zrobił! na xiędza nie poszedł, bo to chleb smaczny, ale trza za każdą okruszynkę potem strasznie odpowiadać przed Bogiem, na urzędnika także nie poszedł, bo mu się to jakoś nie zdawało, ale wrócił na ojcowiznę i osiadł na gruncie i zaczął robić z chłopami na kawałek chleba.

A gazda Tomek Gdula poderwał:

— A gdzie była ta jego ojcowizna?

Xiądz na to odpowie:

— Niedaleko miasta Radomia między lasami jest wieś Czarnolesie, tak się zwie dla tego, że między strasznemi lasami leży i gdzie się obejrzysz to las i las czarny widzisz. Otóż porzucił Janko pałace biskupie, dwory króla i miasta, a wrócił do gniazda ojcowskiego między znajomych gazdów i zagrodników i tam się potem ożenił i pracował na kawałek chleba.

A drugi gazda ciekawy Wawrzek Mucha, nadsłuchując tego, odezwał się:

— A toć jegomość mówili, że ten sam Janko ułożył różne pieśni — to kiedyż on miał na tyle czasu, aby orać, siać, kosić, młócić i grunta nawozić, a do tego znowu zasiadać i dumać i trapić głowę, aby co dla kogo napisać?

A xiądz na to rzecze w ten sens:

— Bo to widzicie Wawrzeńcze! że jest do roku coś 78 świąt, a 78 dni złożyć do kupy, to będzie jakie 12 niedziel okładem. Gdyby każdy człowiek pracował w dzień powszedni, a znowu w święto uczył się i pisał sobie, toby przez 12 tygodni dużo spisał. Otóż Janko tak robił. Jak poorał i posiał, to wtedy siadał sobie na kamiennej ławce pod lipą w ogrodzie i coś so-

bie pisał i znowu dumał i pisał, i znowu mazał i dumał i chodził po ogrodzie, a strasznie nie lubił, jak mu kto przeszkadzał; a znowu w święto po nabożeństwie siadł koło stołu i przepisywał sobie na czysto, co w tygodniu napisał. I jak też potem dał to do druku, jak to jego pismo i druk połapał król i panowie i biskupi, i jak to każdy mądry odczytał, wtedy sobie mówili:

— A to dopiero Janko Kochanowski ma rozum i głowę nie od parady — a to się wyuczył i widać, że nie darmo dawał mu ojciec a potem matka chleb i grosze na szkołę.

I nuż posłał sam król do niego, aby przyjechał do Krakowa, a zostanie pierwszym po królu urzędnikiem, takim Senatorem, ale Janko zawsze jeno swoje powtarzał:

— Lepiej żyć na wsi między ubogimi, niż w mieście między zepsutymi — co ja ubogi Jaś zebrał i złożył na wsi moją pracą, to bym prędko w mieście przejadł jako pan. I nie ruszył się na krok ze wsi, ale wtedy popisał dla Polaków te ładne pieśni, aby niemi chwalili Boga na wieki. Otóż dotąd mamy te pieśni od tego Jana Kochanowskiego i wy też powinniście wszyscy wiedzieć, jacy to byli dawni Polacy.

Ale ciekawy Wawrzyniec Mucha spytał znowu:

— A gdzie też umarł ten pobożny pisarz?

A xiądz na to:

— Umarł nagłą śmiercią w Lublinie, kiedy stał przed królem polskim Batorym i skarżył się o krzywdę straszną, jaką Turki zrobili jego szwagrowi — zabili oni go, kiedy pojechał do nich kupować konie — a ledwo przemówił słowo, to go taki żal ogarnął za szwagrem zabitym i tyle mu łez stanęło w oczach, że z tego upadł na ziemię i skonał. Toż chłopi przywieźli jego ciało do Zwolenia, do parafii i tam pochowali go. A płakali też chłopi tak za nim, jak za królem Kaźmierzem Wielkim, boć on kochał chłopów polskich, mieszkał między nimi, nie chciał ich porzucić, choć go król wołał do Krakowa, a do panów tak mówił:

— Żyjcie pobożnie i przykładnie na wsi, bądźcie ojcami ludu, miejcie chłopów w opiece i nauczajcie ich, aby i chłopi mieli dobry polski rozum i żyli pobożnie i przykładnie i kochali

tak ojczyznę swą, jak wy ją kochacie. — Za takie słowa kochali go chłopi, był on dla nich sprawiedliwym.

A Tomek Gdula odezwał się:

— Że też to taki dobry człowiek umarł tak nagle, a może był i młody jeszcze?

A xiądz powiada:

— Przeżył on 54 lat, a wiecie Tomaszu, że kogo Bóg kocha, to mu krzyżyki daje. I Jan miał różne utrapienia — umarła mu córeczka Urszula, co była oczkiem jego, bo to maleństwo umiało także składać słowa na różne śpiewki i śpiewało ojcu, wisząc mu u szyi. Po śmierci jej przez 5 lat nic nie pisał jeno się gryzł, a potem ułożył wierszyki dla tej dzieciny. — A po jego śmierci została biedna wdowa Dorota i sama jakie 20 lat biedowała z dziećmi i chowała jak mogła. A wy moi kochani macie tu nad drzwiami zakrystyi waszej obraz tego samego Jana Kochanowskiego, toż ile razy odśpiewacie jego pieśń: „Kto się w opiekę“ albo jego psalmy polskie, tyle razy zmówcie też i za jego duszę modlitwę. A choć to już 300 lat temu, jak on żył, to po nim zostały nam jego pieśni, któremi chwalili Boga nasi ojcowie i my chwalimy i potomki chwalić będą.

Xiądz się pożegnał i odjechał do parafii, a Tomek Gdula i Wawrzek Mucha podali to wszystko do Dzwonka, aby też i drudzy ludzie wiedzieli o tem dobrze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

KRUK,

piosnka litewska.

Z ponad lasu, z ponad chmury
Na dolinę sioła,
Kruk się spuścił czarnopióry
Na żer dziatwę woła;
Ej! żerował gdzieś na grobie
W pośród bojowiska,
Bo ma krwawą rękę w dzióbie,
Na niej pierścień błyska.

Czarny kruku z jakiej strony,
Burza cię przywiała?
Zkąd ten pierścień pozłocony?
I ta ręka biała?
„Za górami — ej dziewczyno! —
„Był tam bój nielada!
„Krwi młodzieńczej rzeki płyną,
„Głów tysiące spada!

„Zakopuje lud roboczy
„Bohaterskie głowy;
„Na mołojców orle oczy,
„Sypie żwir surowy.
„Po kurhanach, jak kopacze,
„Wyją wilków stada,
„I niejedna matka płacze,
„Na grób syna pada!“

Dziewczę jękiem pierś rozrywa,
Twarz we dłonie chowa:
„Dolaż moja nieszczęśliwa!
„Biednaż moja głowa!
„Wiem już teraz kto zabity,
„Czyja to dłoń biała:
„Jam ten pierścień złotolity
„Lubemu oddała!“

Wspaniałomyślny kmiotek.

Juz to czegoś moje największe upodobanie, jak się gdzie dowiem o dobrem sercu i pięknym czynie między wami ludu prosty kochany, — aby to zaraz wypisać, — żeby wszyscy wiedzieli, jak znowu okrutnie jestem nie rada, kiedy co zasłyszę lub przeczytam o was, co się nie zgadza z miłością Boga i bliźniego. To też Pan Jezus dobry, bo częściej co o was miłego, niż złego zasłyszę, i raduję się, że wam dla przykładu napiszę. Bo już co prawda, to nie grzech, że gdyby

mi Bóg nie dał, lub nie pozwolił pisać dla was, tobym wolała nie żyć na świecie, i nic by mnie już nie cieszyło, skorobym się z tem wszystkiem, co wiem, z wami i z waszem sercem nie podzieliła.

Otóż tu wam chcę opowiedzieć wspaniałomyślność jednego wieśniaka, który to przytrafunek, choć prawda że już lat parę jak się przytrafił, bo jeno w 1846 roku, ale cnotliwego i miłością pełnego czynu pamięć nigdy nie zaginie, i tu i w niebie.

Otóż było to w Stojowicach w cyrkule Bocheńskim, gdzie mieszkało na dwóch częściach dwóch dziedziców. Oba byli dobrzy panowie, nie było im przezwy, tylko jeden z nich, choć miał serce najlepsze, i nieba byłby chciał drugim przychylić, tylko tę jednę miał wadę, że okrutnie nie lubił, jak mu kto w jego części i w jego lasku polował na zwierzynę. A znowu w drugiej części Stojowic, był leśny, nazywał się Franciszek Wyligajło, ten przestraszną miał ciekawość do polowania; więc bywało, że często gęsto, pobiegł i na tę drugą część, i zagonił się za jakim zającem, albo też jaką inną zwierzyną, no i strzelił.

Na co pan z drugiej części strasznie się markocił, i gdzie mógł to temu leśnemu dokuczał, i nie raz go brzydkiemi słowami wyłajał. Bo jak mówię pan był przedobry na wszystko tylko na to nieszczęsne polowanie, tak się złościł. No i takim sposobem zawsze między tym panem a leśnym był swar, i jużcić się ta oba nie musieli kochać.

W tym czasie nadszedł ten nieszczęsny rok, co się szatan cieszył na ziemi, i co się to wielka moc ludzi złych zkądś nabrała, co zapomnieli na miłość Boga i bliźniego, i napadali najpoczciwszych ludzi, i często gęsto i o życie przyprawili. Tak też i na tę wieś hurma takich ciemnych złych ludzi przypadła, przed złymi ludźmi, a ciemnymi każdy ucieka, toć i panowie z tej wsi, musieli uchodzić, i chcieli się gdzie zachylić. A że to była nocna pora to ten pan, co to nie rad był o to polowanie na leśnego, gdy szedł, pobłądził sobie i właśnie jakoś niedaleko chałupy tego Franciszka Wyligajły się znalazł; a to było już koło północka. Ni jako gdzie pójść noc ciemna, a myśli sobie pan tak: „Do leśnego nie ma się po co zachylić,

boć ja tu dla niego nigdy dobry nie był, to on mnie pewno do swej chałupy na spoczynek nie przyjmie.“ No i kiedy sobie tak myśli, i nie wie co począć, patrzy a tu zbliża się ku niemu, kto? leśny, i pięknie przemówi, i pochwali Pana Jezusa i powita grzecznie pana, i prosi, aby się po nocy sam nie tyrał, ale do jego chałupy wstąpił, i mało wiele odpoczął.

Aż pan osłupiał, jak to takie dobre serce tego Franciszka Wyligajły ujrzał, i rozpłakał się z czułości, i poszedł do niego. Franciszek dał mu zaraz posilić się, czem była bogata chałupa a potem spytał się, czy też pan ma jaki grajcar przy sobie. Ale gdy mu pan powiedział, że mu wszystkie pieniądze źli ludzie zabrali, i tylko z życiem uciekł, to on poczciwy leśny wyjął parę reńskich i prosił, aby pan od niego pożyczonym sposobem pieniądze przyjął; bo jakże by zaś mówił, do miasta szedł bez grosza.

No i dopiero potem, wybrał się z nim w drogę, i odprowadził w takowe miejsce, gdzie już nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Jak mu to później ten pan nagrodził, to wam już i pisać nie potrzebuję; kochał go, jak swego rodzonego brata, sadzał go u swego stołu, i już mu pewno i w własnym ogrodzie nie byłby zakazał polować; ale nie taka jeszcze czeka tego uczciwego Franciszka nagroda w niebie, bo nic tak chojnie nie nadgradza Pan Jezus, jak podarowanie urazy, oddanie dobrem za złe.

Róbcież więc wszyscy kochani ludkowie podobnie, darujcie zawdy i wszędy każdą urazę waszemu bratu, czy wam ją wyrządził szlachcic czy mieszczan, pan czy sługa, bogaty czy ubogi, a dopiero pokażecie żeście dziećmi jednego Boga, żeście prawi chreścianie, dobrzy polacy, i zasłużycie sobie nieomylnie na koronę w niebie! która aby nam się wszystkim dostała!! Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Skarb
czyli
Chciwość ukarana.

Jeżeli już sama niepohamowana chęć zysku jest obrzydliwym błędem, o ileż więcej pogardy godzien jest człowiek, co za nic sobie nie waży prawo boże i ludzkie, aby tylko urwać coś dla własnej kieszeni, za nic nie ceni życie i zdrowie swego bliźniego, aby tylko napełnić kabzę i powiększyć fortunę.

Tacy ludzie chciwi jak wilcy nie mają snać ani okruszyny sumienia i nie znają Pana Boga, tylko mamonę znikomą, za którą gonią na ziemi póki życia, aż ich nareszcie śmierć, która nie pyta ani o skarby ani o bogactwa, zadławi wśród grzechów jak istnych poganisków.

Posłuchajcie jeno, kochani ludkowie, historyi, którą wam tu pokrótce opowiem a przekonacie się rychło, jak Bóg sprawiedliwy srogo karze ludzi drapieżnych, co zdradliwie czychają na mienie i życie swoich współbliźnich.

Przed wielu, bardzo wielu laty szło trzech podróżnych ludzi przez pustą ziemię, na której ani jednej zielonej trawki nie było, tylko same piaski i kamienie się bieliły. Dzień był bardzo gorący a słonko tak srodze dopiekało, że zda się włosy tliły na głowie. Podróżni strudzeni mocno drogą, usiedli wśród piasczystej pustyni i poczęli odpoczywać.

Gdy tak odpoczywając skarżyli się na los swój opłakany, ujrzeli na pół piaskiem przysypaną skrzynię. Zaraz ci pobiegli ku niej z ciekawością — a gdy ją rozbili okazało się, że pełną była pieniędzy, złota i drogich klejnotów.

Okrutnie się też uradowali podróżni, ale zaledwie pierwsza uciecha minęła — aliści już szatan wlazł w ich serca i napoił je zawiścią i przebrzydłą chciwością.

Chociaż w znalezionej skrzyni dość było złota, aby z wszystkich trzech chudaków zrobić bogatych panów, to przecież każdy z nich myślał sobie:

— Hej! Czemu to ja sam nie znalazłem tej skrzyni?... Byłbym miał huk złota i pieniędzy na całe życie i nie potrzebowałbym się dzielić z moimi dwoma towarzyszami!

Tak sobie dumał każdy z osobna i z podełba zawistnie zerkał na towarzyszy, jakby ich chciał samem jadowitem spojrzeniem zamordować, aby mu nie zmniejszyli znalezionego skarbu. I tak zamiast się cieszyć znalezionem bogactwem, każdy siedział jak mruk i serce miał zatrute, bo taki to już nieszczęsny zwyczaj na świecie kochani bracia, że im człowiek ma więcej, tem więcej mu się zachciewa.

Wśród takich grzesznych i zawistnych myśli uczuli podróżni głód i pragnienie wielkie.

— Mamy moc złota i pieniędzy — odezwał się z nich jeden — a cierpimy głód i pragnienie nieznośne. Niechaj jeden z nas pójdzie do poblizkiego miasta i nakupi strawy, bo inaczej przy kupie złota poginiemy marnie jak muchy z głodu. Zaś wieczór pójdziemy wszyscy trzej ze skarbem do miasta, boć w dzień gotowiby nam odebrać go jeszcze.

Ale żaden z trzech podróżnych nie chciał odejść od skarbu i zakupić jadła.

— Idź ty — rzekł jeden do drugiego.

— A ty czemu nie chcesz iść? — odpowiedział drugi.

— Ja nie głodny! — odpowiedział trzeci.

A każdy wytrzeszczył oczy na skarb jak wilk niecnota na jagnię. Nareszcie zgodzono się aby ciągnąć losy, a na kogo wypadnie, aby poszedł. Jakoż ten co los wyciągnął, musiał chcąc nie chcąc ruszać do miasta, lecz odchodząc, popatrzył raz jeszcze okiem czerwonem od zawiści na skarb i swoich towarzyszy i mruknął przez zęby:

— Pierwej się nosem zaryjecie w ten piasek gorący, zanim oberwiecie co z tego skarbu. To złoto musi być całe moje! Już ja wam przyniosę strawy takiej, że jej i do sądnego dnia nie strawicie!

I poszedł do miasta, knując myśli zbrodnicze i zdradzieckie. Jak tylko poszedł do miasta, nakupił jadła a potem dostawszy truciznę, zatruł wszystką strawę.

I wołał z okrutną uciechą, aż mu ślipie jak głownia żarząca buchały czerwonym płomieniem:

— Będę miał skarb cały!... skarb cały!

Tymczasem dwaj inni, którzy zostali na pustyni, siedzieli jakiś czas w milczeniu i zatapiali się w bezbożnych myślach, aż nareszcie odezwał się jeden do drugiego:

— Słuchajno bracie. Nie lepiejby to było, gdybyśmy ten skarb tylko na nas dwóch podzielili?...

— A jużci że lepiej! — zawołał drugi i wyszczerzył zęby jakby całą skrzynię na jeden kąsek chciał pochłonąć. — Ale jakże to zrobimy?

— Głupiś! — odpowiedział pierwszy — ja ci to zaraz powiem! Jak przyjdzie trzeci z miasta, to go zabijemy!....

Z początku wzdrygnęli się obaj na myśl tej okropnej zbrodni — bo kiedy człowiek chce się rzucić w otchłań grzechu, toć go zawsze pochwyci raz jeszcze za ramię anioł pański, święty stróż naszego żywota.

Ale u złych ludzi szatan ma więcej posłuchu jak święty anioł-stróż, więc też po krótkiej naradzie zgodzili się obaj zbrodniarze na to, aby swego trzeciego towarzysza, skoro powróci ze strawą zamordować bez miłosierdzia.

Nie długo czekali na posłańca. Przyszedł on niezadługo i już naprzód cieszył się tem, jak jego towarzysze potrują się jadłem i zostawią mu skarb cały. Ale Pan Bóg nie dozwolił mu tej zbrodniczej uciechy, zaledwie powitał swoich towarzyszy, aliści rzucili się na niego i zamordowali go okrutnie.

Gdy już dopełnili tej okropnej zbrodni, poczęli się wielce cieszyć i mówili:

— Teraz mamy po połowie skarbu! Będzie za co panować i w złocie się kąpać przez całe życie! Teraz jedzmy i pijmy i radujmy się!

I poczęli jeść żarłocznie, jakby chcieli zadławić głos sumienia, który im się odzywał w piersiach. Ale zaledwie zasmakowali jadła, trucizna poczęła palić i żreć im wnętrzności Poczęli się wić jak węże, tarzali się po piasku i jęczeli okrutnie, aż nareszcie zczernieli jak ziemia i pokonali w okropnej męce.

Tak zginęli nędzną śmiercią wszyscy trzej chciwi zbrodniarze, ukarani palcem Sprawiedliwego. Zgnili na pustyni jak plugawe zwierzęta — a krucy i sępy żarły ich ciała.

W kilka dni potem przechodzili tą samą pustynią pobożni kapłani a znalazłszy skarb i trzy trupy, zbudowali za znalezione pieniądze kościół i modlili się w nim za duszę trzech chciwych zbrodniów.

Wojtek ze Smolnicy.

Proceśniki.

I.

Wielki miał rozum i całe niepospolitą głowę nosił ten malarz na karku, co to namalował ów obraz proceśnika. Kiedym jeszcze był małym dzieciakiem, pokazywali mi tatulo bywało to malowanie; toć mi też tak przemówiło do serca, że chyba najokropniejsza krzywda i ciężka tylko bieda mogłaby mnie skusić do prawowania.

Ciekawiście zapewne kochani przyjaciele, co to mądre malowanie przedstawiało? Owo wymalowany był na płótnie golusieńki chudzina, który się tylko kawałkiem papieru okrył od wstydu i zgorszenia innych. Zaś pod tym golcem napisane były słowa:

— Tak wygląda człowiek co się prawował przez lat kilkanaście i proces wygrał.

Wtedy pytałem ojca:

— A jakżeż wygląda ten co przegrał?

A pan ojciec mój na to:

— Ten to już pewnikiem nie wygląda, bo jeszcze przed końcem procesu umarł pono z głodu nieborak!

Chwała Bogu lat już odtąd minęło nie mało, kiedym jako mały berbeć oglądał to malowanie — a przecież do dziś dnia jakem katolik, tak świadczę się sumieniem, że nigdy bym się nie prawował, chyba już przy jakiej oczywistej napaści na zdrowie lub fortunę.

Boć nie żal już włóczyć się po adwokatach i sądach, kiedy człeku jakiś oczajdusza okna deskami zabija lub na gorzko zapracowane mienie niepoczciwie godzi — ale zato niemasz nic ohydniejszego jak ci ludzie, co ni ztąd ni z owąd, bez żadnej godziwej przyczyny, byle tylko o piędź ziemi lub kilka głupich groszy, co na nie za przyzwoleniem i plunąć uczciwemu Chrześcijaninowi nie warto, pieniają się i prawują, jakby tu chodziło o zdrowie, życie i cały majątek.

Toć też takim proceśnikom nie stanie jak mi Bóg miły skórka za wyprawę. Bo jak taki wyjadacz zacznie wydawać grosz po groszu — to dalipan nim się spojrzy, przetachluje więcej grosiwa, niż ta cała historya warta, o którą się procesuje. Boć posłuchajcie jeno: Opłacić się pisarzowi, nakupić stęplów, wepchnąć coś w łapę woźnemu, tracić czas na terminach — czy to w kupę wziąwszy nie wyjdzie wyżej niż ta marnostka, na którą się tak wściekle rozżera pieniacz niecnota?...

Jako żyw, choć wygra proces, to tak ci będzie wyglądał, że tylko wołać jakiego malarza, aby zrobił znowu drugie takie malowanie, jakie mi za młodości pokazywał mój ojciec.

Ale cóż poradzić z upartymi ludźmi? Wszystko można wyleczyć, nawet (uchowaj Boże) słabość jaką śmiertelną — ale głupotę ludzką to podobno nie tak łatwo jaki lekarz, choćby był mądry jak sam król żydowski Salamon, wyleczeć potrafi!

Toć przecież ja sam znałem jednego kmiecia z Żurkowiec imieniem Antoni Pływacz, co się procesował o podkowę, a wygrawszy proces musiał konia przedać, aby koszta prawowania się popłacić! A była to historja taka:

Wracał sobie Antoni z jarmarku a że mu koń był bosy na jedną nogę, więc wstąpił do kowala Miechułki, aby mu podkuł konia. Miechułka przybił podkowę, a że Antoni Pływacz wyszastał kabzę na jarmarku i nie miał czem zapłacić, więc pokredytował mu na kilka dni.

Jedzie tedy dalej Antoni Pływacz, a gdy przyjechał do domu, patrzy, a tu chabecie znowu na jednem kopycie podkowy niedostaje.

— A toć ten nicpoń Miechułka tak źle przybił podkowę! — zowołał — Ale poczekaj no hultaju zobaczysz ty za to pieniądze, jak własne ucho!

I nietylko nie chciał jak obiecał zapłacić Miechułce, ale go jeszcze łajał:

— Wasza podkowa zaraz o staję odpadła od kopyta! Taki z ciebie majster, nie konie tobie ale kozy kuć! Idź do Pacanowa! Ty taki! ty owaki!

A Miechułka na to:

— Nieprawda! moja się trzyma dotychczas, to inna odpadła.

— Twoja! — krzyknął Pływacz.

— Nie moja! — wrzasnął Miechułka.

— Zapłać!

— Nie zapłacę!

— To ja cię sprocesuję!

— A choćby! Pokaże się czyja prawda!...

Miechułka pobiegł jak opętany do urzędu a tuż za nim w dyrdę i Pływacz. Prawowali się długo, wytracili się obaj do gołego prawie, a choć koniec końcem Antoni, co nie na darmo zwał się Pływacz, wygrał, toć za to gdy przyszło stanąć na ostatni termin, to przytelepał się nieborak piechotą, bo konia na proces sprzedał.

Masz tobie teraz proces!

Dalipan! prawda święta co ludzie powiadają: Lepsza słomiana zgoda niżli złoty proces!

RÓŻNOŚCI.

Nie zgadnie pan Niewiezki, co zrobi Pan Niebieski. Powiadają ludzie, że kiedy źle się dzieje na świecie i nie po bożemu idą ludzkie sprawy, to i sam Pan Bóg dopuszcza jakichś niezwyczajnych rzeczy... Smutno tego roku na bożym świecie, a najmutniej w naszej Polsce, toż i na niebie jakoś smutno i chmurno, a choć Maj już zawitał do nas, to śnieg sobie lepił, jakby dopiero na Styczeń się zabierało. Kalendarz wprawdzie zapowiadał pogodę i słonko — ale tak siarczyście kłamie, że się człeku przypomina staropolskie przysłowie, które tu na górze wydrukowane: *Nie zgadnie pan Niewiezki, co zrobi Pan Niebieski.* Trzeba wam bowiem wiedzieć, mili czytelnicy *Dzwonka*, że za dawnych czasów żył w Warszawie niejaki pan Niewiezki, co pisał kalendarze. Ale cóż, kiedy nie umiał nigdy ugodzić w prawdę i kiedy zapowiedział deszcz i zimno, toć wła-

śnie na opak słońce grzało, że aż z czupryny para buchała, a gdy pogodę obiecał, to właśnie okrutna słota lunęła. Toć też i ludzie mawiali, że *„nie zgadnie pan Niewiezki — co zrobi Pan Niebieski.“* Takić podobno wyjdzie tego roku na nasze chłopskie przysłowie: *Do św. Ducha — nie zdejmuj kożucha.* Ale co prawda, to prawda. Już to trzebaby mieć niepoczciwy język, aby nie przyznać, że dziś już i niektórzy kalendarnicy nie łżą, jeno prawdę mówią czystą. Owo w Francyi żyje jeden człowiek uczony, co się zwie Mateusz Deladrom, a ten-ci zgadł trafnie i przepowiedział naprzód, że będzie zimno i pluta na wiosnę a nawet i w lecie. Dotąd wszystko tak się przytrafia, jak wyprorokował mądry Francuz — zaś jak dalej się stanie, wie chyba sam *Pan Niebieski.*

Samobójstwo z miłości ojcowskiej. Nie ma to podobno większego nieszczęścia dla człeka, jak gdy jakaś ukochana osoba, naprzykład syn, ojciec, matka itd. nagle zejdzie z tego świata. Za nic ogień, woda, pomorek na chudobę, ba i głód nawet, byleby ci, co ich całem sercem miłujemy, byli przy życiu i dobrem zdrowiu. Boć wszystko łacniej przenieść biednemu człowiekowi, niż ten okrutny ból, kiedy ukochana umrze dziecina. Pisarz Dzwonka dowiedział się właśnie z gazet o strasznym przytrafunku, co się zdarzył w cyrkule Złoczowskim. Jest tam przysiołek *Zbrońce*, co należy do Obydowa. Otóż w Zbrońcach żył kmieć imieniem Stanisław Z., poczciwy starowina, któremu Bóg dozwolił już siedm dziesiątek lat spokojnie przeżyć na ziemi. Naraz zachorował biednemu staruszkowi syn jedynak śmiertelnie i leżał już na skonaniu. Starowina kochał syna nad życie i gdy widział, że już ze śmiercią się pasuje i żadne mu ludzkie leki nie pomogą, taka go rozpacz zebrała, że stracił rozum z srogiego bolu serca i skoczywszy do studni utopił się w niej. Już to widocznie biedny staruszek ze zgryzoty postradał zmysły, boby inaczej nie popełnił takiego bezbożnego uczynku, jakim jest samobójstwo. Bóg dał życie — Bóg je tylko odebrać ma prawo. Wprawdzie palec Boży dotyka nie raz strasznie ludzi na świecie — aleć na tośmy przecież nie poganie, jeno wyznawcy Zbawiciela, aby z pokorą znieść wszystkie srogie nieszczęścia, które Bóg na nas dopuszcza. Niechajżeby Ojciec Niebieski przebaczył temu biednemu staruszkowi, boć go jedynie wielka miłość do syna do takiego grzechu skusiła!...

Instalacya ruskiego arcybiskupa we Lwowie. Zeszłego czwartku była tu u nas wielka uroczystość, bo najprzewielebniejszy x. Spiridyon Litwinowicz, którego Ojciec św. mianował arcypasterzem ruskim obchodził swoją instalacyę. Zjechało się tu mnóstwo xięży ze wsi i luda było też huk, aby powitać nowego arcybiskupa.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

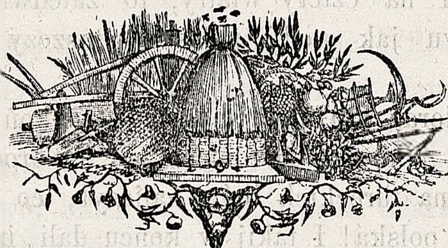
Tom X. 21. Maja

Nr. 15. 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

I.

Pan starosta Wilczek.

Już to najokrutniejszą plagą naszej kochanej ojczyzny byli dawnemi czasy Turcy i Tatarzy. Gęstemi, nieprzejrzanemi chmarami jakby szarańcza zwalało się to pogaństwo na żyżne krainy Polski, a gdzie tylko zajrzeli, tam ci zaraz spalili, złupili, wymordowali wszystko do szczętu.

Aż strach Boży czytać o tych tureckich i tatarskich napadach czyli zagonach w starych pismach i xięgach. Co też bo te pohańcy miast nie narabowali, włości nie napalili, co ludzi w niewolę czyli jasyr jak bydła nie nagnali!.... Mocny Boże! gdyby to tak trafiło na inny jaki naród a nie na polski, toćby już i marnego śladu po nim nie zostało choćby na pokaz!

Ale Polacy ostro się stawili do Turków i choć bisurmanów był zawsze huk niezmierny, to taki zawsze na to wyszło, że okrutnie wzięli po skórze i co tchu uciekali do swej ziemi! Natłukliż się też Polacy tych bisurmanów, co nieprzeliczyć —

ale cóż kiedy ano plugastwa tego była ćma straszna, gdyby piasku na ryniu i co ich nasza hussarya i dragonia albo kozacy przepędzili na cztery wiatry, to zaledwie rok minie, a jużci ich znowu jak wody mnóstwo taszczy się na ziemię polską.

Toć też nieraz kto żyje, ten siada na koń i hajże na Tatara! Zaledwieć jaki odrostek mech ma na brodzie, a już by pewnie pół tuzina tureckich łbów naliczył, co ich na wojence pościnał szablą polską! I takij w końcu dali im Polacy radę, bo ich pod Wiedniem w puch rozbili jak plewę i odtąd już noga pogańska nie stanęła na ziemi ochrzczonej. Ano kto wie jakby było wypadło, gdyby pod Wiedniem dziarski król Jan III nie zgniótł pogańskiej żmiji?....

Ale cóż? wojna zawsze wojną, i choćbyś ją wygrał to człowiekowi do żywego dojmie. To też wielki nieraz był przelew krwi polskiej i niejeden dzielny żołnierz, niejeden wódz sławny poległ na polu bitwy — że już nie chcę wspominać o królu Władysławie Warneńczyku, co zginął na obcej ziemi węgierskiej bijąc się z poganami. Toć jak człowiek o tem wspomni, to się dotąd serce kraje z wielkiego żalu.....

Aleć już bądź co bądź, lepiej było Bogiem a prawdą stracić życie z rąk pogan w imieniu wiary naszej świętej, niźli dostać się w niewolę turecką. Okropnaż bo to dola była w pogańskiej niewoli czyli jak to zwano, w jasyrze! A toć przecież nie jednego, nie dwóch wlekli nieraz poganie w niewolę, ale całemi gromadami, po tysiącu porywali z sobą.

Najczęściej, to już taki nieszczęśliwy nie wrócił nigdy na ukochaną ziemię swoją ojczystą, tylko albo marnie zginął wśród okrutnych męk i pastwy pogan, albo musiał się nawet nieraz wyrzec i wiary ojców swoich. Ale zawsze bywały wypadki, że taki jeden lub drugi nieborak po długich latach wrócił zapomocą Bożą do domu i umierał na własnej ojcowiźnie.

A co za przeróżne przytrafunki przebywali biedni niewolnicy polscy u Turków! To aż nasłuchać się nie można — i gdyby to nie stało dokumentnie w xięgach, przez mądrych i poczciwych ludzi napisanych, toby nieraz człowiek i uwierzyć nie chciał.

Posłuchajcie jeno, a opowiem wam kilka prawdziwych historyj o takich nieszczęśliwych Polakach, co się dostali do niewoli pogańskiej.

A już to najpierw o panu staroście Wilczku:

Na Podolu, nad rzeką Strypą leżał zamek okazały, jak to za dawnych czasów był zwyczaj, że każdy pan możniejszy mieszkał w obronnym, fosami i armatami otoczonym dworze, aby siebie i swój ludek w razie napadu tatarskiego bronić od pogańskiej szabli i niewoli.

W zamku tym mieszkał pan starosta Wilczek. Możny to był pan, bo miał i grosza i ludzi nie mało, i zamek piękny i poważanie wszędy — a już to najbardziej za to go chwalono, że miłował swą ojczyznę Polskę nad całe swe mienie i życie. Niczego nie brakło do szczęścia na ziemi panu staroście Wilczkowi, bo oprócz włości i fortuny obdarzył go Pan Bóg żoną urodziwą i dziateczkami pięknemi, więc też żył sobie spokojnie na pożytek kraju i bliźnich.

Aż tu naraz ni ztąd ni zowąd zebrała się okrutna ćma pogaństwa na Polskę, aby ją zawojować i zniszczyć z kretesem. Było to w roku 1621. W Polsce królował właśnie Zygmunt III. Pogańcy Turki zebrali się w kupę nieprzeliczoną, a jeszcze im dość nie było, bo zaprosili sobie i Tatarów z Krymu i nuż w trzy kroć stotysięcy luda jechać na Polskę.

Już zmierzali do naszej ojczyzny pogańcy — a co tylko w Polsce miało zdrowe kości, chwytało za szablę i garnęło się pod dowództwo hetmana Karola Chodkiewicza, co to był rycerz waleczny i gdzie tylko się wróg pokazał, to go zaraz przytarł jak św. Michał Archanioł szatana.

Trudno więc było wysiedzieć w domu za piecem i panu staroście Wilczkowi. Jak tylko zabiegł go słych o nacierających poganach, zaraz się począł co tchu gotować na wojenkę, tak sobie dumając:

— Zostawię wprawdzie doma i żonę miłą i dziatki ukochane i ludek poczciwy bez opieki — ale ojczyzna pierwsza niż wszystko inne, trza jechać na wojnę i bić pogan Turków co siła, jak na poczciwego Polaka i Chrześcianina przystało!

Boć to już taki był święty zwyczaj w naszej Polsce, kochani ludkowie, że co człek miał najmilszego i najdroższego, wszystko porzucił, aby tylko nieść pomoc krajowi. To też i pan starosta Wilczek nie myślał długo, ale hajże na koń i do szabli! Żona w okrutny lament, sługi tożsamo — ba i dziatek żal serdeczny — ale pan Wilczek choć miał serce miękkie jak wosk, to przecież nie został w domu lecz ruszył ze swymi towarzyszami na wojnę.

Małać była garstka Polaków — a Turków moc taka okrutna, żeby ich czapkami zasypać mogli byli, ale nasi nie tracili serca i odwagi, ale z modlitwą na ustach i z szablą w ręku poczęli się srodze bić z Turkami w owej wielkiej bitwie pod Chocimem. I owo patrzcie kochani bracia, choć Turków i Tatarów była taka ilość mnoga, to przecież nie dali się im Polacy, ale owszem natłukli się pogan co niemiara i rozpędzili w puch na cztery wichry.

No ale cóż, gdzie drwa rąbią tam trzaski padają, legło i naszych nie mało, a zaś jeszcze więcej powlekli Tatarzy w niewolę. Owóż między tymi, co ich poganie uciekając popędzili jako jeńców ze sobą, był i pan starosta Wilczek. Bił się on za czterech, płatał Turków na lewo i prawo, że jak muchy padali dokoła, ale w ostatku opadła go czereda cała, a choć się bronił, ile sił stało, zwlekli go z konia, poranili go okrutnie, skrępowali mu ręce i przytroczywszy do konia pognali w niewolę.

Jak pognali, tak i słych zaginął o nim. Wracają nasi z wojny, a cieszą się wielce, że pogańca nakropili — ale nie jedna matka żałośnie płacze po synie, nie jedna żona mdleje za swym mężem! Taka też smutna dola spotkała i panią Wilczkowę. Jak tylko zobaczyła powracających Polaków, zaraz poczęła wypytywać o męża — a gdy się dowiedziała biedaczka, że go Tatarzy srodze poranili i z sobą zabrali tak już płaczom i żalom i lamentom końca nie było. Bo to biedna pani kochała męża jak własne życie i dziatki miała też, a do tego same maleństwo jeszcze, co jej tu tedy robić nieszczęśliwej samej na świecie?....

Mija dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku — czas płynie jak woda, a o panu staroście ani śladu, ani słychu! Jak nie wraca, tak nie wraca — zginął jak kamień w wodzie!

Dziateczki podrastają, pani starościna nie może sobie z niemi dać rady, a w domu bez pana także nie do składu jakoś idzie. Pani Wilczkowa kłopocze się i suszy głowę, co tu robić bez męża i opiekuna, a pana starosty jak nie ma tak nie ma.

Naraz zjeżdżają się i krewni i sąsiedzi pani starościny, ta radzą jej aby drugi raz poszła za mąż. Pani Wilczkowa zaś na to:

— A jakżeż mi to biednej uczynić, mąż mój może żyje jeszcze i wróci do domu!...

Krewni kiwają głowami i mówią:

— Dziecko z ciebie, pan starosta albo zginął na wojnie albo się w niewolę dostał, czy tak czy tak wszystko jedno, pewnie już nie żyje i prędzej niebo jak dom swój obaczy!

Zaś sąsiedzi mówią:

— Młodaś jeszcze i liczka masz krasne i mienie wielkie i dziatki maleńkie — trzeba ci męża i pana. Mąż twój już nie żyje pewnikiem, jak amen w pacierzu leży już w grobie, daj na mszę za jego duszę, i idź za mąż, już się długo naczekałaś!

A tu co raz nowi konkurenci zjeżdżają do dworu, a każdy na dziarskim koniku, a młody i piękny aż miło, czarny wąsik podkręca i karabelą potrząsa i młodą wdówkę o białą rączkę prosi.

Młoda pani myśli i myśli, waha się i waha, aż nareście przemogły namowy i poszła po raz drugi za mąż. Jest owo mąż uczciwy we dworze, jest pan we włości, głowa w domu, fortuna się mnoży, dziatki w łasce Boga rosną zdrowe jak rydze i tylko z opowiadania matuli zasłuchują coś o nieboszczyku ojcu.

I znowu czas płynie, znowu lata mijają, a synek pana nieboszczyka starosty, co go ojciec jadąc na wojenkę, w pieluchach odbieżał, już chłopak szesnastoletni. Już też ani spominki nie ma o panu staroście Wilczku, wszyscy go mają za

umarłego i chyba kiedy syn zapłacze nad ojcem i nad losem jego żałośnym.

Tak stoją rzeczy, kiedy jednego wieczora przychodzi do zamku pielgrzym jakiś ubogi. Na sobie ma płaszcz czarny zakonny, w ręku kostur podróżny, długa broda spływa mu na piersi, a po twarzy mu widać, że wiele, bardzo wiele utrapienia przeżył na świecie.

Puka do wrót zamkowych, otwierają mu pachołcy, wypytuje się o panią, opowiadają mu że poszła drugi raz za mąż i jest zdrowa i szczęśliwa a dziatki także. Pielgrzymowi łzy stanęły czegoś w oczach, twarz zchorowana bardziej mu jeszcze zbladła, trzęsie się jak osika i każe się prowadzić przed państwo.

Państwo witają go łaskawie, pytają zkąd idzie.

— Oj z daleka, z daleka! — odpowiada pielgrzym — aż z ziemi pogańskiej, z Krymu!

I patrzy na gospodynię, a z oczu łzy mu się toczą i patrzy na dzieci, a nogi pod nim drżą, że mało nie upadnie.

Żal się państwu zrobiło pielgrzyma i rzeczą:

— Musieliście się znużyć i zmordować okrutnie, pójdźcie odpocząć, zjemy razem wieczerzę!

Wnet i wieczerzę zastawiono, pielgrzym zasiada z państwem, ale nic nie je od jakiegoś serdecznego żalu, czy z radości.

— A co tam słychać na pogańskiej ziemi? — pyta starościna.

A pielgrzym na to:

— A cóżby? źle bardzo! Dużo tam naszych w niewoli, gorżko biedują, a poganie jak bydłem nimi poniewierają. Ale Bóg łaskawy i oto jaki taki wraca już znowu do swoich!

Zbladła pani starościna, zbladł i jej małżonek nowy i milczą. A ów syn sierota, co go pan starosta zostawił jeszcze w kołysce, ociera sobie łzy z pięknego lica i pyta:

— Oj powiedzcie, powiedzcie staruszku, co o tych nieszczęsnych niewolnikach!... Być tam musi i ojciec mój kochany, co go Tatary pod Chocimem gdzieś zabrali!

Jak ci to usłyszał pielgrzym, tak nie mógł się już dłużej powstrzymać, zrywa się z siedzenia, ze łzami w oczach rozciąga ramiona i woła:

— Synu mój!

Chłopię poskoczyło także i leci do ojca, ale pielgrzym tymczasem upadł na ziemię....

Lecą wszyscy do niego, i pan pobladły i pani przerażona, która w nim swego męża poznała — ale już na darmo, pielgrzym z radości i żalu oddał ducha panu Bogu!...

Był to nie kto inny, tylko sam pan starosta Wilczek, co przez długie lata był w pogańskiej niewoli, aż nareszcie wyrwawszy się z rąk pogan, wrócił do ojczyzny....

Poznali go teraz wszyscy, ale był już trup. Dopieroż żona w płacz i lament, że mężowi wiary nie dochowała, mało jej serce nie pękło, bo była to pani dobra. Ale wszystko przepadło, pana starostę pochowano wśród żalu znajomych i poddanych, a ludzie z podziwu w głowy zachodzili nad tym przytrafunkiem.

Zaś pani starościna nie chciała już żyć z drugim mężem, opuściła go zaraz i poszła do klasztoru, a tam modliła się gorąco do Boga, żeby jej grzech przepuścił, który tylko z namowy i niewiadomości popełniła.

Taka to była historya z panem starostą Wilczkiem. Zaś w dalszych numerkach opowiem wam jeszcze inne ciekawe przytrafunki Polaków w niewoli pogańskiej.

Nasza Polska.

Daleko, daleko,
Te wody już cieką,
Przy których widziałem,
Co tu wyspiewałem.

Co po wsiach się włóczył
I piosenek uczył;
Ale w myśli mojej
Wszystko żywo stoi.

I dęby spruchniały,
Co przy chacie stały,
Pod których konary
Siadał dudarz stary,

Sosna rosochata,
I na łące rzeczka,
Kędy jaskółeczka
Latała skrzydlata;

A białe gołębie
Siadały na dębie;
A w oknie siadała
Panieneczka biała,
Co pieśni spiewała.
Ach! w niebie kraj taki
Jak nasze równiny,
A jakie chłopaki,
A jakie dziewczyny,
Ach Boże jedyny!

A Wisła, ta rzeka
Co w morze ucieka,
Co siwa u brzega
A modra z daleka,
Gdzie płynąc na tratwie
Flis przygrywa dziatwie,
I wiezie na morze
Mazowieckie zboże
Ach Boże mój, Boże!

A każdziuchne pole
Równe jak po stole
To jak z ciepłą wiosną
Pszenice porosną,
A zboże kłosieje,
A wiater powieje:
To zda się w tem zbożu,
Że płyniesz po morzu,
Tak wietrzyk kłosami
Buja jak falami.

Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy
Choć człowiek ubogi,
A jednak szczęśliwy!

I takiej natury,
Że się nie oddali,
Choćby mu dawali
Nawet złote góry!

Zielona dąbrowa
Stado koni biega,
A jak się wierzbowa
Fujarka rozlega!...
A jak się tam bawią,
Jakie bajki prawią!...
To też dawniej było,
Wszystko się bawiło;
Tak w tym kraju miło!

Teraz tam inaczej
Teraz nie zobaczy
Tych wszystkich radości,
Same tam żałości.
To po dawnych dworach
Srebro stało w worach,
Na srebrze jadali,
W jedwabiach chadzali,
Dziś jadają z gliny,
Mój Boże jedyny!

Lecz choć nie ma wiela
Bogactwa, wesela,
Chociaż więcej biedy
Niźli było kiedy;
Wspomnij jeno komu,
Że ma odejść z domu,
I z domu i z kraju:
Łzami się zaleje...
Na śmierć zatęschnieje
Po rodzinnym kraju!...

Teofil Lenartowicz.

Poniedziałek.

Opowiadanie Jana z nad Sanu.

Znaliście przecież wszyscy Sebastyana ze Skołoszowa. Był to mielnik, jakiego na dziesięć mil w okolicy nie było. Bo czy to młyn komu naprawić, czy wodę dobrze spuścić, czy

wreszcie skrzynię lipową tak zrobić, aby złodziej do niej się nie dostał, wszystko to potrafił mielnik Sebastyan ze Skołoszowa. A sam przecież był prosty chłop. Ojciec zostawił mu tylko siekierę w spuściźnie, którą na życie zarabiał, stawiając karczmy a podpierając cerkwie. Ale Sobek był to sprytny chłopak. Wszędzie zajrzał i podglądnął, co kto robił i sam zaraz próbował. Nauczył się więc ciesielki i trochę stolarstwa, umiał koło obłożyć i dyszel przyprawić, a nawet kilkom sąsiadom postawił piece i Szmulowi na Widaczu komin do połowy wymurował.

I tak rozmyślając i ucząc się od wszystkich czegoś, pomyślał sobie: Po cóż ja będę wszystko ręką i siekierą robił, aby na życie zapracować? trzeba coś zrobić, coby samo potem na mnie robiło!

I tak myślał i myślał, chodząc po nad rzeczką, która do Sanu niedaleko jego gruntu wpadała. Aż razu jednego stanął przy starym młynie i zaczął mu się przypatrywać.

— A tam do kata! zawołał, taż to licho samo się obraca, i samo na człowieka pracuje!

Od tego czasu nie miał już Sobek spokoju ni we dnie ni w nocy. Ustawicznie widział przed swemi oczyma ogromne młyńskie koło, które obracało się z takim łoskotem, że aż serce z radości skakało. A woda tak się rozpryskiwała na wszystkie strony, i takie szklanne perełki sypały się w górę, jakie tylko można w kieliszku wódki widzieć, gdy ją Szmul z Widacza w poniedziałek przy targu nalewa!

Sobek nie spał ani nie jadł, tylko robił i robił to siekierą to hyblem, póki grosza sporo nie uzbierał. Potem wybrał się do Jarosławia i niby prosty chłopek najął się z siekierą do Czecha, który właśnie młyn stawiał. Tam przypatrzył się wszystkiemu, ukradkiem wymierzył wszystkie koła i walce, widział jak wodę spuszczali, aby ją oszczędzić i wszystko dobrze sobie spamiętał. A nim kilka lat upłynęło, Sobek kupił stary młyn na Skołoszowie, i sam własną ręką przebudował go z gruntu. Sąsiedzi nie mogli się nadziwić sprytowi Sobka, który wszystko, czego się tknął, tak zrobić umiał jak najlepszy majster z Warszawy, gdzie to dawniej mieszkał nasz król polski, który mocno o to się starał, aby w kraju byli dobrzy rzemieślnicy.

I tak za lat kilka szczerej i wytrwałej pracy przy pomocy Boskiej miał Sobek młyn pod gontem, a hałas i tartar rozlegał się z niego dniem i nocą na całą milę w około, osobliwie w maju po rosie. Sobek chodził w porządnej, siwej kapocie już trochę z waszecia, a policzki miał tłuste i rumiane jak wójt z Radymna. I lazło jak to mówią, szczęście do młyna Sobka drzwiami i oknami, a Sobek chwalił pana Boga i pracował dalej, nie bacząc na to, że już sam młyn dla niego pracował.

Tak minęło dużo, dużo lat. Co raz więcej grosza przybywało do skrzyni lipowej, a chociaż i dziatwy przybywało Sobkowi, to przecież nie troszczył się dla tego, bo wiedział, że po śmierci jego wystarczy dla wszystkich.

Anioł-stróż wprawdzie jest wesół, kiedy człowiek poczciwie żyje i pracuje, ale szatan zą to gniewa się i złości, i przemyśliwa nad tem, jakby to poczciwego człowieka z dobrej drogi sprowadzić i do złego namówić. A niektóry oprze się tym złym namowom, bo chociaż Pan Bóg mógłby złego ducha od człowieka za dziesiątą górę odepchnąć, to przecież nie czyni tego, bo człowiek ma wolną wolę i wolno mu między złem a dobrem wybierać. Pan Bóg powiada mu tylko co złe a co dobre, i wedle tego sądzić go będzie na sądzie ostatecznym.

I tak przystąpił zły duch do Sobka i zaczął mu do lewego ucha szeptać: Po cóż tąk biedujesz a nic nie używasz? Sześć dni robisz jak wół w pługu, a w siódmym dniu idziesz do cerkwi, aby drzemać podczas długiego kazania xiędza wikarego a potem aż do wieczora nudzisz się, bo młyn stoi, a ty żadnej nie masz rozrywki. Głupi Sobku! wszak trzeba używać, co człek sobie zarobił, alboś ukradł albo co? Alboś ty nie pracował gorzko na to? Kieliszek wódki u Szmula nie zawadzi, a w niedzielę ma Szmul szabasówbę, która mu się z soboty została!...

Tak i tym podobnie szeptał zły duch Sobkowi do ucha, gdy tenże po nabożeństwie koło Widacza przechodził, a Sobek skubał się w głowę i spluwał, jakby już w gębie czuł szabasówkę Szmula.

Razu jednego zaprosił Sobka na Widacz kum i sąsiad. W karczmie było nadzwyczaj wesoło. Muzyka grała, chłopi

pili, baby spiewały. A kiedy Sobek jeden i drugi kieliszek do góry przewrócił, rozjaśniało mu niebo przed oczyma, choć na dworze deszcz padał, a czarne chmury gnały od zachodu. Po trzecim kieliszku zaczął sobek spiewać, a po czwartym stał już w tańcu i wybijał podkówkami, aż szyby na Widaczu brzęczały. Szmul był nadzwyczaj gościnny i usłużny. Dolewał, kłapał patynkami i gładził sobie brodę.

Późną nocą wrócił Sobek do młyna. Żonka i dzieci nie jadły obiadu, a płacz i obraza boska rozlegały się po młynie daleko głośniej, jak w dnie powszednie łoskot i tartas kół młyńskich.

Nazajutrz wytrzeźwił się Sobek i puścił młyn. A gdy stał koło kosza, zdawało mu się, że kosz bełkocze do niego:

— No cóż z tego, żeś się trochę zabawił! Wszak ty pracujesz na to. Trzeba rozerwać się, trzeba, a przecież miarka nie zawsze się przebiera! A chociaż się czasem i przebierze?...

Sobek pokręcił głową i rzekł do siebie:

— Kosz dobrze mówi, ale nie ze wszystkiem. Można się trochę zabawić, ale miarki nie trzeba nigdy przebierać. Gdy mierzysz pszenicę a z czubem nasypiesz, to ziarna na ziemię spadają, a szkoda ich. Do karczmy pójść nie zawadzi, ale przed wieczorem trzeba przyjść do domu, aby nie było obrazy boskiej.

I tak co niedziela chodził Sobek do karczmy, aby z kumem lub z sąsiadem pogwarzyć i kieliszek wódki wypić, zawsze jednak uważał na to, aby wcześnie do domu powrócić i obrazy Boga nie robić.

A zły duch śmiał się po cichu i stroił sobie żarty z Anioła-stróża, który stał po drugiej stronie Sobka i smutny był, że Sobek już na złą drogę wchodził. Modlił się tylko gorąco do Boga, aby biednemu grzesznikowi użyczył sił do odparcia pokusy czartowskiej, a w miarę jego modłów jaśniej i widniej robiło się w głowie Sobka, z czego zły duch mocno się gniewał.

Każdy grzech jest to jak wielka maszyna do młócenia zboża. Włóż tylko palec, a ona wciągnie ci całą rękę. Tak samo stało się i z Sobkiem. Chciał on z razu tylko kieliszek wódki z kumem wypić u Szmula, a gdy kilka miesięcy upły-

nęło, Sobek pił każdej niedzieli do późnej nocy, powracał do żonki i dzieci pijany, i znowu była obraza boska, aż się sąsiedzi zbiegali.

Nie dosyć na tem. Przespawszy się trochę, wracał w poniedziałek rano znowu do karczmy, i pił tam znowu dzień cały. Wspomnienia bowiem wczorajszej hulanki były zbyt świeże i tak go nęciły, że nie mógł tego sobie odmówić, aby do karczmy nie wrócić! Tam zastał zawsze kilku próżniaków i włóczykijów, którzy mu schlebiali, bo Sobek miał pieniądze i wszystkim płacił.

I tak nieznacznie przeszło mu to już w nawyczkę i stało się drugą jego naturą. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai, a najsnadniej do grzechu. Sobek zaraz po nabożeństwie szedł do karczmy i pił do późnej nocy. W poniedziałek były poprawiny i jeszcze większa obraza boska, a we wtorek dopiero wytrzeźwiwszy się wracał do pracy. A młyn tymczasem cały poniedziałek stał spokojnie jakby zakuty, żadne koło się nie ruszyło, a nawet woda gdzieś cichaczem uciekała, że jej nawet widać nie było. Żydzi, którzy w poniedziałek ze zbożem do młyna przyjechali, musieli czekać do wtorku, aż się mielnik wytrzeźwi. Ztąd było wielkie narzekanie, a często i obraza boska, bo pijany Sobek rozbijał żydów, gdy który w poniedziałek chciał mleć żyto we młynie.

I tak wiele lat upłynęło, a młyn Sobka słynął na całą okolicę, że w poniedziałek żaden żyd ze zbożem nie śmie się tam pokazać, bo cały dzień mielnik pije na Widaczu, a natrętnych z guzami do domu odsyła. I może jeszcze po dziś dzień truchleliby żydzi z Jaworowa na wspomnienie tego fatalnego poniedziałku, gdyby nadzwyczajne nie było zaszło zdarzenie, o czem wam na drugi raz opowiem.

Proceśniki.

II.

W przeszłym numerku opowiedziałem wam, drodzy ludkowie, gadkę o kmieciu Pływaczu, co się procesował o podkowę, a przegrał konia. A jak sam własnemi oczyma patrzyłem na

tę sprawę, tak znowu mógłbym przysiądz z czystem sumieniem, że gdzie tylko pozywają i procesują się ludzie o rzecz jaką marną lub niesprawiedliwą, tam zawsze cały proces kończy się na tem, że obie strony stracą całą ojcowiznę i grosz zapracowany, jak batem trzasł. I cóż potem?... Potem to chyba jeden lub drugi taki zawalidroga przed własnem sumieniem sobie samemu wyda proces, że z głupoty i koźlego uporu mienie zmarnował a figę wygrał!

Nie byłoby tyle procesów i proceśników na bożej ziemi, gdyby nie niepoczciwi ludzie, co dla własnego zysku szczują i bechtają poczciwego człeka. W każdem prawie miasteczku i w niejednej nawet wioszczynie włóczy się oberwus jakiś, już to najczęściej nie swojak, ale opętaniec jaki ze świata, co nawet naszej poczciwej mowy dobrze nie rozumie. Taki oszust takci umie dogadywać i namawiać, tak pochlebiać i takie złote góry obiecywać, że koniec końcem niejeden poczciwy człeczysko da się złapać na wędę i pocznie się procesować.

— Słuchaj no Walku — mówią tacy podżegacze — ten spłacheć ziemi, co leży za miedzą Andrzeja Rzepki, to Bogiem a prawdą patrzy się tobie a nie komu innemu. Gdybyś miał rozum w głowie, to wydałbyś proces Rzepce i odebrał grunt. Jabym ci pomógł do tego....

A głupi Walek złakomi się zaraz na własność sąsiada i już gotów do procesu. Zaś podżegacz nie przestanie, aż Walkowi do reszty głowę zawróci. Potem wyciąga z Walka grosz po groszu, a gdy go wyssie jak pijawka, wtedy powie:

— Dalibóg, że grunt byś wygrał jak nic, tylko na to pieniędzy potrzeba, a ty ich już nie masz! Szkoda! wielka szkoda! Rzepka będzie się śmiał z ciebie, żeś mu nic zrobić nie potrafił!...

A Walek zatumaniony do reszty biegnie do żyda, pożycza pieniędzy i pcha w oszusta jak w worek dziurawy. Dziś na dokumenty, jutro na stęple, pozajutro znowu na coś innego. Walek pożycza a pożycza, płaci procenta a płaci, pcha w trutnia i pcha co się wlezie, aż w końcu i z kwitkiem pójdzie z sądu, bo się niesłusznie prawował. A gdy pocznie liczyć, ile stracił na proces, to się pokaże, że za te pieniądze byłby

sobie trzy razy tyle gruntu kupił, niż ten spłacheć ziemi, co go chciał niepoczciwym sposobem wydrzeć od Andrzeja Rzepki.

A zawsze znajdzie się drugi głupi, co mimo przykładu na innych da się obałamucić znowu niecnocie podżegączowi. Owo jednemu człowiekowi się nie dziwuję, że nie ma rozumu — ale wstyd aż patrzyć uczciwemu człeku, kiedy nawet gromada cała, co to przecież wielki człowiek, da się skusić pierwszemu lepszemu włóczykijowi.

— Ten kawałek lasu, co leży nad potokiem, to nie czyj inny tylko wasz — będzie plótł truteń — powinniście go koniecznie odebrać dworowi. I ta łąka za groblą, to też nie dworskie, tylko tak do gromady należy, jak głowa do karku. Gdyby za tem pochodzić, jak się patrzy, tobyście pewnie swoje odebrali....

I nuż dogadywać i judzić, aż gromada wyda proces dworowi i prawuje się zaciekle przez czas długi, a w końcu tak zobaczy las i łąkę, jak ucho własne. Kto jej potem wróci grosz krwawo zapracowany? Kto naprawi zgorszenie ludzkie? Kto zrobi nazad zgodę między nią a dworem?

Ale chybaby Boga nie było, żeby taki oczajdusza i przybłęda, co ludzi poczciwych na złe kusi, nie doczekał się za swoje Nie dość, że mu jaki taki biedny człowieczysko, którego swą brzydką namową na dudka wystrychnął, porządnie ostępluje skórę — ale go i sam Pan Bóg nieraz ciężko za to pokarze.

Oto opowiem wam historyę o jednym takim pisarzu, co nic przez całe życie nie robił, tylko kłócił ludzi i do procesu ich namawiał. Zwał się on Ficel i nie był jak inni porządni ludzie, jeno jakiś oberwaniec nieswojski, z dalekiego gdzieś świata. Żalże się Boże! co ten Barabasz Ficel nie ponarabiał licha między ludkiem uczciwym! Co nie napłatał psikusów, co nie nakłócił ludzi, co nie naoszukiwał, nie nazwodził! A wszystkich jeno przez to, że ich do niesłusznych procesów namawiał. Gorzko nań płakało wielu ludzi — i Bóg go też pokarał nie pomału.

Ale jak Ficel mięszał i niszczył zgodę między ludem, tak mu Pan Bóg pomięszał i zniszczył mózg w głowie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w końcu poznali jakoś wszyscy,

z jakiego to gniazda ptaszek ten Ficel, i już ci chyba okrutnie siarczystego potrzeba było głupca, aby mu się dał do jakiego niechrześciańskiego procesu nakłonić.

I tak się nadarzyło w ostatku, że nikt a nikt nie chodził po radę do Ficla i nikt też prawować się za jego nieczystą pomocą nie chciał. Brakło owo urwipołciowi grosza, a ztąd zgryzota wielka go naszła. Począł pić okrutnie, lał w siebie wódkę, jak w suchy piasek, aż nakoniec z kretesem odszedł od rozumu.

I na toć wyszło w końcu, że Ficel nie mając się już z kim prawować, prawował się sam z sobą.

A owo tak:

Gdy się oczajduszy w głowie przewróciło, takci mu się zaraz ubrdało, że jest dwóch Ficlów na świecie. A że miał dwa imiona Jakób po chrzcie św., a Rafał po sakramencie bierzmowania, więc też w swoich waryackich myślach dumał sobie:

— Jakób Ficel i Rafał Ficel — Ja jestem Jakób Ficel i porządny człowiek — a ten Rafał Ficel to hycel i oberwus i nicpoń i szurgot okrutny! Trzeba temu Rafałowi Ficlowi wydać proces!

I jak pomyślał tak też szalony zrobił. Napisał do cyrkułu, jako Jakób Ficel oskarża Rafała Ficla o to i o to — a już dalipan nie pamiętam co ten waryat sam na siebie tam popisał.

Zaś jak napisał już skargę — to znowu mu się tak na opak marzyło:

— Ja jestem Rafał Ficel, a ten zawalidroga, drab, hultaj Jakób Ficel opisał mię do cyrkułu! Ale nasolę ja jemu! Trzeba zaraz oskarżyć Jakóba Ficla.

I ano patrzcie, kochani ludkowie, opisał znowu na czem świat stoi do cyrkułu niby to jakiegoś Jakóba Ficla! Ano cóż kiedy na jednej skardze nie poprzestał oberwaniec, tylko ciągle Jakób Ficel skarżył na Rafała Ficla — Rafał Ficel na Jakóba Ficla i tak dalej.

W cyrkule łamią sobie panowie głowę — co to za dwaj hultaje tak się okrutnie procesują? A tu skarga idzie za skargą, jak woda — co Jakób Ficel osmaruje Rafała Ficla, to Rafał Ficel jeszcze bardziej przystawi stołka Jakóbowi Ficlowi. Rosną

papiery stosami jak podolska kukurudza — jużci ich tyle co śmiecia na gnoisku. A tu ciągle i ciągle Ficel skarzy na Ficla.

Panowie w cyrkule rada w radę co tu robić z tymi dwoma urwiszami, aż ci nareszcie wyszło na to, że wysłali komisarza, aby sam pojechał do miasteczka, gdzie mieli mieszkać ci obaj Ficle i na miejscu tę sprawę załagodził.

Komisarz przyjechał i stanąwszy w miasteczku przywołał najpierw Jakóba Ficla do sprawy.

Szalony proceśnik stanął przed komisarzem i obstawał przy swojem, co już był popisał do cyrkułu. Krzyczał jak opętaniec:

— Panie komisarzu! Ten Rafał Ficel to urwisz na wielki kamień, oszust i hultaj jakich na świecie mało! Aleć ja już muszę mu koniecznie dojechać! Musi szelma pójść do kryminału! Co musi to musi! A jak mi pan komisarz nie da prawa, to ja rychtyk do Wiednia będę pisał!

Komisarz pokiwał łysą głową, potarł czerwonego nosa i mruknął coś z niemiecka a potem rzekł:

— No, no! idź waszeć do domu.

Skoro odszedł szalony oczajdusza — kazał komisarz przywołać owego Rafała Ficla, aby już obie strony po ludzku wysłuchać.

Aż tu drzwi się roztwierają i wchodzi znowu ten sam Ficel.

— Czego chcesz? huknie komisarz — wołałem Rafała Ficla a nie Jakóba.

A Ficel zaś na to:

— Ja rychtyk jestem ten Rafał Ficel! Ten łotr Jakób Ficel opisał mnie i oczernił przed cyrkułem, ale dam ja jemu bobu! Panie komisarzu co tu ten urwipołeć Jakób Ficel nagadał to wszystko brechnia wierutna! To gałgan i cygan!

Komisarz wlepił oczy w waryata i tak się zatumanił, że długo nie wiedział sam co robić. Aż ci dopiero po chwili połapał się, o co tu chodzi i że ten Ficel zwaryował i sam z sobą się procesował.

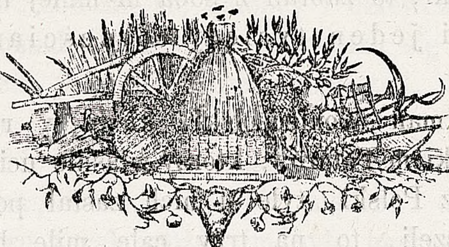
Oddano tedy Ficla do szpitalu waryatów i tam marnie zeszedł ze świata! Tak to kończą proceśniki! *W. ze Sm.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X.  Nr. 16.

1. czerwca 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

II.

O Rusince, co została sultanką turecką.

Już w historyi pana starosty Wilczka opowiedziałem wam, kochani bracia, ile to ludzi nieszczęśliwych pędzili z sobą w niewolę poganie. Teraz wam jeszcze dopowiem o tem słów kilka.

Skoro kiedy Tatarzy wpadli na naszą ziemię polską, to już o nic tak się bardzo nie udzierali, jak o to, aby co największą liczbę ludu pognać za sobą. A choć nasze wojsko nieraz rozbiło na wszystkie boki pogaństwo, to mimo to nie można było zaradzić złemu, bo przebrzydłe Tatarzyska, uciekając co tchu przed szablą polską lub spisą kozacką, wlekli za sobą i pochwytanych chrześcian.

A cóż dopiero wtenczas, kiedy się nasi wojacy trochę opóźnili z ratunkiem! Toć nieraz bywało, że Tatarzy po kilkadziesiąt tysięcy polskiego ludu jak bydło gnali do Krymu!

Stoi to wyraźnie i dokumentnie zapisane w starych xięgach, że kiedy bardzo dawnego czasu, bo kilkaset lat temu wpadli Tatarzy do Polski, to zabrali z sobą ni mniej ni więcej tylko dwadzieścia i jeden tysięcy chrześcian do niewoli, w jassyr.

A sam hetman Koniecpolski, kiedy w r. 1624 dopadł z polskiem wojskiem Tatarów, którzy właśnie uciekali z łupami i niewolnikami z Polski, tyle u nich zastał polskich jeńców, że jak iść poczęli, to na trzy całe mile była długa ich procesya.

Zaś najbardziej to już biedny ludek wiejski utrapiony był przez pogan. Bo to nim nadbiegło wojsko na obronę, Tatarzy już tysiącami nałapali chłopków i pędzili do Krymu! Mocny mój Boże! co to za płacz, co za narzekanie rozlegało się aż pod niebiosa, kiedy tatarskie rozbójniki wpadli do wsi, chaty popalili, starców pomordowali, a wszystko co młodsze ze sobą porwali!... Już co tego, to ani wam opisać nie potrafię.

A Tatarzy niewiary tak się już byli rozłakomili na lud polski, że ani rusz było się ochronić od niewoli. Wpadali ogromnemi zgrajami na wsie, rozsypywali się jak liście w jesieni i nuż wszędzie łapać ludzi, ile było można!

Aby zaś najlepiej udało im się polowanie, to wybierali się najczęściej na rabunek w jesieni. Bo to nie potrzeba wam o tem mówić, że jak poczciwy kmieć pozbiera sobie plonek boży z pola, jak gorzką swą pracę zwiezie pod strzechę, to radby odpocząć i pobawić się trochę.

Jaki taki chudzina ma córkę na wydaniu, to jej na jesień wesele wyprawia. A że to Tatarom najbardziej podobali się młodzi chłopcy i hoże dziewuchy, więc czychali jak wilki, aby wpaść wtedy do kraju, kiedy się najwięcej wesel odbywać miało.

Wtedy to chwytali całe wesela od razu — pędzili za sobą państwo młodych, drużki, swachy i wszystko, co tylko szło za weselem. Nieraz to wpadłszy niespodzianie, 70 wesel, jak jedno zabierali w niewolę! Co to więc było ogromnego płaczu i lamentu, to już wam i opowiadać nie potrzebuję.

To też i ludek wiejski poszedł po rozum do głowy, ta i ratowali się biedacy jak mogli. Skoro tylko słuch nadbiegł o napadzie pogan, zbierali się chłopcy i dziewczęta razem w jedną wielką gromadę i już nie rozchodzili się do swych chat, jeno w otwartem polu całą noc przepędzali, aby zaraz, jak się tylko Tatar jaki pokaże, uciekać w góry i lasy.

Ale i to nie zawsze pomagało, bo Tatarów ćma zawsze była niesłychana, a takie to były mądre i chytre okrutniki, że nie tak łatwo z rąk można im było umknąć.

A już to najbardziej dziewcząt gorzka była dola! Która tylko była młoda i hoża, i piękne miała lica, to każdy Tatar gonił za nią jak wściekły i brał z sobą w niewolę. Potem zaś rachowali nachwytane dziewki, rozdzielali na części i posełali w podarunku albo starszym tatarskim albo nawet samemu cesarzowi tureckiemu, co go zwą sułtanem.

Wtedy to już takie dziewczę niebożątko nie ujrzało nigdy w życiu ani ziemi swej polskiej, ani rodziców kochanych, ani strzechy rodzinnej!... Marniała biedaczka między poganami, ta i zatęskniła się na śmierć w końcu!...

Ale zdarzało się nieraz, że taka w niewolę wzięta dziewka, co ją nazywano branką, dziwne przebywała przytrafunki a nieraz to i wielką panią między Turkami została. No już to mówiąc Bogiem a prawdą nikt tam jej takiego szczęścia nie pozazdrościł — bo bez ojczyzny i wiary świętej człowiekowi żadne szczęście i bogactwo niemiłe.

Jednakże dla ciekawości opowiem wam, kochani ludkowie, przytrafunki jednej Rusinki, co ją za młodu wzięli Tatarzy w niewolę.

Niedaleko Stryja mieszkał sobie pewien xiądz ruski. Chudo tam było koło niego, ale już co jak co, to córkę miał nielada. Bo to dziewucha była szwytka jak łania, smukła jak kalina, rumiana jak jagoda! Ale za nic cała uroda przed tym rozumem, co go dziewczyna proboszczowa miała w głowie. To też później pokazała, że nie brakło jej na sprycie i przebiegłości.

Ale taki to na świecie już obyczaj, że jak co sądzi wola Boża, to ani rozum ani uroda nie pomogą, jak umarłemu ka-

dzidło. Tak się też stało i z córką xiędza ruskiego z pod Stryja.

Było to w r. 1520. Jak zwykle tak i tym razem wpadli Tatarzy hurmą nieprzeliczoną niespodziewanie do Polski i swoim zwyczajem najbardziej zaczęli się upędzać za niewolnikami.

Trafiło pogaństwo i na biednego xiędza ruskiego. Nie było tam co zabierać z majątku — ale piękna córka xiędzowa lepiej się podobała bisurmańcom niż złoto i klejnoty. Porwali tedy nieszczęśliwą dziewczynę od ojca i matki i powlekli ze sobą. Lament rodziców był okropny, dziewczę też odchodziło ze strachu i żalu od rozumu — ale cóż robić, głową muru nie przebije.

Nabrawszy moc ludu w niewolę uciekli Tatarzy z Polski, i dopiero za granicą poczęli się cieszyć i odpoczywać po wyprawie. Rozłożyli się na dolinie jak mrówie i poczęli obozować, jak to w spiewance stoi:

Dnia trzeciego z ranną rosą
W step Tatarzy się poniosą
Pasą konie, klącze doją...

A radując się z bogatych zdobyczy poczęli Tatarzy dzielić pomiędzy siebie pojmanych chrześcian. Osobliwie zaś darli się za dziewczętami. Gdy przyszło na ową porwaną córkę xiędza ruskiego, swarzyć się poczęli okrutnie, komu ją przeznaczyć.

— To dla mnie! — wołał jeden starszy tatarski.

— Nie! na brodę proroka! — wołał drugi — ona musi do mnie należeć!

W tem zbliżył się najstarszy ze wszystkich i rzekł:

— Zasie jednemu i drugiemu, ta dziewczyna dla samego padyszacha, dla sułtana!

I zaraz kazał ją wieźć osobno, a gdy przyszli do Krymu, odesłał najstarszy z Tatarów, co się zwał chan, jak np. król u nas, córkę ruskiego xiędza wraz z innemi nachwytanemi polskiemi dziewuchami do samego sułtana czyli cesarza tureckiego.

W Turcyi był wtenczas sułtanem Soliman, pan okrutny i chciwy krwi chrześciańskiej. Ale Rusinka miała już snać takie szczęście, że nawet z takim okrutnikiem dała sobie radę.

Jak się poczęła wdzięczyć i przymilać piękna dziewucha, tak sułtan turecki zakochał się w niej aż po uszy i koniec końców obrał ją sobie za żonę.

I tak biedna dziewczyna, córka xiędza ruskiego została cesarzową turecką! A że baba była sprytna i obrotna, to tak umiała zawsze wodzić za nos sułtana, że nie on, ale ona rządziła całem państwem.

Zabiegła o tym dziwnym przytrafunku wieść i do Polski, ale nikt nie chciał temu wierzyć, aż dopiero później przekonano się dokumentnie, że to wszystko prawda rzeczywista.

Zdarzyło się bowiem, że król polski Zygmunt Stary musiał posłać do Turcyi jednego pana polskiego, Opalińskiego, aby się z sułtanem rozmówił w rozmaitych interesach. Jak tedy przyjechał Opaliński do Turcyi i do samego głównego miasta, Stambułu, tak zaraz rozpytuje się, jakby tu najlepiej pogadać z cesarzem. Powiadają mu, że jeżli chce akuratnie wypełnić wszystko dobrze, to nie tylko do cesarza ale i do jego żony trzeba się udać z prożbami.

I dopiero z wielkiem swojem zdziwieniem dowiedział się poseł polski, że żoną cesarza tureckiego jest Polka rodem z pod Stryja. Potem dopiero uwierzyli wszyscy, co opowiadano o tej córce ruskiego xiędza z pod Stryja.

Zaś żona tureckiego cesarza, którą zwano Roxolana, żyła jeszcze długo na tronie tureckim, a gdy umarła, wystawił jej cesarz turecki Soliman przepyszny grobowiec, jako najukochańszej z swych małżonek.

NIEPISMIENNY.

(Gawęda ludowa.)

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy panowie pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie
Wszystko bym wiernie kładł na papierze,
Dumka po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym naprzód wszystkie sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptasząt słóweczka,
Ranne skowrónka *Zdrowaś Marya;*
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem mrucząc sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło.
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze! jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę!
Karta zrozumie, piórko wypowie.
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:

Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy jakby mur ścienny...
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny!

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi co chce dokaże.
Ja — daj mi piórko, naucz niem władać, —
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę poczę powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany,
Xiążkę modlitew, taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany,
Możeby łezkę wyronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze! —
Tożto polecę, człek niepiśmienny!

Wł. Syrokomla.

Poniedziałek.

Opowiadanie Jana z nad Sanu.

(Dokończnnie.)

Wypadek, który Sobka spotkał, nie był zresztą tak nadzwyczajnym. Przytrafia on się każdemu człowiekowi raz w życiu a wtedy krewni kładą go do trumny, zabijają wieko i chowają do ziemi.

Otóż taki wypadek spotkał i Sobka. Wracając bowiem razu jednego z Widacza, (a było to jak zazwyczaj w poniedziałek) szedł wązką ścieżką po nad brzegiem rzeki, zataczając się to w lewo to w prawo. Zdawało mu się przy tem, że bije się z sąsiadem swoim Maciejem Starką. Wymachiwał więc rękami

na wszystkie strony, jakoby bił swego przeciwnika. A kiedy właśnie pod trzecie żebro chciał mu kułaka wsadzić i mocno w tym celu na lewo się przechylił, poczuł nagle, że lewa noga straciła grunt, a za lewą nogą poszła i prawa, a wnet za nogami podążył i cały Sobek i zaczął lecieć w jakąś okropną, bezdenną przepaść.

Leciał i leciał i końca temu nie było, i westchnął wreszcie do św. Sebastyana patrona swego i do Maryi, opiekunki utrapionych. Musiało to jednak już być za późno, bo Sobek uczuł jak najwyraźniej, że czubkiem głowy dotknął się jakiegoś zimnego kamienia, poczem trzasło mu coś w karku i na tem koniec.

Tutaj w życiu Sokka nastąpiła mała przerwa. Nic nie wiedział co się z nim stało. Dopiero za dobrą chwilę poczuł znowu, że mógł myśleć i nad sobą się zastanawiać. Ale nie był to już Sobek mielnik w długiej, siwej kapocie. Gdy spojrzał po sobie był tak biały jak wór mąki a tak na wskróś, przezroczysty jak mgła na wiosnę. Duszno mu tylko było, jakby był gdzieś zamknięty. Szamotał się więc jak mógł w ciasnym jakimś kadłubie, a obaczywszy jasny otwór nad sobą, zaczął się przez niego na wolne powietrze przeciskać. A gdy jedną nogą na miękkiej trawie stanął, spostrzegł, że wylazł gardłem zabitego człowieka, który z rozstrzaskaną głową leżał na dnie rzeki. W tej chwili wychylił się xiężyc zpoza chmury a Sobek poznał w zabitym człowieku siebie samego, mielnika ze Skołoszowa, w długiej siwej kapocie. A on, biały jak wór mąki, był już tylko duszą!...

— Otóż masz babo diable reduty! pomyślał sobie Sobek, skręciłem kark i umarłem! Głupia rzecz tak umierać człowiekowi! A co to powiedzieć na sądzie Panu Bogu, jeźli powie: Precz pijaku, jeszcze pałka ci nie wyszumiała!

W wielkim tedy strachu był Sobek, jakto gadać przed Panem Bogiem, który wszystko ma zapisane w xiędze żywota. I żeby jakoś bez namyślenia się nie stawać przed tym strasznym sądem, usiadł na brzegu rzeki, czekając aż go sam Pan Bóg zawoła.

Tymczasem zawitała jutrzenka, skowronki zaczęły spiewać hymn do Pana Boga. W dali skrzypiały wozy i słychać było

ludzi odmawiających głośno pozdrowienie anielskie, bo właśnie z miasteczka dochodziły dzwięki dzwonu, głoszącego „Anioł Pański.“ W nowej białej kapocie siedział Sobek na brzegu i patrzał na dno rzeki, gdzie leżało jego ciało pokaleczone. A gdy pierwsze promienie słońca zabłysły i całe koryto rzeki oświeciły, Sobek przeraził się widokiem swego trupa! Miał on twarz obrzękłą i brzydką, jakto zazwyczaj u pijaków bywa. Wstrząsł się cały i odwrócił oczy mówiąc do siebie:

— Mój Boże, jakże obrzydliwym potworem jest każdy pijak, a jam za życia o tem nigdy nie wiedział! Co to na to wszystko Panu Bogu odpowiedzieć!....

I przyszli ludzie i obaczyli na dnie rzeki zabitego mielnika. A poznawszy, że pijany zeszedł z tego świata, zaczęli się urągać nad nim, potrącając go nogami. A nikt nie przyłożył ręki bratniej, aby go z wody na brzeg wyciągnąć! Leżał jak padlina, a stado psów zgłodniałych krążyło koło niego!

Widział to wszystko Sobek siedzący na brzegu, i rzewnie płakał. Obaczywszy sąsiada Macieja Starkę, rzekł do siebie:

— Maciej był moim kumem i dawniej wiele mu dobrego świadczyłem. Wczoraj wprawdzie biłem się z nim w karczmie, ale chrześcianin nie powinien guzów długo pamiętać. On zapewnie odda mi ostatnią przysługę i trupa mego wyjmie z wody.

Pan Maciej zbliżył się do mielnika, odgarnął nogą włosy a obaczywszy obrzękłą twarz trupa, splunął, przeżegnał się i odszedł. Sobek poskoczył ku niemu i ułapił go za połę, aby mu przypomnieć dawne dobrodziejstwa swoje, ale kum Maciej nie czuł tego, obalił Sobka na ziemię i przeszedł po nim jakby po cieniu.

— Tam do kata! pomyślał Sobek otrzepując z prochu białą koszulę, kum Maciej wcale mnie nie widział i przeszedł po mnie jak po ścierce! Tak to tak! Po śmierci nie widzą już ludzie człowieka, tylko kadłub jego, co leży bez duszy!

I zaczął Sobek rzewnie płakać i siadł na kamieniu tuż przy trupie.

Szli różni ludzie, a wszyscy uciekali od trupa natrząsając się z nieboszczyka, że był pijanicą, a zamiast w wódce znalazł śmierć w czystej wodzie. A Sobek płakał i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Po niejakiej chwili obaczył Sobek dziada z długą, siwą brodą. Sobek dawał zawsze jałmużnę i rzekł do siebie:

— Dziadek będzie miłosierny dla mnie. Nie raz mu dawałem chleba. Podniesie mnie i umyje, jak Bóg przykazał!

Dziad zbliżył się do trupa, przewrócił go kijem na drugi bok, plunął i rzekł:

— Hej pijaku, pijaku! Dawałeś mi chleb czarny a sam jadłeś biały jak słońce! Za to wezmę ci buty, na drugi świat możesz iść boso!

I zdjął mu dobre, nowe buty, trącił kijem i odszedł. Sobek chciał go zatrzymać jak kuma Macieja, ale dziad obalił go na ziemię i przeszedł po nim jak po płatku śniegu. Sobek płakał znowu i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Wreszcie powiedziano żonie o śmierci mielnika. Żona ubrała się w bekieszkę i wzięła korale na szyję. Sąsiadki przyszły z nią razem, aby ją pocieszać. Widząc ją pomyślał sobie Sobek:

— Otóż jedna istota, która przysięgła, że mnie nie opuści aż do śmierci!

Gdy młynarka męża obaczyła, przyłożyła fartuszek do oczu i zaczęła głośno zawodzić. Kumy i sąsiadki trzymały ją aby z żalu nie zemdlała. Ale Sobek, który już był duchem, widział na wskróś przez czerwony fartuszek jej piękne, czarne oczka, które były suche jak tareczki na Wszystkich Świętych. A gdy przez te tareczki do serca się spuścił, słyszał tam wyraźnie takie słowa:

— Dzięki Bogu, że ten pijanica już raz mi świat rozwiązał. Pójdę za czeladnika Grzegorza, który jest jako malowanie. Muszę dać na mszę świętą i każę dzwonić we wszystkie dzwony. Ludzie wezmą to za żal po nieboszczyku, bo tak być powinno — ale Pan Bóg przyjmie to za podziękowanie, bo on jeden wie, ile przez pijaka wycierpiałam na świecie!

W pierwszej pasyi swojej chciał Sobek wybić jej dwa przednie zęby. Machnął pięścią kilka razy w prawo i w lewo, ale żona nie czuła tego bynajmniej. Jakby na złość, wystawiła do niego prześliczne ząbki, które były białe jakoby kość słoniowa. Widząc Sobek niemoc swoją, zaczął sobie rwać włosy

i rzewnie płakać, że nikogo nie zostawił na świecie, któryby go kochał, a przynajmniej nad grobem jego zapłakał! Wszyscy cieszyli się, że pijanica już raz kark sobie złamał, i że więcej ludzi nie będzie napastywał.

A kiedy Sobek tak bolał i rozpaczał, zbliżył się do niego jakiś cień z papierami pod pachą, podobny do amtsdinera z becyrku. Rozłożywszy papiery zawołał:

— Sobek ze Skołoszowa!

— Jestem, odpowiedział Sobek, a skóra zadrżała na nim od pięty aż do głowy.

— Masz się natychmiast stawić przed sąd Boga, zawołał woźny z drugiego świata, i dał Sobkowi takiego szturkańca pod żebro, że jak piórko do góry podleciał, i co raz wyżej! wyżej się podnosił i wreszcie całą ziemię z oczu stracił.

A gdy Sobek po tak szalonej podróży do siebie przyszedł, stał już w ogromnej, złoconej sali, i widział przed sobą czerwone gradusy tronu, który był osłoniony obłokami. A z obłoków usłyszał głos jakoby głos gromu:

— Sobku ze Skołoszowa! Jesteś wielkim grzesznikiem, Oddałeś się pijaństwu! Na Widaczu u Szmula piłeś całę niedzielę i poniedziałek i kradłeś jeden dzień pracy! W poniedziałek młyn twój spoczywał i ty nic nie robiłeś! Przeto pada na ciebie wyrok, abyś do sądnego dnia w każdy poniedziałek sam młyn obracał przez cała dobę. Idź na ziemię i pokutuj!

Sobek poskrobał się w głowę i chciał na ten wyrok coś odpowiedzieć, jak to przed wójtem zwykł robić, ale ten sam woźny, którego widział nad rzeką, stanął przy nim, i znowu szturknął go pod żebro tak gwałtownie, że Sobek za drzwi wyleciał i spadł na ziemię, tuż koło swego młyna.

A był to właśnie poniedziałek. Mielnika już dawno pochowali, a żona jego była gdzieś w gościnie z czeladnikiem Grzegorzem. Młyn jak zazwyczaj stał w poniedziałek, bo już wszyscy przyzwyczaili się do tego, że w ten dzień młyn nic nie miele.

Sobek siadł na spuscie i zaczął dumać. Woda była zastawiona tak, że na koła nie leciała. Smutno, głucho było w ca-

łym młynie. Wtem usłyszał za sobą szept. Obejrzał się i obaczył anioła z ogromną dyscypliną.

— Masz spełnić wyrok i młyn całą dobę obracać, zawołał groźny Anioł, dziś poniedziałek!

Sobek pobiegł do zastawek, aby wodę na koła spuścić, ale żadnej zastawki nie mógł w górę podnieść, bo nie miał mocy!

— I jakże to uczynię, kiedy nie mam żadnej mocy, rzekł do anioła z dyscypliną, kłaniając mu się nisko.

Ale Anioł skrobnął go po plecach i rzekł:

— Dusza nie ma żadnej mocy do rzeczy, co są na ziemi, prócz tej, na którą skazał ją wyrok Boga. Masz własnemi rękami obracać koło młyńskie, a masz to czynić każdy poniedziałek przez całą dobę aż do sądnego dnia!

A gdy Anioł z dyscypliną znowu do Sobka się zbliżał, pobiegł tenże do koła młyńskiego i zaczął go ruszać całą siłą. Żyły trzeszczały mu w rękach, pot dużemi kroplami lał mu się z twarzy. Wreszcie ruszyło się koło, a we młynie zaczął się hałas i tartas na milę odległości.

Sąsiedzi zdziwili się, usłyszawszy hałas we młynie, wiedząc, że młynarka wraz z czeladnikiem w gościnę poszła. Zbiegli się więc wszyscy i zaczęli się żegnać. Woda bowiem była zastawiona, a koło obracało się samo! Przyszła wreszcie żona z czeladnikiem i oboje zbledli ze strachu i pobiegli do proboszcza, aby przyszedł z święconą wodą. Proboszcz przyszedł i pokropił młyn cały i wyklinał nieczystego ducha, ale wszystko to nic nie pomogło! Wprawdzie krople święconej wody piekły Sobka jak ołów roztopiony, bo był jeszcze nieczystym duchem, ale anioł trzymał go za kark i nie pozwolił mu ucieknąć z młyna.

Nigdy tak ciężko nie pracował Sobek jak w tej nieszczęśliwej dobie. Krwawy pot lał mu się po skroniach, na rękach ponabiegały mu pęcherze, a kilka razy chwyciło go koło i pogniotło mu palce u prawej ręki. Nigdy za życia nie miał wyobrażenia tak ciężkiej pracy! A kiedy jutrzenka już zaświtała i Wtorek się zaczynał, Sobek spadł pod młyńskie koło jak szmata zmięta i przez sześć dni wypoczywał tam i lizał

palce, aby w poniedziałek znowu robotę swoją rozpocząć! I to miało tak trwać aż do dnia sądnego!...

Tymczasem ludzie powiadali sobie, że we młynie na Skołoszowie diabeł miele. Sąsiedzi pozabijali okna, które do młyna wychodziły, a majętniejsi postawili sobie chałupę na innym gruncie. Żaden żyd nie przyjechał ze zbożem do młyna, a gdy młynarką chciała go sprzedać, nie było nawet nań kupca! Poszła więc w świat z Grzegorzem czeladnikiem, a dzieci rozlazły się po świecie, żebrząc pod figurą i po odpustach. We młynie zamieszkały sowy i puszczyki.

Sobek patrzał na to wszystko i płakał rzewnie. Widział że był powodem całego nieszczęścia! Przeklinał Szmula z Widacza i przeklinał tych wszystkich, którzy razem z nim w poniedziałek w karczmie siedzieli i pili!... Ale to wszystko nic nie pomogło! Co poniedziałek zjawił się anioł z dyscypliną i pędził go do roboty. Sobek musiał obracać ciężkie koło, aż mu kości w pacierzu trzeszczały. A często gęsto i dyscyplina owinęła mu się w koło piersi i piekła jeszcze gorzej jak święcona woda proboszcza z Radymna.

I tak mijały długie, długie lata. Sobek płakał rzewnie i modlił się gorąco do Boga, ale Anioł odpowiadał mu na to że to wszystko już za późno, bo pan Bóg jest Sędzią nieubłaganym! Było o tem pierwej myśleć, gdy się chodziło na Widacz. Pan Bóg długo, długo czekał poprawy grzesznika!

A młyn Sobka stał opuszczony i spustoszały. Woda nawet odeszła od niego i zrobiła sobie inne koryto. A pastuchy odpędzają w poniedziałek bydło swoje jak najdalej od młyna, aby nie słyszeć jak w nim djabeł miele!...

Wszystko to widział Sobek i gorzko płakał i wyrzekał na karczmę na Widaczu i na Szmuła z rudą brodą, bo to byli jedyni jego dwaj nieprzyjaciele, którzy go w to nieszczęście popchnęli!

I w tej strasznej swojej pokucie, doznał Sobek razu jednego pewnej radości. Siedząc wraz z sową na kominie młyna, obaczył około północy, jak złodziej jakiś podpalał Widacz, aby karczmę i Szmula wraz z pierzyną spalić. I rozjaśniła się twarz Sobka i rzekł do siebie:

— Przecież raz to przeklęte karczmisko i ten żyd na węgiel się spalą! Oni mi nie mało sadła za skórę zalali! Dobrze im tak! Już płomień chwyta się słomy!

Ale wkrótce przyszła mu myśl lepsza do głowy. Pomyślał sobie:

— Chrześcianin nie powinien się cieszyć z nieszczęścia nieprzyjaciela swego. Przeciwnie zamiast zemsty, powinien go kochać, i miłością rozbroić złość jego.

Pomyślawszy tak, czepił się skrzydła sowy i wraz z nią do karczmy poleciał. I przyleciał właśnie w porę, aby podżogę zagasić. A Szmul spał sobie pod pierzyną i marzył o jakiejś spekulacyi.

A gdy się to stało, usłyszał Sobek nagle głos nad sobą.

— Ponieważ nieprzyjacielowi twemu dobrześ uczynił, więc darowaną ci kara twoja!

Sobek aż się spocił z radości usłyszawszy te słowa, a gdy oczy do górę podniósł, aby obaczyć tego, który doń mówił, — zadziwił się strasznie.

Obaczył bowiem nad sobą xiędza proboszcza w czarnej sutannie. On zaś sam w siwej kapocie leżał na miękkiej murawie, a cyrulik Hybel z Radymna klęczał koło niego i krew mu z ręki puszczał. Żona trzymała go za głowę i szczere łzy miała w oczach, a kum Maciej nacierał mu skronie chustką zmaczaną w occie.

Sobek podniósł rękę i otarł pot z czoła.

— Wielki Boże, pomyślał sobie, to mi się tylko śniło.

I łzy puściły mu się z oczu i ucałował rękę proboszcza, prosząc go, aby jutro wysłuchał go spowiedzi i odebrał od niego przysięgę, że już więcej pić nie będzie.

I dowiedział się biedny Sobek, że w samej rzeczy spadł z brzegu i omal że się nie zabił, ale dzięki opiece dobrych ludzi przyszedł do siebie i ozdrowiał.

Nazajutrz zaraz, z pokaleczoną jeszcze twarzą poszedł do kościoła i przyjął sakrament święty. Długo klęczał w konfesyonale, ale co tam xiędzu opowiadał, o tem nikt nie wiedział.

Młyn od tego czasu już od świtu w poniedziałek był w ruchu, a żydzi z Radymna przywozili zboże pełnemi wo-

rami. Sobek doczekał się późnej starości i pociechy z dzieci, ale o śnie swoim strasznym nic nikomu nie powiedział. Dopiero przy końcu życia, gdym razu jednego przyszedł z wędką, aby pod młynem ryby łowić, siadł przy mnie staruszek i opowiedział mi to wszystko, co tu wam spisałem. Niech każdy z was w poniedziałek pamięta o strasznym śnie Sobka.

Rady gospodarcze.

Gadka o pokrzywie.

Przyszedł Wach z pobliskiej wsi do Wojtka i ujrzy koło domu pokrzyw wiele.

— A cóż to u was tego zielska, mówi, a jeszcze same pokrzywiska. Choć mi tam nic do tego, boć to przecie nie moje, ale okrótnie mi się nie podoba, że się to zielsko tak krzewi, a wy go nie tępicie, komoterku miły.

A Wojtek się uśmiechnie i gada:

— By jeno dobrze rosło, Wachu kochany, jak inne lata, tegobym sobie życzył. Pewnie wcale nie wiecie, ile ztąd mam zysku?

— Co, zysku, mówicie, z pokrzyw zysku? pyta Wach. Toć już gąsięta podrosły, jeść ich nie będą, jakiż wy też zysk macie z tych pokrzyw, komoterku drogi, bo to u mnieby się straszna moc tego zielska pokrzewiła, bym go nie wyniszczał.

A Wojtek gada:

— A wiecie wy, komoterku, że nie jeno gąsiątka lubią młode listeczki pokrzywy, ale my sami je zamiast jarmuszu smacznie zajadamy?

— Co, wy pokrzywy zajadacie? dziwi się Wach.

— Anoć zajadamy, rzecze Wojtek; a wyście jeszcze tego nie jedli?

— Gdzieby ja pokrzywy jadł, mówi Wach.

— Chcecie spróbować? pyta Wojtek, bo moja dziś ich nawarzyła.

— Co wy gadacie, gniewa się Wach, przecie ja stary człowiek, komoterku, na wasze żarty ja się nie zestarzał.

— Alećprzecie prawdę mówię, gada Wojtek, matka daj jeno komoterkowi tych pokrzyw.

Jeszcze tam Wach jakoś nie dowierza, myśli że to jarmuż, smakuje, jakoś dobre, ej, komoterku, toć to nie pokrzywy.

— A cóż wy myślicie! pyta Wojtek.

— Abo ja wiem, rzecze Wach.

— Toć wam się sumitować nie będę, mówi Wojtek, ale wierzcie, że to z pokrzyw potrawa.

Nie mógł się Wach dosyć nadziwić temu a Wojtek dalej prawi:

— To jeszcze najmniejszy z pokrzyw pożytek. A wiecie wy z czego ta koszula?

— A jużcić ze lnu, gada Wach.

— Gdzie tam ze lnu, prawi Wojtek, to z pokrzywy.

— Ej, co wy znowu gadacie, mówi Wach.

— Ano takci jest, komoterku, włókna z pokrzywy to jeszcze lepsze na przędzę od samego lnu, a jak przyjdzie ten czas, gdy będziem sprzątać pokrzywy na przędziwo i ziarno, to zobaczycie, że prawda.

— Co wy tam znowu o ziarnie gadacie, komoterku miły? pyta Wach.

— Ano widzicie, odpowie Wojtek, gdy się pokrzywy dostoją, to je młócę, bo to ziarno dla koni wyborne.

— Co, dla koni? pyta Wach.

— Prawda, komoterku, mówi Wojtek, ziarno pokrzywy konie smacznie zajadają i zdrowe od niego.

— Bodajście wy, gada Wach, czy to prawda?

— Ano chodźcież jeno do stajenki, rzecze Wojtek, mamci ja jeszcze ziarna tego trochę, to zobaczycie.

— Toć już wam wierzę, kiedy powiadacie, mówi Wach.

— A wiecie wy, czem te stołki żółte pofarbowane? pyta jeszcze Wojtek.

— Farbą tak stolarz pomalował, rzecze Wach.

— Ale gdzie tam, mówi Wojtek, ot, widzicie, korzenie z pokrzywy dobrze wygotowałem, z ałunem i solą zmieszałem i sam tak pofarbowałem, bo stolarz zaraz wiele grosza chce za farbę.

— Ho, ho, ho, co to za pożyteczne zielsko, te pokrzywy, gada Wach, zaraz i sam będę z niego pożytkował i moim sąsiadom też o tem powiem.

(Sz. N.)

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

Tom X.

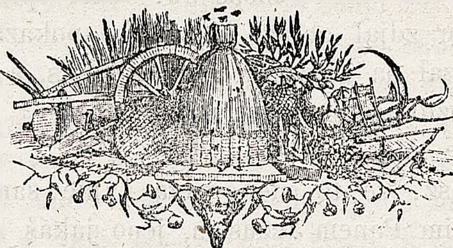


Nr. 17.

11. czerwca

1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Królowa Katarzyna.

We wsi Medyce stoi dwór w środku ogrodu między wodami naokoło. Starzy ludzie opowiadają, że dawno, dawno był tu dwór królów polskich, którzy tędy jeżdżali sobie z Krakowa do Lwowa, aby robić porządki, fundować nowe miasta i wsie i rozdawać ludowi zapomogi przeróżne.

Otóż w tym dworze są dziś różne obrazy po ścianach, a na jednym obrazie stoi wymalowana pani, co trzyma na podołku małego synka, a koło niej stoi pan jakiś z złotym łańcuchem na szyi i w bogatym kożuchu. Pani sama trzyma koronkę w ręku i widać odmawia ją pokornie przed Panem Jezusem, który wisi przed nią na złotym krzyżyku. A znowu koło drzwi izby królewskiej stoi warta żołnierska. A na dole tego obrazu stoi napis: „Katarzyna Jagiellonka królowa w więzieniu.“

Otóż jednego dnia zaprowadził profesor szkolarzy Medyckich do ogrodu i do dworu i pokazywał im różności, aż stanęli szkolarze przed jednym obrazem i zapytali:

— Prosimy też pana profesora, co to za pani na tym obrazku? czy to jaka święta, czy sama Najświętsza Panna z Panem Jezusem a ten pan to może św. Józef opiekun?

Pan profesor zdjął obraz ze ściany, pokazał go z bliska szkolarzom i kazał na głos przeczytać podpis, a potem zapytał:

— No! któżto jest ta pani i ten pan?

A szkolarze gadali:

— A widzisz, że to nie święta i nie sama Najświętsza Panna z maleńkim Panem Jezusem, jeno jakaś królowa w areszcie, a tu pilnują wojaki, aby nie uciekła.

Pan profesor zapytał jednego szkolarza Franusia Szmigielskiego, co to uczył się dobrze wszystkiego:

— No! ty Franuś! powiedzno, wiele to synów miał Kazimierz Jagielończyk, król polski w Krakowie?

Franuś podumał trochę, aby się nie pomylić w gadaniu i powiada:

— Ten pobożny król miał 4 synów, co byli jeden po drugim królami, a znowu jeden Kazio został świętym patronem Polaków, a znowu jeden był biskupem i po Ojcu świętym pono tak wielkim biskupem, że go nazywali ludzie kardynałem.

Profesor pytał dalej:

— A który z tych 4 braci, co byli królami, był najlepszym królem w Krakowie?

Franuś odrazu zgadł i mówił:

— Najlepszym królem z tych 4 braci był Zygmunt I co go dla rozumu wielkiego nazwali polacy starym i był jakie 50 lat królem polskim.

Profesor pogłaskał Franusia za dobre gadanie i za tak mądrą zwagę i powiadał sam:

— Otóż widzicie dzieci, ten król Zygmunt I miał jednego syna, co był królem polskim, a potem dał mu Bóg aż 5 córek: Zosię, Annusię, Jadwisię, Izabelcię i tę Kasię, co tu wymalowana stoi. Te wszystkie siostry były nieszczęśliwe bo miały matkę niedobrą, która pochodziła z obcego rodu i z dalekiego kraju aż ztamtąd, dokąd szli nasi wojacy nieraz do miasta Medyolanu, które wy Majlandem z niemiecka nazywacie. Otóż i ta Kasia, choć to królewna i bogata i pobożna, była biedną

przez matkę niedobrą. Ale gdzie jeszcze ojciec jest dbałym o dzieci, to jakoś to jeszcze ujdzie dla dzieci — a jak dzieci są między sobą w zgodzie i miłości, to sobie zawsze poradzą przy pomocy Bożej, choćby i matka była nie zewszystkiem dobrą. Otóż i dla tych sióstr było to dobrze, że się bardzo lubiły i byłyby jedna za drugą i w ogień poszła, że były wszystkie pobożne, toż w paciorku, modlitwie i w kościele szukały pociechy u Boga. A miały one i ojca dobrego i brata miłosiernego, który pamiętał o nich, jak po ojcu został królem.

Kiedy zła matka nabroi dużo i nakrzywdzi ludzi i dzieci, to jej odbierają opiekuństwo nad dziećmi. Tak się stało i z matką tych sióstr. Gdy widziała, że się do niej zabrali ludzie, to wtedy uciekła z Polski do swego kraju i zabrała jakie 12 wozów samego złota i tam umarła za granicami i lasami. Tak to Bóg karze złych ludzi, że im daje śmierć bodaj na prostej drodze lub w lesie i na czystem polu, aby ich ciała nikt łzami nie polał z żalu, aby grudki ziemi świętej nie rzucili ci na ich grzeszną trumnę, których oni za życia pokrzywdzili lub nazdziwiali się do syta.

A naraz zagadał profesor do szkolarzy:

— A kto z was zgadnie, jak się zwała ta niedobra królowa i zła matka?

A szkolarze krzyknęli razem:

— Ta to Bona, Bona, co się tyle nawykręcała z każdym, kto jeno co od niej potrzebował.

A Franuś zapytał!

— A czemu ta Kasia pobożna w areszcie?

Na to prawił tak dalej pan profesor:

— Widzicie dzieci, że na dobrych dużo złego nieraz leci — kogo Bóg kocha, to mu krzyżyki daje, a pobożnych ludzi nie raz zły człowiek niewinnie pokrzywdzi. Tak samo porobiło się i z tą Kasią. Jak ją matka odleciała na złamanie karku, to ona żyła sobie w panieństwie i pobożności w Krakowie przy bracie i razem z drugą siostrą Annusią wyszywała ornaty i obrusy do kościołów na chwałę Bożą, a co jeno miała, to miłosierną ręką rozdawała ubogim, bo piszą o niej tak xiążki, że była spokojną, cichą, pracowitą, pobożną, przykładną i go-

tową każdemu podać rękę w biedzie. Ale o pobożnym nigdy Bóg niezapomina, a jak kto wszystko złe na świecie zwycięży i przeżyje, wtedy mu Bóg nagrodzi, kto się zawsze i wszędzie dobrem życiem odznacza, temu na końcu Bóg stokrotnie odpłaca. Tak też zrobił Bóg sprawiedliwy na końcu i tej Katarzynie. Trafiło się jej za mąż, jeno jej zalotnik był lutrem, toż ludzie gadali do niej:

— Nie chodź za lutra bo jakie będzie twoje życie.

Ale Katarzyna mówiła swoje:

— I lutry są dziećmi boskiemi. Nie trza się z nich naśmiewać, ani im źle robić, jeno ich nauczać słowem i przykładem i miłosierdziem. Ja też pójdę za lutra i nawrócę go do naszej wiary moją miłością i pobożnością.

I wydała się ta Katarzyna za lutra Szweda, xięcia Jana, kóry miał brata królem w kraju het za górami, lasami i morzami, co się zowie Szwecyą, a gdzie zima dłuższa jak u nas w Polsce, a wiosny i jesieni to tak jak nie ma.

Co to było płaczu w Krakowie, gdy ta Kasia miała odjeżdżać! jak ona się żegnała z swoją siostrą Annusią, a potem z bratem królem, który ją odwiózł paradnie z Krakowa do Sandomierza, potem do Warszawy a ztamtąd do Gdańska aż na brzegi morza polskiego, gdzie wsiadła na malowany okręt, ni to dwór na wielkim promie i tak pojechała z Bogiem od Polaków, od swojaków między szwargotników nieznajomych i była tam jak sierota polska między niekrajanami. A to się stało roku pańskiego 1562 a zatem lat temu jak uciął 300.

Ale nie zawsze tam i utrafi biedna dziewczyna, gdy jej los pana za męża przyczynia, bo to prawdę powiadają, że ludzie nie zawsze przy złocie, jeno przy samej cnocie mogą żyć szczęśliwie, a szczęścia nie znachodzi, kto od Boga odchodzi, ani się szczęśliwym nie uczyni, kto się po światowemu ożeni, ani tam nie ma dobra, gdzie w domu jedno do lasa, a dugie do sasa.

Otóż i Katarzyna była biedną za granicą, mąż jak mąż, ale jej szwagier i brat rodzony męża, był łakomym, zazdrośnym, podejrzliwym, co to nikomu nie wierzył i każdego trzymał za złego — raz ktoś mu szepnął jak djabeł grzesznej duszy aby ją zwieść, że Katarzyna z mężem zamyślają się buntować i szwagra

skuć w kajdanki i wygnać albo i otruć, aby potem byli królami sami. Ledwo kto głupstwo powie, ta zły uwierzy i prawdą zowie — otóż i szwagier uwierzył i kazał Katarzynę i męża jej niewinnie zaprowadzić do więzienia murowanego. Tam postawili wartę i otóż widzicie na tym obrazku jest Katarzyna wymalowana w więzieniu a to dziecko na podołku, to jej synek, a ten pan koło niej, to jej mąż.

A szkolarze krzyknęli razem:

— Aha! to teraz wiemy, co to na obrazie wymalowane stoi.

A Franuś zapytał:

— A czemu to Polacy nie poszli wypuścić ją z więzienia, kiedy ona była niewinną, toć to grzech biedzić kogo kiedy mu nic nie winien, albo trapić kogo aresztami, kiedy nic złego nie robi?

Pan profesor na to rzecze:

— Toć się bał Polaków ten król szwed, kieby ognia, bo wiedział, że oni nie robili nikomu nic złego, ale chcieli dobra cudzego i chwały bożej, otóż zawołał Katarzynę do siebie i mówił jej pięknie:

— Odjedź sobie malowanym okrętem do twego brata do Krakowa, zabierz sobie całe wiano, a męża zostaw w areszcie. Ale Katarzyna pokazała mu pierścionek ślubny i powiedziała:

— Ani ty królu, ani brat mój, ani te więzienie, ani to polskie morze, jeno śmierć jedna potrafi mię rozłączyć od mego męża! — i zabrała się i poszła do męża do aresztu, i tam razem z mężem pod wartą straszną przebiedowała 6 lat, dopóki szwagier król nie umarł. W tym areszcie dał jej Bóg pociechę wielką, bo dwoje dziatek, które szczebiotaniem swojem bawiły ojca i matkę — ale córeczka Kasia umarła, a synek Zygmuś się wychował jak widzicie na obrazku, co sobie siedzi na podołku u matki i trzyma ją rączką za szyję i miał już wtedy pięć roczków.

A znowu zapytał drugi szkolarz:

— A cóż się stało z nią, jak umarł szwagier zły?

Pan profesor na to tak:

— Ona została królową Szwedzką, a mąż jej królem; ale kiedy szwagier miał konać to ona namówiła męża, aby poszli

oboje do łoża śmiertelnego króla i tam mu darowali urazy wszystkie.

Byli też oboje na pogrzebie, a gdy mąż został królem, to chciał wszystkich plotkarzy dawnych, i tych co na niego przed bratem królem szczuli ukarać i odpędzić, i byłby to zrobił, jeno ta pobożna Katarzyna uklękła przed mężem, złożyła rączki i mówiła z łzami:

— Mężu mój! nie rób tego, bo Pan Jezus nie kazał ścigać nieprzyjaciół, jeno im darować! kto na ciebie rzucał błotem i kamieniami ty teraz rzucaj złotem i chlebem na niego. I tak się stało! król darował, a wszyscy przychodzili do Katarzyny dziękować za jej dobre słowo i za miłosierne serce. A gdy wychodzili ci źli plotkarze z aresztu, gdzie ich mąż Katarzyny kazał pozamykać, i gdy przyszli do niej dziękować to ona im dawała swoje ręce całować i mówiła:

— Jak do domu wrócicie, to gadajcie to wszyztkim złym i dobrym, jak ja się z wami obchodzę, choć wy byli dla mnie niemiłosierni i źli — od dziś bądźcie i wy tak miłosierni dla tych, którzy wam kiedy co złego zrobili.

Taką miała przewagę nad królem dla swej pobożności, że jej pozwolił mieć polskich xięży w dworze, że mogła sobie czytać, pisać i mówić po swojemu, jak w polskim kraju, że synka swego wyuczyła do słowa po polsku i pacierz mówić z całego katechizmu polskiego, a sama choć była między Szwedami, to sobie gadała po polsku do synka do xięży i do sług, których miała z polskiego kraju i zawsze przypominała wszystkim:

— Co masz od dziadka i ojca, to zawsze trzymaj, bo wszystko może być dobre, ale co twoje od dziada i pradziada, to zawsze najlepsze — a jeźliś się urodził na polskiej ziemi i między Polakami z ojców polskich to pozostań takim, choćbyś poszedł i na koniec świata. Kto się wypiera ojca i matki, ten nie wart ni dziadowskiej szmatki.

Była ona przez 15 lat królową u Szwedów i była strasznie miłosierną dla ludu, a zawszą było jej żal, że ją Bóg rozłączył z Polakami i że musiała być tak daleko od nich.

A jeden szkolarz zapytał:

— A gdzie ona umarła?

— Umarła między Szwedami, mówił pan profesor, roku pańskiego 1583, przeżyła 22 lat z mężem w zgodzie, pracy, cichości, pobożności, a synek jej został potem królem polskim; otóż wypłacił Bóg tej pobożnej matce za wszystkie utrapienia, że jej syna wyniósł aż na króla Polaków.

A w końcu dodał pan profesor:

— Nawet sam Ojciec święty pisywał do niej listy i prosił, aby jakim sposobem próbowała nawrócić lutrów Szwedów na katolików takich, jak są wszyscy Polacy, aby Szwedzi przystali na takie nabożeństwo jak u nas, ale na to Szwedzi przystać nie chcieli.

A szkolarze spytali potem:

— A gdzie ona pochowana?

— Ona pochowana, dodał profesor, u Szwedów na cmentarzu katolickim — koło jej grobu stoi krzyż z napisem takim:

„Pobożnej Katarzynie, która była matką ludu pokój w Niebie.“

— Otóż wiecie teraz dziatki, kończył profesor, co to za dobra pani była ta polska królewna. I wy się starajcie być takiemi za młodu i poźniej, a czasem zmówcie też paciorek i za duszę tej dobrej matki ludu, a znowu opowiadajcie drugim to wszystko dobre, co ja wam tu opowiedział.

I rozeszli się szkolarze do domu, a ja na ich żądanie piszę to do Dzwonka, aby też każdy o tem wiedział, kto Dzwonek czyta.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Święty Piotr.

Nizka chatka, nizka,
Nędza nas uciska,
Szczupła nasza miedza,
Głodem Bóg nawiedza,
Pszenica nie siana,
Żyto po kolana.

Sianożątka licha
Bez deszczu usycha,
Kąkol rodzi z żyta,
Wilk owieczki chwyta,
Grad wybija pola:
Czarnaż nasza dola!

Mój Boże! mój Boże!
Człek czyni co może;
Kto radę poradzi,
My i słuchać radzi:
I pieśni śpiewali,
I na mszę dawali;
Na każdej pół mili
Krzyżyki stawili;
Z chorągwią czerwoną
I z wodą święconą,
Xiądz w komżę ubrany
Błogosławił łany,
Insza boska wola:
Czarna nasza dola!

Chyba jedna rada:
Posłuchać wypada,
Co przyśnił wójt stary
W noc świętej Barbary.
Mówił mu Piotr święty
Jasnością przejęty:

„Ej dosyć wam dosyć
„Taką nędzę znosić!
„Pozbyć się jej trzeba:
„Zginiecie bez chleba!
„Ja mam niebios klucze,
„Sekretu nauczę,
„Że ustąpi z pola
„Czarna wasza dola.

„Wszyscy gospodarze!
„Kto ma woły w parze,
„Kto ma konie w bronie,
„Kto ma zdrowe dłonie,
„Wszyscy idźcie tłoką,
„Zaorzcie głęboko
„Tę drogę od brzozki,
„Do karczmiska z wioski.
„Zabronujcie końmi,
„Zagrzebajcie dłońmi,
„Niech ślad i nazwanie
„Drogi nie zostanie:
„A zarodzi rola,
„Pojaśnieje dola!“

Wł. Syrokomla.

Gadka o wójcie z Domostawy i jego synie.

Opowiedział Skoczek z Gorlic.

I.

Przed laty żył we wsi Domostawie wójt imieniem Jacek Szwed. Miał on żonę i jednego syna, a było mu Błach. Jacek Szwed był ci to najbogatszy gazda na całą wieś; czeladź, obejście, pasieka, konie i bydło, psy na łańcuchach i wszelakie narzędzie było u niego jakby w jakim dworze. Na nim sukmana z kieszeniami na przodzie, obszyta przeróżnemi niebieskiemi sznureczkami, koszula bieleńka z wykładaną obszewką, zapięta bursztynową szpinką na szyi, a kaleta z cienieńkiej skóry, gdyby na jakim leśniczym.

Żona jego rozpierała się jak jaka pani, bo żadne zmówiny ani wesele się bez niej nie obeszło, a w kumach to była więcej jak 100 razy, to ją też prawie cała wieś po rękach całowała. Co poniedziałek musiała być w Ulanowie na jarmarku i kupować: to chustkę jaką z frenzlami, to na fartuch lub na podwijkę, a zdaleka na rynku ją poznałeś po koralach i bursztynach, bo ich tyle na szyi dźwigała, że jej mało karku nie ogryzły, a to wszystko nosiły flisy z Gdańska na podarunek.

Krótko powiedziawszy, było u wójta dość wszystkiego i w komorze i oborze — jednego tam tylko brakowało, to jest: bojaźni Boga i miłości bliźniego. Majątek ten nie był ani po jego rodzicach ani też jego rękami zapracowany, jeno był zbieraniną z krzywd ludzkich, bo ile to wdów i sierót puścił wójt z torbą, żeby wszystko do siebie zagarnąć? A jak przyszła branka, to Szwed gadywał:

— To moje żniwo!

— Oj bodajeś zmarniał za nasze krzywdy! — klęła wieś cała.

Wójtowstwo prawie dzień w dzień siedzieli w karczmie, sądzili, jedli i pili prawie ludzką krew i każdemu się dali we znaki, to też ani żywej duszy nie było, żeby im dobrze życzyła, chyba podwójci Koczwara — ale na oko musiał każdy wójtowi podlegać, bo jakże kiedy bez niego ani u sędziego, ani we dworze nic nie wskórałeś, nawet samemu księdzu potrafił on swemi delikatnemi słowy wszystko w opak przedstawić, i każdego wszędzie oszkalował aby siebie wywyższyć.

Chciałeś pójść na skargę do sędziego, to trza ci było wziąść pełną torbę chleba i szperki, żebyś w areszcie z głodu nie umarł, bo cię sędzia zaraz wsadził, żeś się poważył na Szweda skarżyć — a nie jeden próbował i w cyrkule, ale nic nie poradził, bo Szwed wszystkiemu zapobiegł i potem się jeszcze gorzej mścił. Nie było tu na świecie sprawiedliwości na Szweda, ale z wysokiego nieba przyszła sprawiediwość za ludzkie krzywdy.

Jednego razu miał Szwed odstawić rekrutów do Ulanowa. Od świta już latał po wsi jak błędny, zganiał ludzi, podwody,

hałasił, przeklinał, bił i poniewierał kogo napotkał, a ludzie płakali, prosili i przeklinali, aż się lasy trzęsły. Zajechał że do Ulanowa, napadł tam oficerów i doktora, i oddał jednego młodego chłopca do wojska od żony i czworga drobnych dzieci. Potem z tej uciechy że na swojem postawił, zaszli oba z Koczwarą na ratusz i siedzieli tam przy araku aż do późnej nocy.

Furman Wojtek, co był z nimi za szarwark, stał pod ratuszem i czekał. Tu się już i noc zrobiła, a lało jak z konwi, konie nie miały już ani zdziebełka, a zmokły jak myszy, a Wojtek aż zębami dzwonił od zimna; tak nie wiele myśląc odważył się wejść do szynku i zawołał:

— Panie wójcie! bójcie się Boga, jedźmy do domu, bo kiedyż się zawleczemy przez te bory? a Tanew woda co mówi? wiatr od Lublina, woda przybiera, to potoniemy jak psy, a najgorsze szkapy!

Na to Szwed:

— Co się ty kpielu turbujesz! nieraz była większa woda a ja przejechał jak nic, to i dziś — to moja w tem głowa — ot golnij pół kwaterek araku, to ci się ulży.

— Ej, przed wieczorem wypiłem jeden, — odpowiedział Wojtek — to mię tak ckliwi, bom dziś naczczo. Wygnaliście mię raniuteńko nagle jak do ognia, a teraz to tu siedzicie nie wiem dokąd po próżnicy.

Zaś Szwed:

— Stul mordę! bo cię tu jeszcze dziś każę okuć i oddam cię jak Walka — rozumiesz? czy wiesz co ja jest! wiesz czy nie?

— Tać, wiem, ale widzicie chrzestny, bo to nocna sprawa a tu leje, aż strach Boski.

— Nie pytaj nic! — zawołał wójt — pójdź wypij jednego, to będziesz śmielszy na wodzie.

Wojtek rad nie rad golnął aż mu się odbiło, splunął i wyszedł na dwór — stanął przy oknie i patrzał się do szynku, a Szwed poprawiwszy na sobie pasa, zaspiewał:

Niema ci to niema jak ja chłopek żwawy,
A każdy to pozna, żem wójt z Domostawy —

Czy to w polu czy to w borze wszyscy mię szanują,
A moją kobietę, po rękach całują. — o hy!

Zaś biedny Wojtek, stojąc przy furze na deszczu westchnął i mruknął:

— O mój Boże święty! spiewaj pijaku spiewaj, a ja tu moknę z bydlętami jak sobaka.

A Szwed hula sobie w karczmie dalej i woła:

— Żydzie, parchu! daj jeszcze po jednym garncu piwa dla ochłody — chodź niech ci zapłacę — a siłam ci winien?

Żydzisko łypnął siwemi oczyma, pogłaskał się po rudej bródce, ta mówi:

— Po 16 kieliszków to 32 — furman 2 to 34; a i piwo to razem 6 cwancygierów.

Szwed potoczył się do szynkfasu, wysypał z kalety z pół kwarty cwancygierów i zapłacił, a resztę schował — wypili jeszcze po tym jednym, ale co piwa, to już nie mogli zwyciężyć.

Był już może północek jak ich Wojtek z wielką prożbą wyprowadził i na wóz powsadzał, przeżegnał i ruszył.

Zaraz za miastem przyjechali do tej nieszczęsnej wody. Jak Wojtek raptem z góry podciął, jak konie nie pójdą w cwał w głębię, Szwed skoczył z woza bo myślał że jeszcze na piasku, jak nie pójdzie do dna, tak do dziś dnia przepadł. Ci dwóch jakoś się wygramolili, stanęli na brzegu i wołali:

— Boże przemień, gwałtu, kto słyszy ratuj, Jacek, Jacek, wójcie, kumie, ratujcie się! do brzegu do brzegu!

Ale tylko szum wody i koguty w mieście odpowiedziały. Jacek przepadł na wieki!

Przestraszony Walek załamał dłonie i zawołał:

— Oho! przepadł nieborak! ale kaleta, kaleta! było bo to tam z pół garnca bielasów — oj szkoda! żebyć choć to było zostało, tobym był zaniósł Walkowej, bo któż teraz na te sieroty zarobi? oddałeś go, oddał! aleś i sam poszedł! napiłeś się nie raz cudzej krzywdy, aleś się dopiereńko teraz napił. Boże nie pamiętaj! wieczny odpoczynek! od nagłej śmierci a jeszcze od to-

nącej, zachowaj nas Panie! szwagrze Koczwara! jedźmy, siadajcie, bo szkapy mokną.

— Ej ty oberwusie — huknął Kuczwara — tobie jeno kaleta i szkapy w głowie a Jacek marnością zginął!

Na to Wojtek,

— Moglišta zdrajce za dnia jechać — porządni ludzie po nocach na obcej parafii nie pijają — czym was nie wołał pijaki?

Rozsierdził się okrutnie Koczwara i zawołał:

— Co ty sobie myślisz, będziesz mię tu znieważał, czy nie wiesz że ja przysiężny?

No już to i w Wojtku płynęła krew nie woda — toć odhuknął napastnikowi:

— Przysięgam Bogu kochaneńku, jeno się tu do mnie nabliżcie, to jak was gwiznę starszym końcem to wam się tu zareńko rozświeci. Widzisz go, przysiężny, — siadaj pijaku bo cię odjadę — siadasz maszli, bo cię tu wilcy zjedzą! No siadasz czy nie?!

Zmiękł Koczwara, gdy ujrzał rezon Wojtka i rzecze:

— Oj mój Wojtusiu, bo mi bardzeńko Jacka żal!

A Wojtek:

— To już przepadło! i mnie go żal, bo co miał duszę przed śmiercią słowem Bożem zasilić, to ją zalał przebrzydłym arakiem — już się nie wróci, a my jedźmy szwagier bo ograżkę dostanę tak mi zimno.

— A z wójtem co będzie, to go tu zostawimy? — zapytał Koczwara.

— On popłynie do Gdańska po korale dla baby — odpowiedział Wojtek.

— Oj ty zdrajco, tobie jeno figle w głowie! — rzecze Koczwara.

— Ehę figle, co się trzęsę jak ryba od zimna i głodu — a wy siadacie czy nie? To już na nic, Jacek już na sądzie Boskim stoi! — mówi na to Wojtek.

— Oj kiedym bardzeńko słaby — zamruczał Koezwara — mało ze mnie duszy nie wydrze, to mię chyba podsadź — oj Jacku, Jacku!

Wojtek Koczwarę na wóz wsadził i ruszył przez piasek ku górce. Szedł koło koni, a przez lasy śmigał, że jeno wóz turkotał; spiewał „kto się w opiekę“ a jak sobie przypomniał Jacka, to truchlał na tę nagłą śmierć.

Wraz ze dniem przyjechał do wsi, Koczwarę zsadził przed karczmą, a sam pojechał ku wójtowstwu i oznajmił o tem przytrafunku. Wójtowa i syn z wielkim lamentem udali się do Ulanowa, brodzili tam z ludźmi po wodzie, jeździli na czółnach i szukali osękami, ale Jacka już nie znaleźli. Z wodami zaniesło go do Sanu, a Sanem zniesło go ze 2 mile, bo dopiero na trzeci dzień znaleźli go flisy pod Jaśkowicami w Sanie. Pochowali go w Pysznicy, a ludzi dość było z Domostawy na pogrzebie, i wszyscy Boga błagali żeby Jackowi odpuścił, i żeby wszystkich od nagłej śmierci zachował. Zaś wójtowa także wkrótce po mężu umarła ze zgryzoty.

II.

Młody Błach Szwed w rok i 6 niedziel po śmierci matki ożenił się z córką jednej wyrobnicy na Studzieńcu. Wziął żonę do Domostawy na swoją ojcowiznę i przez parę lat szło im gospodarstwo jakoś po Bogu, dopóki Błach był prostym chłopem; ale jak się jeno wychrapał na podwójciego, tak już po trochu napijał i wstępywał w ślady swego ojca. Za gromadzkiemi interesami łaził po całych dniach, a do chałupy nigdy przed północkiem nie przychodził, to też gospodarstwo marniało z każdym dniem coraz więcej, bo jakże nie miało marnieć, jeśli Błach nic nie przysporzył, owszem marnił i do tego żonie zdrowie odbierał? Ile to łez biedna żona wylała, ile do nóg Błachowi napadała i prosiła, żeby też wziął Boga do serca, żeby przestał hultaić — ale nic nie pomogło. Jak był trzeźwy to mało co i gadał jeno wzdychał, a jak się upił, to mu dopiero przychodził rozum do głowy, wtedy rezonował, wymyślał na wszystkich co jeno wlazło, kłócił się i bił co napotkał, to też od niego wszyscy stronili jak nieprzymierzając od wściekłego psa. Już u nikogo nie miał oka, wszyscy na nim psy wieszali i przeklinali go jak i jego ojca przeklęli, Błach coraz gorzej napijał i tak zbiedniał, że choć to po ojcu taki wielki został

majątek, a on nawet nie miał się w czem do kościoła pokazać, to go też musieli i z urzędu zrzucić, bo robił wstyd na całą gromadę.

Jak mu ten honor odebrali, tak już zeszedł prawie na dziada, nie chodził on już do Domostawskiej karczmy, ale włóczył się po obcych karczmach i mało się już do domu pokazywał. Żona ze zmartwienia dostała żółtaczkę, a do tego w ten sam czas dziecko najstarsze umarło. Błach ledwie się przywlókł na pogrzeb zbiedowany, zapuchnięty, oczy popodbijane, że go ciężko było poznać — okrutnie lamentował za dzieckiem i został przecież w domu, a biedna żona jak mogła tak go ogarnęła i aż jej zdrowia przybywało, że męża choć pijaka, już w domu widziała.

Błach się jakoś poprawił, wszystko już było inaczej koło domu — jednego tylko w jego sercu brakowało. Oto brakowało mocnego postanowienia więcej do grzechu nie wracać i obrzydzenia sobie grzechu dla miłości Boga

Jednego razu jak rozmawiali o swojej niedoli odezwał się Błach do żony:

— Wiesz ty Kasiu! my teraz okrutnie podupadli, w domu nie ma na sól, a ja i fajki już z tydzień nie kurzył, strasznie mi się cnie, otbym czasem i kieliszek wypił a nie ma za co — jabym myślał co zarobić żeby ot żydom towary przenosić albo konie przeprowadzać na tamtą stronę?

A żona na to:

— Błasiu kochanku! Tobie jeno lekki chleb pachnie, na tem się nikt nie dorobił, jeszcze ci tego trza żebyś się ze złodziejami wdał? a niech Bóg broni! Kto kradzione konie przeprowadza, to jest tak jak i złodziej — idź lepiej z siekierą do belków nad wodę albo do sągów, to zarobisz, a ja tu z dziećmi będę biedować bez ciebie, ale tego ukropu to już nie kosztuj, bo ty nie masz miary ani w gębie ani w głowie.

Błach się strasznie sumitował, w domu się nie mógł ostać, zawsze gdzieś wybiegał za interesami. Jednego wieczora zapiekł fajkę i idzie.

— Gdzież ty idziesz Błasiu? — zapytała żona.

— Ot wyjdę na chwilkę do kuma Koczwary, zaraz przyjdę — odpowie.

— Przyjdź, przyjdź Błasiu! — prosiła żona.

Tak ci moja, tak! nie prędko go ty zobaczysz. Poszedł w las na umówione miejsce, wziął tum parę koni żeby ich do Janowa odprowadzić, zaledwie może ćwierć mili za słupy przyjechał, aż tu wypada trzech moskiewskich żandarmów i biorą go jak swego. Zaprowadzili go do Janowa przed naczelnika, naczelnik kazał konie sprzedać i pieniędzy złożyć w urzędzie a Błacha wpakowali do aresztu i siedział 12 niedziel, aż przyszło pisanie z Galicyi, że jako te konie ukradzione we dworze w Pysznicy. Błach co prawda tych koni nie ukradł, ale że nie złapali złodzieja tylko jego, to on też musiał za to pokutować — osądzili go na dwa roki i odesłali do Lublina do kryminału.

Otże nię jest to oczywista kara Boża?

Zaś co dalej się stało, opowiemy wam w przyszłym numerku.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. We czwartek dnia 9 czerwca nawiedziło nas tu we Lwowie straszne nieszczęście. We dwie godziny z południa poczęła się palić wielka kamienica niedaleko rynku — a że gorąco było na dworze i dachy były suchuteńkie, więc zaraz ogień przerzucił się na inne kamienice, i ani się ludzie spojrzeli, aż tu już siedm kamienic ogromnych się pali! Okrutny to był ogień i strach niemały we Lwowie. Nazwożono zaraz sikawek moc i ratowano co było można — ale dopiero za trzy godziny ugaszono ogień. Ale co najstraszniejsza, to to, że wielu ludzi postradało życie przy tym ogniu. Z jednej kamienicy urwały się żelazne poręcze z dachu, ta poraniły i potłukły ratujących na dole ludzi. Jaki taki co lał wodę na dachu, spadł i zabił się na miejscu. Jeszcze wam teraz nie mogę opisać tak dokumentnie, ile ludzi marnie poginęło, ale w przyszłym numerze „Dzwonka“ opiszę wam dobrze całe to okrutne nieczczęście.

Xiądz Baka. Już 100 lat dobrze górą jak żył w Polsce xiądz Baka z zakonu OO. Jezuitów. Był to pobożny kapłan, który cały prawie

majątek po ojcu przeznaczył na chwałę Bożą, bo na wybudowanie kościółka, przy którym w późnym wieku umarł. Ale z czego osobliwie znany był xiądz Baka w całej Polsce, to z swoich wierszyków, co były tak ucieszne a tak nauczne zarazem, że poczciwy człowiek i serdecznie się naśmiać i zbudować się mógł przy ich czytaniu. Na próbkę tych wierszyków xiędza Baki kazaliśmy w „Dzwonku“ wydrukować jeden, w którym xiądz Baka napomina grzeszników i opojów, aby pamiętali o śmierci, bo ani się nie spodzieją, kiedy ich chwyci za uszy. Oto ten wierszyk:

Grzeszniku — bez liku!
Śmierć matula — jako dula,
Już na nosie — dbaj o się!
Grzeszniku nadęty
Przeklęty! —
Stul ogona — by zbawiona
Była dusza — ciała tusza
Od szlagi — i plagi
Smiertelnej — piekielnej!
Smierć babula — jak cebula,
Łzy wyciska — gdy przyciska.
Smierć macocha, kto grzech kocha,
Z kosy stali — wałkiem wali
Z miłości — aż kości
Wyłażą — z urazą.
Smierć matula — nas przytula,
Głaszcze wabi — nim zadłabi!
Smierć matula — usta stula,
W gardle kością — stawa ością
Nic i tobie — nie da w grobie,
Na jej łonie — spoczniesz sobie.
Ubogo — i z trwogą,
Po polach — na molach.
Gdy śmierć zmoże — nie pomoże
Broda ruda — ani duda
Ani tłum — kotłów bum
Trąb rara — gdy zagra!
Maki, fraszki — oraz flaszki
Ni muzyki — ni żarciki,
Za karty — tam harty,
Za tuzy — tam guzy!
Ty łyk łyku — smokczesz byku,
A śmierć w szyku — na przesmyku
Już stawa — przygrawa!
Ty hul huli — do gębuli,
Aż śmierć stuli — czas już luli
W napoju — opoju!
Bo śmierć ciągiem — kosy drągiem
Sięga pana — i Iwana
W łeb wali — obali
Nim zgubi — naczubi.
Smierć ślepucha — koło ucha
Smiało chodzi, wszystkich zwodzi.

Piękna xiążka. Wydrukowano teraz w Krakowie śliczną xiążkę dla was kochani ludkowie. Nazywa się ta xiążka tak: „Gorzałka jako źródło wszystkich zbrodni w obec Boga i ludzi.“ Napisał zaś to wszystko jeden xiądz pobożny co się zwie Felix Gondek. Jest w tej xiążeczce dużo zbawiennych rad i nauk do przeczytania i bardzo wam radzę, aby komu stać na to, kupił sobie tę xiążeczkę. Nie wiele ona kosztuje, tylko 40 krajcarków, a zapisać ją można w xiegarni pana Wilda we Lwowie, albo u samego pisarza „Dzwonka.“

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.

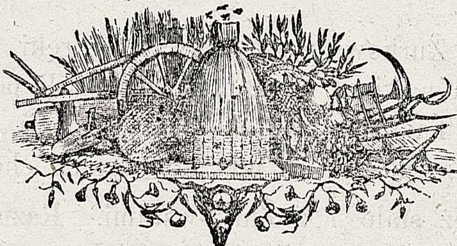
Tom X.



Nr. 18.

21. czerwca 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

III.

Bracia Żurkowscy.

Opowiedziałem już wam, kochani bracia, historye dwie o niewoli tatarskiej, teraz zaś posłuchajcie trzeciej, w której opiszę wam dziwne przytrafunki dwóch braci, co się zwali Żurkowscy.

Ci dwaj bracia Żurkowscy byli to chwaty jakich mało, a gdzie tylko szło o to, aby wroga jak się patrzy poczubić, to już ich tam pewno prosić nie było trzeba. Kiedy w roku 1595 wybrał się wielki wojownik i sławny Polak Jan Zamojski do Multan przeciw Tatarom, obaj Żurkowscy porzucili dom zaraz i przypasawszy szable ojcowskie nuż na dzielnego konika i dalej na wojenkę za panem Zamojskim!

Okrutna ćma Tatarstwa zaszła drogę polskiemu wojsku, było tam tego pogaństwa więcej jak siedemdziesiąt całych tysięcy — ale nic naprzeciw polskiej, ochrzczonej szabli wskórać

nie mogli. Co się porwali na Polaków, to zaraz zmykać musieli co tchu na wszystkie strony, choć pięć razy więcej mieli wojska niż nasi.

Obaj bracia Żurkowscy nie żałowali też ręki, ale gdzie tylko się jaki poganin nawinął, zaraz go częstowali po polsku. Niemało też nabili Tatarów, ale jak to mówią, kij ma dwa końce a nieszczęście nie po górach ale po ludziach chodzi.

Tak się też stało i z Żurkowskimi. Razu jednego wyjechali oni wraz z kupką polskich wojaków za obóz, aby gdzie przydybać i nakropić tęgo Tatarów — aleć naraz obskoczyła ich taka chmara tej szarańczy, że ani rusz dać sobie z nią rady.

Nie dawali się długo, bili się jak lwy i nasiekali mnóstwo łbów pogańskich, ale w końcu osłabła im ręka i już dalej bić się nie mogli, bo co jednego utłuką, to dziesięciu nowych bisurmanów przybędzie. Wreszcie tak ich Tatarzy do koła obskoczyli, że już nie było ratunku. Zaraz ich tedy zwlekli z koni poganie, poodbierali im szablę i skrępowali powrozami ręce, przywiązali do swych koni, ta pognali biedaków ze sobą do niewoli.

Tak pędzili Tatarzy obu Żurkowskich jak bydło za sobą, aż zapędzili do pogańskiego kraju, do Perekopu. Zapłakali biedni bracia za Polską i westchnęli do Boga, bo wiedzieli dobrze, że już nie tak prędko a może i nigdy nie obaczą ukochanej ziemi ojczystej!...

A tu poganin łży i poniewiera nimi, zdziwia się i wymyśla, do ciężkich robót napędza i głodem morzy!.. Jeszczeć gdyby bracia Żurkowscy mieli byli majątek i pieniądze, toby się byli mogli wykupić, bo Tatarzy strasznie łakomi byli na złoto i kto im się setnie opłacił to go puszczali do domu. Ale cóż, Żurkowscy nie mieli nic w domu, jeno gruntu szmatkę, chatę po dziadach, szablę dobrą i konie chwackie. Złota u nich nie było — bo też nie dobijali się nigdy o złoto.

To też trzeba się było na zawsze pożegnać z polską ziemią i służyć Tatarom do śmierci. Zaraz bowiem, jak tylko stanęli na ziemi pogańskiej, przywołał ich do siebie starszy tatarski i zapytał:

— No wy psy chrześcijańskie! Ile mi dacie pieniędzy, abym was puścił wolno?...

Bracia Żurkowscy westchnęli ciężko i rzekli:

— Nie mamy pieniędzy, nie mamy złota, bo u nas w Polsce chleb tylko i żelazo!

Rozgniewał się strasznie starszy tatarski, bo myślał, że Żurkowscy jeno tak umyślnie udają, aby się wykpić za darmo i zawołał:

— A więc gińcie marnie psy chrześcijańskie! Jedyny wasz ratunek jeśli się opłacicie — jak nie to was przedam jak bydło!

A bracia Żurkowscy na to:

— Niech się dzieje wola Boga, który nas wydał w ręce pogańskie! On nas może wybawi z niewoli!...

Ale rozwścieklony starszy tatarski jak rzekł, tak zrobił. Zwołał takich pogan jak sam, co się trudnili handlem pojmanych chrześcijan i przedał obu biedaków.

Kupcy wzięli zaraz z sobą Żurkowskich i popędzili ich aż do tego miasta, gdzie sam cesarz czyli sułtan turecki mieszka, do Stambułu. Tu ich jeszcze straszniejsza czekała dola.

Bo trzeba wam wiedzieć, kochani ludkowie, że Turek niecnota nietylko na lądzie ale i na morzu trapił i napastywał chrześcijan — i dla tego trzymał sobie okręta, co się zwały galery.

Te galery to były okrutnej wielkości czółna, na które wsiadało wojsko tureckie i uganiało się po morzu za chrześcijańskiemi okrętami. Zaś okręta czyli galery tureckie pływały za pomocą wioseł, co były przy każdym boku. Otóż temi wiosłami musieli robić chrześcijanie, których połapali poganie. Koło każdego wiosła pracować musiało pięciu niewolników, a że takich wioseł na każdej galerze było ze pięćdziesiąt, więc mnóstwo biednych chrześcijan musiało przy nich przelewać pot swój krwawy.

Każdego zaś takiego niewolnika znaczyli Turcy rozpalonem żelazem i przykuwali żelaznemi łańcuchami do okrętu, aby przypadkiem z rozpaczy sam nie skoczył do głębokiego morza.

Oj okropnaż to była dola takiego biedaka, co musiał robić przy wiośle na okręcie tureckim!... Bo to jak te galery tureckie na morze wypłynęły, to już każdy niewolnik dzień i noc pracować musiał, i nie jadł i nie spał i jeszcze bicia od pogan doznawał!...

Ale i to nie wszystko. Turcy jak wypłynęli na morze a spotkali gdzie jaki okręt chrześcijański, to poczęli do niego z armat strzelać, które mieli z sobą, aby go obrabować i zatopić. Zaś chrześcijanie bronić się musieli, ta strzelali także okrutnie na Turków, a wszystkie kule to akuratnie tam biły, gdzie ci biedni niewolnicy chrześcijańscy przy wiosłach pracowali.

To też nietylko, że taki jeden i drugi chrześcijanin wśród głodu i pracy służyć musiał Turkom jak pies na łańcuchu, ale eszcze do tego musiał się spodziewać, że lada chwila zginie od kuli własnych braci Chrześcijan.

Otóż taka ciężka dola trafiła i obu braci Żurkowskich. Przykuto ich do okrętu jak psy i kazano robić im wiosłami. Gorzko też płakali obaj i prosili Boga o pomoc a nieraz, to ich i grzeszne myśli nachodziły.

I tak gdy ich przykuto do okrętu, odezwał się młodszy Żurkowski do swego starszego brata:

— Słuchaj bracie! my tej okropnej niedoli nie wytrzymamy! ot przejdźmy na turecką wiarę!

Starszy Żurkowski aż się zatrząsł na te słowa, przeżegnał się tylko i odpowiedział:

— Ej bracie, bracie, jaki ciebie szatan kusi?... Czy chcesz duszę na wieki zatracić?

A młodszy na to:

— Kiedy bo widzisz, bracie, Turcy każdego co na ich wiarę przejdzie, bardzo honorują i robią go zaraz wielkim panem, to i my by na taki sposób wydobyli się z naszej biedy!

— Proś Boga — odpowiedział starszy, aby ci tę grzeszną myśl darował, lepiej nędznie umrzeć w naszej świętej wierze, jak rozkoszować w pogańskiej!

— Ej kiedy bo ty mnie nie rozumiesz — prawił dalej brat młodszy — toć przecież ja nie myślę zostać na zawsze poganinem. Udajmy tylko tak, że ich wiarę przyjmujemy, a wtedy

łatwo nam będzie uciec i znowu żyć po chrześcijańsku.... Toć przecież przypomnisz sobie, że nasz sąsiad pan Jakób Korytnicki uczynił tak samo, jak go Turcy do galer chcieli przykuwać, a potem uciekł i żył przecież aż do śmierci jako dobry chrześcijanin!

Ale starszy brat na to:

— Nie! nigdy jeszcze prawdziwy Polak nie oszukał nikogo a tem mniej Boga! Kto się na jakiś czas tylko wyparł wiary świętej, to już tak, jakby się jej na zawsze wyparł! Wolę ginąć marnie i nędznie, niż wyprzeć się pana Boga i wiary mojej ojczystej choćby na chwilkę jedną!...

I tak począł tłumaczyć dokumentnie młodszemu bratu, jak ciężki to grzech zaprzeć się świętej wiary choćby tylko na pozór, że ten począł żałować swych nieczystych myśli i płacząc przepraszał Pana Boga za urazę.

Od tego czasu obaj biedacy przykuci łańcuchami do okrętu tureckiego pracowali razem z wielu innymi chrześcijanami nad wiosłami, ocierając łzy i żaląc się Bogu swej ciężkiej niedoli.

I tak minęło lat kilkanaście! Dla biednych niewolników to tak jakby ich ze sto minęło — bo człeku nieraz i w szczęściu chwile się znudzą a cóż dopiero na obcej, pogańskiej ziemi, wśród gorzkich trudów i cierpień!...

Nareszcie rozkazał raz sułtan turecki swemu jenerałowi co się zwał Kapudanbasza, aby zabrał wszystkie okręta i wyjechał na bardzo dalekie morze i łapał po drodze chrześcijańskie okręta. Otóż i ten okręt, na którym byli obaj bracia Żurkowscy, popłynął z innemi.

Jak już okręta tureckie kawał drogi upłynęły — aż tu widać — coś zdaleka czernieje się na morzu. Turcy poczęli się przypatrywać i nuż w wielkim strachu poczynają nabijać armaty i fuzye, bo poznali zaraz że to nikt inny, jeno chrześcijańskie okręta płyną z daleka.

Pomiarkowali to i bracia Żurkowscy — ta mówi jeden do drugiego:

— Mój ty mocny Boże! Dziękiż ci za to, że raz przecie przycupią tych pogan chrześcijanie! Toć może i nas wyratują z tego nieszczęścia!...

A drugi na to:

— Oj nie ciesz się bracie, bo jak z okrętów chrześcijańskich poczną strzelać — to może i my marnie i niewinnie od kuli poginiemy!...

I zafrasowali się obaj okrutnie i poczęli się modlić do Pana Boga, a w końcu rzekli do siebie:

— Toć może i lepiej zginąć choć i od kuli chrześcijańskich braci, jak tu nędznie ginąć na łańcuchu u Turka!...

Tymczasem nadpłynęły bliżej okręta chrześcijańskie i już je dobrze widać było. Zaś były to okręta monarchy neapolitańskiego, co się zwał Ossuna.

Jak się już dobrze zbliżyli Chrześcijanie do tureckich okrętów, nuż do nich strzelać z wszystkich armat. Turki też sobie — i poczęła się okropna morska bitwa, że aż woda kipiała i huczała.

Kule chrześcijańskie latały jak grad koło Żurkowskich, ale jakoś ich strzegł Pan Bóg, bo ich żadna ani drasnęła, choć niejednego biednego niewolnika pogruchotały armatnie kule na miazgę.

Włoskie okręta tak dzielnie strzelały na tureckie, że choć tureckich była siła dwa razy większa — to przecież Chrześcijanie zwyciężyli. Zaraz też otoczyły włoskie okręta Turków do koła i wszystkich ich zabrali!

Toż dopiero była uciecha biednych niewolników, gdy zobaczyli, że Chrześcijanie wygrali! Skakało to biedactwo, dzwoniło z radości łańcuchami i dziękowało Panu Bogu ze łzami. Turków zaś taki okrutny lęk porwał, że już nic a nic się nie bronili.

Zaraz więc Włosi rozkuli Żurkowskich i innych niewolników — a na ich miejsca poprzykuwali Turków brodaczów. Potem zaś pojechali razem z zabranemi okrętami do swego kraju, do Neapolu.

Już wam nawet opisywać nie potrzebuję, jak się radowali bracia Żurkowscy, kiedy się widzieli na wolności i między Chrześcijanami!

— No to już teraz wrócimy do naszej ojczyzny, do naszej ukochanej Polski, ta przynajmniej pomrzemy na rodzinnej ziemi! — wołali radośnie.

Ale nie tak to prędko stać się miało. Gdy już zajechali Żurkowscy wraz z Włochami do Neapolu — tak się spodobali tamtejszemu monarsze, że rób co chcesz, puścić ich nie chciał do Polski.

Prosili obaj bracia, błagali, zaklinali — ale Włoch jak nie chce puścić tak nie chce!

— Zostańcie u mnie — mówi — ja takich szykownych ludzi potrzebuję bardzo. Źle wam tu nie będzie a ja przecież nie Turek jeno taki Chrześcijanin sprawiedliwy jak wy!

— Ej Najjaśniejszy Panie — odpowiadali na to Żurkowscy — kilkanaście lat nie widzieliśmy naszej ojczyzny, to już i z tęsknoty wytrzymać nie możem. Wszakżeśmy Polacy a Polakowi bez rodzinnego kraju to chyba już nie żyć na świecie!

— Do waszej ziemi droga daleka — mówi włoski monarcha — nim byście zaszli, zginęlibyście gdzie po drodze! A tu macie wszystkiego podostatkiem, więc nie spieszcie się tak bardzo.

A Żurkowscy na to:

— Lepszy na ojczystej ziemi kawał chleba czarnego niż drogie jadła i napoje w obczyźnie! Pójdziemy o kiju żebranym, aby tylko położyć kości wśród swoich!

Ale Żurkowscy swoje — a Włoch swoje i nie było rady wydostać się z rąk jego.

I tak minęło znowu lat trzy. Biedacy stracili już i nadzieję, że kiedy obaczą ojczyznę. Owo raz gdy tak siedzą i dumają o swojej biedzie i o dalekiej Polsce — aż tu naraz przychodzi do nich urzędnik od samego króla, a za nim niosą pachołcy jakiś tłumok.

— Król wam przyseła te bogate suknie w podarunku — rzecze do Żurkowskich urzędnik i każe rozpakowac pachołkom zawiniątko — ubierzcie się w nie i chodźcie do samego monarchy, bo was pilnie czegoś potrzebuje!

Bracia ubierają się prędko w śliczne, złotem wyszywane suknie i idą za urzędnikiem do zamku. Ten ich prowadzi do

wielkiej przepysznej sali — a w tej sali był sam monarcha i mnóstwo wielkich panów.

Aż się zaciemniło biedakom w oczach od złota i drogich kamieni, co jaśniały na szatach pańskich na wszystkie strony — aż król sam zbliża się do nich i rzecze:

— Czy znacie tego pana?

I pokazał na jakiegoś obcego pana.

Patrzą Żurkowscy aż ten pan ubrany po polsku, w bogatym żupanie i kontuszu i przy błyszczącej karabeli! Zapukało Żurkowskim serce mocno z radości a ów Polak rzecze:

— Jestem Tomasz Zamojski, syn Jana Zamojskiego, z którym wy wyszli z Polski na Turków i nie wróciliście już więcej!

Toż to dopiero była uciecha! Żurkowscy znali Tomasza Zamojskiego jeszczcze chłopięciem, a teraz dorósł już w okazałego mężczyznę! Bo też to i dużo lat upłynęło, kiedy z jego ojcem wyszli na wojenkę!

Jeszcze obaj bracia do słów z wielkiej radości przyjść nie mogą, kiedy monarcha włoski powiada:

— Teraz was już puszczam wolno i możecie sobie jechać z tym waszym zacnym i szanownym rodakiem do Polski!

Przypadli do nóg obaj bracia najpierw włoskiemu monarsze potem Zamojskiemu i płakali jak dzieci z uciechy.

I owo jeszcze tego samego roku wrócili z Tomaszem Zamojskim do Polski; który objeżdżając obce kraje trafił był przypadkiem na nich i pomógł im do powrotu.

Z ojcem poszli bracia Żurkowscy — a z synem wrócili!..

Gdy już stanęli na ziemi ojczystej, obdarował ich Tomasz Zamojski bardzo hojnie, tak że było czem zagospodarować się na nowo i żyć po ludzku. I długo jeszcze, bardzo długo żyli szczęśliwie obaj bracia i opowiadali sąsiadom swoje przytrafunki w niewoli pogańskiej!

Takto Bóg nigdy poczciwych ludzi nie opuszcza!

Wojtek ze Smolnicy.

Pieśń kmiotka.

Żyli dziady i ojcowie,
Mając biedę na swej głowie;
Potem na swiat przyszli młodzi,
Nędza z chaty nie wychodzi!

Choć xiądz pleban w dzwony dzwoni,
Choć chłopkowi grzeszyć broni;
Ten do Sasa, ten do lasa,
Po karczmiskach naród hasa!

Ale ucząc co niedzieli,
Jak nam xięża powiedzieli:
Że grzech spijać się gorzałą —
Ot i w oczach poświetlało!!

I w komorze i w oborze,
Przyrastały dary Boże; —
Miłościwe przyszło lato,
I swobodę dał Bóg za to!

Mamy orać skibę własną;
Cóż gdy w głowach naszych ciasno?
Gdy na lepszej już chudobie
Nie poradzi człek sam sobie?

Jak się sieje? jak się orze?
Co to słonko? co to zorze?
Jak przysporzyć sianka w brogu?
Co dać ludziom a co Bogu? —

Powiadali w dawnym czasie:
„Hej ty chłopku! hej głuptasie!“
Niech tej krzywdy nie powiedzą,
Hej zabłyśniem naszą wiedzą!

Nas znieważać nie powinni,
My nie gorsi jak i inni!
Wszak człowiecza w nas natura!
Hej do xiążki! hej do pióra!

Wł. Syrokomla.

Gadka o wójcie z Domostawy i jego synie.

Opowiedział Skoczek z Gorlic.

(Dokończenie.)

Teraz dopiero prawdziwa nędza. W tem obejściu, gdzie to za nieboszczyka Jacka jeno ptasiego mleka brakowało, dziś się nie ma czem zakropić; gdzie w sadku było z 50 pni pszczół dziś ani płota ani śladu — pszczoły wyginęły a drzewka wyschły, tylko suchy wierzchołek starej gruszy skrzypiał jakby sierota płacząca i wołająca o pomstę do nieba! W tej izbie gdzie to nieboszczka wójtowa wystrojona i wydelikacona jak xiężna stawała przy angielskiej kuchni i warzyła i smażyła różności aż na pół wsi zapach leciał, dziś tam widzisz nędzną, chudą, głodną i brudną, ledwie żywą kobiecinę z dwojgiem małych dziatek, które wyciągały suche rączęta i wołały: Mamo papu! a ona ich tylko łzami mogła nakarmić — nic tam nie słyszałeś jeno pisk dzieci i modlitwę kobiety: „Boże zmiłuj się nad nami — przestań nas już karać, albo nas wszystkich zgładź z tego świata. Gdzie się nasz ojciec obraca? Matko wielkiego miłosierdzia ratuj nas!“ —

Na takie płacze co się po wsi rozlegały aż serce każdemu pękało, schodzili się często sąsiedzi, i czem kto mógł to te sieroty wspomagał, bo byłyby głodną śmiercią padły, a ludzie żałowali tej Kasi ze Studzieńca, że się do takiej przeklętej familii dostała i za cudze grzechy pokutować musi.

A idźmy no do Błacha do kryminału, jaki to on tam nieszczęśliwy. Sumienie go dręczyło, że nie słuchał dobrej żony, że ją bił i marnił wszystko. Przychodził mu na myśl zawsze ojciec, te krzywdy ludzkie, te przekleństwa, a jego nagła śmierć zawsze mu stała przed oczyma. Co noc to mu się śniła żona i dzieci, że się z nimi pieścił, to znowu mu się śniło, że ojciec tonie i jego za sobą ciągnie, rady sobie nieboraczysko nie mógł dać z udręczenia, włosy na głowie targał z rozpaczy i wołał:

— Boże uwolnij mię z tej kary, otwórz miłosierdzie Twoje a będę ci służył wiernie, będę kochał żonę i dzieci, nikomu

krzywdy nie zrobię, wszystkich przeproszę, daruj Ojcze niebieski, nie daj mi zmarnieć tak jak memu ojcu. Matko z Leżajska módl się za mną grzesznikiem — św. Antoni!

Tak się nieborak Błach gryzł w tym kryminale coś blisko z rok, aż jednej nocy miał taki sen: Przyszedł niby do niego xiądz Dominikanin w białym habicie czerwonym pasem przepasany a miał wielką bieleńką brodę i tak do niego przemówił:

— Błażeju, synu Jacka! Ja jestem Jacek, patron twego ojca. Przychodzę ci tu zwiastować wielkie wesele. Oto przez modlitwę i szczery twój żal Pan Bóg miłosierny twemu ojcu i tobie grzechy odpuszcza, i będzie ci wszystko błogosławił, skoro będziesz drogą przykazań postępował. Za przyczyną św. Antoniego, którego wzywasz, jest twoja niewinność wykryta, złodziej tych koni jest już w kryminale, a ty jutro będziesz już na wolnej nodze. Idź do domu, módl się i pracuj, a będziesz w tym i na drugim świecie szczęśliwym. Jak się dorobisz, masz co rok w dzień zaduszny dać kapłanom ofiarę a i 30 ubogim suty obiad. Dziesiąty grosz z twego majątku będziesz dawał ubogim i sierotom. Błogosławię cię!

Gdy się Błażek obudził, wzniósł ręce ku niebu i dziękował Bogu za cudowne objawienie, padł na pryczę i zasnął anielskim snem, aż go żołnierze rano przebudzili i na wolność puścili.

Było to na wielkim dniu; Błach wyszedł rano z Lublina a na ścieżki przez pola i bory wiedział drogę, to też na wieczór już był w Domostawie, choć to dobre 12 mil drogi.

Z jaką uciechą witała żona Błacha, tego nikt nie potrafi opisać: to trzeba nam było tam być przy tem, tobyśmy się byli dość napłakali z radości nad temi biedakami. Błachowa dziękowała Bogu za Jego nieprzebrane miłosierdzie, a męża błagała, żeby pamiętał słowa św. Jacka.

Nazajutrz zeszło się dużo ludzi na przywitanie i co kto mógł to przyniósł dla tych nędzarzy — Błach wszystkich całował, przepraszał i dziękował, że o jego sierotach pamiętali, opowiadał może ze dwieście razy ten cudowny sen, a ludzie dziękowali Bogu, że tę przeklętą familię przypuścił do swej łaski.

Błach zaczął zaraz z siekierą chodzić na zarobek, okrył z tego siebie i swoich kochanych, kupili i krówkę jedną i drugą, koniki, ba! za parę lat niktby był nie dał wiary, że to ten Błach, coś go widział na pogrzebie dziecka.

Otóż jak prędko marniał majątek po ojcu w rękach Błacha, tak teraz Błachowi przybywało jak na drożdżach. Było już wszystko co trzeba w gospodarstwie, nawet młody sadek i pasieka. Była bojaźń boska i miłość ludzka. Przyszło potem Błachowi do głowy, żeby on też umiał czytać. Poprosił on jednego strażnika, co chodził do niego co wieczór i wyuczył jego i dwóch chłopców czytać i pisać prawie za darmo. W Pysznicy na chórze zawsze stawał koło organisty i nawet wszystkie spiewania sam zaczynał.

Jak się komu trafił jaki interes do sędziego a nie miał głowy jakby to tam wyłożyć, to Błach wziął papier i pióro i duchem spisał co kto potrzebował, a tak wyraźnie, że sędzia jeno raz przeczytał i już wiedział.

Mój Boże! jakie to wielkie miłosierdzie Twoje! Za parę lat Błach był najbogatszy gazda we wsi, a serce u Błacha to było anielskie — dziedzic i sędzia nastawali na to, żeby Błacha zrobić wójtem — on się ociągał, ale aż sam xiądz się wziął do niego, musiał zostać, bo nikogo takiego nie było.

Był wójtem ze 20 lat aż do śmierci. Wszyscy go szanowali i kochali, swoich chłopaków pięknie wychował jednego na rolnika drugiego na kowala, zaszczepił w nich miłość boską i ludzką, a o upominku św. Jacka zawsze pamiętał.

W Domostawie gadają, że takiego wójta to nie było i nie będzie jak był Błach, a to najwięcej ludzie rozmyślają, jak to Pan Jezus Jacka pokarał, a Błacha błogosławił.

Otóż uczcie się z tego przykładu jak macie robić.

Bóg zapłać.

Już z góry piędziesią lat temu, gdy pewien młodzieniec chodził do szkół i jak mógł się utrzymywał, bo był ubogim sierotą. To pańskie dzieci uczył i za to dostawał kilka złotych,

to co tam odpisał i też grosz zarobił, zwyczajnie jak mógł pchał biedę i uczył się coraz dalej. A jak to sierotom bywa, głodu się też nieborak nieraz nacierpiał i surduciątko czasem jedyne tylko było a do tego pozszywane, posnukane i wybladłe, iż czasem trudno się już było koloru dopatrzyć.

Był znowu sobie w temże samem mieście i w onym też czasie krawiec, poczciwy katolik, co choć sam biedny, niejednemu pomógł, to suknię załatał, choć wiedział, że za to pieniędzy od biedaka nie dostanie, byle mu „Bóg zapłać“ powiedział, to bywało, że tam jedną starą szmatę bez zarobku biednemu odstąpił a rad był, gdy mu jeno „Bóg zapłać“ się w zysku dostało. Często żona go o to przygryzała a mówiła:

— Sameś biedny, ledwo mam co w garnek wsypać a ty zamiast przecie o siebie się starać, to drugim tam dopomagasz.

Na to krawiec, jako dobry katolik odpowiadał:

— Pan Bóg nam zapłaci, kochana żono, przecie słyszysz, że mi mówi każdy: „Bóg zapłać.“

Dopiero tedy kochana żona nad mężem wymyślać: a ty taki i owaki, żebyś ty lepiej ściągał od każdego, co zarobisz, byśmy głodu nie mieli, bym też mogła i kapelusz sobie kupić i chustkę taką wielką, jak ma pani majstrowa co podle nas mieszka, i tam kto wie co na niego gadała choć w gruncie serca nie zła to była kobiecina, jeno zwyczajnie tak, jak to niewiasty natura, za wiele tam czasem gadała. Krawiec zniósł wszystkie przygryzki spokojnie i jak mógł tak biedę ratował, choć sam też był biednym. Zwyczajnie już miał tak dobre serce i pilnie naśladował Zbawiciela, który wszystkim dobrze czynił.

Było to w wilią Zielonych Świątek; gdy on student siedzi sobie już wieczorem w swej izdebce i jakoś widać, że ma wielkie zmartwienie, bo ni xiążki nie bierze do ręki, ni też co pisać pocznie, tylko zamyślony raz po raz głęboko westchnie, wejrzy na wizerunek Zbawiciela, co na ścianie wisiał, jakby mu łzy stanęły w oczach i czasem jeno wyjęknie: biedny ja biedny! obejrzy surducinę, wyciąga woreczek, płótno w nim samo, tylko pare groszy nędznych się doliczyć może i znowu westchnie a mówi: biedny ja biedny! Aleć gdy tak sobie w izdebce pobolał, bierze czapkę i mówi:

— Niech się dzieje wola Boża, w kościele jutro być muszę, wielka uroczystość, choćbym też całe święta nic do ust nie wziął; nie samym chlebem człowiek żyje, powiedział zbawiciel; dam ten grosz ostatni krawcowi, resztę może poczeka, surdut połata, boć nie podobna z wydartemi łokciami się przecie na miejscu świętem pokazać.

Tak sobie mówił i już dość późno w wieczór a on biegnie do onego krawca, com o nim wyżej pisał, a wszedłszy mówi:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Krawiec się obejrzy i mówi:

— Na wieki wieków, Amen! Witam pana, proszę siedzieć, cóż mi pan powie?

A student na to:

— Panie majstrze, wielką mam prożbę do pana, jutro uroczystość Zielonych Świątek, patrz pan, mój surdut podarty, w kościele być muszę, panie majstrze o litość proszę, narządź mi go pan, mam parę groszy, to je panu dam, o resztę później się wystaram, mniej pan litość nademną!

Krawiec wzruszył się cały, jakoś mu się miękko na sercu zrobiło, ale mówi:

— Z duszy serca, panie dobry, toć pan wiesz, żem zawsze panu sporządzał, ale tego surduta już sporządzić nie podobna, już się jedno drugiego kupy nie trzyma.

A żona zaraz mówi:

— Mąż musi tę kamizelkę skończyć, gdzie tam, już późno w noc, przecie trzeba będzie spać iść nie długo.

Jakby go kto nożem w serce ugodził, westchnął on student, a krawiec widział, że mu dwoje łez po twarzy pociekło i wnet rzecze:

— Kiedy koniecznie ma być, to będzie; idź pan spokojnie do dom, jutro rano już surdut sporządzony.

Już też i żonie jakoś serce zmiękło, bo zaraz dodała: No kiedyć już koniecznie potrzeba, to ja już dokończę kamizelki a ty już weź się do surduta.

Młodzieniec się rozweselił jakby go kto majątkiem wielkim obdarzył, surdut zostawił, spiesznie powrócił do dom i na spoczynek się udał.

Ledwo się niebo na wschodzie czerwienieć poczęło, i jutrzenka dnia przybycie zwiastowała, gdy jeszcze ptaki pochwalnej pieśni stwórcy nie zaśpiewały, zerwał się student ze snu i wnet pobieżał do krawca po surdut. Wszystko spoczywa po dziennych trudach, jeno krawiec pilnie nad surdutem pracuje, już żona kamizelkę dokończyła, dawno spać poszła a krawiec jak szyje tak szyje. Już jakoś dzienne światełko do izdebki zagląda i lampka dogorywa, już wchodzi on student po surdut, Pana Boga pochwali, a cóż, sporządzony? pyta, a krawiec: zaraz będzie — odpowiada, ostatni guzik przyszywam! i wnet rzecze: masz pan, wszak sporządzony. Bóg zapłać! student odpowie. ile winien się pyta i woreczek z kieszeni wydobywa.

— Nic panie, odpowie majster. Za żadne pieniądze, mówi dalej, nie byłbym robił aż do rana, toć przecie człek katolik a jeszcze dziś święto tak wielkie, ale żeś pan do kościoła potrzebował ten surdut: niechże i ta moja nocna praca idzie na chwałę Bożą. Jak pan xiędzem zostaniesz, to pan też westchnij za mnie przy mszy św. I jakby uradowany, że dokazał swego, dodał: Bogu dzięki, żem skończył, było dość do roboty, teraz też panu surdut jeszcze długi czas potrzyma.

— Bóg zapłać, rzecze student tak z głębi serca, jako gdy kto kogo od śmierci wybawi, boćby był musiał łaknąć w same święta, a te groszy parę go dożywią, póki się znowu zarobek nie zdarzy.

Mija lato po lecie, student xiędzem został i tam gdzieś na parafią poszedł, krawiec już się starości doczekał i siwutki jak gołąbek, bo to już lat czterdzieści z górą, jak surdut aż do rana Zielonych Świątek sporządzał, aż tu przyjechał do tego samego miasta, gdzie się to stało, xiądz biskup, co był nowo obranym w stolicy węgierskiej S. G. . . . . Całe prawie miasto wyszło powitać xiędza biskupa, wieńce i kwiaty mu pod nogi rzucają, jako przystoi słudze Pana Niebieskiego. Xiądz biskup błogosławi rzeszę, a gdy w kościele się pomodlił i trochę się u xiędza proboszcza posilił, dopytuje się o onego krawca, siada do powozu, zajeżdża przed dom, w którym on krawiec mieszka, zesiada i idzie prosto do jego izdebki. Wszyscy zdumieni nie wiedzą co to znaczy, idą za biskupem do sieni i patrzą co to będzie? Aż tu biskup drzwi otwiera i zastaje onego staruszka, co mu kiedyś surdut sporządzał, jak tam w okularach coś przykrawa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzecze biskup, a staruszek wejrzy, na kolana padnie a mówi:

— Wasza biskupia Mość pewnie do kogo innego chciał

iść, proszę pokornie o błogosławieństwo, gdy moją chatę zrządzeniem Bożem tak wielkie szczęście raczy.

A xiądz biskup starca z głębi serca błogosławi i ze wzruszeniem rzecze:

— Starcze czcigodny, ja dłużnikiem waszym! przed czterdziestu laty całą noc żeście nad mym surdutem podartym siedzieli.

Dopiero tam staruszek z radości płakać pocznie a biskupa w stopy całować. Biskup też jakoś jakby płakał i staruszka podnosi a wszyscy co na to patrzeli łzy ocierają . . . . Kiedy się tak trochę uspokoili, pyta biskup:

— Żyje jeszcze wasza żona?

A starzec odpowie:

— Nie, już dawno ją Pan Bóg zabrał.

Wtedy biskup:

— Zabierzcie się jeno, ojcze, pojedziecie ze mną i będziecie u mnie aż do śmierci.

Staruszek zrazu dziękuje, ale gdy biskup nalega, wsiadł do powozu i z nim pojechał, był na jego dworze i jadł z xiędzem biskupem przy jednym stole aż do śmierci, która dopiero przed dwoma laty go do wieczności zabrała.

Historya to prawdziwa, mili przyjaciele, działa się za dni naszych na ziemi węgierskiej a choć może niejednemu Pan Bóg tu w tem życiu tak cudownie nie zapłaci, to zapłaci mu w Niebiesiech!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z numerkiem, który wam dziś posyłamy, mija już właśnie rok piąty, jak Dzwonek nasz zagląda do waszych chatek, kochani ludkowie! Przez pięć lat wydzwania wam ten Dzwoneczek i pociechę w frasunku i naukę w potrzebie i piosenkę serdeczną i nadzieję na lepsze czasy!...

Dzwonek i nadal chce być waszym przyjacielem najszczerszym, drodzy bracia, i zaprasza się do Was serdecznem słowem w gościnę pod strzechy słomianne! Toż nie żałujcie mu kącika w sercu i w chacie i nie poskąpcie z tym małym groszem, co potrzeba na papier i na zapłacenie panom drukarzom. Kosztuje to jeno 1 reński a zabawy i nauki jest na całe sześć miesięcy. Zapisujcie więc rychło na nowo Dzwoneczek i zostańcie z Panem Bogiem w zdrowiu i dobrej doli!

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.